

# Kargowskie wspomnienia

**Historia Kargowej w opowieściach mieszkańców**

Redakcja:  
Eugeniusz Kurzawa

Współpraca:  
Denis Adamczak, Anna Balcerak, Marek Balcerak, Czesław Błószczyk, Grażyna Brychcy, Maria Chmiel, Janina Chołuj, Jerzy Duber, Krystian Grelak, Jolanta Jaworska, Barbara Kornaszewska, Beata Kozubska, Kamil Kwiecień, Helena Napierała, Monika Patelska, Józef Pławski, Joanna Pochłópień, Magdalena Stróżyk, Małgorzata Sulek, Brygida Wróblewska, Agnieszka Zielińska oraz Aleksander Żukowski

Tłumaczenia:  
Barbara Krzeszewska-Zmysłony

Redakcja: Eugeniusz Kurzawa

Projekt okładki: Alicja Błażyńska

© Publiczna Biblioteka im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej

Zdjęcia z archiwów rodzinnych autorów wspomnień

Skład: Alicja Błażyńska

Druk: Drukarnia Ligatura

ISBN 978-83-935002-0-8



„Projekt współfinansowany jest ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej Polska (Województwo Lubuskie) – Brandenburgia 2007-2013, Fundusz Małych Projektów i Projekty Sieciowe Euroregionu „Spree-Nysa-Bóbr” oraz budżetu państwa./ „Das Projekt wird aus Mitteln des Europäischen Fonds für Regionale Entwicklung im Rahmen des Operationellen Programms der grenzübergreifenden Zusammenarbeit Polen (Wojewodschaft Lubuskie) – Brandenburg 2007-2013, Small Project Fund und Netzwerkprojektfonds der Euroregion Spree-Neiße-Bober, kofinanziert.“

„Pokonywać granice poprzez wspólne inwestowanie w przyszłość”/ „Grenzen überwinden durch gemeinsame Investition in die Zukunft”.

# Spis treści

W tej książce... (słowo wstępne) .....	
Fascynujące opowieści (wstęp) .....	
„Kargowskie wspomnienia” jako przykład kształtowania się świadomości historycznej pogranicza (fragmenty) .....	
Oświata do 1987 r. ....	
O dzieciństwie w pałacu i wyjeździe w nieznane. ....	
Eugeniusz Pauksza .....	
Leśniczówka Linie Eugeniusza Paukszy .....	
Powojenne władze gminy .....	
Kargowa w datach .....	

## Wspomnienia mieszkańców

Anna Augustyn (Wojnowo) .....	
Helena i Władysław Bajorowie (Smolno Wielkie) .....	
Marianna i Jan Batorowie (Kargowa) .....	
Irena Biernacka i jej mama Regina Świetlicka (Kargowa) .....	
Maria Błędowska (Chwalim) .....	
Czesław Błoszyk (Wojnowo) .....	
Krystyna Bocheńska (Kargowa) .....	
Rudolf Bocheński (Kargowa) .....	
Anna Borczyk (Nowy Jaromierz) .....	
Barbara Brambor (Kargowa) .....	
Leon Brambor (Kargowa) .....	
Manfred Brudło (Kargowa) .....	
Krystyna i Bronisław Burdziejowie (Smolno Wielkie) .....	
Teresa Czerw (Chwalim) .....	
Józefa Halina Ćwiertniewska (Kargowa) .....	
Janina Dębska (Kargowa) .....	
Karolina Drzymała (Karszyn) .....	
Jerzy Duber (Kargowa – Zielona Góra) .....	
Stefania Dziewałtowska (Kargowa) .....	
Gertruda Faryniuk (Kargowa) .....	
Henryk Faryniuk (Kopanica) .....	
Gertruda Fornalczyk (Kargowa) .....	
Krystian Grelak (Kargowa) .....	
Elżbieta Grocholska (Wojnowo) .....	

Elżbieta Gryca (Kargowa) .....  
Jan Gut (Stary Jaromierz) .....  
Gerda Jungowska-Bielicka (Wojnowo) .....  
Henryka Kazimowicz (Smolno Wielkie) .....  
Józef Kazimowicz (Smolno Wielkie) .....  
Alfons Kojro (Kargowa) .....  
Maria i Ignacy Kownaccy (Smolno Wielkie) .....  
Monika Król (Kargowa) .....  
Jadwiga Kulikowicz (Smolno Wielkie) .....  
Zofia i Tadeusz Kuprianowiczowie (Kargowa) .....  
Antonina Kutnik (Chwalim-Kargowa) .....  
Teresa i Kazimierz Łuszczakowie (Kargowa) .....  
Stanisława Mąkosa (Karszyn) .....  
Czesław Molenda (Kargowa) .....  
Helena Napierała (Kargowa) .....  
Jerzy Nikonowicz (Kargowa) .....  
Kazimiera Nowak (Kargowa) .....  
Stanisław Obacz (Smolno Wielkie) .....  
Sabina Olichwier (Chwalim) .....  
Jadwiga Onoszko (Kargowa) .....  
Bernadeta Patelska (Kargowa) .....  
Jadwiga Pinecka (Karszyn) .....  
Urszula Pławska (Smolno Wielkie) .....  
Edward Rabiega (Kargowa) .....  
Maria Sroka (Kargowa) .....  
Franciszka Stachowska (Smolno Wielkie) .....  
Melania i Stanisław Stróżykowie (Kargowa) .....  
Henryka Szkwarek (Kargowa) .....  
Józefa Henryk Świstuniowie (Smolno Wielkie) .....  
Maria Tkaczuk (Kargowa) .....  
Krystyna Tomczak (Smolno Wielkie) .....  
Monika i Irena Wawrzynowiczowe (Kargowa) .....  
Kazimiera Wichłacz (Chwalim) .....  
Helena Wiśniak (Obra Dolna) .....  
Franciszek Włosek (Smolno Wielkie) .....  
Brygida Wróblewska (Kargowa) .....  
Lubomira i Kazimierz Wróblewscy (Dąbrówka) .....  
Helena Zawadzka (Smolno Wielkie) .....  
Elżbieta Żmuda (Kargowa) .....  
Franciszek Żmuda (Wojnowo) .....

Kronika Szkoły Podstawowej w Starym Jaromierzu (fragmenty).....

Partnerstwo gmin .....

Wypowiedzi mieszkańców gminy Schulzendorf .....

    Filatelistyka buduje mosty .....

    Będę się angażowała .....

    Uczymy się języków .....

Podziękowania .....



**Przedwojenna drużyna piłkarska  
z Kargowej (rok 1937).**



## W tej książce...

...zawarte są opowieści rodzinne kilkudziesięciu mieszkańców naszej gminy. Mówią o ich prywatnej historii, o ważnych dla nich miejscach, zdarzeniach i bliskich im ludziach. Dlatego to wydawnictwo jest szczególnie. Pokazuje bowiem naszą mają ojczyznę tak, jak ją widzieli tuż po wojnie jej pierwsi mieszkańcy, zwykle osiedleńcy z pobliskiej Wielkopolski, przesiedleńcy z kresów wschodnich, przyjezdni z Polski centralnej. Ale są tutaj także dramatyczne wspomnienia autochtonów nawet z okresu wojennego. Zatem nie jest to sucha, naukowo napisana historia miasta i gminy, a wręcz przeciwnie – mamy tu do czynienia z subiektywnym, własnym autorskim obrazem przestrzeni wyrytym w pamięci naszych najbliższych, zarazem dziś już najstarszych obywateli. To oni tworzyli jej kształt i koloryt w czasach, w których nie zawsze można było mieć wystarczająco dużo siły i motywacji, aby zmieniać świat w bardziej doskonały. Trzeba było żyć najlepiej jak się dało w czasach, kiedy życie determinowała wojna, a później trudne czasy powojenne.

Dlaczego powstała ta praca? Dlaczego zwróciliśmy się z prośbą o powrót do przeszłości do tak dużej liczby mieszkańców i kradliśmy im cenny czas? Z dwóch podstawowych powodów. Myślę, że są dość istotne.

Pierwszy jest prozaiczny. Do tej pory nikt nie spisał w żaden sposób współczesnej historii naszej gminy. Brak było nam zapisków z lat współczesnych, szczególnie tych po 1945 roku. A czasy były nietuzinkowe, istotne dla tego, co odziedziczyliśmy.

Drugi powód wymusiło życie i uciekający czas. Odchodzą coraz liczniej osoby, które pa-

miętały lata przedwojenne, czas wojny i życie w naszej malej ojczyźnie po 1945 roku. Ludzie tak szybko odchodzą, a razem z nimi ich własne historie. Czas nie ma litości, jest nieubłagany, ale szczęśliwie okazało się, że jeszcze nie całkiem stracony. Widać to po ilości osób, które zdecydowały się opowiedzieć swoją młodość i wiek dojrzały. Należą im się ogromne słowa uznania i podziękowania, bo dzięki nim ocalimy od zapomnienia pamięć o tamtym okresie. Te obrazy mogą różnić się od obrazów innych świadków tamtych czasów, od historii zapisanej w podręcznikach. Nie ma w tym nic dziwnego, przecież każde życie jest inne. Ważne, że praca ta zostanie w nas i w przyszłych pokoleniach już na zawsze. Pozwoli nam łatwiej zrozumieć jak kształtowała się gmina po wojnie, jacy ludzie mieli w tym działaniu udział. Tym bardziej, że tworzyły ją postacie wielu narodowości, kultur, mający za sobą różne doświadczenia. Polacy, Niemcy Żydzi, Ukraińcy, Łemkowie, Wielkopolanie i zaburzenie. Ten koloryt, wielość barw, odnajdziemy właśnie tutaj, na kartach tej książki.

Cieszę się, że tę pracę udało się szczęśliwie doprowadzić do końca. To jednak nie ostatnia publikacja mówiąca o gminie. W najbliższym czasie nasza społeczność lokalna wzbogaci się o pierwszy w swojej historii album ze współczesnymi zdjęciami wykonanymi przez znanego artystę fotografika, a także o monografię gminy przygotowaną przez zespół naukowców Uniwersytetu Zielonogórskiego.

**Sebastian Ciemnoczołowski**  
burmistrz Kargowej



# Fascynujące opowieści

**O** TWIERAMY KSIĘGĘ PEŁNĄ NAJROZMAITSZYCH BIOGRAFII, a jest ich około 60. Zwykłych, zdawałoby się, curricula vitarum zwykłych ludzi, których los różnymi sposobami związał z Ziemią Kargowską. Na pozór nic w tych życiorysach nadzwyczajnego. I tak oczywiście jest, jeśli patrzymy z perspektywy dziejów narodu, losów całych pokoleń. Znajdujemy bowiem w tych biograficznych notach pewną powtarzalność zdarzeń, mamy fakty ogólnie znane z historii, ze szkoły, a później z filmów i powieści. Jednakże zamiarem tej publikacji jest ocalenie od zapomnienia indywidualnych życiorysów osób, które wybrały jako małą ojczyznę ten jedyny, niepowtarzalny skrawek naszej dużej ojczyzny. Z takiego punktu widzenia każda z zanotowanych tu historii rodzinnych jest jedyna i niepowtarzalna. Jest charakterystyczna tylko dla tej ziemi. I to wyróżnia te kilkadziesiąt zapisów biograficznych. Zresztą po lekturze dziesiątków indywidualnych opowieści – nierzadko nadających się do sfilmowania lub wydrukowania w formie reportażu czy też powieści – każdy czytelnik z pewnością zauważy ich smak, oryginalność, nierzadko dramatyzm. Nie wiadomo zresztą czy wolontariuszom zbierającym i zapisującym wspomnienia kargowian za każdym razem udało się uzyskać pełnię wypowiedzi swego rozmówcy, stąd – kto wie – ile ciekawych wątków, ile niebanalnych materiałów umknęło. Ale tak to już jest w życiu. Coś nam umyka i ginie bezpowrotnie. Oczywiście jest, iż suma zapisów, które znalazły się na tych kartach jest niepełna, gdyż wielu, bardzo wielu potencjalnych gawędziarzy odeszło już na zawsze z tego najlepszego ze światów. Nie utrwalono ich myśli, przekazów, zapewne tym cenniejszych, im bardziej jakieś osoby były zaangażowane w powojenną rzeczywistość lokalną. Szkoda. Tymczasem próbujemy ratować chociaż to, co wiemy i pamiętamy dziś.

Taki właśnie jest zamysł tejsze pracy – zainspirowanej przez młodego włodarza gminy, który dość szybko zreflektował się, iż ludzie „tak szybko odchodzą”. A z nimi odchodzi – utrwalony w ich głowach, zatrzymany na zdjęciach do nich należących, w dokumentach, pamiątkach materialnych – kawał ważnej, powojennej rzeczywistości społecznej. Co istotne, rzeczywistości tworzonej rękami samych kargowian. W tym wypadku – zauważamy to w kilku opowieściach biograficznych – kargowian, którzy dopiero po 1945 r. zaczęli „na gorąco”, sami z siebie, ze swych rozmaitych osobowości, tworzyć desygnat określenia – kargowianin. Składał się nań w pierwszej kolejności autochton, czyli Polak urodzony w tym mieście lub na wsi w okresie przedwojennym. Który tutaj był od lat, żył tu gdy trwała wojna i gdy przechodził front. Choć zdarzało się, iż zmuszony decy-

zją władz hitlerowskich musiał się ewakuować w głąb Rzeszy. I potem wracał na swoje, nierzadko zajęte, rozgrabione. Bywało też w nielicznych przypadkach, iż zostawali w swym mieście także Niemcy. Następnie postać współczesnego kargowianina tworzyli Wielkopolanie, którzy najszybciej mogli zasiedlać opuszczone przez wypędzonych Niemców zagrody i domy. Mieli najbliżej, gdyż do przedwojennej granicy z Polską były zaledwie 4 km. Dłużej docierały transporty przesiedlanych ze wschodu kresowiaków. Ale i oni w końcu, może najliczniej, dołożyli się do zbudowania osobowości współczesnego obywatela gminy. Dziś wiele osób jest zgodnych, iż z tego stopu ukształtował się nowy obywatel Kargowej. Jaki? To już kwestia innej pracy.

Idea zebrania na kartach książki wspomnień głównie najstarszych mieszkańców gminy byłaby niemożliwa do zrealizowania, gdyby nie sami kargowianie. Zgromadzenie przez jednego autora zapisków 80–100 (jak pierwotnie planowano) życiorysów byłoby bardzo trudne, choć nie niemożliwe, lecz przede wszystkim czasochłonne. A czas tutaj odgrywa ogromną rolę. Doświadczył tego Józef Pławski dokumentujący wcześniej, z własnej inicjatywy, dzieje Smolna Wielkiego. Zdarzały mu się przypadki, iż rozmówcy umierali zanim zdążył opublikować ich wspomnienia.

Zaproponowałem udział w pracy dokumentacyjnej kilkunastu miejscowym wolontariuszom. Ich zadaniem było przeprowadzenie rozmów – ankiet wśród wytypowanych wspólnie postaci. 17 listopada, a potem 1 grudnia 2011 r. odbyły się spotkania organizacyjne. Wspólnie ustaliliśmy listę osób, które być może zapamiętały najciekawsze momenty z życia lokalnej społeczności, brały udział w istotnych wydarzeniach, pracowały w ważnych dla miasta i gminy przedsiębiorstwach, słowem właścители niebanalnych życiorysów. Następnie wolontariusze zdecydowali, które z tych osób zechcą odwiedzić (po wcześniejszym uprzedzeniu) i zanotować ich biograficzne opowieści.

W ten sposób przez kilka tygodni od początku roku 2012 otrzymywałem nieregularnie materiały, które przygotowywałem do druku. Czytając je wzruszałem się i zachwyciałem, wyobrażałem sobie dramat przesiedleńców, jak i strach autochtonów, gdy Armia Czerwona maszerowała na Berlin przez ich miasto. Cieszyły proste gawędy ludzi, którzy radowali się tym, że skończyła się straszna wojna i można żyć bez świstu kul nad głowami. Nie mówię, rzecz jasna, iż życie wtedy było łatwe, zresztą to także, nie obwijając w bawełnę, przekazują rozmówcy. Ale wielu z nich zachowało w pamięci to, co dobre, pozytywne z tamtych trudnych przecież dni. Tymczasem – tu konieczny wtręt do aktualnej polskiej rzeczywistości XXI w. – ich wnuki, prawnuki nawet, z różnych programów telewizyjnych, z prasy, w szkole dowiadują się, że Polska okresu powojennego socjalizmu była szara, na półkach stał tylko ocet, a obywatele byli zniewoleni. Właśnie ta szarość, przeciętność, bylejąkość jest nieustannie podkreślana, jakby w społeczeń-

stwie tamtego okresu nie było kolorów, uśmiechów i radości życia. Nie wiadomo zresztą, do jakiego okresu konkretnie miałyby się te zarzuty odnosić, bo przecież Polska Ludowa to zróżnicowane dzieje. Na przykład niedawno pojawił się przy ul. Sulechowskiej Pewex, symbol okresu gierkowskiego i otwarcia kraju na Zachód. Wygląda na to, że niektóre osoby, politycy, historycy bawiący się w propagandzistów, publicyści, raczej nie mają pojęcia – albo nie chcą mieć – jak różnorodne było życie w państwie, które po strasznej wojnie usiłowało „dojść do siebie”. O tym mówią właśnie tutaj i to bardzo dobitnie dokumentalne zapiski dotyczące lat powojennych. I życiorysy naszych bohaterów w znacznej mierze bronią tamtych trudnych czasów. Lecz przede wszystkim ci ludzie bronią – co oczywiste – swojej młodości, szczęśliwych chwil w swoim życiu. Nie można im tego zabierać, wymazywać przeszłości, bo nie pasuje do aktualnych wymogów propagandowych. Widzimy radość z kina objazdowego, ze zwykłych zabaw, meczów piłkarskich, teatrzyków, bali maskowych, z których słynęła Kargowa. Obserwujemy radość i śmiech. Ciekawość z nowości. Chęć pokonywania trudności. Bo to są naturalne cechy każdego człowieka.

„Nie było frontu, ziemia obiecana, bajka, cisza. Kargowa jest moim drugim domem do dziś, dobrowolnie nie chciałam się ruszyć” – tak brzmią pierwsze reakcje na koniec wojny wyjęte ze wspomnień. A potem: „W młodości często spotykaliśmy się w świetlicy wiejskiej, gdzie prawie każdej soboty były potańcówki. Na koźle grał Franciszek Raschke, a później na akordeonie gospodarz, Stanisław Motus, któremu akompaniował na tamburynie brat. W latach 60. i 70. często odbywały się zabawy pracownicze w sanatorium.” I wreszcie: „Porównując lata 40., 50. i 60. do obecnych, twierdzą, że pomimo niedostatku, braku wszelkich udogodnień życie było lepsze. Ludzie byli względem siebie bardziej życzliwi, wspomagali się wzajemnie. Nie było „wyścigu szczurów”. Nikt tym ludziom nie kazał tak mówić, szczególnie, że wiedzieli, iż to, co wypowiadają jest odnotowywane pod kątem stworzenia książki o ich życiu. Ale widać mówili szczerze to, co myśleli. Szczerzy zresztą są także w tych opiniach: „Rosjanie po wejściu do Kargowej zachowywali się strasznie. Wiele osób, w tym również moi współpracownicy, pozbawiono życia. Była to zemsta – Kargowa była pierwszą niemiecką miejscowością za granicą”. I tych: „UB-owcy często w nocy odwiedzali nasz dom. Szukali pieniędzy, dolarów, tytoniu i ulotek. Któregoś dnia moja mama siekierą przegoniła tych „gości”.

Przyjmijmy po prostu te głosy jako osobiste dokumenty i świadectwo przeżytej historii!

W niniejszej pracy znajdziemy trzy, trochę różniące się sposoby narracji.

Pierwszy, uzgodniony przeze mnie z wolontariuszami, polega na możliwie wiernym oddaniu wypowiedzi rozmówcy (zawsze w pierwszej osobie). Może nieco irytować pewien schematyzm notatek, ale chodziło o poprowadzenie au-

tora wspomnień „ścieżką chronologii”, od urodzenia do czasów współczesnych. Ułatwiało to pilnowanie toku narracji, a w druku być może ułatwi czytelnikowi porównywanie różnych wspominków. Przy czym niektórzy z wolontariuszy notowali całą wypowiedź swego rozmówcy w jednym ciągu, inni dzielili ją pytaniami, tworząc typowe wywiady. I to zostało zachowane.

Drugi sposób przypomniania przeszłości wziął się z wcześniejszych działań Józefa Pławskiego, mieszkańca Smolna Wielkiego, który za ocalanie historii swej wsi zabrał się już kilka lat temu na własną rękę. Zrobił bardzo dobrą robotę szczegółowo odtwarzając ważne epizody z powojennych dziejów największej wsi w gminie, przepytując kilkanaście rodzin. Występuje tutaj jako narrator relacjonujący wydarzenia, które mu ktoś opowiada. Zapisał je w trzeciej osobie, co tworzy pewien dystans wobec każdego z bohaterów. Walorem zapisów J. Pławskiego jest jego docieklivość. Niemal każdego rozmówcę wypytuje – jak historyk dokumentalista – o te same fakty. O pierwszych sołtysów, nazwiska zawiadowców, sprzedawców w sklepach, notuje to, że ktoś się utopił, a kogoś przywalił stary dom. To niewątpliwa zaleta tych materiałów, choć w różnych głosach pojawiają się sprzeczności. Ale to naturalne, każdy mówca inaczej bowiem zapamiętał przeszłość.

J. Pławski swoje wywiady przeprowadzał w 2007 r. Od tej pory niektórzy z jego rozmówców już nie żyją. Są to państwo Bajorowie i Włoskowie, Ignacy Kownacki, Anna Kazimowicz i Helena Zawadzka.

Wreszcie trzeci styl. Nie jest aż tak bardzo różny od pierwszego, to dość krótkie i proste głosy zapisane (nagrane) w pierwszej osobie, lecz należy uwypuklić coś innego. Za tymi kilkudziesięcioma głosami kryje się bardzo ważne działanie Danuty Wróblewskiej, nauczycielki Szkoły Podstawowej i jej męża Dariusza Wróblewskiego. To cykl spotkań w podstawówce, a potem w Gminnym Ośrodku Kultury noszący tytuł „Kargowskie wspomnienia”. Był realizowany w latach 2001–2006. I właśnie podczas tychże spotkań zostały wygłoszone odnotowane tutaj wypowiedzi mieszkańców, osiedleńców. Później D. Wróblewska napisała na tej podstawie pracę dyplomową na Uniwersytecie Zielonogórskim pt. „Kargowskie wspomnienia jako przykład kształtowania się świadomości historycznej pogranicza”. Dokument ważny i ciekawy. Fragmenty są przytoczone w tej pozycji i pokazują ich walor dokumentacyjny, naukowy, gdyż – miejmy nadzieję – będą z niego czerpać kiedyś przyszłe pokolenia.

Powyższe elementy zostały uzupełnione, dokomponowane wątkami, które nie znalazły się we wspomnieniach kilkudziesięciu mieszkańców. Nie mogło bowiem zabraknąć w tej książce wspomnień o Eugeniuszu Paukszczie, Macieju Kozłowskim, Januszu Horbowym. To znaczące postacie dla dziejów powojennej Kargowej. Ponieważ od lat walczyłem na łamach prasy lubuskiej (i nie tylko) o utrwalanie pamięci E. Paukszty, przygotowałem tu szkic mówiący o nadaniu bibliotece

jego imienia, powołaniu do życia konkursów literackich „z Pauksztą w herbie”, jak też o „jego” Leśniczówce Linie. Osobiste wspominki o pisarzu pozwolił zaś włączyć do książki zielonogórski pisarz Janusz Koniusz. O pozostałych postaciach wspomina Jerzy Duber, pochodzący z Kargowej, przez pewien okres jako dyrektor domu kultury mający z nimi bliskie kontakty.

Nie mogło się obyć bez wątków niemieckich. To oczywiste, gdyż w okresie od drugiego rozbioru (1793 – pamiętny epizod z kapitanem Stefanem Więckowskim) do wyzwolenia w 1945 r. Kargowa była w rękach pruskich, potem niemieckich. Choć jako miasto pogranicza zachowała mimo wszystko sporo polskości, a na wsiach nawet w okresie międzywojennym słychać było muzykę kozłarską. Dziś Kargowa przyjaźni się z gminą Schulzendorf, prowadzi z nią wymianę kulturalną i nie tylko, zaś mieszkańcy wzajemnie się odwiedzają i o tym piszą – co na tych kartach odnotowujemy. Lecz Kargowa ma też znakomitych „prywatnych”, chciałoby się powiedzieć, ambasadorów w RFN. Pierwszym z nich jest oczywiście Stefan Petriuk, honorowy obywatel gminy pochodzący z Uścia koło Kargowej. On „nakręca” wiele zdarzeń, wydał dwujęzyczną książkę o historii miasta, animuje poważne, międzynarodowe wystawy malarskie i filatelistyczne. Kolejnym ambasadorem jest Katarina Humborg, córka ostatnich właścicieli majątku, chętnie odwiedzająca miasto swego dzieciństwa (i na tych kartach też wspominająca swoją młodość w Kargowej). Nie można zapomnieć o tym, co pośmiertnie czyni na rzecz pojednania i współpracy urodzony w Kargowej niemiecki malarz Wilhelm Blanke. Jego imię nosi dom kultury, miasto upamiętniło tablicą kamieniową, w której mieszkał, a jego stryjeczna wnuczka, Regina Zimmerinkat-Blanke, uczestniczyła stosunkowo niedawno w nadaniu imienia i wystawie jego obrazów pochodzących z jej prywatnych zbiorów.

Jak widać, ten etap historii miasta i okolic kończy się nie tylko optymistycznie, ale wręcz szczęśliwie. Gdyby nie dramatyzm życiorysów, które przytaczamy, można by wręcz powiedzieć: szczęśliwe miasto!

**Eugeniusz Kurzawa**

Wilkanowo, 17 kwietnia 2012 r.



# „Kargowskie wspomnienia” jako przykład kształtowania się świadomości historycznej pogranicza

(fragmenty)

**M**OJA PRACA POWSTAŁA W OPARCIU O SPOTKANIA organizowane w latach 2001–2006 w Szkole Podstawowej, a później w Gminnym Ośrodku Kultury w Kargowej. Do zorganizowania spotkań skłoniła mnie chęć zainteresowania uczniów przeszłością ich miejscowości, która spowoduje wzrost poczucia ich przynależności do społeczności lokalnej, a zaangażowanie starszych mieszkańców zintegruje środowisko lokalne. Tym bardziej, że na terenie naszej gminy, szczególnie po II wojnie światowej, spotkali się ludzie o odmiennej kulturze, tradycjach i obyczajach.

Pierwsze spotkanie pt. „Kargowskie wspomnienia” było bardzo skromne, uczestniczyło w nim około dwudziestu samotnych seniorów. Odbyło się w Publicznej Szkole Podstawowej przy współpracy z Gminnym Ośrodkiem Pomocy Społecznej oraz dużym zaangażowaniu uczniów – członków kółka historycznego. Dzieci nie tylko przygotowały program artystyczny, ale również prezenty dla gości. Seniorzy byli bardzo zadowoleni ze spotkania i wówczas zgłosili chęć uczestniczenia w kolejnych, ale przy zaktywizowaniu większej ilości seniorów, którzy mogliby jeszcze więcej wiedzy przekazać młodszemu pokoleniu. Stąd też kolejne spotkanie odbyło się na sali gimnastycznej w szkole we współpracy z ówczesnym burmistrzem. Przybyło około 100 gości. Aktywność seniorów przerosła wszelkie oczekiwania i następne spotkania odbywały się w Gminnym Ośrodku Kultury.

\* \* \*

Gmina Kargowa położona jest na granicy województw lubuskiego i wielkopolskiego. Przed II wojną światową była to granica niemiecko-polska. Przez wieki miasto było miejscowością przygraniczną. Znajdowało się raz po jednej stronie granicy, raz po drugiej. Zmieniała się przez to ciągle jej przynależność polityczna i relacje z sąsiadującą Wielkopolską. Miało to wpływ na rozwój miasta zarówno gospodarczy, gdy w połowie XVII wieku przybyło wielu sukienników ze Śląska, jak i na kulturalny czy wyznaniowy. W Kargowej żyli obok siebie katolicy z protestantami i żydami, później sami katolicy, a obecnie katolicy z świadkami Jehowy.

Po zakończeniu II wojny światowej w Kargowej, podobnie jak na wszystkich ziemiach odzyskanych na zachodzie Polski można zaobserwować ogromny przepływ ludności. Byli to repatrianci zza Bugu, przede wszystkim z dawnych kresów południowo-wschodnich, z okolic Lwowa, Stanisławowa, Kołomyi i okolic Wilna. Do gminy Kargowa przybyli też mieszkańcy środkowej i zachodniej Wielkopolski oraz okolic Łowicza i Kielc. W jednej wsi pojawia się ludność z ziem na granicy II Rzeczypospolitej i Rumunii.

Pierwsza fala repatriacji nastąpiła bezpośrednio po wojnie. Proces ten zakończył się w 1959 r.

**„Według danych statystycznych do 1950 r. na Ziemiach Zachodnich osiedliło się ogółem 4.497.984 osoby, w tym 1.553.512 z ZSRR. Grupa repatriantów na Ziemiach Zachodnich stanowiła w 1950r. 38% ludności napływowej, w województwie zielonogórskim 44,3% ludności”.**

W Kargowej pozostałą część mieszkańców stanowiła grupa narodowości polskiej nazywana autochtoniczną. „Liczba ludności autochtonicznej na Ziemi Lubuskiej w latach 1947–1964 wahała się w granicach 8.000–8.500 osób. Największe skupiska znajdują się w powiatach: Sulechów (około 3.300), Międzyrzecz (około 2.100) i Skwierzyna (około 700)”. W Kargowej stan ludności z 1 stycznia 1959 r. wynosi: „1957 r. 2321 osób, z czego repatrianci w mieście: 161 osób, na wsi: 201 osób, w roku 1958 wynosi: 2.423 osób, z czego repatrianci w mieście: 58 osób, a na wsi: 167 osób”.

„Na ziemiach zachodnich (...) Polski daje się zauważyć zjawisko poszukiwania przez mieszkańców lokalnej, kulturowej tożsamości wsi, miast, gmin i powiatów ziemskich, z uwzględnieniem także ich niemieckiej przeszłości”. Poznawanie historii ziemi kargowskiej wielokrotnie przeplecionej z niemiecką spowodowało, że nowi mieszkańcy poczuli się bardziej u siebie. Ostoją polskości byli dla nich kargowiaczy walczący w Powstaniu Wielkopolskim w styczniu i lutym 1919 r. o miasto, kpt. Więckowski, który w styczniu 1793 r. nie chciał przekazać Prusakom Kargowej, czy ród Unrugów, który założył miasto w połowie XVII wieku, a jego potomkowie służyli polskim królom. Te wydarzenia wpłynęły na poczucie związku ludności napływowej z Kargową. Zaczęły też kształtować świadomość historyczną ludności pogranicza.

„Kargowskie wspomnienia” z pewnością wpłynęły na kształtowanie świadomości historycznej pogranicza. Pozwoliły odkryć starszemu pokoleniu mieszkańców ich stosunek do miejsca, w którym znaleźli się po II wojnie światowej z własnego wyboru czy też z przypadku. Zdali sobie sprawę, że pomimo tego, iż urodzili się



gdzie indziej, w innym miejscu są również ich korzenie, groby przodków, to tutaj jest miejsce, które nazywają małą ojczyzną. Kochają to miejsce. „Co ważne – w tych małych ojczyznach każdy mieszkaniec ma wpływ na kształtowanie dziejów i może bezpośrednio wpływać na losy małej ojczyzny. Inaczej jest w odniesieniu do dużej ojczyzny. Fakt, że w demokratycznym państwie wpływ wprawdzie istnieje na losy ojczyzny, jednak jest on mniejszy niż w małych ojczyznach”.

Cykliczne spotkania pt. „Kargowskie wspomnienia” wpłynęły na stworzenie silnych więzi między mieszkańcami. Zwrócili oni uwagę na to, że przecież wspólnie tworzyli historię powojenną Kargowej i gminy. Dzięki nim w tej miejscowości rozwinęła się kultura, która wyrosła z doświadczeń wyniesionych z terenów, które opuścili. To oni również dbali o odbudowę miejscowości po zniszczeniach wojennych, a później o rozbudowę. Zrozumieli to, gdy opowiadali o tym, co zastali i co zrobili. Poczuli tożsamość z tą ziemią, zaakceptowali jej dziedzictwo i są świadomi jej historii. Natomiast to, że przez kilka kolejnych lat spotykali się, aby opowiadać młodemu pokoleniu o tym, co przeżyli, co zdziałali, może świadczyć, że pragną zwrócić uwagę młodzieży, jak ważne jest utożsamianie się z regionem, kształtowanie świadomości historycznej, szczególnie tej na pograniczu. Jest ono bowiem specyficznym miejscem, gdzie łączy się historia polska i niemiecka, najważniejsze zaś jest, że społeczeństwo gminy dzięki „Kargowskim wspomnieniom” dojrzało do tego, aby cenić dziedzictwo swoich przodków przeniesioną na ten grunt, jak i pozostawione przez poprzednich mieszkańców.

Danuta Wróblewska

## Krótki rys historyczny

- 1360: pierwsza wzmianka o istnieniu osady, której właścicielem był Dzierżykraj.
- 1637: z nadania przez króla Władysława IV miejscowość otrzymuje przywilej organizacji czterech jarmarków w roku i jednego targu w tygodniu.
- 1641: miejscowość zostaje zakupiona przez starostę gnieźnieńskiego hrabiego Jerzego Unruga i nazwana Unrugowem (miasto pozostaje własnością rodziny Unrugów od 1661 do 1837 r.).
- 1661: Kargowa (Unrugowo) otrzymała pełne prawa miejskie z nadania króla Jana Kazimierza w uznaniu zasług Krzysztofa Unruga podczas potopu. Osiedleńcami byli wówczas głównie uciekinierzy ze Śląska prześladowani za przekonania religijne. Miasto było położone na granicy Brandenburgii i Śląska przy szlaku z Poznania przez Wolsztyn i Gubin do Drezna, toteż

- pełniło rolę komory celnej i miejsca postoju podczas podróży do Drezna władców Polski Augusta II Mocnego i Augusta III Sasa. Taki stan rzeczy powodował, że stacjonował tu stały posterunek kompanii piechoty.
- 1793: w wyniku II rozbioru Polski miasto trafia pod administrację Królestwa Prus.
- 27 stycznia 1793: polska kompania piechoty dowodzona przez kapitana Stefana Więckowskiego obsadziła ratusz i otworzyła ogień do wkraczającego do miasta batalionu pruskiego przeciwstawiając się zajmowaniu przez Prusaków ziem polskich.
- 1807: Kargowa należy do Księstwa Warszawskiego.
- 1815: w wyniku postanowień kongresu wiedeńskiego trafia ponownie do Prus
- 1818: miasto staje się częścią powiatu sulechowsko – świebodzińskiego (pozostanie w nim do 1945).
- 1919: zostaje opanowane przez powstańców wielkopolskich, lecz ze względu na wyraźną przewagę ludności niemieckiej Traktat Wersalski pozostawia je w granicach Niemiec.
- 1945: zniszczone w znacznym stopniu miasto ponownie włączone do Polski; większość dotychczasowych mieszkańców zostaje wysiedlonych do Niemiec. Po zasiedleniu miasta ludnością polską nastąpił rozwój przemysłu spożywczego (największym pracodawcą była przez wiele lat Fabryka Cukrów „Dąbrówka” – obecnie oddział koncernu Nestle).

**oprac. Danuta Wróblewska**

# Kargowska oświata do 1987 r.

**R**OK 1945. KLĘSKA HITLEROWSKICH NIEMIEC spowodowała powrót ziem zachodnich i północnych do Polski. Miasta i wsie leczyły się z dotkliwych ran. Tak było też w Kargowej, pierwszej miejscowości leżącej za byłą granicą polsko-niemiecką. Kargowa w styczniu 1945 r. znalazła się w granicach Polski, administracyjnie należała do województwa poznańskiego. Już wiosną napływali osadnicy z różnych stron Polski. Najwcześniej z Wielkopolski, nieco później osadnicy wojskowi i repatrianci ze wschodu. Zaczęto organizować życie, w tym też oświatę. Było to trudne ze względu na zdewastowane obiekty szkolne, brak podręczników i pomocy naukowych. Oświata organizacyjnie podlegała wtedy Inspektoratowi Szkolnemu w Wolsztynie i Kuratorium Okręgu Szkolnego w Poznaniu.

21 kwietnia 1945 r. została otwarta Szkoła Podstawowa. Pierwszymi jej organizatorami byli Franciszek Sławiński i Józef Samol. W czerwcu podjęli też pracę Edward Rabięga i Jan Rosiński. Do wakacji uczyło się 85 dzieci, w tym 60 dzieci ludności autochtonicznej. Od 1 września 1945 r. kierownikiem szkoły został Tomasz Setny, pracę podjęła też Janina Wróblewska. Było już 156 uczniów, a w ostatnim dniu tego roku szkolnego 206. Praca w szkolnictwie była bardzo trudna. Wciąż przybywali uczniowie, którzy ze względu na działania wojenne wcześniej wcale się nie uczyli lub uczyli się w różnych warunkach. Miejscowe dzieci nie mówiły wcale lub bardzo słabo po polsku. Bazę materialną oświaty stanowił budynek przy ul. Szkolnej, a od 1948 roku budynek przy ul. Szkolnej 2. W roku 1956/57 do zajęć dydaktycznych został częściowo przystosowany obiekt przy ul. Babimojskiej, a w nim cztery izby lekcyjne.

Nauka odbywała się według przedwojennego programu dla szkół trzeciego stopnia i trwała siedem lat. Rok szkolny dzielił się na cztery okresy, dzieci otrzymywały świadectwa za półroczną naukę i na zakończenie roku szkolnego.

W rozwiązywaniu trudnych problemów w tym okresie bardzo pomocni byli rodzice i działacze społeczni. Bardzo aktywnie działał komitet rodzicielski, którym kierował Kazimierz Drzewiecki wraz z członkami zarządu: Stanisławą Słabikowską, Adelą Chalimoniuk i Janem Piotrowskim. Zbierano pieniądze na zakup książek do biblioteki. Ówczesny kierownik Tomasz Setny napisał w kronice: „Cieszę się, że możemy dać naszym dzieciom polską książkę, za którą tęskniły przez okropnych sześć lat.”

Opieka Społeczna prowadziła tak zwaną kuchnię ludową w budynku byłej plebani kościoła ewangelickiego, obecnego przedszkola. Dzieci z biedniejszych rodzin otrzymywały tam posiłki.

1 września 1945 roku rozpoczęła też pracę Szkoła Podstawowa w Smolnie Wielkim. Było w niej 20 uczniów w pięciu klasach. Uczęszczały dzieci z Ostrzyc, Smolna Małego, Wojnowa i Okunina. Pierwszą kierowniczką była Helena Nowicka, a od 8 stycznia 1946 r. Felicja Pytłowa. Budynek szkolny był zniszczony. Zajęcia odbywały się w byłym przedszkolu, gdzie znajdowała się jedna sala lekcyjna i wykorzystywano też pokój nauczycielski. Brakowało ławek i pomocy naukowych.

Według zapisów w kronice szkolnej w gminie brakowało pieniędzy dla szkół, brakowało opału. Stróża opłacali rodzice. Rok szkolny 1945/46 ukończyło 73 uczniów.

Od roku 1945/46 szkoła stała się szkołą zbiorczą. Należały do niej czteroklasowe placówki w Chwalimiu, Jaromierzu Nowym, Jaromierzu Starym, Ujściu i Wojnowie, z których uczniowie starszych klas uczyli się w Kargowej. Nikt nie organizował dowozów, uczniowie pokonywali drogę pieszo lub rowerem. W 1948 roku wprowadzono naukę języka rosyjskiego, a w Smolnie języka francuskiego.

1 września 1947 r. w Kargowej została otwarta Szkoła Doskonalenia Zawodowego, do której uczęszczało 19 uczniów. Ze względu na małą liczbę uczniów SDZ zlikwidowano 11 listopada 1948 r., a uczniów przeniesiono do Wolsztyna. W roku szkolnym 1947/48 prowadzono kurs dokształcający dla dorosłych 32 osób i kurs języka ojczystego dla miejscowych Polaków, na który uczęszczało 50 osób. W kolejnych latach ilość uczniów i nauczycieli wzrastała.

W kwietniu 1948 r. funkcję kierownika w Kargowej objął Edward Rabięga, a we wrześniu 1951 w Smolnie Wielkim Weronika Słomińska. Przed ustawą o rozwoju systemu oświaty z 1961 r., wprowadzającą w kraju ośmioklasową szkołę podstawową, w Kargowej było 470 uczniów w 14 oddziałach, a w Smolnie Wielkim 100 uczniów w siedmiu oddziałach.

W 1946 roku Inspektorat Szkolny w Wolsztynie powołał Wandę Milczyńską na stanowisko założycielki i kierowniczkę Państwowego Przedszkola w Kargowej. Jednooddziałowe przedszkole mieściło się w budynku przy ul. Górnej 2 (obecnie ul. Babimojska), zajmowało dwie sale oraz przyległy teren i ogród. Uczęszczało tam wówczas 30 dzieci. Kolejną osobą prowadzącą tę placówkę była Kotlarska. Według kroniki z powodu słabej frekwencji i nieporozumień przedszkole zamknięto.

We wrześniu 1952 roku ponownie otwarto jednooddziałowe przedszkole przy ul. Szkolnej 2. Do 1954 r. pracowały tam Barbara Hofmann, Kornelia Majowicz i Kazimiera Radziwalska. 1 stycznia 1955 r. kierowniczką została Danuta Grocholska. Wykonano niezbędne remonty, zagospodarowano teren po byłym cmentarzu. 1 kwietnia 1955 r. uroczyście otwarto placówkę po remoncie. Ilość dzieci wzrastała, powstał nowy oddział. Rodzice doceniali bardzo dobrą pracę pedagogów i personelu. W 1963 r. kierowniczką została Anna Nowak, a w 1969 Ali-

cja Stępyra. W roku 1960/61 zorganizowano i otwarto w Kargowej dwa oddziały filialne Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Zielonej Górze. Były to klasy przyzakładowe Fabryki Cukrów „Dąbrówka” o specjalności karmelarz-cukiernik i Państwowego Ośrodka Maszynowego o specjalności mechanik. W latach 60. w Kargowej i Smolnie Wielkim istniały Szkoły Przysposobienia Rolniczego kształcące absolwentów szkół podstawowych w zawodzie rolnik. Korzystały z pomieszczeń podstawówek w godzinach popołudniowych. Ustawa O systemie oświaty z 1961 r. wprowadziła też szkoły siedmioklasowe w dotychczasowych szkołach filialnych. W 1966/67 zmieniono dotychczasową organizację pracy szkolnej wprowadzając po raz pierwszy ośmioletni cykl kształcenia. Było wtedy już 521 uczniów i 16 oddziałów. Dotychczasowe pomieszczenia nie wystarczały. Wprowadzono pracę na dwie zmiany, warunki nauczania bardzo się pogorszyły. Częściowym rozwiązaniem problemu było przydzielenie nauczycielom mieszkającym w budynku przy ul. Babimojskiej mieszkań w nowym bloku przy ul. kpt. Więckowskiego 1 i wykonanie kapitalnego remontu z adaptacją pomieszczeń na izby lekcyjne. Adaptowano też strych przy ul. Szkolnej 1 na pracownię techniczną dziewcząt, pomieszczenia gospodarcze (chlewiki) na pracownię techniczną chłopców i salę lekcyjną, a korytarze na salki zastępcze do prowadzenia wychowania fizycznego. Warunki pracy były nadal trudne, a ilość uczniów wzrastała.

Trudne warunki pracy były też w Szkole Podstawowej w Smolnie Wielkim. Kierowniczka Weronika Słomińska chcąc rozwiązać problem podjęła wielkie zadanie. Powołała Komitet Budowy Szkoły, któremu przewodniczył Jan Maćkowiak. Dzięki wielkiemu zaangażowaniu całej społeczności wiejskiej załatwiono niezbędne formalności i zgromadzono część materiałów. 10 listopada 1967 r. wmurowano akt erekcyjny pod budowę nowej placówki. Dużą część prac wykonali mieszkańcy Smolna i Ostrzyc w czynie społecznym. 24 listopada 1968 r. nastąpiło uroczyste otwarcie nowego gmachu i problemy lokalne zostały rozwiązane. W 1972 r., po przejściu na emeryturę Weroniki Słomińskiej, obowiązki kierownika przejęła Danuta Klementowska.

Kolejne zmiany w strukturach oświatowych nastąpiły w 1973 r. Powstały wówczas Zbiorcze Szkoły Gminne. Zlikwidowano placówki w Starym Jaromierzu, Nowym Jaromierzu, Obrze Dolnej i Dąbrówce. Obniżono też stopień organizacyjny do klas I-III w Chwalimiu i Karszynie. Oświatą gminną kierował gminny dyrektor szkół. Pierwszą osobą na tym stanowisku był Edward Rabiega, a jego zastępcą Witold Danilkiewicz. W 1975 r., po przejściu Edwarda Rabiegi na emeryturę, dyrektorem gminnym został Szczepan Sobczak, a jego zastępcą Brygida Wróblewska. Powołano też służby administracyjno-ekonomiczne, które realizowały budżet. Środki finansowe przydzielało Kuratorium Oświaty i Wychowania. Gminny Dyrektor Szkół był pracodawcą dla wszystkich nauczycieli szkół i przedszkoli w gminie, odpowiadał za właściwe funkcjonowanie tych

placówek (łącznie z wychowaniem przedszkolnym), organizował dowozy uczniów. W tym okresie podjęto też działania zmierzające do upowszechniania wychowania przedszkolnego, szczególnie dla dzieci sześciolletnich. Zorganizowano oddziały przedszkolne: przy szkole w Kargowej dwa oddziały, Starym Jaromierzu, Chwalimiu, Smolnie Wielkim i Karszynie. Funkcjonowało też przedszkole przy PGR-rze w Kargowej oraz Podstawowe i Średnie Studium Zawodowe w Kargowej. Uczniowie byli dowożeni do Kargowej w przyczepach traktorowych, które kuratorium zakupiło dla gmin. Zorganizowano świetlicę szkolną, w której długoletnim kierownikiem był Harmut Pinecki, a opiekunami nauczyciele. Jedną z klas w budynku przy ul. Szkolnej adaptowano na kuchnię, w której przygotowywano tanie posiłki dla wszystkich uczniów. Zwiększająca się ilość uczniów oraz dzieci w wieku przedszkolnym powodowała coraz większe trudnienia w prowadzeniu pracy w oświacie. Prowadzono zajęcia na dwie pełne zmiany, lekcje kończyły się o godzinie 18.15. Brakowało sali gimnastycznej, uczniowie, w czasie przerw przechodzili z budynków przy ul. Szkolnej na ul. Babimojską. Część uczniów klas I–III dojeżdżało do Karszyna i Chwalimia.

Podjęto wówczas działania zmierzające do poprawy bazy szkolnej. Kuratorium Oświaty i Wychowania zezwoliło na rozbudowę przedszkola. Stan wojenny w 1982 r. zahamował prace. Zostały zakończone w 1984 r. Oddano nowoczesny budynek zapewniający dobre warunki 125 dzieciom w pięciu oddziałach. W 1983 r. nastąpiły zmiany kadrowe. Szczepan Sobczak został naczelnikiem gminy, obowiązki gminnego dyrektora szkół przejęła Brygida Wróblewska, zastępcą został Romuald Korsak, a zastępcą dyrektora Szkoły w Kargowej Leokadia Adamska.

Kolejna zmiana organizacji szkolnictwa nastąpiła w 1984 r. Zlikwidowano gminnego dyrektora szkół. Powstało stanowisko Inspektora Oświaty, który był pracownikiem gminy. Podlegał mu Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół. Zadania były podobne jak poprzednio. Inspektorem Oświaty została Brygida Wróblewska. Podejmowano zabiegi o wybudowanie nowej szkoły. Bardzo aktywnie włączył się w to komitet rodzicielski z przewodniczącym Stanisławem Daszkiewiczem, komitet osiedlowy z przewodniczącym Edmundem Zienkiewiczem, sekretarz Komitetu Gminnego PZPR Edward Trudnowski, naczelnik Szczepan Sobczak, przewodniczący Społecznego Komitetu Pomocy Szkole Czesław Molenda, dyrektor Zakładu Opiekuńczego Bogdan Marciniak, przewodniczący PRON w Kargowej Tadeusz Jóźwik.

Potrzeby miasta zostały uwzględnione w planach inwestycyjnych kuratorium. Jesienią 1984 r. rozpoczęto prace przy budowie nowej szkoły przy ul. Marchlewskiego 45. Trwały dwa lata. 25 kwietnia 1987 r. oddano do użytku kompleks budynków, w którym znajdowało się 19 pomieszczeń dydaktycznych, świetlica, biblioteka i pomieszczenia dla administracji. Budowę sali gimnastycznej ukoń-

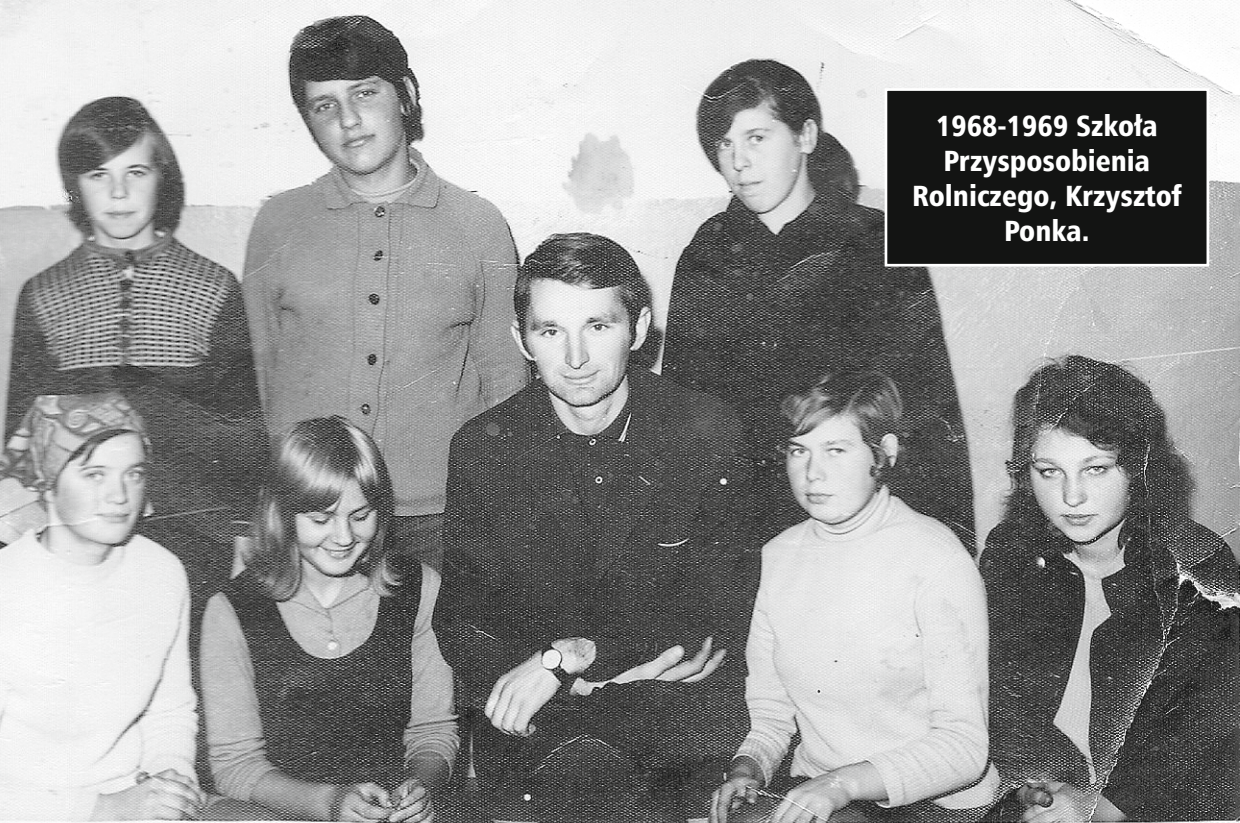
czono z końcem 1987 r. Szkołę wyposażono w nowe meble i nowoczesne środki dydaktyczne. Rodzice zaangażowali się w prace przy urządzeniu sal lekcyjnych. 25 kwietnia 1987 roku był świętem gminy. Po wielu latach oczekiwania uczniowie otrzymali przyzwoite warunki do nauki. Skończyły się uciążliwe dojazdy do Chwalimia i Karszyna, nauka na dwie zmiany.

Decyzją Kuratora Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze nadano szkole imię kpt. Stefana Więckowskiego, bohaterskiego żołnierza, który w przełomowych dla kraju wydarzeniach nie zawahał się podjąć obrony kresowego miasteczka i w dniu 22 stycznia 1793 r. stoczyć bitwę przy ratuszu. Szkole wręczono też sztandar ufundowany przez społeczeństwo.

**Brygida Wróblewska**

**Absolwenci SP  
w Kargowej  
1951 r.**





1968-1969 Szkoła  
Przysposobienia  
Rolniczego, Krzysztof  
Ponka.

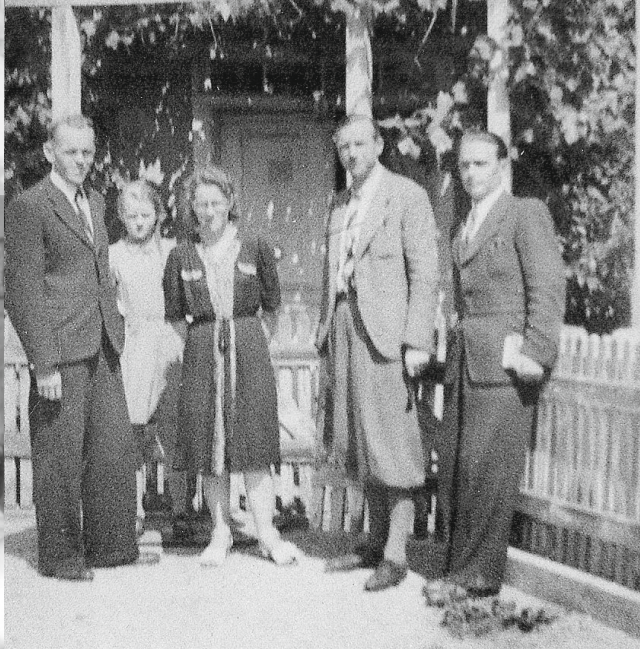
Kargowa Ś.P.R. R.szk. 1968/69.



Obchody 40-lecia  
Szkoły podstawowej,  
1985 r.



Nauczyciele-pionierzy w Kargowej  
przed Domem nauczyciela,  
od prawej J. Samol, F. Sławinski z żoną  
i córką, J. Rosinski, maj 1945 r.







**Wojewoda woj. zielonogorskiego  
K. Kaszynski wręcza odznaczenia  
zasłużonym pracownikom szkoły  
(otwarcie szkoły podstawowej).**



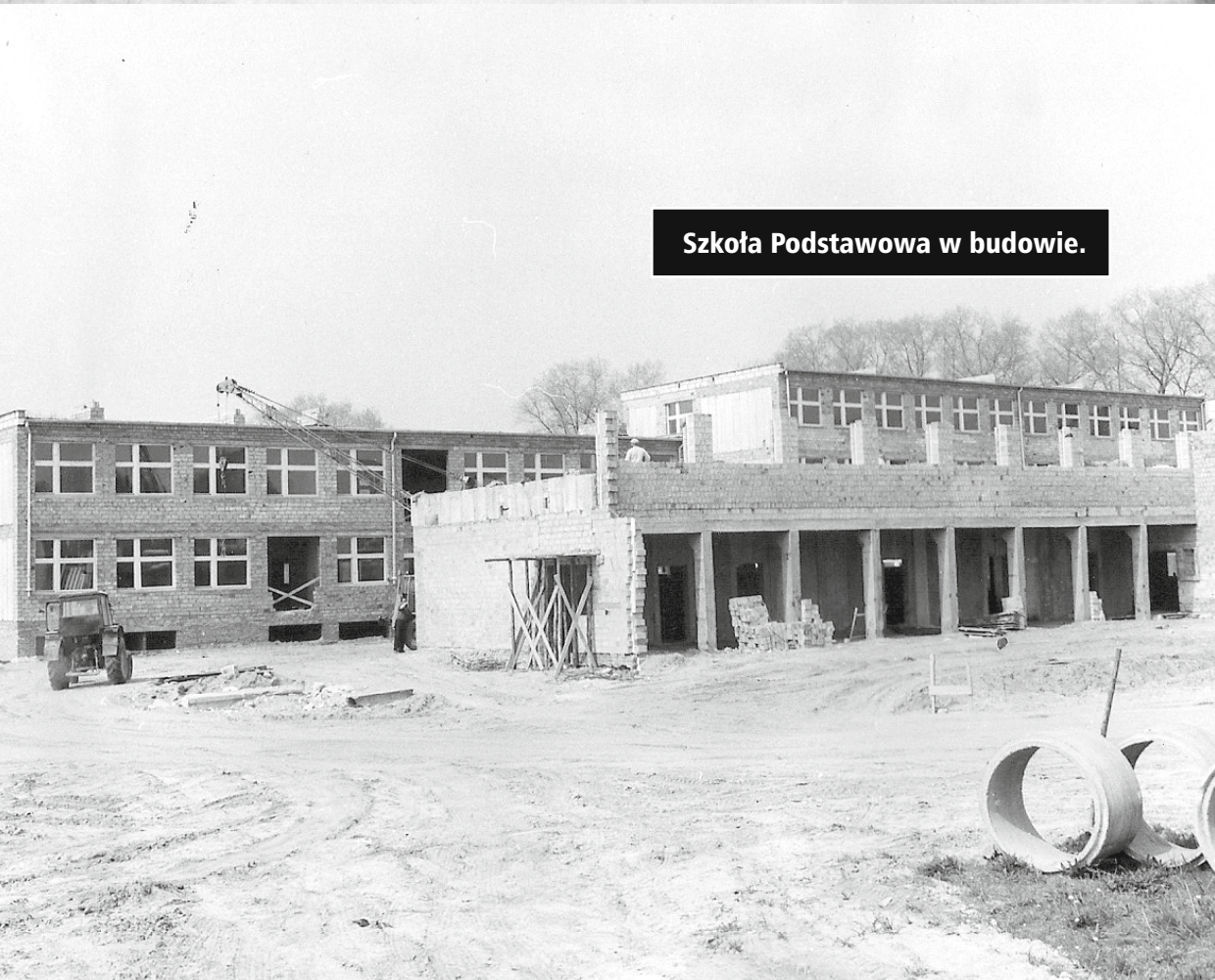
**Jozef Samol –  
organizator szkolnictwa  
w Kargowej. Pracował  
w Szkole Podstawowej  
w Kargowej w okresie  
od 23.04.1945-1949 r.**



**Nauczyciele oraz uczniowie podczas  
uroczystości otwarcia szkoły.**



**Zbiórka całej młodzieży szkolnej wraz z pierwszymi nauczycielami – od lewej J. Samol, F. Sławinski, J. Rosinski, maj 1945 r.**



**Szkoła Podstawowa w budowie.**

# O dzieciństwie w pałacu i wyjeździe w nieznane

**W**KARGOWEJ BYWAJĄ KATARINA Z DOMU RICHTER i Karl Humborgowie z Neuhäusen niedaleko Stuttgartu. Ona jest tutejszą „dziedziczką”, urodziła się i zamieszkiwała w czasach dzieciństwa z opuszczonym dziś pałacem.

## **Kargowa jest dla pani szczególnym miejscem, prawda?**

Tak, bo tutaj mieszkałam od urodzenia, czyli od 1935 do 1945 roku. Moi rodzice, a wcześniej dziadkowie, byli właścicielami majątku Kargowa i mieszkali w pałacu stojącym do dziś w parku. Rodzice nosili nazwisko Richter i to jest moje nazwisko rodowe. Dziadek, który nazywał się Rothe, w latach pięćdziesiątych XIX wieku kupił ten majątek od rodziny Unrugów, historycznych właścicieli Kargowej. Zapłacił im złotymi markami. Wcześniej był radcą ekonomicznym u hrabiego Sułkowskiego w Rydzynie.

Majątek liczył 3,5 tys. mórg ziemi uprawnej, miał zabudowania folwarczne, gorzelnię oraz pałac, w którym mieszkaliśmy. Do majątku należało także jezioro Linie. Uprawiano głównie ziemniaki, które gorzelnia przerabiała na spirytus. Było duże ogrodnictwo, hodowano również wiele krów. W latach czterdziestych rodzice mieli około 20 zaprzęgów konnych oraz trzy traktory. W majątku mieszkali ludzie pracujący w folwarku oraz dochodzący z miasta i okolicy. Wszyscy pracownicy otrzymywali zapłatę pieniężną oraz deputaty w postaci płodów rolnych. Mieszkańcy folwarku mieli także swoje ogródki oraz drobne hodowle. Podczas wojny pracowali tutaj Francuzi, Rosjanie i Polacy. Bardzo dobrze pamiętam Mariana i Franka Wawrzynowiczów oraz ich siostrę, która pracowała w pałacowej kuchni. Personel pałacu liczył około 10 osób. Chcę powiedzieć, że moja babcia, która była główną właścicielką całego majątku, nie miała manier arystokratycznych i sama pracowała w polu tak jak inni. Bardzo dbała o przyległy do pałacu park, sadziła tam kwiaty i krzewy. Często na wyrost zamawiała sadzonki, żeby tylko park i otoczenie pałacu pięknie wyglądało. Pamiętam anegdotę o babci. Zawsze, gdy chciała gdzieś pojechać, a konie były potrzebne akurat do innych bardzo ważnych zajęć, poprosiła więc niejakiego Sulka – woźnicę, dając mu pieniądze, aby kupił konia. Gdy kupił konia orzekła, że jedna

połowa konia jest jego, a jedna jej, tak żeby zawsze gdy będzie potrzebowała, koń był do jej dyspozycji wraz z woźnicą. Ludzie żartowali pytając, która połowa do kogo należy.

### **Jak wyglądało życie dziewczynki, córki właściciela, na takim majątku?**

Mogę powiedzieć, że było normalne. Tak jak inne dzieci chodziłam do szkoły – do tej przy dzisiejszej ulicy Szkolnej. Wraz z dwoma siostrami miałyśmy pewne obowiązki, które musiałyśmy wypełniać. Często jednak zazdrościłam rówieśnikom, iż mogą swobodnie biegać, nawet brudzić się, bo my musiałyśmy dbać o swój wygląd i zachowanie. Nie byłyśmy rozpieszczone.

### **Jak wyglądał wyjazd rodziców z Kargowej w roku 1945?**

Już latem 1944 roku mówiono, że trzeba będzie wyjechać. Było to dla nas niewyobrażalne. Nasz pałac był pełen różnych ludzi, byli to głównie mieszkańcy Berlina, którzy chcieli się schronić przed dywanowymi nalotami aliantów na Berlin. Dla mnie było to interesujące, wielu nowych ludzi – coś się działo. Ale w powietrzu unosiła się atmosfera przygnębienia. Już od jesieni jechały wozy ze wschodu na zachód z ludźmi i skromnym dobytkiem. Uciekający właściciele Powodowa byli u nas i też radzili jak najszybciej wyjechać. Jednak Hitler zabronił opuszczania domów, zapewniając, że Rosjanie na ziemi niemiecką nie wejdą i że jest to tylko sytuacja tymczasowa. Około 20 stycznia 1945 roku matka zawiozła mnie i siostry wraz z opiekunką do rodziny ojca, do Garbitch niedaleko Boczowa i Słubic. Ojciec zginął w Afryce na początku wojny i od 1941 roku majątkiem zarządzała nasza mama. Wywiozła nas z myślą, że pobędziemy tam jakiś czas i później wrócimy do Kargowej. Lecz po kilku dniach przyjechała po nas wraz z babcią. Przyjechały autem – Oplem Kadetem, a za nimi jechał traktor i wiózł rzeczy. Oczywiście tylko te najbardziej potrzebne, reszta pozostała w pałacu.

### **Proszę nam zdradzić, gdzie zostały ukryte skarby?**

Ja też chciałam wiedzieć. W pałacu zostały obrazy, w tym obraz, który August Mocny podarował hr. Unrugowi, naczynia, zastawy, meble.

### **Jakie były dalsze losy rodziny?**

Z Garbitch pojechaliśmy do Berlina, tam byliśmy dwa miesiące, do marca, później pojechaliśmy na północ, w kierunku morza. Wyzwolenie i koniec wojny zastał nas w strefie rosyjskiej. Rosjanie aresztowali matkę i zamknęli dlatego, że

była kapitalistką. Udało się jej uciec, zabrała nas – córki i z plecakami na plecach przedostałyśmy się do strefy amerykańskiej. Babcia musiała zostać, nie miała tyle sił, żeby uciekać z nami. Matce udało się ją ściągnąć po dwóch latach. Zatem babcia mogła resztę życia spędzić wspólnie z nami, do końca licząc na powrót do Kargowej. W pierwszych latach po wojnie bardzo często zmieniałyśmy miejsce zamieszkania. Najgorsze były święta w 1945 roku. Dwie wdowy dziedziczki i sześcioro dzieci w jednym pokoju – bo była z nami jeszcze ciocia z Bukowa – a jeszcze rok wcześniej byliśmy w swoim majątku. Cisnąca się myśl, że tam już nie powrócimy była straszna.

Matka pracowała, szyła lalki, później była telefonistką wojskową u Anglików, bo bardzo dobrze знаła angielski. Babcia i mama otrzymały z czasem renty za utracony majątek i śmierć na froncie. Ja zostałam sekretarzem w dużej firmie, a siostry – jedna bibliotekarką, druga farmaceutką; niestety, obie już nie żyją. Żyje natomiast jeszcze moja mam, która ma 92 lata. Do Kargowej nie chce przyjechać, mówi, że nie chce, aby coś mogło przypadkiem zburzyć te wspaniałe wspomnienia i obrazy, które zachowała w swej pamięci. Ja natomiast bardzo chętnie przyjeżdżam tutaj, ciągle myśląc o tym, co zrobić, by użytecznie zagospodarować nasz dawny dom.

### **Czym państwo zajmują się obecnie?**

Mój mąż, Karl, jest na emeryturze, był konstruktorem inżynierem w fabryce Mercedesa, ja natomiast zajmuję się działalnością społeczną, organizuję dzieciom z Czarnobyla wypoczynek i leczenie na terenie Niemiec, staram się być ciągle użyteczną i pomagać innym ludziom.

### **Życzę państwu pomyślności i dziękuję za rozmowę.**

rozmawiał: **Jerzy Duber**, tłumaczyła: **Brygida Wróblewska**.  
(wywiad ukazał się w „Miesięczniku Kargowskim” nr 4 z września 1996 r.)

\* \* \*

### ***List Katariny Humborg***

*Moja matka, Ingeborg Richter, która po śmierci ojca (zginął w 1941 r. w Afryce) prowadziła nasz majątek do wyjazdu z Kargowej w styczniu 1945 r., w 1995 r. przeprowadziła się do nas do Neuhausen. Potrzebowała od nas coraz więcej pomocy i opieki aż do śmierci tj. do kwietnia 2002 r., dlatego też nasze pobyty w Kargowej były w tym okresie rzadsze.*

*Tym bardziej cieszyłam się z dużego postępu, jaki nastąpił w Kargowej, gdy w 2003 r. przyjechałam wraz z kuzynem i kuzynką – byłymi właścicielami majątku w Bukowie. Zwróciłam uwagę na zmiany w zakresie turystyki, nowe zakłady pracy, rozbudowaną fabrykę Nestle, oczyszczalnię ścieków, nowe oblicze byłego ewangelickiego cmentarza z tablicą pamiątkową i oczywiście fakt, że pałac ma nowy dach oraz rynny odpływowe. Byłoby to oczywiście zobowiązaniem do dalszego utrzymania tego budynku.*

*W 2005 r. byłam wraz z mężem zaproszona na jubileusz miasta. Przypadkowo zbiegło się to z dniem moich 70 urodzin. Nigdy nie zapomnę tego wielkiego prezentu, jakim był przelot balonem nad Kargową. Z tej perspektywy nigdy nie oglądałam swoich rodzinnych stron.*

*Skorzystaliśmy wraz z mężem, pomimo dużej odległości od naszego miejsca zamieszkania, z zaproszenia na uroczystość nadania imienia domowi kultury i wystawę malarstwa Wilhlema Blanke. Jest to oczywiste, że mamy bardzo dobre kontakty z byłymi i obecnymi mieszkańcami Kargowej. W tym miejscu dziękuję burmistrzom: Januszowi Kłysowi i Jerzemu Fabisiowi oraz mojej przyjaciółce z przedszkola Brygidzie Wróblewskiej, bez jej wytrwałego tłumaczenia byłibyśmy często zagubieni.*

*Ostatni przyjazd do Kargowej z naszym synem i najstarszą wnuczką był dawno planowany. Chciałam nowej generacji pokazać moje rodzinne strony, pałac, do którego nie mogliśmy wejść, park, aleję lipową, jeziora Linie. Wędkowanie ze specjalistą panem Andrzejem Wawrzynowiczem, którego ojciec pracował w majątku moich rodziców, było punktem kulminacyjnym pobytu naszych wnuków w Kargowej. Zнали oni Kargowę z wielu moich opowieści, ale chciałam aby za mego życia poznali w rzeczywistości. Do dziś opowiadają jeszcze wiele o tych feriach.*

*W międzyczasie Kargowa zyskała nowego burmistrza – pana Ciemnoczołowskiego, który podjął wiele nowych działań. Jestem ich bardzo ciekawa i już się cieszę na następne odwiedziny!*

**Katarina Humborg**, urodzona Richter  
Neuhausen 2. 02.2012 r.

# Eugeniusz Paukszta

**Janusz Koniusz**  
**Zielona Góra**

Eugeniusz Paukszta, gdy poznaliśmy się, miał czterdzieści jeden lat. Ja dwadzieścia trzy. (...) Szczupły, żeby nie napisać, chudy, o okazałym, zgrabnym, prostym nosie i wysokim, łysiejącym czole. Głowę miał kształtną, oczy wyraziste. Mówił wolno i cicho jakby z pewnym trudem, stale zachrypnięty. Efekt nieustannego palenia bardzo mocnych papierosów. (...) Pozostało mi kilkanaście jego książek z przeróżnymi dedykacjami. Od „Straceńców” z owego 1957 r. gdzie życzył mi rychłych „dzieł zebranych”, po „Młodość i gwiazdy” z datą „31.I.79”. „Najcieplej i najserdeczniej” – napisał krótko. Nie w swoim stylu. Jak się miało okazać, były to ostatnie słowa, jakie do mnie skreślił. (...)

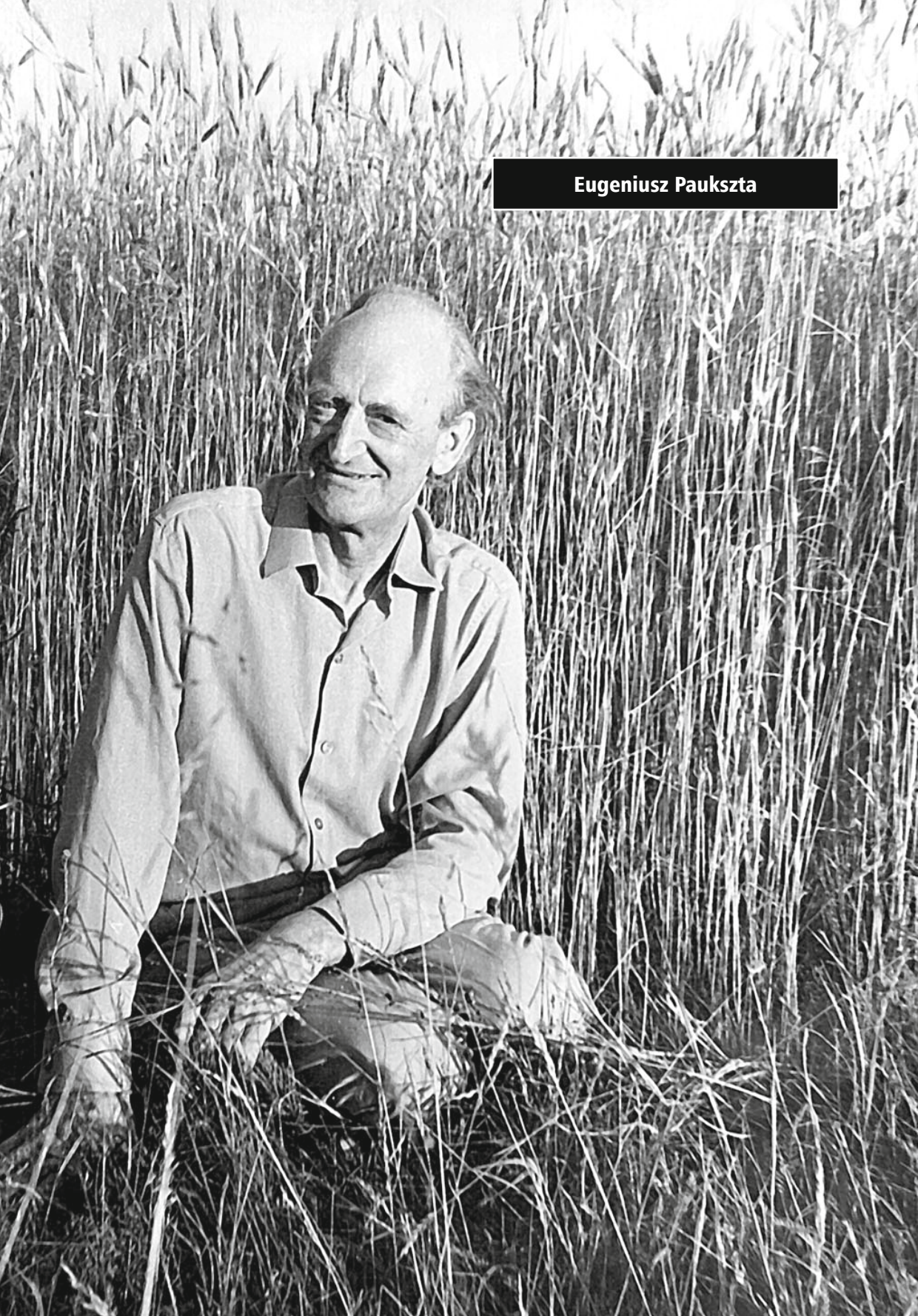
Żył przez całe lata wyłącznie z pisania i różnych redakcyjnych zleceń, bez etatu, więc bez stałej pensji. Napisał do mnie ze sto listów. Listów – zwierzeń, listów – reportaży, kiedy zwiedzał Grecję i Turcję lub jeździł po kraju, listów – sprawozdań z bieżących czynności często odległych od pisania. Gęsto w nich od słów, których nie używał w książkach. „Pisarz tworzy impulsywnie, chyba że jest kurwą, bladzią, klakierem dla poklasku lub striptizową dziwką”. A w innym liście: „Nie dać się gówniarzom upupić. Mieć swoje zdanie, ostro je akcentować, jeśli trzeba. Bo inaczej zaszczą, zasrają, zabłocą”. Korespondencji poświęcał nie mniej czasu niż twórczości. (...)

Pewnego razu bez zapowiedzi odwiedziłem go w leśniczówce w Liniach, pomiędzy Kargową a Babimostem, gdzie wynajmował pokój. Przeprosił, że nie może się mną zająć, bo musi skończyć zaplanowany na dziś rozdział. Dał mi wędkę, bym poszedł nad pobliskie jezioro. Przez trzy godziny dolatywał mnie monotony stukot maszyny do pisania. W takim tempie można drewno ciąć elektryczną piłą, a nie pisać. Nigdy bym tak nie potrafił. (...)

W Liniach pisał „Pogranicze” i „Wszystkie barwy codzienności”. Chciał mieć na widoku pejzaż, który opisywał, a obok ludzi – pierwowzory bohaterów swoich książek. Często zatrzymywał się w Wolsztynie, w tamtejszej księgarni pana Leszka Maruszewskiego. Odwiedzał Nowe i Stare Kramsko, Dąbrówkę Wlkp., Pszczew, gdzie zachowała się polska, autonomiczna ludność. Spozstrzegał to, czego inni nie widzieli, co obojętnie omijali. Miał rzadko spotykaną pamięć.

(przedruk fragmentów wspomnień z książki  
„Wiązania pamięci”, Pro Libris, Zielona Góra 1998)

**Eugeniusz Paukšta**





# Leśniczówka Linie Eugeniusza Paukszty

**T**EN CIEKAWY EPIZOD, O KTÓRYM CHCĘ OPOWIEDZIEĆ, dziś już historyczny, zaczyna się w końcówce lat 90. Zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich wystąpił do kilku lubuskich samorządów z prośbą o uczczenie nazwą ulic znanych pisarzy związanych twórczością i działalnością z tymi kilkoma gminami. Okazało się, iż akurat w Kargowej, jak i sąsiednim Babimoście nie było wtedy „wolnych” ulic, ale oba samorządy zaproponowały, w odpowiedzi na sugestię ZLP, nadanie imion pisarzy miejscowym bibliotekom. W ten sposób księżnica w Babimoście otrzymała imię Wiesława Sautera, zaś w Kargowej Eugeniusza Paukszty, co nastąpiło w 1999 r.

W ślad za tym pojawił się od razu kolejny pomysł – też podpowiedziany przez ZLP – organizowania przez kargowską bibliotekę ogólnopolskiego konkursu literackiego im. Eugeniusza Paukszty. Chodziło o nawiązanie do twórczości patrona, o promocję ambitnej prozy lecz przedstawianej w krótkich formach. Idea się przyjęła. Konkurs nabrał patyny, a ogłoszeniu wyników literackiej rywalizacji towarzyszy rokrocznie seminarium dotyczące pogranicza kultur i regionów. Zwykle jesienią przyjeżdżają ciekawi prelegenci, naukowcy i prezentują swe przemyślenia.

Zanim jednak dojdzie do ogłoszenia wyników konkursu, za każdym razem uczestnicy imprezy jadą nad jezioro Linie, 4 km od Kargowej, gdzie pod tablicą upamiętniającą pobyty Paukszty w Leśniczówce Linie składają kwiaty. Co roku przybywa na to spotkanie syn pisarza, Dominik Paukszta z rodziną. Chyba już po przekroczeniu progu XXI w., podczas odsłaniania na Liniach tablicy przypominającej o pobytach swego imiennika w tym miejscu, rzuciłem pomysł przekształcenia budynku stojącego przy szosie Kargowa-Babimost w dom pracy twórczej. I zarazem w namiastkę muzeum literackiego. Nikt nie protestował, ba, właściciel budynku – Nadleśnictwo Babimost, ustami ówczesnego nadleśniczego Stanisława Daszkiewicza – wyraził zainteresowanie tą sprawą. Dzięki wsparciu ówczesnego burmistrza Janusza Kłysa pomysł ów po paru latach zmaterializował się. Powstało urokliwe miejsce twórcze, wydzielona geodezyjnie środkowa część budynku nadleśnictwa. Są to dwa pokoje z kuchnią, łazienką i skrytką na parterze oraz pokój na poddaszu. Jest nawet piwnica i schowek na zewnątrz. Parter ma ogrzewanie, więc można z niego korzystać także zimą. Na strychu zaś jest piec. Spora część strychu jest niewykorzystana, w tym wędzarnia. Kto wie, może w niej

Paukszta wędził ryby złowione w jeziorze Linie? Właścicielem obiektu są Lasy Państwowe. W ich imieniu zarządza tu nadleśnictwo. Gmina podpisała umowę z nadleśnictwem Babimost, że będzie dzierżawić te pokoje wydzielone geodezyjnie z budynku, w którym bywał, pisał i wypoczywał E. Paukszta (choć nie są to akurat dokładnie te same pokoje, w których przemieszkiwał).

— Mógłbym przekazać niektóre autentyczne pamiątki po ojcu — zadeklarował na wieść o tym pomysłe niezawodny Dominik Paukszta. — Mam, na przykład, popiersie Tuwima, które zdobyło nasze mieszkanie w Poznaniu przy ul. Litewskiej, wazon z palmami wileńskimi, są świeczniki, popielniczka, pamiątki przywiezione przez ojca z podróży do Grecji i Turcji, reprodukcje zdjęć, postaram się znaleźć jeszcze stare fotografie, może zachował się jeszcze sprzęt wędkarski z tamtych czasów...

Wkrótce cenne pamiątki trafiły do Kargowej; część jest w bibliotece, część w izdebce na strychu na Liniach.

— Sądzę, że gdzieś tam w górze Eugeniusz Paukszta jest zadowolony z tego, co robimy z myślą o nim i z jego inspiracji — uznał wówczas Janusz Koniusz, przewodzący jury ogólnopolskiego konkursu literackiego im. E. Paukszty.

— Ojciec na pewno byłby zadowolony, ciesząc się z tych spotkań, a Kargowę uważam za niesamowite miejsce — dorzucił Dominik Paukszta. — Nigdzie w Polsce nie ma takiego nagromadzenia pamięci o ojcu. Jest biblioteka nosząca jego imię, od niedawna ulica, w szkole podstawowej popiersie, a od teraz nad jeziorem Linie dom pracy twórczej z izbą pamięci.

Syn pisarza zapamiętał, że jedną z namiętności ojca było grzybobranie. Lubił też wędkować. Wypływał na jezioro dmuchanym kajakiem na cały dzień, na brzegu zostawiając żonę z synem. Kiedyś w jednej z zatok złowił 10-kilogramowego szczupaka. — W ten sposób wypoczywał i zbierał siły do pracy — wspomina pan Dominik.

Jednakże nawet na Liniach towarzyszyła E. Paukszcie erika, maszyna do pisania. Bywało, że przerywał pisanie, wypływał na ryby, a po powrocie zaraz siadał, żeby dokończyć jakiś tekst. Zdaje się, iż syn odziedziczył po ojcu żyłkę wędkarską. Jest zagorzałym spinningowcem, który uczestniczy w poważnych zawodach, często wybiera się nawet na połowy do Szwecji. Jednak zawodowo nie poszedł w ślady ojca; praca dydaktyczno-naukowa na Politechnice Poznańskiej mówi raczej o skłonnościach technicznych.

Kilka lat temu spotkałem Janinę Helt mieszkającą w osadzie leśnej Linie (formalnie jest to miejscowość Wielka Wieś), która uznała, iż trzeba „wyprostować” pewne informacje dotyczące Eugeniusza Paukszty. I Leśniczówki Linie.

— Nie wiem skąd wzięła się nazwa Leśniczówka Linie oznaczająca teraz budynek, w którym urządzono izbę pamiątek Eugeniusza Paukszty i pokoje pracy twórczej — przedstawiła pierwszy problem pani Janina. — Tam zawsze mieszkali pracownicy leśni! A leśniczówka to był dom obok. Mieszkał w nim z rodziną pan

leśniczy Anatol Mojsiejenko i tam miał też biuro. Po jego śmierci pozostała wdowa, pani Raisa, a następnym leśniczym był Witold Jaszczuk, później mieszkający w Kargowej. Na nim „skończyła się” leśniczówka.

Skąd tak precyzyjne informacje? Otóż Janina Helt – urodzona w Tuchorzy – od drugiego roku życia mieszkała w obecnej Wielkiej Wsi. Bo Linie (choć większość mieszkańców wciąż mówi „Liny”) to osada leśna lubuskiego nadleśnictwa Babimost, ale w granicach administracyjnych Wielkiej Wsi należącej do gminy Siedlec, zatem już w Wielkopolsce. Skomplikowane, prawda?

W budynku obecnego domu pracy twórczej Janina Helt bywała w dzieciństwie bardzo często. W 1958 r. zamieszkali tam państwo Krupienkowie, a z ich córką, Reginą, Janina, wówczas jeszcze Szymańska, przyjaźniła się. Ścieżką z swego domu do Krupienków miała tak ze 200 m.

— Pamiętam też Eugeniusza Pauksztę, gdyż przychodził do gospodarstwa moich rodziców kupować jajka, warzywa — wspominała. — Być może kupował produkty do ugotowania obiadu, bo Pauksztowie mieli gospość. A panią Pauksztową pamiętam jako dobrze zbudowaną kobietę.

Z powyższych faktów, zdaniem pani Helt, płynie kolejny wniosek: Paukszta nie mógł być w tym miejscu w latach 60. — Ostatnie lata jego przyjazdów to zapewne 1957 lub 1958 rok — podsumowała J. Helt. — Bywałam tak często u Krupienków, że gdyby był, zapamiętałabym go, a nie pamiętam.

— Z tym się nie mogę zgodzić, na pewno bywaliśmy tam w latach 60. i 70., a ostatni pobyt ojca na Liniach to był drugi dzień Wielkanocy 1978 r. — przekazał mi Dominik Paukszta, gdy mu opowiedziałem o wątpliwościach pani Janiny. — Czasem bywaliśmy też w niedalekich Leśnikach.

J. Helt, po konsultacjach ze swoją mamą i osobą, która miała kiedyś stać pracowniczy w tym budynku, uznała, iż Paukszta mieszkał na poddaszu w szczycie skierowanym w stronę Babimostu. — Na parterze „pod nim” mieszkali państwo Maurowie.

Pani Janina zapamiętała, że Paukszta korzystał z prostych mebli w stylu PRL. Na pewno nie było tam żadnych starych mebli i stylizacji, jakie wprowadzono w obecnej Leśniczówce Linie.

Jak widać J. Helt zatrzymała w pamięci sporo faktów z tamtych lat, choć była wówczas małą dziewczynką. Utkwił jej m.in. syn pisarza, Dominik, jako dziecię hasający po okolicy, a także przygody miejscowych psotników, w tym jej brata, którzy chcieli pisarzowi podprowadzić złowione w jeziorze szczupaki. — Chyba wtedy Paukszta się na nich zezłościł. Ale przez to zostali umieszczeni w jego książkach – spuentował Zdzisław Helt, mąż panienki Janiny.

— Tak, mam w pamięci wspinaczki po nierównościach leśnych i skarpach nad jeziorem, gdyż wtedy właśnie, w 1957 roku na Linach, jak wówczas mówiliśmy, stawałem pierwsze w swoim życiu niezdarne kroki — potwierdza to wspomnienie pan Dominik.

Każdy nowo odkryty wątek związany z pobytem E. Paukszty na pograniczu wielkopolsko-lubuskim wart jest pielęgnowania, gdyż pisarz należy do nielicznych twórców „z nazwiskiem”, którzy swój wyraźny ślad tutaj zostawili. Oczywiście nie tylko materialny.

— Ojciec związał się uczuciowo z Ziemią Lubuską — podkreśla D. Paukszta. — Tutaj toczy się akcja niejednej jego powieści, tutaj miał przyjaciół, do których zaliczał swego kolegę z Wilna pana Bodaka, państwa Koniuszów oraz nieżyjących już Halinę Lubicz i Michała Kaziowa.

Idea literatów polegająca na tym, żeby w miejscu, gdzie w latach 50., 60 i później bywał i pisał Paukszta utworzyć pokoje do pracy twórczej została zrealizowana. Wzorem mazurskiej Leśniczówki Pranie, w której tworzył Konstanty I. Gałczyński udało się powołać Leśniczówkę Linie, do której dziś chętnie przyjeżdżają twórcy z całego kraju.

**Eugeniusz Kurzawa**

prezes Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze

# Powojenne władze gminy

**Kazimierz Drzewiecki**, wójt gminy, 1945 r.

**Piotr Jagodziński**, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej,  
sierpień 1945-1953

**Józef Sobkowiak**, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, 1953–1954

**Alfons Szymański**, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej,  
1955–3 sierpnia 1963

**Józef Sobkowiak**, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, 3 sierpnia  
1963-31grudnia 1971

**Edward Trudnowski**, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej,  
30 stycznia 1972–31 grudnia 1972

**Edward Trudnowski**, naczelnik miasta i gminy, 4 stycznia 1973–1982

**Szczepan Sobczak**, naczelnik miasta i gminy, 15 grudnia 1982–maj 1990

**Marian Lach**, burmistrz miasta i gminy, czerwiec 1990–lipiec 1990

**Szczepan Sobczak**, burmistrz miasta i gminy,  
30 sierpnia 1990–31 grudnia 1995

**Janusz Kłys**, burmistrz Kargowej, 16 lutego 1996–2 grudnia 2010

**Sebastian Ciemnoczołowski**, burmistrz Kargowej, od 3 grudnia 2010

# Kargowa w datach

1360 – pierwsza wzmianka o istnieniu osady, której właścicielem był Dzierżykraj.

1637 – z nadania przez króla Władysława IV miejscowość otrzymuje przywilej organizacji czterech jarmarków w roku i jednego targu w tygodniu.

1641 – miejscowość zostaje zakupiona przez starostę gnieźnieńskiego hrabiego Jerzego Unruga i nazwana Unrugowem (miasto pozostaje własnością rodziny Unrugów od 1661 do 1837 r.).

1661 – Kargowa (Unrugowo) otrzymała pełne prawa miejskie z nadania króla Jana Kazimierza w uznaniu zasług Krzysztofa Unruga podczas potopu. Osiedleńcami byli wówczas głównie uciekinierzy ze Śląska prześladowani za przekonania religijne. Miasto było położone na granicy Brandenburgii i Śląska przy szlaku z Poznania przez Wolsztyn i Gubin do Drezna, toteż pełniło rolę komory celnej i miejsca postoju podczas podróży do Drezna władców Polski Augusta II Mocnego i Augusta III Sasa. Taki stan rzeczy powodował, że stacjonował tu stały posterunek kompanii piechoty.

1793 – w wyniku II rozbioru Polski miasto trafia pod administrację Królestwa Prus.

27 stycznia 1793 – polska kompania piechoty dowodzona przez kapitana Stefana Więckowskiego obsadziła ratusz i otworzyła ogień do wkraczającego do miasta batalionu pruskiego przeciwstawiając się zajmowaniu przez Prusaków ziem polskich.

1807 – Kargowa należy do Księstwa Warszawskiego.

1815 – w wyniku postanowień kongresu wiedeńskiego trafia ponownie do Prus.

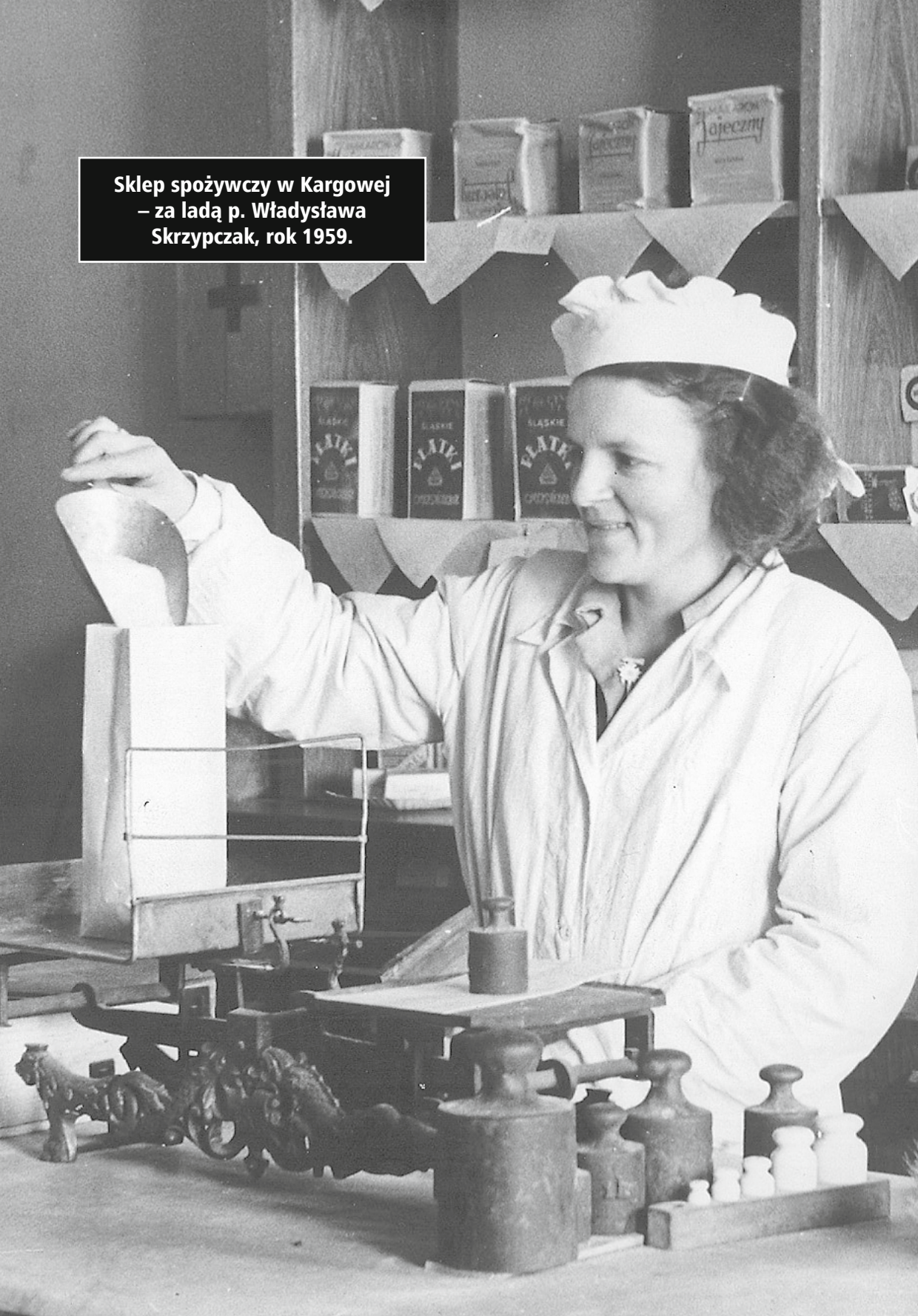
1818 – miasto staje się częścią powiatu sulechowsko – świebodzińskiego (pozostanie w nim do 1945).

1919 – zostaje opanowane przez powstańców wielkopolskich, lecz ze względu na wyraźną przewagę ludności niemieckiej Traktat Wersalski pozostawia je w granicach Niemiec.

1945 – zniszczone w znacznym stopniu miasto ponownie włączone do Polski; większość dotychczasowych mieszkańców zostaje wysiedlonych do Niemiec. Po zasiedleniu miasta ludnością polską nastąpił rozwój przemysłu spożywczego (największym pracodawcą była przez wiele lat Fabryka Cukrów „Dąbrówka” – obecnie oddział koncernu Nestle).

**oprac. DW**

**Sklep spożywczy w Kargowej  
– za ładą p. Władysława  
Skrzypczak, rok 1959.**







# Wspomnienia mieszkańców





**Siostra Maria Gębuś, ur. 1915 r.  
w Kołyniu zm. 2006 r.**



# Anna Augustyn

WOJNOWO

**U**RODZIŁAM SIĘ 20 LIPCA 1931 R. W SŁOBUDCE LEŚNEJ, powiat kołomyjski, jako Anna Grocholska. We wrześniu 1938 r. rozpoczęłam naukę w miejscowej szkole, gdzie ukończyłam trzy klasy. Wojna przerwała naukę. 10 czerwca 1945 r. wyjechaliśmy z Kołomyi transportem do Wołowa na Dolnym Śląsku. Tam nasz wagon podłączono do składu, który jechał do Kargowej. Przyjechałam tu z mamą, starszą siostrą Marią i jej mężem Józefem Gębusiem. Tym samym transportem jechał najstarszy brat, Józef Grocholski. Dwaj młodszy bracia byli jeszcze w wojsku. Do Kargowej przyjechał po nas sołtys Wojnowa, Antoni Kaczmarek. Na początek dostaliśmy mieszkanie przy gorzelni. Mama zajmowała się pracą w gospodarstwie. Siostra uczyła w szkole w Wojnowie. W 1947 r. ukończyłam Szkołę Podstawową w Kargowej.

W sierpniu tego roku pojechałam do cici, która mieszkała w Niemodlinie. Tam chodziłam do Liceum Ogólnokształcącego. W wakacje przyjeżdżałam do Wojnowa, aby pomagać mamie. Po maturze w 1951 r. wróciłam do Wojnowa. Rok wcześniej mama przeprowadziła się na nowe gospodarstwo. Jesienią 1951 r. podjęłam pracę w Banku Inwestycyjnym w Zielonej Górze i tam zamieszkałam

u znajomych, ale na soboty i niedziele przyjeżdżałam do domu. Jechałam pociągiem do Smolna Wielkiego, a potem ze stacji do Wojnowa trzeba było iść pieszo. Czasem ktoś zabrał na wóz. W banku pracowałam przez dwa lata. W tym czasie szwagier dostał pracę w swoim zawodzie w Łodzi. Siostra pojechała ze mężem. 15 grudnia 1953 r. dostałam pracę w Państwowym Domu Zdrowia w Wojnowie jako księgowa. W związku z tym posłano mnie do Świebodzina na kurs księgowości. W grudniu 1955 r. wyszłam za mąż. Do zakładu przyjeżdżały dzieci z anemią i niedoborem wagowym. Kierowała je do nas Przychodnia Matki i Dziecka w Zielonej Górze. W 1960 r. przejął nas Ośrodek Rehabilitacji Ortopedycznej ze Świebodzina. Po kilku latach zostaliśmy Sanatorium dla Dzieci z chorobą reumatyczną. Dyrektorem zakładu był lekarz Edmund Pietruszka z Sulechowa.

W młodości często spotykaliśmy się w świetlicy wiejskiej, gdzie prawie każdej soboty były potańcówki. Na koźle grał Franciszek Raschke, a później na akordeonie gospodarz, Stanisław Motus, któremu akompaniował na tamburynie brat. W latach 60. i 70. często odbywały się zabawy pracownicze w sanatorium. Wyjeżdżaliśmy też na wycieczki. Często spotkania towarzyskie pozwalały lżej przebrnąć przez lata ciężkiej pracy po wojnie. Mam troje dorosłych dzieci i ośmiornuków. Od 1991 r. jestem na emeryturze.

zanotował: **Czesław Błoszyk**



**Turnus dzieci w sanatorium w Wojnowie rok 1960.**

# Helena i Władysław Bajorowie

SMOLNO WIELKIE

**H**ELENA BAJOR URODZIŁA SIĘ W 1925 R. W CMOLASIE koło Kolbuszowej na Podkarpaciu, a jej mąż Władysław urodził się w 1924 r. w Leszczach, również koło Kolbuszowej. Pan Władysław poznał swą przyszłą żonę w okolicach Kolbuszowej, tam wzięli ślub. Trzy tygodnie po weselu w 1946 r. wyjechali na ziemię zachodnie.

Ojciec pani Heleny był przez 43 lata kościelnym w parafii w Cmolasie, a jej mama zajmowała się wychowywaniem dzieci. Cmolas była to duża wieś licząca ponad 700 domów. Obejście rodzinne H. Bajor usadowiło się w centrum, wychowywała się w nim do 12 roku życia. W czasie wojny przeprowadziła się do siostry w Sędziszowie i tam przebywała aż do końca okupacji.

Z kolei pan Władysław opowiadał, iż w 1941 r. Niemcy wysiedlili mieszkańców Leszczy. Wcześniej, bo już w 1940 roku otrzymał kartę na roboty przymusowe do Niemiec, choć miał wtedy dopiero 16 lat. Jednak ojciec nie chciał oddać młodego chłopaka. Ukrywano go w różnych miejscach aż do 1941 r. W lipcu 1941 r. całą wieś wysiedlono dlatego, że w pobliżu znajdował się poligon doświadczalny rakiet V-1 i V-2. Po wysiedleniu Władysław wyjechał do rodziny w Sędziszowie. Tam ponownie dostał kartę wyjazdu na roboty. I znów musiał się ukrywać. Przez półtora roku pracował w piekarni i jednocześnie się ukrywał. W tym czasie został złapany przez Niemców podczas ulicznej łapanki. Jednak dopisało mu szczęście - uratował go znajomy polski policjant, który pomógł młodzieńcowi się ukryć. Później ojciec załatwił mu pracę w składnicy drewna. Gdy w 1944 r. Rosjanie wyzwალali te strony, został schwytany przez nich niby jako „kolaborant” i miał być rozstrzelany. I ponownie dopisało mu szczęście. Rosjanie, którzy prowadzili go i jeszcze kilku innych na rozstrzelanie napotkali na drodze chłopca z furmanką. Zatrzymali go i gdy zobaczyli, że ma cały baniak bimbru. Zapomnieli o Polakach i puścili ich wolno. W 1944 r. miał być zabrany do obozu w Oświęcimiu, ale w Trzebini wykorzystał zamieszanie spowodowane ucieczką kilku innych ludzi i zdołał wraz z dwójką nieznanym mu

osób uciec przez tory w pobliski las. Resztę okupacji spędził u rodziny.

Małżeństwo Bajorów przyjechało Smolna Wielkiego w 1946 roku razem z rodzinami Mokrzyckich i rodziną Genowefy Obacz. Wszyscy pochodzili z okolic Kolbuszowej. Bajorowie, gdy przyjechali na zachód to wprawdzie osiedlili się w Kuli-gowie koło Babimostu. Mieszkali tam jednak około trzech tygodni. Rozczarowani wrócili do Sędziszowa, by po trzech miesiącach jednak wrócić na ziemię odzyskane. Ojciec W. Bajora znalazł im mieszkanie w Smolnie Małym. Mieli tam jednak bardzo ciężkie warunki. Mieszkali przez dziewięć lat. Dopiero po tym czasie, wskutek pisania wielu pism i próśb do różnych urzędów, udało się otrzymać mieszkanie w Smolnie Wielkim, gdzie obecnie mieszkają.

Bajorowie wspominają, że w domu Fafułów (tam gdzie mieszkają dziś Świstunowie) mieściła się siedziba Gromadzkiej Rady Narodowej. Wg nich, w początkowym okresie sołtysami wsi byli panowie Stróżyński, Berezowski, Kupriańczyk, Stojanowski, Szczygielski, Zawadzki. Pani Helena była sołtysiem w latach 1978-1985. Funkcję tę pełniła w bardzo ciężkim okresie, gdy większość artykułów (szczególnie spożywczych) była na kartki. Musiała więc dodatkowo zajmować się przydziałem kartek, a oprócz tego pozostałymi obowiązkami sołtysa, których było niemało. W roku 1985 zrezygnowała z tej funkcji.

W. Bajor przypominał sobie, że w tej wsi przez wiele lat trwały większe, bądź mniejsze animozje między byłymi mieszkańcami Mariampola a Janowa koło Trembowli. Z powodu tych utarczek i kłótni przez prawie 10 lat trwały przymiarki do budowy wodociągu. Ostatecznie za kadencji sołtysa Zawadzkiego zaczęto budować wodociąg. Bajor stał wtedy na czele Społecznego Komitetu Budowy Wodociągu. Wspomina, że z ofiarnością i zaangażowaniem mieszkańców w budowę tej inwestycji bywało różnie. Ale jakoś po wielu bólach, po sześciu tygodniach wodociąg ukończono.

W obecnym domu państwa Bajorów przez jakiś czas funkcjonowała filia Urzędu Stanu Cywilnego, gdzie dawano śluby cywilne. Później, gdy Bajorowie objęli ten dom, przez trzy lata mieściła się Gromadzka Rada Narodowa, po tym czasie przeniesiono ją do Kargowej. Stało się to w okresie, gdy Berezowski był sołtysiem (mieszkał tam, gdzie dziś mieszkają Kardelowie). To on doprowadził do przeniesienia GRN do Kargowej. Przewodniczącym GRN w tamtym czasie był Korbanek z Wojnowa. Następnie w dwóch pomieszczeniach ich domu miała siedzibę dwuletnia szkoła rolnicza (tzw. przysposobienie rolnicze), a w domu Klementowskiego mieściła się izba lekcyjna (w miejscu, gdzie jest dzisiaj ich ogród). Budynek ten już dzisiaj nie istnieje. Przed wojną znajdowała się w nim gospoda.

Zaraz po wojnie komendantem straży pożarnej był Izidor Stasik, który miał warsztat stolarski. Stasik był komendantem przez wiele lat, a straż mieściła się w niewielkim budynku, który stoi dziś obok zabudowań Zakrzewskich. Na wyposażeniu była sikawka ręczna, konna.

Klubo-kawiarnia została wybudowana po wojnie w czynie społecznym. W miejscu gdzie stoją dziś dwa bloki pracowników dawnego PGR-u był nieużytek.

Przed wojną w obecnym domu Franczuków znajdowała się poczta, a po wojnie poczta mieściła się z boku budynku Zawadzkiego. Pracowała w nim Zofia Domin, gdy była jeszcze panną. We wsi w latach 50. istniał już PGR i kółko rolnicze. Miała powstać spółdzielnia produkcyjna, ale nie powstała.

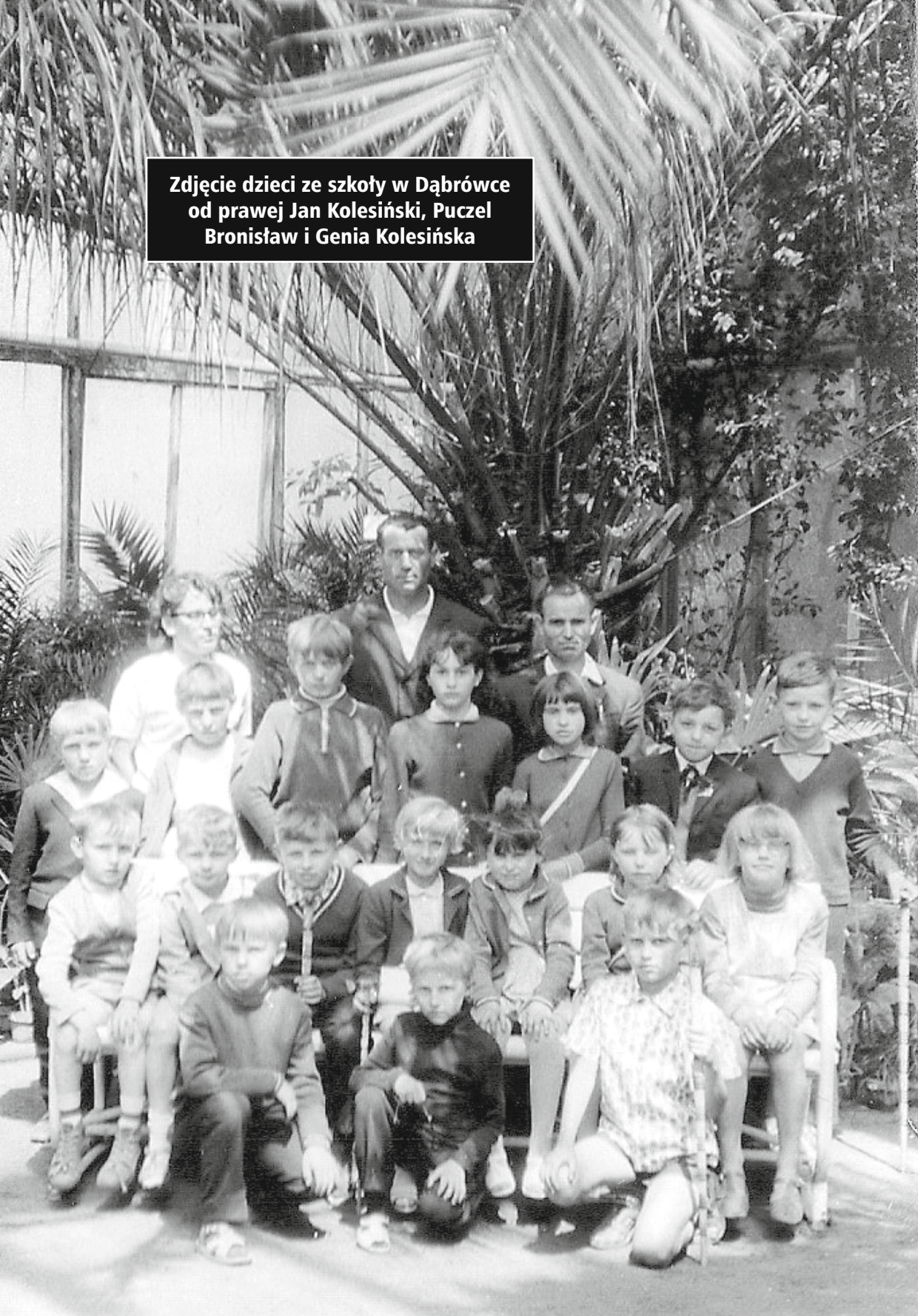
Istniało w Smolnie kilka zakładów usługowych. Np. w domu Piętasza piekarnia, a w miejscu, gdzie ma sklep pani Golla była kuźnia (kował Kostański). Potem w tym miejscu istniała zlewnia mleka prowadzona przez Olechnowicza. Przed wojną działała też w Smolnie rzeźnia, a sklep rzeźniczy mieścił się w obecnym domu Grażyny Pławskiej z d. Bednarz. W Smolnie Małym z kolei funkcjonował duży młyn.

We wsi istniał sklep obok obecnego sklepu Klujów, sprzedawała tam Maria Konopacka. Sklep ten działał dosyć długo. Dopiero wiele lat później wybudowano obok sklep GS-owski, w którym sprzedawała pani Wenne. Był też sklep, tzw. metalowy (w obecnym domu Świstuniów), prowadził go najpierw Kilimiak, a później Katarzyna Tomczak. Jednak pierwszym sklepem po wojnie był sklep w obecnym domu Kwiatkowskich koło stacji PKP. Zawiadowcą stacji był Broniszewski, a wieloletnimi kasjerami Szałapata i Kulikowicz.

Pani Helena Bajor była wspólnie ze Stanisławą Kostańską współzałożycielką Koła Gospodyń Wiejskich w Smolnie Wielkim.

Zanotował: **Józef Pławski**

Zdjęcie dzieci ze szkoły w Dąbrówce  
od prawej Jan Kolesiński, Puczel  
Bronisław i Genia Kolesińska





# Marianna i Jan Batorowie

KARGOWA, UL. POCZTOWA

— **Skąd państwo przybyli do Kargowej?**

— **Marianna Bator z domu Gołabek:** Do Kargowej przyjechałam w 1949 roku, miałam wtedy cztery lata. Przyjechałam pociągiem wraz z moją matką Rozalią i bratem Sylwestrem. Przeprowadziliśmy się z Bodzewa, obecnie woj. wielkopolskie, gdzie mieszkaliśmy w pałacu, który był azylem dla matek z dziećmi, które straciły ojców podczas wojny. Trafiliśmy tu dzięki panu Antoniemu Cieślczakowi. On ofiarował nam mieszkanie przy ulicy Pocztowej i załatwił mojej mamie pracę w Gopłanie.

— **Jan Bator:** Ja natomiast przybyłem stosunkowo późno, bo dopiero w roku 1967, miałem wtedy 22 lata. Wcześniej mieszkałem w Świebodzicach koło Wałbrzycha. Było to piękne i dobrze uprzemysłowione miasteczko. Stamtąd trafiłem do jednostki wojskowej w Babimoście. Dzięki temu poznałem moją żonę. We wrześniu 1966 roku wzięliśmy ślub, a rok później mieszkałem już na stałe w Kargowej.

— **Jakie wrażenie miasto wywarło na państwu przy pierwszym spotkaniu?**

— **Marianna:** Ze względu na bardzo młody wiek dużo nie pamiętam, jednak utkwił mi w pamięci obraz kiedy po wyjściu z pociągu na peron ruszyliśmy w stronę barwnych ogrodów, a dalej wąską uliczką do naszego nowego mieszkania. Mama mogła wybrać sobie to mieszkanie, które bardziej jej odpowiadało, ponieważ w domu były dwa. Na parterze i na piętrze. Wybraliśmy piętro, a na parter z biegiem czasu wprowadzili się państwo Staszakowie. Było tu duże podwórko, gdzie każdy miał swój odgradzony kawałek do trzymania kurek. Była też pompa, z której wiadrami nosiliśmy wodę do pralni. Teraz stoi bezużyteczna, ale przypomina o starych czasach. A mieszkanie, o którym mowa to jest to same mieszkanie, w którym się znajdujemy, w którym mieszkam z mężem.

— **Jan:** Kargowa od początku wydała mi się pięknym i przyjaznym miastem pełnym życia.

— **Właśnie, jak upływało to życie w Kargowej?**

— **Marianna:** W roku 1951 rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej, która mieściła się w budynku obecnego gimnazjum. Wcześniej mama prowadziła mnie do przedszkola na ulicy Babimojskiej. Tam też przez pewien okres chodziłam z mamą i bratem na obiady dla samotnych matek z dziećmi. W szkole wiadomo – jak to dzieciaki – graliśmy w piłkę, palanta, dwa ognie, no i chodziło się na wagary. Pamiętam też, że często na lekcjach bywali przedstawiciele kuratorium z Sulechowa. Siadali na końcu sali i przysłuchiwali się prowadzonej lekcji. Szkoła zabierała nas czasami na projekcje filmów. Pamiętam wyjazd do Sulechowa na „Krzyżaków”. W Kargowej także od czasu do czasu odbywały się seanse filmowe. Gdy przyjeżdżało kino, kocami zasłanialiśmy okna aby światło nie przeszkadzało w oglądaniu. Później trafiłam do przyzakładowej szkoły fabryki Goplana, gdzie zdobyłam zawód cukiernik-karmelarz. Trzy dni w tygodniu odbywały się praktyki i również trzy dni uczyliśmy się teorii. Osoby kończące szkołę miały później łatwiejszy start jeśli chodzi o znalezienie pracy, miały pierwszeństwo w zatrudnieniu w zakładzie. I właśnie tam zaczęłam pracować.

— **A co z życiem kulturalnym i publicznym?**

— **Jan:** Przez długi okres czasu grałem w piłkę w naszym klubie, którego prezesem był Witold Przybylski. Później przez dwadzieścia lat byłem sędzią i sześć lat kwalifikatorem. Łącznie sędziowałem w ponad 1.100 meczach w woj. zielonogórskim. Przybylski był człowiekiem, do którego wszyscy czuli respekt. Jak któryś gówniarz popił sobie w gospodzie, ten przywoływał go do porządku. Pogadał sobie z takimi gagatkami i jeden z drugim więcej nie broili, bo już żaden nie chciał mieć z nim do czynienia, albo raczej z jego potężną łapą.

— **Marianna:** Na mecze sędziowane przez męża chodziłam często razem z nim. Albo jeździliśmy motorem Panonia. Kibice często wykorzystywali moją obecność na trybunach dogryzając mężowi zgryźliwymi komentarzami, gdy osądził coś nie po ich myśli.

Dużo działało się też zawsze na 1 maja. Organizowane były pochody, w których każdy musiał uczestniczyć. W szkołach odbywały się apele. Potem dzieci machające chorągiewkami i pracownicy zakładów z transparentami przechodzili przez Rynek mijając siedzącą na trybunie władzę.

— **Jan:** Na 1 maja zawsze była piękna pogoda. Zdarzyło się, że z rana troszeczkę popadało, ale później zawsze wyjrzało słońce. Po pochodzie wszyscy ruszali na festyny. Początkowo były organizowane za domem kultury, jednak później wszystko przeniesiono na stadion. Organizowano tam turnieje o puchar naczelnika

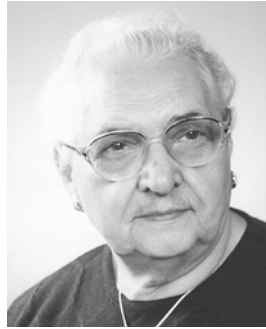
ka miasta. Wszystkie zakłady wystawiały swoje drużyny. Często zainteresowanie było tak ogromne, że pierwsze rozgrywki zaczynały się już w marcu, aby zdążyć do maja wytypować cztery drużyny mające walczyć w finale.

— **Marianna:** Pamiętam, że świadkowie Jehowie, którzy nie uczestniczyli w pochodach majowych mieli z tego powodu problemy i wzywani byli często na dywanik do dyrektora zakładu, w którym pracowali.

— **Jan:** Zakładów kiedyś było o wiele więcej niż teraz. PGR, POM, GS, SKR – każdy z nich organizował zabawy dla swoich pracowników, a co jeden lepsze. Każdy chciał być lepszy. W ogóle kiedyś żyło się zakładem. Pracownicy tych samych firm byli dla siebie miłsi i bardziej życzliwi. Ludzie w ogóle byli dla siebie bardziej mili.

Rozmawiała: **Joanna Pochłopień**





# Irena Biernacka i jej mama, Regina Świetlicka

KARGOWA, RYNEK

— **W którym roku zjawili się państwo w Kargowej?**

— Przyjechaliśmy 15 marca 1950 r. całą rodziną: mama, ojciec, trzy córki, babcia z siostrą mamy i z bratem mamy. Zamieszkaliśmy przez pierwsze tygodnie w budynku, który nie był zrujnowany, ale i nie był przystosowany do zamieszkania. Myślę o kamienicy przy gospodzie, czyli obecnym „Maratonie”. Bo w tym domu, w którym mieszkamy obecnie były same gruzy. Okazało się, że gdy Armia Czerwona przechodziła przez Kargowę to trzymała konie na parterze naszego domu. Rodzice czyścili mieszkanie z gruzów i przygotowali je do zasiedlenia. Naprzeciw, tam gdzie obecnie jest skwer, wtedy jeszcze stały budynki na wpół zrujnowane, które zostały adaptowane na pomieszczenia gospodarcze. Od strony głównej ulicy był gładki mur, tu odbijaliśmy piłkę, zbierały się tu dzieci z całej okolicy. A gdzie jest obecnie dom kultury i parking, to był nasz ogród.

— **Czy Rynek był mocno zniszczony?**

— W większości wszystko było zniszczone. A później to porządkowano.

— **Jak państwo przyjechali do Kargowej?**

— Nie przyjechaliśmy tu bezpośrednio z Wołynia. Rodzice po wojnie osiedlili się nad morzem, między Słupskiem a Ustką, w Charnowie. Tam w ramach rekompensaty ojciec dostał wiatrak, ponieważ był młynarzem. Ojciec chodził w Bydgoszczę do Technikum Młynarskiego i tacie doradził ktoś, aby swe umiejętności wykorzystał w większym młynie, a nie w wiatraku, w związku z tym po przeprowadzce do Kargowej podjął pracę w młynie. Całe życie przepracował w młynie. Mama przez te lata zajmowała się domem, a potem pracowała na poczcie jako telefonistka, aż do emerytury w 1979 roku. Wtedy naczelnikiem poczty był pan Sobczak.

— **Czy pamięta pani przejazd Gagarina?**

— Tak, pamiętam doskonale, bo przejechał wolno. Byłam wtedy dzieckiem, było to w 1961 r. Poszliśmy do Kozłowskich, oni mieszkali przy samej ulicy, więc wszystko lepiej widziałyśmy.

— **W którym budynku mieszkali państwo Kozłowscy?**

— Nad obecnym sklepem zoologicznym. Natomiast tu, gdzie jest ten sklep zoologiczny państwo Kozłowscy, czyli dziadkowie Maćka Kozłowskiego, prowadzili restaurację. Gdy ją im zabrano, pan Kozłowski pracował w gospodzie jako kucharz.

— **A jacy artyści odwiedzali w przeszłości miasto?**

— Pamiętam, że między innymi był Mieczysław Fogg. Ale powiem, że w Kargowej organizowano cudowne bale maskowe, które odbywały się w domu kultury. Była tam też piękna kręgielnia, taką widziałam tylko widziałam w Stanach Zjednoczonych i to nie tak pięknie zagospodarowaną, jak nasza; to było coś fantastycznego. W szkole mieliśmy znany zespół znany w województwie. Występowaliśmy na Winobraniach w Zielonej Górze w strojach łowickich, które pożyczaliśmy w Chwalimiu od pań, które miały autentyczne łowickie stroje. Pasiaki były ciężkie, ważyły po 8 kg. Zespół folklorystyczny prowadziła pani Ada, która przyjeżdżała z Zielonej Góry. A pan Samol prowadził chór i zespół mandolinistów. Później uczył mnie w liceum. Wspaniały człowiek.

— **Pamięta pani kino?**

— Kino mieściło się w obecnym budynku domu kultury.

— **Jak się żyło w tamtych czasach?**

— Ludzie byli serdeczni, pomagali sobie nawzajem, wszyscy się znali, spotykaliśmy się w Domu Społecznym – taką nazwę nosił ówczesny dom kultury – lub w kościele. Wtedy burmistrzem był Jagodziński, wysoki, postawny mężczyzna z brzuchem, ciemnowłosy.

— **A jak wspomina pani dzieciństwo?**

— Na sanki chodziło się na kapturową górkę lub górkę Chudzika. Kiedyś była większa i bardziej stroma, zjazd był długi, do samej ul. Sulechowskiej. Latem jeździliśmy nad jezioro Liny, wożono nas drabiniastym wozem, były to wspaniałe wycieczki.

— **Gdzie odbywały się targi?**

— Najpierw koło ratusza, później przy stacji kolejowej, tam jeszcze stał wiatrak i była wieża ciśnień. Później targi ponownie odbywały się na Rynku, który był brukowany „kocimi łbami”. Ale ratusz i drzewa są takie same jak dawniej. Koło gazowni funkcjonowała łaźnia miejska – płatna. Prowadził ją pan Stróżyk i pani Malicka.

— **W jakim stanie był pałac?**

— Był zniszczony, ale nie tak bardzo, jak w obecnie. Obok pałacu były szklarnie, gdzie chodziło się po nowalijki, stawy i piękny park. Park był otoczony murem. Przy pałacu od strony parku wchodziło się na aleję lipową, obecnie zniszczoną. Krąży legenda, że aleją lipową przejeżdżał Napoleon.

— **Jak wyglądało kąpielisko?**

— Było piękne, znajdowały się tam przebieralnie, toalety, trampoliny. Dodam jeszcze, że w Kargowej w latach 50. był jeden jedyny samochód dekawka (DKW) pana Kozłowskiego, wujka Macieja Kozłowskiego, który później był fotografem w Wolsztynie.

— **Pamięta pani cmentarz koło przedszkola?**

— Tak, to był cmentarz ewangelicki, otoczony pięknym kutym żelaznym płotem. Pamiętam jak na ten płot spadł Andrzej Gołębka, chodził wówczas do trzeciej klasy. Wchodząc na drzewo, żeby zobaczyć gniazdo sroczę spadł na ten płot i doznał ciężkich obrażeń wskutek czego zmarł. Był synem kierownika banku, Gołębki. Państwo Gołębkowie przed wojną byli pracownikami ambasady polskiej w Niemczech. Pamiętam, że obok obory PGR był cmentarz żydowski, ale został zdewastowany do gołej ziemi. Nie był to duży cmentarz.

— **Niedawno wróciła pani do Kargowej ze względu na mamę?**

— Tak, mama choruje, a ja się nią opiekuję

— **Czy tęskniła pani za Kargową?**

— Tak, bardzo, tym bardziej, że moje dzieci się tu wychowywały. Moi synowie przyjeżdżają na wakacje i dla nich Kargowa bardzo dużo znaczy. Mają ogrom-

nie dużo wspomnień z okresu dzieciństwa, bo jak tu przyjeżdżali to przyjeżdżali do dziadków. Mieli też drugich dziadków, przyszywanych, państwa Łuszczaków, którzy traktowali ich jak wnuków. Jeszcze żyli nasi „niby” dziadkowie Kozłowski, później zmarli. Tak, moje dzieciaki są bardzo związane z Kargową, mają tu kolegów, których odwiedzają.

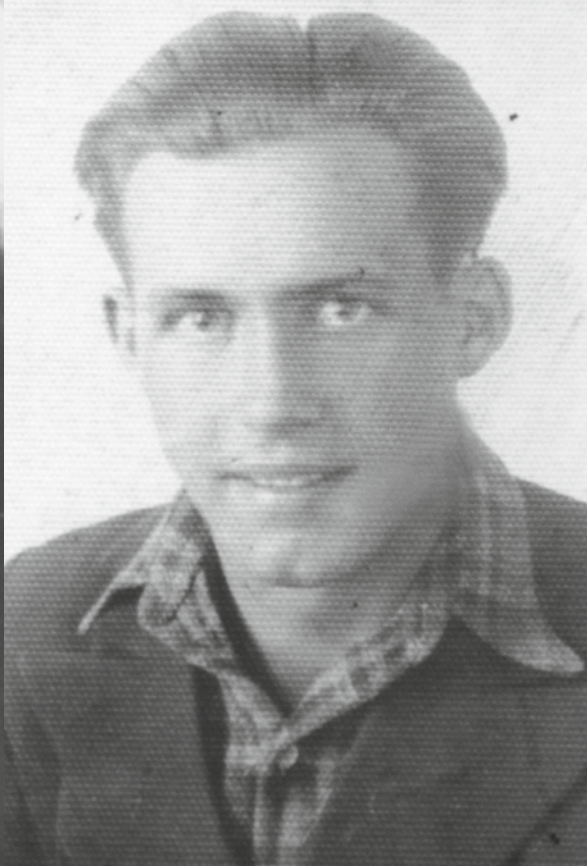
— **Może powie pani kilka słów o Macieju Kozłowskim?**

— Gdy Maciej się urodził to ja chodziłam do liceum, więc byłam trochę oddalona od tych wydarzeń. Maciej ma młodszą siostrę, Hanię. Był urwisem, ale takim bardzo, bardzo sympatycznym. Bawił się i buszował z dzieciakami i ze swoją paczką na skwerze przed domem kultury. A potem, jak był starszy i wyprowadził się do Łodzi, to przyjeżdżał w każde wakacje do swej rodzonej cici. Zawsze przy tej okazji odwiedzał moją mamę – Irenę Świetlicką, która była jego przyszywaną cicią.

Krótko przed śmiercią Maciej odwiedził moją mamę. Akurat był u niej mój syn z wnuczką Anią. Od razu rozpoznała w Macieju – Jarosza z serialu „M jak miłość”. Bardzo się cieszyła i chwaliła się wspólnym zdjęciem z Maćkiem, mówiła, że Jaroszy jest jej wujkiem. Maciej był dobry, rodzinny, ciepły człowiek, takich wielu nie ma. Cała rodzina Kozłowskich jest taka. Maciek ma rodzinę w Wolsztynie, mieszka tam jego stryjeczna siostra. No, niestety, nie ma już wśród nas Maćka...

Rozmawiał: **Kamil Kwiecień**







# Maria Błędowska

## CHWALIM

**U**RODZIŁAM SIĘ W 1935 R. BEREŹNIE, to mała wioska oddalona o 12 km od Brześcia nad Bugiem, obecnie Białoruś. Wieś była położona w lesie. Stały tam tylko dwa domki, w których mieszkali gajowi. Mój tata, Grzegorz Minkiewicz, był jednym z nich. Mama, Katarzyna i sześcioro dzieci – ja i moje siostry Halina (żyje) i Irena (nie żyje) oraz bracia Grzegorz i Jan (nie żyją) oraz Mikołaj mieszkaliśmy razem. Pamiętam, że mama tkła na krosnach i z tej tkaniny szyla w rękach koszule.

Z tamtego okresu zapamiętałam, że podczas walk w 1939 r. przewijali się przez nasz dom polscy żołnierze. Ojciec był dla nich bardzo gościnnie, gospodarstwo było zresztą dość bogate, więc wojskowi nigdy nie wychodzili bez posiłku, ojciec przygotowywał też miejsca na nocleg.

Nie pamiętam, w którym roku Ruscy kazali nam jechać na Sybir. Mieszkała z nami mama taty, która nie chciała wyjechać, bo miała 80 lat, ale oni nie pozwolili zostać. Ktoś zawiózł nas wozem zaprzężonym w woły do Brześcia na stację. Zostaliśmy zapakowani w bydłące wagony. Na Sybir jechaliśmy cały miesiąc. Było okropnie zimno. Pamiętam, że nie czułam nóg. Mama owijała nam nogi takimi pakułami z lnu, żeby nam było cieplej. Nie było się gdzie umyć. Nie pamiętam, w jakiej miejscowości nas zostawiono. Tata został zabrany na wojnę. My mieszkaliśmy u Ruskich w jednym pokoju. Nie było czym się przykryć. Buty to były takie walonki, które dodatkowo owijało się szmatami i okręcało sznurkiem, aby było cieplej. Wszędzie robactwo – wszy i pluskwy. Mój brat zaczął tam chodzić do szkoły, w której uczyli Polacy i tam się nauczył pisać i czytać po polsku. Siostry pracowały w lesie, a ponieważ dobrze wyrabiały normę, to dostawały dwa chleby na dwa dni i obiad w gospodzie. Jeszcze mamie przynosiły. Pamiętam, że ciągle byliśmy głodni. Śnił mi się często sen o chlebie, który już, już miałam zjeść, a wtedy sen się kończył...

Gdy skończyła się wojna mogliśmy wrócić do Polski, ale nie do Brześcia. Więc mama spakowała niewielki dobytek i przyjechaliśmy na ziemię odzyskane. Nie wiedzieliśmy, co z ojcem, gdzieś zaginął.

Najpierw zatrzymaliśmy się na pół roku w Wołowie. Zostaliśmy zakwaterowani przez sołtysa w domu, w którym mieszkała Niemka z dwoma synami i dwiema córkami. Mieliśmy jeden pokój, a ona jeden większy i jeden mniejszy. Kuchnia była wspólna. Pewnego razu mój brat Janek poszedł do miasteczka. Chodził o kulach, bo wcześniej spadł z drzewa. Jako kaleka uzebrał sobie parę groszy i zaszedł do jakiegoś sklepiku po zakupy. Podszedł tam do niego jakiś mężczyzna około 50-letni i spytał: Czy ty jesteś od Minkiewiczów? Brat potwierdził, a ten opowiedział, że zna się z naszym tatą i wie, gdzie przebywa. Dał mojemu bratu adres do Chwalimia. Ten brat, który umiał pisać napisał list i wysłał go na podany adres. Po około dwóch tygodniach do Wołowa przyjechał ojciec, ale już z jakąś kobietą. Była młoda, miała sztywną rękę. Ojciec z kobietą naścielili sobie w kuchni. Nie było co jeść, ale on wziął tę Niemkę i ona wskazała za szopką kopiec, a w nim ukryte kartofle. Niedługo potem zresztą wywieźli tę Niemkę i jej dzieci. Mama wylewała łzy, całą noc nie spała, nie wiedziała, co robić. Koleżanki, jeszcze z Sybiru, poradziły jej: Ty Katarzyna nie wyjeżdżaj, nie wyprowadzaj się. Niech on weźmie synów, a ty sobie zostaw córki i tu zostań. Ale chłopcy nie chcieli iść z ojcem bez matki i tak wszyscy przywędrowaliśmy do Chwalimia. Zamieszkaliśmy w domu, w którym obecnie mieszka pani Gienia Minkiewicz, moja późniejsza bratowa, bo wyszła za brata Mikołaja. Ale ta kobieta ojca chciała mieszkać z nami. Chłopcy namówili mamę, żeby ją wypędziła. Jednak mieszkała potem obok nas, a później wyjechała. Słała jeszcze listy do ojca, które mama wrzucała w piec.

Dostaliśmy słabą ziemię, same piaski w „górach”, czyli pola w okolicach jeziora. Kto opłacił mierniczych, ten dostawał lepszą ziemię. Dom był pusty, wyszabrowany. Z prawej strony naszymi sąsiadami zostali Supersonowie. Byli świadkami, że ci co przybyli do wioski wcześniej zabierali z pustych domów, co tylko dało się wynieść. A nasz dom był skromny. Tata chciał zająć inny, lepszy, ale nie pozwolono mu. Początkowo więc była straszna bieda. Tata miał krowę i konia. Było mleko, śmietana, masło mama ubijała w kierzyncie. Potem już mieliśmy świnie.

Ukończyłam cztery klasy w szkole w Chwalimiu, która prowadzili państwo Grzymałowie. Nie było wtedy obowiązku dalszej nauki, a znowu pomoc w domu była potrzebna. Gdy byłam starsza dorabiałymy z koleżankami w PGR-ach w Smolnie Wielkim, w Dąbrówce. Moje koleżanki to były Marysia Superson i Gienia Ucieszyńska. Świetlica mieściła się w stodole Ucieszyńskiej; tam się chodziło na potańcówki. We wsi mieszkała Niemka, nazywała się chyba Fada, myśmy wołali Fadzi-na. Dobra kobieta. Dawała dzieciom cukierki, orzechy. Pamiętam, że istniał sklep między domem Antałów (obecnie Rzepowscy), a domem pani Stasi Zienkiewicz. Sprzedawała tam Sabina Olichwer, nazywana Albiną, żona Jana Kantorka.

8 lutego 1959 r. wyszłam za mąż za Jana Błędowskiego. Zamieszkaliśmy w domu, w którym obecnie mieszkam.

Zanotowała: **Beata Kozubska**

# Czesław Cezary Błoszyk

WOJNOWO

**U**RODZIŁEM SIĘ 25 LUTEGO 1950 R. W RAKOWNI koło Murowanej Gościny w Wielkopolsce. Gdy miałem pięć lat rodzice przeprowadzili się do Sulechowa. Tutaj uczęszczałem do przedszkola, szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego. Po maturze ukończyłem Studium Nauczycielskie na kierunku zajęcia praktyczno-techniczne z wychowaniem plastycznym. W maju 1971 r. podczas giełdy pracy podpisałem umowę na pracę w powiecie sulechowskim. Pod koniec czerwca otrzymałem dwie oferty. Wybrałem pracę w szkole przy sanatorium dla dzieci w Wojnowie. O wyborze tej oferty zdecydowało położenie wsi. Znałem tujsze jeziora z czasów szkolnych. W wakacje przyjeżdżałem z kolegami wykąpać się, poobserwować przyrodę. W tamtym czasie Wojnowo było głównym ośrodkiem wypoczynkowym dla Sulechowa. Swe ośrodki wypoczynkowe miały zakłady i organizacje z Sulechowa, Zielonej Góry, kombinat miedzi z Lubina, był też ośrodek wypoczynkowy nauczycieli o zasięgu wojewódzkim. Latem oprócz osób wczasujących było mnóstwo ludzi, którzy przyjeżdżali na sobotnio-niedzielnny wypoczynek.

Wracając do mojej pracy, 15 sierpnia 1971 r. stawiłem się na pierwszą radę pedagogiczną. Na leczenie przyjeżdżały dzieci w wieku 3–15 lat. Pochodziły ze środkowo-zachodniej Polski, od Szczecina po Piłę, Poznań, Leszno i Wrocław. W roku szkolnym były trzy turnusy, a w wakacje często turnus leczniczy i kolonijny. We wrześniu 1974 r. dowiedzieliśmy się, że z oficjalną wizytą przyjedzie do Polski książę Bernard – ojciec królowej Holandii Beatrix. Nieoficjalnie będzie chciał odwiedzić swój dom rodzinny – pałac w Wojnowie. W związku z tym do zakładu przyjechał przedstawiciel ówczesnego wojewody, aby omówić przygotowanie obiektu do wizyty księcia Bernarda. Pałac i wszystkie budynki w jego otoczeniu miały elewacje z czasów młodości księcia. Za budynkiem biurowo-mieszkalnym powstawał obiekt gospodarczy. Po szybkiej lustracji pałacu i otoczenia wszystko diametralnie się zmieniło. Materiały do budowy gmachu gospodarczego przywożono na telefon. Wszędzie ustawiono rusztowania, aby odnowić elewacje. W pałacu rok wcześniej odnowiono główne pomieszczenia, więc tylko

kilka mniejszych trzeba było pomalować. Wymieniono niemal wszystkie lampy, wszystkie łóżka, szafy, szafki, stoły, fotele, chodniki, dywany. Trzeba było posprzątać wszystkie pomieszczenia, umyć okna, a jest ich niemało. Zawieszono nowe firany i zasłony. Przywieziono nowe meble, szafy i stoliki na wysoki połysk, obrotowe fotele nie były funkcjonalne, ale nie było czasu na szukanie bardziej odpowiednich. Odtworzono też przedwojenny wjazd do pałacu od frontu budynku. Prace zaczęto po południu od usunięcia ogrodzenia i wykarczowania chaszczki. Następnego dnia wylano asfalt na nowym wjeździe. Wstawiono bramę i pomalowano całe ogrodzenie przed budynkiem.

Po tygodniu przyjechał przedstawiciel władzy, który sprawdzał stan robót. Spichlerz obok gorzelnii stał nietknięty. Zmieniał w tym czasie właściciela i trwał spór o to, kto ma go remontować. Sprawdzający przebieg robót zdenerwował się poważnie i pobiegł do telefonu. Około południa przed budynek podjechał ciągnik z rusztowaniem na przyczepach i bus z robotnikami. Prace zaczęto od wkopywania słupów z lampami przed budynkiem. Gdy następnego dnia rano przyjechałem do pracy, budynek wyglądał jak nowy, a po robotnikach nie było śladu. Na wykonanie tych prac było około 10 dni. Przez cały ten czas zakład pracował. Jedynie turnus był mniej liczny niż normalnie. Po obwodzie owalnego klombu, który jest do dziś przed pałacem, posadzono kwitnące róże. Przez kilka dni rano i wieczorem przyjeżdżał wóz strażacki, aby je podlewać.

Wreszcie nadszedł dzień przyjazdu gościa. Zdążono jeszcze załadować ostatnie śmieci na wywrotkę, która ukryła się w parku i w pewnym momencie dała się słyszeć okrzyki: jada, jada. Milicjant z drogowki skierował kolumnę czajek i woł na wjazd przed pałacem. Sznur trzynastu czarnych limuzyn zatrzymał się. Z pierwszej wysiadł książę Bernard oraz oficer gwardii królewskiej i marynarki wojennej. Z kolejnych wysiadali urzędnicy, ochrona, fotoreporterzy, dziennikarze. Wszyscy kierowcy stali obok samochodów. Wchodzącym przygrywał zespół koźlarzy ze Zbąszynka z dziewczętami w regionalnych strojach ludowych.

W holu czekała na księcia ówczesna dyrektorka sanatorium, która oprowadzała gości po budynku. Grupa młodszych dzieci była w skrajnym pomieszczeniu. Ja ze starszymi dziećmi stałem z boku schodów wejściowych. W pewnym momencie z budynku wybiegło trzech jegomości w czarnych garniturach. Pobiegli na wieś, żeby przeprowadzić zaproszonych przez księcia, znanych mu sprzed wojny, pracowników. Udało im się znaleźć Jadwigę Hejduk i Stanisława Kluja, za którym pan w lakierkach biegał po oranym polu.

Książę z zaproszonymi gośćmi usiadł w głównej sali pałacu i poprosił o kawę. Na czas rozmowy zwolnił z obowiązków tłumacza, który nerwowo spacerował po holu. Rozmowa trwała prawie godzinę. A cała wizyta była zaprogramowana na 40 minut. Po spotkaniu z gośćmi książę podziękował za gościnę i szybkim krokiem zszedł po schodach ku samochodowi. Kierowcy ekspresowo usiedli i odpalili li-

muzyzny. Książę otworzył drzwi, sięgnął po kamerę i szybkim krokiem udał się za budynek. Tego nikt się nie spodziewał. Na chwilę powstało zamieszanie. Kierowcy zgasili samochody, ochrona nerwowo biegała. Książę sfilmował budynek od strony jeziora, jezioro i park. Chciał pójść brzegiem jeziora, ale furtka w ogrodzeniu była zamknięta na klucz. Po kilkunastu minutach książę wrócił przed budynek. Sfilmował front budynku i wsiadł do limuzyny. Kolumna odjechała.

Było to 8 października 1974 r.

Wizyta księcia Bernarda przyczyniła się do podniesienia poziomu wyposażenia i estetyki pałacu oraz jego otoczenia. Największe wrażenie wizyta zrobiła na niedużej grupie dzieci, które w tym czasie były na turnusie. Ponadto świetlice dostały wyposażenie z wyższej półki, jak na tamte czasy (stoliki na wysoki połysk, obrotowe fotele, ładne dywany). Przez kilka dni po wizycie księcia dzieci nie siadały na fotelach i nie chodziły po dywanach. Na mnie wrażenie wywarło tempo i zakres prac wykonanych w tak krótkim czasie. Do tej wizyty miałem za sobą podróże na zachód i na wschód Europy. Po tym, co zobaczyłem przed wizytą księcia uwierzyłem, że możemy dogonić kraje Zachodu. Jednak po kilku latach życie rozwiało moje nadzieje. Po ukończeniu w 1981 r. studiów z pedagogiki specjalnej realizowałem swe marzenie – podróże. W przeszłości podróżowanie było bardzo utrudnione (podanie o paszport, wiza, wymiana waluty), na szczęście to się zmieniło. Od 2002 roku mieszkam w Wojnowie. W 2006 roku zakończyłem pracę w szkole przy szpitalu dla dzieci (dawnej sanatorium dla dzieci), gdzie pracowałem 35 lat. Dziś jako sołtys Wojnowa mam nadzieję, że uda się przywrócić wsi rangę ośrodka turystycznego, bo ma ku temu walory.

**Czesław Błoszyk**



**Pałac w Wojnowie**



**Książę Bernard**



**Pałac w Wojnowie od centrum wsi**





# Krystyna Bocheńska

KARGOWA, UL. POCZTOWA

**U**RODZIŁAM SIĘ W KARGOWEJ W 1937 R. jako trzecie dziecko Gertrudy i Stanisława Benysków, właścicieli rzeźnictwa mieszczącego się w domu, w którym obecnie mieszkam. Zaraz po wybuchu wojny, w 1939 r., powołano mego ojca do wojska, oczywiście do niemieckiego Wehrmachtu. Mama pozostając z trójką dzieci prowadziła zakład (była to ubojnia i sklep), ale po kilku miesiącach zrezygnowała. Nasza trójka uczęszczała do katolickiego przedszkola prowadzonego przez siostry zakonne, które mieściło się przy obecnej ulicy Marchlewskiego, naprzeciwko ogrodu parafialnego. Pamiętam, że odbywały się tam ciekawe zajęcia teatralne i muzyczne. Często przygotowywaliśmy przedstawienia dla rodziców i mieszkańców ówczesnej Kargowej. Pamiętam doskonale pierwszy dzień roku szkolnego 1943/1944, w którym pierwszy raz poszłam do szkoły. Była to podstawówka przy ulicy Szkolnej (obecne Gimnazjum). Mama wyposażyła mnie w tornister i ogromną Schultute, zawierającą dużą ilość słodyczy. Był to zwyczaj niemiecki, zresztą obowiązujący do dziś. Nauka w trwała tylko rok szkolny, bo od jesieni 1944 r. budynek został zamieniony w szpital, a starsze dzieci uczyły się w innych obiektach.

Latem 1944 r. widoczne były wielkie niepokoje. Przez nasze miasto przejeżdżały samochody i wozy, którymi ludzie ruszali na zachód w obawie przed Rosjanami. Miejscowe władze zalecały również mieszkańcom opuszczenia miasta. Moja mama podporządkowała się i wyjechaliśmy samochodem wojskowym do Zielonej Góry, a stamtąd dalej pociągiem. Jechaliśmy przez Gubin, Halle do miasteczka Jutertorg w Brandenburgii. Przydzielono nas do rodziny rzeźnika, gdzie mieszkaliśmy do lata 1945 r.

Po zakończeniu wojny ojciec wrócił do Kargowej. Nie zastał nas. W mieście były już polskie władze. Jako rodowity kramszczanin, znający dobrze język polski, nie miał trudności ze zdobyciem informacji o miejscu naszego pobytu. Przyjechał po nas. Po powrocie stwierdziliśmy, że nasz dom jest zajęty przez polskiego rzeźnika nazwiskiem Kwieciński. Zamieszkaliśmy wtedy w Kramsku w urodziny ojca, ale rodzice podjęli starania o zwrot własności. Po dwóch miesiącach władze pomogły naszej rodzinie odzyskać własność, a panu Kwiecińskiemu przydzieliły inną posiadłość, w Rynku, gdzie mógł prowadzić zakład rzeźniczy ze sklepem.

Odzyskaliśmy dom, niestety pusty. Zdaniem Kwiecińskiego, przed jego przyjazdem dom był już wyszabrowany. Stosunki między naszą rodziną, a rodziną Kwiecińskich były przez wiele lat bardzo dobre, a ich córka Helena została moją dobrą koleżanką. Ojciec nie podjął się uruchomienia prywatnego rzeźnictwa – był to czas niekorzystny dla prywatnej inicjatywy – natomiast świadczył usługi mieszkańcom Kargowej i okolicy. Mieliśmy wówczas dużo żywności, ale brakowało pieniędzy. Klienci płacili zwykle towarem.

Po rozpoczęciu działalności Szkoły Podstawowej (kwiecień 1945 r.) nasza trójka rodzeństwa nie poszła na zajęcia ze względu na nieznamość mowy polskiej. Dlatego przez kilka miesięcy uczęszczaliśmy na prywatne lekcje języka do Jana Rosińskiego – nauczyciela, późniejszego kierownika szkoły w Kopanicy. Po podjęciu nauki byłam jedną z najmłodszych uczennic, w klasie ze mną byli też uczniowie o kilka lat starsi. Różniliśmy się znacznie, ale po kilku miesiącach wspólnej nauki i zabawy różnice były coraz mniej widoczne. Przyczyniło się do tego bardzo zaangażowane grono nauczycieli: Edward Rabięga, Józef Samol, Janina i Mieczysław Wróblewscy, Izabela Zaklika. Oprócz zajęć lekcyjnych uczęszczaliśmy na kółka teatralne, zajęcia chóru szkolnego, zajęcia sportowe, zajęcia świetlicowe i zbiórki harcerskie. Przygotowywaliśmy też programy artystyczne uświetniające miejskie uroczystości. Ważne były dla nas biblioteki: szkolna i miejska. Dzięki książkom, które chętnie czytaliśmy – nie było przecież telewizji, a radia tylko w niektórych domach – poznawaliśmy lepiej język polski, co umożliwiło przyswajanie wiedzy z wielu przedmiotów.

Nasza trójka ukończyła Szkołę Podstawową, a dalsze losy potoczyły się następująco: najstarszy brat Franciszek ukończył średnią szkołę w Wolsztynie, a następnie Akademię Medyczną w Szczecinie. Jako lekarz pracował w Gryficach,

a następnie w szpitalu w Oleśnicy. Zmarł w 1991 r. Paweł ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową w Wolsztynie, ożenił się i z rodziną zamieszkał w Zielonej Górze. Zmarł w 1998 r. Ja w wieku 17 lat podjęłam pracę w administracji w Domu Zdrowia w Wojnowie (obecny szpital dziecięcy), a następnie pracowałam jako intendentka w przedszkolu w Kargowej, później w sklepie GS. Założyłam rodzinę i wraz z mężem i dwójką dzieci zamieszkaliśmy z rodzicami w moim rodzinnym domu. Mój ojciec zmarł w 1976 r., a mama została najstarszą mieszkanką Kargowej, zmarła w 2010 r. – dożywając 100 lat i 10 miesięcy. Wspólnie z mężem i rodziną mojego syna Waldka opiekowaliśmy się mamą do końca jej życia.

Obecnie w naszym rodzinnym domu mieszkamy z mężem, synem, synową i wnuczętami. Razem doczekaliśmy się siedmiorga wnucząt.

Zanotowała: **Brygida Wróblewska**

Lata 70-te, budowa boiska





# Rudolf Bocheński

KARGOWA, UL. POCZTOWA

**U**RODZIŁEM SIĘ W CIGACICACH. Mój ojciec pochodził z okolic Kalisza, a mama była kargowianką. Do miasta przyjechałem w 1958 r. Znalazłem tu fajną dziewczynę, zakochałem się i zapuściłem korzenie. Kargowa wydawała mi się ładnym, spokojnym miasteczkiem, chociaż widoczne były jeszcze ślady wojny: choćby puste place po spalonych domach. Nie było dużego ruchu. Niewiele samochodów poruszało się po ulicach, więcej było furmanek, którymi mieszkańcy okolicznych wsi przyjeżdżali po zakupy do sklepów, magazynów GS-u po węgiel i paszę. Mieszkańcy najczęściej jeździli rowerami. Największy ruch był w środy, kiedy odbywał się targ. Zjeżdżali się wówczas rolnicy, ogrodnicy i inni z okolicznych miejscowości. Handlowano przede wszystkim żywnością i artykułami rolnymi (pasze, zboża, prosiaki, kurczaki).

Z zawodu jestem elektrykiem, zatrudniłem się w Zakładach Zbożowo-Młynarskich w Kargowej. Dyrektorem był wówczas pan Brzeski. Pracowali tam też żyjący jeszcze kargowianie: pani Borysiakowa, Stanisław Stróżyk, Stanisław Szczepaniak, Tadeusz Kuprianowicz, Piotr Harasimonek, Czesław Kidoń. Młyn

pracował na pełnych obrotach przez sześć dni w tygodniu, często także w niedzielę. Odbiorcami mąki były m. in. okoliczne jednostki wojskowe.

Poza pracą w zakładzie spędzaliśmy wspólne godziny w ramach akcji socjalnej, której organizatorem był niezastąpiony Franciszek Markowski. Odbywały się świetne majówki, wspólne wyjazdy na plażę nad okoliczne jeziora oraz organizowane dla mieszkańców Kargowej słynne bale maskowe. Atmosfera pracy i zabawy była w naszym zakładzie bardzo dobra.

W tym zakładzie pracowałem do przejścia na emeryturę. W latach 50., 60. i 70. większość rodzin dorabiała sobie poprzez uprawę tytoniu, hodowlę nutrii i drobiu. Również nasza rodzina tym się zajmowała. Mieliśmy wydzierżawioną ziemię i łąkę, uprawialiśmy zboże na paszę dla nutrii. Byliśmy członkami związku hodowców, dzięki czemu mogliśmy w określonych terminach sprzedawać żywe nutrie i skórki, mogliśmy też korzystać ze szkoleń i doradztwa z zakresu hodowli. Wielu mieszkańców dzięki dodatkowej, ciężkiej pracy, zbudowało własne domy i kupiła samochody. Przy tych pracach były zatrudniane całe rodziny, również dzieci.

Zanotowała: **Brygida Wróblewska**

# Anna Borczyk

NOWY JAROMIERZ

**N**AZYWAM SIĘ ANNA BORCZYK, Z DOMU ZIELONKA, URODZIŁAM SIĘ 15 WRZEŚNIA 1929 r. na Bukowinie, we wsi Nowy Wołczyniec, koło miejscowości Tereblacz. Moje korzenie związane są z przynależnością do grupy etnicznej zwanej góralami czadeckimi, zamieszkującymi niegdyś pogranicze śląsko-słowackie, okręg Czadecki. Na początku XIX w., w zamieszkiwanych przez górali miejscowościach doszło do przeludnienia, dlatego część z nich wyemigrowała na Bukowinę, gdzie rozpoczyna się moja historia.

W miejscowości, w której się urodziłam mieszkali Polacy, Ukraińcy, Rumuni, Żydzi, Niemcy, wszyscy żyli w zgodzie i wzajemnym szacunku, wszyscy mieli swoje prawa, nikt nikomu nie przeszkadzał. Religią, którą w większości wyznawano było prawosławie, oprócz tego protestantyzm, katolicyzm i judaizm. We wsi rozmawialiśmy po rumuńsku, ukraińsku, jednak w domu zawsze po polsku.

Miałam trzech starszych braci oraz cztery młodsze siostry, jednak jako najstarsza z dziewcząt, w wieku 11 lat, byłam posyłana do innych gospodarstw jako służka. Mieszkałam w domu razem z gospodarzami, z dala od rodziny. Zajmowałam się domem oraz zwierzętami, doiłam krowy, wypasałam owce. Wieś, w której mieszkałam miała typowo rolniczy charakter. Mieszkańcy zajmowali się uprawą roli, hodowlą i wypasem owiec. Pamiętam, że z owczego mleka wyrabiano przepyszny ser. Mój ojciec zajmował się uprawą roli oraz wypasem owiec, matka wraz z babcią wyplatały kosze z wikliny oraz przedły dywany, chodniki z konopi i starych szmat.

Pamiętam, że w naszej wsi nie było kościoła ani szkoły. Na msze, które odbywały się dwa razy w miesiącu, chodziliśmy przez rzekę do Tereblacza, gdzie odprawiano ją po łacinie; kazania były po niemiecku i po polsku. Do szkoły chodziłam do pobliskiej wsi (nie pamiętam jej nazwy), naukę pobieraliśmy początkowo w języku rumuńskim, później w językach niemieckim, polskim. Prawdopodobnie było to spowodowane znajomością języka przez nauczyciela, który w danej chwili pracował w szkole.

Pamiętam, że w domu zawsze było bardzo wesoło, a to wszystko za sprawą gry na skrzypcach mojego taty, który wygrywał piosenki również na wiejskich zabawach i weselach. Jeśli mieliśmy czas wolny to chodziłyśmy z innymi dziewczętami nad rzekę kąpać się i opalać.

W 1946 r., gdy miałam 17 lat, rozpoczęła się akcja repatriacyjna obejmująca Bukowinę. Z ulotek, prasy dowiedzieliśmy się, że możemy wracać na tzw. ziemie odzyskane. Moja rodzina, tak, jak większość naszych sąsiadów, podjęła decyzję o wyjeździe. Pamiętam, jak ludzie wraz ze swoim całym dobytkiem, zwierzętami zajmowali wagony w pociągu. Transport podzielono na dwie części, z czego pierwsza stanowiła przedział dla ludzi, druga dla zwierząt. Podróżowaliśmy przez sześć długich tygodni, bez większych przystanków. Na krótkich postojach nawoływano ludzi do pozostania i osiedlenia się w danych miejscowościach. Najbardziej w pamięci utkwił mi przystanek chyba w Głogowie, był to jeden z dłuższych postojów. Ludzie wymęczeni podróżą mieli chwilę by wyjść z wagonów, umyć się, posilić. Rozważali możliwość osiedlenia się. Pamiętam, że kobiety zaczęły myć dzieci, przygotowywać ciepły posiłek, gdy nagle rozległ się sygnał na odjazd pociągu, wówczas wszyscy w mgnieniu oka zebrali się z powrotem do podróży, pozostawiając jedzenie.

Po przyjeździe do naszej obecnej gminy moja rodzina osiedliła się w Obrze Dolnej. We wsi znajdowały się niemieckie gospodarstwa, większość z nich niezamieszкана. Niektóre zajęte były jednak przez ludzi, którzy przed wojną służyli u niemieckich gospodarzy.

Rodzice nadal zajmowali się tutaj uprawą ziemi i gospodarką, ja pracowałam jako służka w gospodarstwie u leśniczego o nazwisku Zaklika, którego żona pracowała jako nauczycielka w Kargowej. Ojciec był tzw. złotą rączką, pomagał w pracy i naprawie sprzętów sąsiadom, zajmował się również rzeźnictwem. Większość mieszkańców stanowili wówczas ludzie, którzy przybyli razem z nami z Bukowiny, wszyscy się znali i pomagali sobie w codziennej pracy.

Tak jak dawniej, w naszym rodzinnym domu znów było bardzo wesoło. Ojciec na zrobionych przez siebie skrzypcach wygrywał różne piosenki i śpiewał. W soboty i niedzielę wraz z kolegami, z którymi stworzył mały zespół, grywał na weselach i zabawach wiejskich.

W 1950 r. wyszłam za mąż za Stanisława Borczyka i przeprowadziłam się do Nowego Jaromierza, w którym mieszkam do dziś. Mój mąż zmarł w 2005 r., jego losy były ciężkie. W 1942 r., gdy miał 15 lat, został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Początkowo pracował w kopalni węgla kamiennego Jochen Schacht w miejscowości Heydebreck. Z opowiadań męża wiem, iż karmiono ich tam bardzo nędźnie a pracowali ciężko. W 1942 r. przywieziono tam jeńców radzieckich, z którymi mąż pracował przy rozbudowie baraków mieszkalnych. W 1945 r. wywieziono go w głąb Niemiec i przydzielono do pracy w gospodar-



stwie rolnym, gdzie pozostał do zakończenia wojny. Opowiadał, że gospodarz bardzo go polubił i bardzo dobrze traktował (np. gdy mąż zachorował to gospodarz wysłał go do szpitala). Po zakończeniu wojny udało mu się szczęśliwie powrócić do rodzinnej miejscowości, jednak jego ojcowizna była całkowicie zniszczona, dlatego wraz z rodziną zmuszony był wyjechać na ziemie odzyskane i w ten sposób przybył do Nowego Jaromierza.

Nasze wspólne życie w Nowym Jaromierzu było spokojne, choć ciężkie. Wraz z mężem, który pracował w Lasach Państwowych, pracowaliśmy również we własnym gospodarstwie rolnym. Mieliśmy szóstkę dzieci, najstarsze chodziły do szkoły w Obrze Dolnej, najmłodszy syn kończył szkołę w Kargowej. W Nowym Jaromierzu oraz w pobliskich wsiach nie było kaplicy, kościoła. Na msze chodziliśmy, bądź jeśli ktoś posiadał rower dojeżdżał do Kargowej. Głównie nasz czas wypełniała praca w gospodarstwie, opieka nad dziećmi, spotkania z sąsiadami. Rozrywkę stanowiły zabawy wiejskie, kino objazdowe, które przyjeżdżało do Obry Dolnej.

Zanotowała: **Barbara Kornaszewska**



# Barbara Bambor

KARGOWA, UL. DOLNA

**P**RZYBYŁAM DO KARGOWEJ JAKO SZEŚCIOLETNIE DZIECKO 9 listopada 1945 r. wraz z mamą, ciocią, babcią i wujkiem. Przyjechalśmy z Wielkopolski, z okolic Książa Wlkp.

Wujek, Franciszek Marcinkowski, tak tłumaczył decyzję o osiedleniu się w Kargowej: pracował w majątku Niemca, który na przełomie 1944 i 1945 r. musiał opuścić swoje gospodarstwo. Wujek odwoził go za Odrę. W drodze powrotnej, która wiodła przez Kargowę, zatrzymał się, ponieważ wiele gospodarstw było pustych. Wobec czego postanowił się tu osiedlić. Znalazł dom przy ulicy Dolnej, ten, w którym do dziś mieszkam. Po załatwieniu formalności w Kargowej pojechał po rodzinę: moją mamę – wdowę (ojciec zginął w czasie wojny), babcię i ciocię. Po przyjeździe zastaliśmy pusty budynek – meble i sprzęty zostały już wyszabrowane.

Cała rodzina zaczęła gospodarować na około siedmiohektarowym gospodarstwie, a ja rozpoczęłam naukę w Szkole Podstawowej. 1 września 1946 r. to był mój pierwszy dzień roku szkolnego, kiedy wraz ze starszymi uczniami ustawiliśmy się na placu przed gmachem przy ul. Szkolnej. Przemówił do nas ówczesny kierownik – Tomasz Setny, a następnie pierwszy nauczyciel, Jan Rosiński, zaprowadził do największej sali lekcyjnej. Było nas bardzo dużo, chyba z 50 uczniów. Zanim się wzajemnie poznaliśmy minęło trochę czasu. Nie zawsze rozumieliśmy się. Niektórzy z nas mówili słabo po polsku (autochtoni), inni typowym dialektem wschodnim, niektórzy różną gwara.

Uczyliśmy się z czarno-białego elementarza Falskiego. Początkowo pisaliśmy ołówkiem, dopiero po półroczu stalówką umieszczoną w drewnianej obsadzie, maczaną w kałamarzu. Pierwszą piosenkę „Nasza szkoła musi być wesola” śpiewaliśmy chętnie, byliśmy dumni, że jesteśmy uczniami. Pomimo, że mówiliśmy różnie, ubieraliśmy się różnie, nie było między nami konfliktów. Pamiętam gdy przyjechali obcy ludzie, którzy rozdawali nam paczki z Unry, była to odzież i żywność oraz zabawki. W szkole było organizowane dożywianie. Istniała tzw. kuchnia

ludowa mieszcząca się w obecnym przedszkolu. Podczas przerw otrzymywaliśmy najczęściej zupę z chlebem.

Po niedługim kierowaniu szkołą odszedł Tomasz Setny, a jego miejsce zajął Edward Rabiega. Z pierwszych nauczycieli pamiętam Józefa Samola, Janinę i Mieczysława Wróblewskich, Nikodema Kotlarskiego, Izabelę Zaklika, Ludwikę Poźniak, Cecylię Grochowicką, Janinę Łagoszównę i Antoninę Rybiec. Aktywnie działała organizacja harcerska. Podczas zbiórek organizowano pochody, potańcówki i ogniska ze śpiewem i skeczami. W tamtych latach nie było sali gimnastycznej. Latem ćwiczyliśmy na boisku, a w okresie zimowym ćwiczenia odbywały się w klasie. Były też tańce i śpiewy. Chór szkolny prowadzony przez Józefa Samola, a w dalszych latach przez Nikodema Kotlarskiego, występował często podczas licznych akademii miejskich i uroczystości szkolnych. Jako uczniowie chodziliśmy na pochody 1-majowe, które kończyły się zabawą w ogrodzie przy domu kultury (nazwa powojenna Dom Społeczny). Do naszej szkoły uczęszczali również uczniowie z okolicznych wsi: Chwalimia, Karszyna i Wielkiej Wsi. Nie organizowano dowozów – przyjeżdżali rowerami lub przychodzili pieszo.

Kargowa w latach 40. była zniszczona. Wiele domów zostało spalonych. Trwała akcja odgruzowywania. Funkcjonowało kilka sklepów Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, które były nazywane od nazwiska sprzedawców, np. sklep spożywczy Śmidody na ul. Dworcowej, sklep spożywczy Idziaszka na Rynku, żelazny Brzeźickiego, rzeźnictwo Króla. Były też prywatne sklepy spożywcze Rapickiego w obecnej ruinie po „Goplanie” oraz słynny sklep Kalinki w Rynku, w którym po lekcjach kupowaliśmy po 5 albo 10 dag cukierków pakowanych w torebki ze zwiniętego papieru pakunkowego (tzw. tytki). Przy ówczesnej ulicy Wolsztyńskiej (obecnie 27 Stycznia) czynny był też sklep ogólnospożywczy Królów oraz restauracja Kozłowskich (dziadków Macieja!).

W kolejnych latach niektóre sklepy zamykano, powstawały inne. W latach 40. funkcjonowała też wytwórnia wód gazowanych Jana Demianiuka produkująca bardzo dobre czerwone i żółte lemoniady.

W tamtych latach nie jeździły autobusy, ale kursowało wiele pociągów. Dworzec kolejowy z bufetem był też miejscem spotkań młodzieży. Ludzie stąd dojeżdżali do pracy i szkół w kierunku Sulechowa i Wolsztyna.

Ukończyłam siedmioklasową Szkołę Podstawową, następnie podjęłam naukę w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Wolsztynie – kierunku ślusarz mechanik. Potem pracowałam przez trzy lata w Poznaniu w Zakładach Hipolita Cegielskiego, jako frezer. Ze względów rodzinnych wróciłam jednak do miasta, założyłam rodzinę i wraz z mężem prowadziliśmy gospodarstwo rolne. Mamy dwoje dzieci. Mąż zmarł w 1998 r. Obecnie jestem na emeryturze, a gospodarstwo prowadzi syn.

Zanotowała: **Brygida Wróblewska**

# Leon Brambor

KARGOWA, UL. DOLNA

**U**RODZIŁEM SIĘ 28 CZERWCA 1929 R. W KARGOWEJ. Do 1945 r. Kargowa było to piękne i miodem płynące miasto. Działy tu dwa młyny, jeden na ul. Dworcowej, działający do dziś i drugi, obecnie kaszarnia na ul. Dolnej. Były dwie gorzelnie, pierwsza przy pałacu, druga na terenie obecnego zakładu Nestle. Istniała też bardzo nowoczesna mleczarnia, już wtedy zmechanizowana, z własną chłodnią. Ponadto działały dwa tartaki i dwa wiatraki, wiele sklepów i restauracji, słowem ludzie mieli tu pracę.

W czasie wojny funkcjonowała duża rzeźnia i dwa razy w tygodniu, w środę i sobotę, transporty kolejowe z mięsem jechały od nas do Niemiec, do Berlina. W październiku 1944 r. w budynku szkoły podstawowej (obecnie gimnazjum) został zorganizowany szpital wojenny, w którym w wieku 8 lat zmarł mój najmłodszy brat; był operowany na przepuklinę.

W styczniu 1945 r., gdy zbliżał się front, opuściliśmy nasz dom, stojący przy drodze żużlowej z Karszyna do Nestle. Z mamą i bratem udaliśmy się wozem zaprzężonym w trzy konie do Starego Kramaska. Tam nastąpiło pierwsze spotkanie z Rosjanami, około 28 stycznia. Po 14 dniach wróciliśmy do Kargowej. Nasz dom, w którym pozostał ojciec, aby pilnować dobytku, został spalony w trakcie działań wojennych wraz z zabudowaniami, oborą, chlewami i stodołą. Wtedy zajęliśmy dom opuszczony przez Niemców, gdzie do dziś mieszkam.

W trakcie działań wojennych w mieście zostało zniszczonych i spalonych dużo domów. W lutym 1945 r. w Kargowej zostało około 60 autochtonów. Gdzieś w marcu – kwietniu przyjechał do Kargowej nauczyciel ze Zbąszynia, pan Setny, pobierał młodzież autochtonowską, a było to około 30 osób i zaczęliśmy chodzić do szkoły na kursy wieczornie, uczyliśmy się pisać i czytać po polsku; miałem wtedy 16 lat. W kwietniu 1945 r. dowoziłem mleko do sklepu na Rynku, w którym sprzedawała Gertruda Kubiak. Codziennie woziłem 10 litrów mleka, ale jak długo to trwało, dziś nie pamiętam. Później powstał skup mleka w mle-

czarni, a zajmował się tym Jan Przybyła, agronom miejski. Skupował mleko, a następnie Brunon Kruszyński odwoził je na stację kolejową, skąd pociągiem jechało do Wolsztyna.

W mieście była komendatura rosyjska, dowódcą był oficer w stopniu majora. Współpracowali z nim jako prawa ręka Wincenty Żok oraz pan Nowotnik. Było też dwóch autochtonów – bracia Kubiakowie, którzy zajmowali się rolnictwem, to oni na polecenie komendanta zwoływali ludzi z końmi i wydawali dyspozycje co do uprawy pól. W mieście działała też straż miasta złożona z naszych ludzi, nosili opaski biało-czerwone, wśród nich byli pan Kaptur i Smerda. 9 maja 1945 r. ogłoszono zakończenie wojny, były wtedy kościelne dzwony i dzień ten był świętem dla wszystkich. Ludzie pracujący na polu zjechali do domów, aby świętować.

Od wyzwolenia pracowali młyn na ul. Dworcowej. Produkowali mąkę dla miasta i dla Rosjan. Maszyny napędzał lokomobil wytwarzający parę, ale do chłodzenia lokomobilu potrzebna była woda, którą dowożono w beczkach z Obrzycy. Mieśliśmy konie, więc na zmianę, po 12 godzin, z Grelakami z Górnej Wsi woziliśmy tę wodę. Przy tej pracy zginął mój brat, gdy konie przed przejazdem kolejowym spłoszyły się. Konie zostały odcięte przez lokomotywę i uciekły, a brat na wozie był pchany do stacji kolejowej. W wyniku odniesionych ran zmarł tego samego dnia. Od kwietnia Rosjanie rozbierali mleczarnię i gorzelnię, z których wcześniej wywieźli wyposażenie, częściowo rozebrali młyn na Dolnej.

W wyniku działań wojennych zniszczone zostały mosty. Kolejowy odbudowali Rosjanie, a most na Dąbrówkę kończyli już ludzie przywiezieni z Poznania, oni nawet mieszkali u nas. Kierownikiem budowy był Piechocki z Wolsztyna. Budulec przywożono wozami konnymi z Uścia i tak powstał drewniany most.

Nasze gospodarstwo liczyło 7 ha własnej ziemi i 10 ha z dzierżawy. Bardzo trudne czasy nastąpiły z chwilą obowiązkowych dostaw w latach 50. Musieliśmy oddać określoną przez państwo ilość zboża i ziemniaków, a zapłata, którą otrzymywaliśmy nie pokrywała kosztów produkcji.

Pierwszy traktor pojawił się około 1957 r., był to Zetor 25, otrzymaliśmy go my i Materna. Ciągnik został zakupiony w Żarach lub Żaganiu z przydziału Gminnej Spółdzielni. Miałem też pierwszy samochód osobowy w Kargowej, był to przedwojenny opel. W 1961 r. w mieście pojawiła się pierwsza taksówka. Była to Warszawa koloru czerwonego. Jeździłem nią 15 lat. Była bardzo przydatna, przywoziłem nią ludzi na pociąg lub ich odwoziłem na wioski. Świadczyłem też usługi dla biur państwowych. Najdłuższą trasę przejechałem do Raciborza na Górny Śląsk, byłem też w Częstochowie i Kamieniu Pomorskim. Raz nawet wyjechałem za granicę, do Berlina. Innym razem trafił mi się pasażer, który po przywiezieniu na miejsce wysiadł i powiedział, że pójdzie po pieniądze do babci, a on poszedł za stodołę i uciekł do drugiej wsi. Później, z pomocą dobrych ludzi, zwrócił mi te pieniądze. Z taksówki często korzystała mieszkająca w Zielonej Górze, a pocho-

dząca z Karszyna pani Głuskowa. Z czasem pojawiła się druga taksówka, jeździł nią Piotr Wajda, więc po 15 latach zrezygnowałem z tej pracy. Zająłem się tylko gospodarstwem, które później przekazałem synowi.

Zanotował: **Marek Balcerak**

**Karta żywnościowa**

KARTA ŻYWNOSCIOWA  
 DLA OBY ATELI MIASTA KARGOWEJ POWIAT SWIEBODZIN NA MIESIAC *szewiec/lipiec*  
 Nazwisko *Brambor Leon* ulica *Polna Wier* nr. *61*  
 Narodowość *Polak* ilość osób *5* w tym dzieci do lat 5

Chleb

18/16	19/16	20/16	21/16	22/16	23/16	24/16	25/16	26/16	27/16	28/16	29/16	30/16
4/2	5/2	6/2	7/2	8/2	9/2	10/2	11/2	12/2	13/2	14/2	15/2	16/2
2/2	3/2	4/2	5/2	6/2	7/2	8/2	9/2	10/2	11/2	12/2	13/2	14/2
1/8												

Mleko

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

Mięs i tłuszcz

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

Rozne

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

Kargowa, dnia *18. VII* 1945

Burmistrz  
m. Kargowa pow. Świebodzki





**Reichskarte für Urlauber**

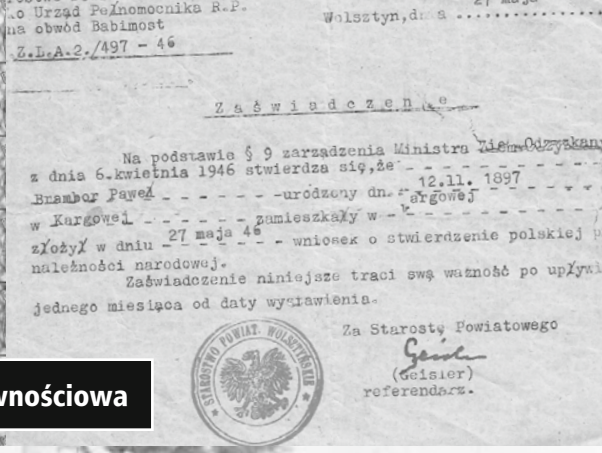
Gültig im deutschen Reichsgebiet

Ausgebestellt EA: \_\_\_\_\_

Name: \_\_\_\_\_

Wohnort: \_\_\_\_\_

Ohne Namensentzug ungültig! Nicht übertragbar! Sorgfältig aufbewahren!  
Abtrennen der Einzelabschnitte nur durch Klebvertreiber, Gashäfen usw.



Zaświadczenie

Na podstawie § 9 zarządzenia Ministra Wsch. Odzyskania  
z dnia 6. kwietnia 1946 stwierdza się, że  
Brambor Paweł ----- urodzony dn. 12.11. 1897  
w Kargowej ----- zamieszkały w Kargowej  
złożył w dniu 27 maja 46 ----- wniosek o stwierdzenie polskiej  
mniejszości narodowej.  
Zaświadczenie niniejsze traci swą ważność po upływie  
jednego miesiąca od daty wystawienia.



Za Starostę Powiatowego

*Geisler*  
(Geisler)  
referendarz.

**Niemiecka karta żywnościowa**

**Pierwszy samochód Leona Brambora**



**Korowód dożynkowy.  
Rynek od strony apteki.**





# Manfred Brudło

## KARGOWA, UL. ZAMIEŚCIE

**U**RODZIŁEM SIĘ W KARGOWEJ W 1932 R. Dom na ulicy Zamieście to mój dom rodzinny. Były dwie szkoły, miejska na ul. Szkolnej, a wiejska na ul. Babimojskiej. Chodziłem na ul. Babimojską, gdzie uczęszczali mieszkańcy Kargowej Dolnej, Górnej i Zamieścia.

W roku 1945, gdy zbliżał się front, a Niemcy obawiali się dużych walk na tym terenie, wysiedlono nas w okolice Cottbus. Zapakowaliśmy się do pociągu z dobytkiem; wzięliśmy tyle, ile mogliśmy unieść, odzieży i żywności. Ze mną wyjechała mama, babcia siostra i najbliżsi krewni. Nie wszyscy wyjechali, pozostała nasza sąsiadka Marta Torge z całą rodziną. Później, jako Niemka, musiała opuścić dom, aby mogli zamieszkać w nim repatrianci ze wschodu. Po zakończeniu wojny, latem, wracaliśmy do Kargowej z dobytkiem, który zapakowaliśmy na wózek. Szliśmy pieszo dwa tygodnie. Gdy dotarliśmy na miejsce nasz dom był częściowo spalony (jeden z pokojów i schody na poddasze), ale zamieszkaliśmy w nim. Opuszczaliśmy miasto niezniszczone, a po powrocie wiele domów było zdewastowanych i spalonych. Na przeciwko mojego domu funkcjonowała restauracja, z której nic nie pozostało. W Rynku też wiele domów zostało spalonych. Ponadto dwa domy (z trzech) na ul. Wolsztyńskiej, w których mieszkali pracownicy straży granicznej. Później po remoncie zamieszkali tam pracownicy PGR-u. Na boisku została spalona hala gimnastyczna, która była jedną z najnowocześniejszych, a została zbudowana, gdy Hitler doszedł do władzy. To była super hala, jak na tamte czasy! Została spalona, gdy front był już za Odrą, tak wspominali ci, którzy pozostali.

Na Rynku mieściła się komendantura radziecka. Rosjanie byli tu ze dwa lata, aż do chwili, gdy powstał posterunek Milicji Obywatelskiej, który przejął obowiązek utrzymania porządku w mieście. W tym czasie mieliśmy kartki na chleb, masło i jajka. Chleb był pieczony w piekarni wojskowej mieszczącej się w okolicach dzisiejszego GS-u.

Gdy wróciliśmy do Kargowej zastaliśmy tu pierwszych repatriantów. Miałem wtedy 13 lat, posługiwałem się językiem niemieckim i jesienią poszedłem do szkoły. W szkole uczyli się razem autochtoni, repatrianci ze wschodu i poznaniacy. Lekcje odbywały się po polsku, ale nauczyciele czasem musieli mówić po niemiecku abyśmy wszyscy zrozumieli. Do szkoły chodziłem dwa lata, żeby skończyć szóstą klasę. Nauczyciele mówili nam: róbcie siódmą klasę, ale ja poszedłem do pracy, żeby coś zarobić. Później robiłem kursy i ukończyłem klasę siódmą. Do szkoły ze mną chodzili Molenda, Sempoch, Lorenc z ul. Kościuszki. Do pracy poszedłem do fabryki cukierków, która przed wojną była własnością rodziny żydowskiej, a po wojnie do czasu nacjonalizacji, należała do pana Wojciechowskiego z Poznania. Potem pracowałem w „Dąbrówce”, a następnie „Gopłanie”. 40 lat byłem gotowaczem masy cukierniczej. Praca była ciężka, wszystko robiło się ręcznie, kobiety zawijały cukierki ręcznie. Płacono nam w akordzie. Pracowało wtedy nawet do 600 osób.

Od 1949 r. grałem w orkiestrze dętej, prowadził ją Jan Reiner. Było nas około 15 osób. Graliśmy na wszystkich akademiach i na pochodach pierwszomajowych, które przechodziły ulicami Sulechowską, Marchlewskiego, Dworcową, Kościuszki i na Rynek. Raz tylko pochód szedł wokół Rynku, ponieważ była straszna ulewa. Graliśmy też na procesjach Bożego Ciała. Później orkiestra została rozwiązana, a instrumenty musieliśmy zwrócić do domu kultury, który był ich właścicielem.

Po wojnie ludzie lubili się bawić, więc odbywały się różne bale, zabawy, a latem majówki. Bale sylwestrowe były co roku, czasem nawet trzy jednocześnie. W domu kultury, w obecnej restauracji „Maraton”, a trzeci w kawiarni pana Kozłowskiego na ul. 27 Stycznia; teraz mieści się tam sklep zoologiczny. Słynne też były bale maskowe, na które zjeżdżali się ludzie ze wszystkich stron. Zakupy robiło się w bufecie, który był zaopatrzony w alkohol i zagrychę. Zabawy organizowały różne organizacje takie jak Klub Sportowy czy ORMO, a dochód był przeznaczony na ich działalność. Zaraz po wojnie istniały dwie drużyny piłki nożnej, grali w nich razem młodzi chłopcy i dorośli mężczyźni tacy jak Leon Wienke, pan Przymuszała i Koprowicz, który był bardzo dobrym obrońcą. Mecze odbywały się często, a przyjeżdżały do nas drużyny z Wolsztyna, Bojadef i Kramska.

Zanotowali: **Anna i Marek Balcerakowie**

# Krystyna i Bronisław Burdziejowie

SMOLNO WIELKIE

**K**RYSTYNA BURDZIEJ URODZIŁA SIĘ W 1941 R. W LUBLINIE. Jej rodzicami byli Feliksa i Paweł. Pan Bronisław urodził się w 1933 r. w miejscowości Pożniakowszczyzna w gminie Rożanka w powiecie szczuczynskim, woj. nowogródzkie.

Pan Bronisław wyjechał na ziemie zachodnie na wigilię Bożego Narodzenia 1945 r., a przyjechał do Smolna Wielkiego w święto Trzech Króli, czyli 6 stycznia. Przypomina sobie, że Polacy mieszkający na terenach obecnej Białorusi, którzy zgodzili się przyjąć obywatelstwo radzieckie (wtedy nie było jeszcze państwa Białoruś), nie mieli żadnego nakazu wyjazdu do Polski. Jednak większość zdecydowała się wyjechać. Bronisław Burdziej pamięta, iż po przyjeździe do Smolna większość domów zastał już zajętych. Zamieszkał wraz z rodzicami w obejściu, w którym mieszka do dzisiaj. Burdziejowie mieli spore gospodarstwo rolne (ok. 19 hektarów). Przypomina sobie, że pierwszym znanym mu zawiadowcą stacji kolejowej był ojciec Romana Kupriańczyka. W mieszkaniu nad stacją PKP mieszkali panowie Różycki i Szmatuła, obaj pracowali na stacji. Bronisław również związany był z koleją, gdyż w latach 1967–1970 pracował na przejeździe kolejowym w Okuninie jako dróżnik.

B. Burdziej wspominał, że zaraz po wojnie jego ojciec, Wincenty, dostał nakaz remontu części ich domu (tej, gdzie była później klubo-kawiarnia), bo był podniszczony. Z powodu braku pieniędzy pan Wincenty remontu nie zrobił, wobec czego gmina przejęła obiekt w swe posiadanie i wyremontowała go. Takie były wtedy czasy – chodziły po wsi komisje porządkowe, które wydawały nakazy likwidacji zniszczonych obiektów, bądź nakazywały je remontować. To był też sposób na przejęcie w majestacie prawa lokalu czy domu. Trzeba wspomnieć też, że jeśli ktoś nie podporządkował się decyzji takiej komisji, mógł zostać surowo ukarany. I tak też było z ojcem Bronisława Burdziej.

W ten sposób powstała klubo-kawiarnia. Rozpoczęła swą działalność w 1951 r. Pierwszą osobą, która nią kierowała i jednocześnie w niej sprzedawała została Halina Stasik. Kolejne osoby prowadzące ten lokal to: Elżbieta Zakrzewska, Stefania Pigłas, Krystyna Wenne (później jako Rusiecka), Jadwiga Kulikowicz, pani Kanoniuk. B. Burdziej zapamiętał, iż klubo-kawiarnię budowała firma Bronisława Modrzyka z Kramska. Materiał na budowę przywożono z rozebranej w tym czasie ponemieckiej fabryki papierosów w Karszynie. W budynku klubo-kawiarni istniała biblioteka prowadzona przez byłą nauczycielkę i dyrektorę szkoły w Smolnie – Weronikę Janczałek. W latach 70. bibliotekę przeniesiono do budynku Lachowiczów (obecne mieszkanie Kamińskich). Po tym czasie, gdy już zlikwidowano klubo-kawiarnię, bibliotekę przeniesiono do jednego, dużego pomieszczenia po klubo-kawiarni. Pracowała tam Szymańska. A gdy zlikwidowano Szkołę Podstawową, to w jednej z klas na parterze znalazła się biblioteka. Funkcjonuje do dzisiaj.

Burdziejowie pamiętają, że jednym z sołtysów Smolna był Bykowski, który później zamieszkał w Smolnie Małym. Przez jakiś okres, idzie na pewno o lata 50., sołtysi zmieniali się co dwa tygodnie. Działo się tak dlatego, że nie można było wyłonić kandydata na sołtysa; brakowało chętnych. Wobec tego postanowiono, że tę rolę mają pełnić różne osoby co dwa tygodnie. Miało to formę dyżurów. Eksperyment się nie powiódł. Trzeba wspomnieć, że kiedyś był taki zwyczaj (a może przepis?), że sołtysiem mógł być tylko rolnik.

Burdziejowie wspominają, że tartak, a właściwie to, co po nim zostało, rozebrano w około roku 1950. Podobny zresztą los spotkał inne obiekty, które stały opuszczone. Dlatego nie ma dziś po nich śladu. Np. tam gdzie stała leśniczówka (faktycznie było to normalne gospodarstwo z zabudowaniami gospodarczymi) pozostały jedynie fragmenty fundamentów, których już nawet dobrze nie widać, gdyż są zarośnięte. Obok była przepompownia. Podobno jeszcze po 1945 roku stała tam budka. Dzisiaj w tym miejscu zostały jedynie fragmenty murów.

Kolejne gospodarstwo, które zostało doszczętnie zniszczone i rozebrane znajdowało się w pobliżu obecnych stawów koło torfowiska w kierunku na Kargowę, przy głównej szosie. Następny dom, o którym wiedzieli moi rozmówcy, stał z tyłu sklepu Klujów.

Jeśli chodzi o wspomnienia na temat straży pożarnej, to pan Bronisław przypomina sobie, że na pewno pierwszym komendantem miejscowej OSP był Jan Stróżyński, który zresztą był też sołtysiem. Po nim komendantem został Izydor Stasik, który funkcję tę pełnił przez wiele lat. Po nim prawdopodobnym komendantem był pan Władysław Pańczyszyn (mieszkający dziś w Sulechowie), a prezesem straży Józef Kostański. W czasie ich kadencji kierowcą wozu strażackiego był B. Burdziej. Jako pierwszy przyprowadził z Międzyrzecza samochód strażacki – Star 25. Po nim funkcję kierowcy przejął Antoni Pławski. Następcą Pańczyszyn-

na został Czesław Konopacki, a kierowcą w tamtych czasach był Ryszard Wintoniak. Mowa o latach 80. Schedę po Konopackim przejął obecny komendant straży, Józef Gąsiorowski.

B. Burdziej przypomina sobie, że we wsi było dwóch szewców. Pierwszym był Tomczak, który jeszcze podobno na wschodzie miał swój zakład i uczniów, których szkolił w tym zawodzie. Jako drugi szewc został zapamiętany Franciszek Włosek, który do dzisiaj ma niektóre narzędzia i sprzęty szewskie.

Na placu, gdzie stoją dwa bloki mieszkalne pracowników byłego PGR, po wojnie znajdowało się kilka budynków gospodarczych i domy mieszkalne. Przez dłuższy czas było tam gospodarstwo pani Śrutwowej. Później podupadło, a może zostało sprzedane gminie. W każdym bądź razie, później w tym miejscu wybudowano wspomniane wyżej bloki mieszkalne.

Zanotował: **Józef Pławski**



**B. Burdziej (z prawej), obok Edward Wenne w Smolnie Wielkim**



**Częstochowa - matka  
T. Danuty Czerw na wprost  
w chusteczce**

# Teresa Danuta Czerw

CHWALIM - KARGOWA

## — Z jakiej miejscowości pani pochodzi?

— Urodziłam się ur. 21 grudnia 1939 r. we wsi Pruchenki, wtedy to było województwo warszawskie, powiat siedlecki. Tam mieliśmy dom gliniany; obecnie go już nie ma. Mieliśmy ciężkie warunki do życia, szczególnie, że tata zmarł w 1942 r. Został w Pruchenkach pochowany. Tam także pochowany jest mój brat, Lucjan Sójka, który zmarł dwa tygodnie po ojcu. Obaj zmarli na grypę.

Zostaliśmy z mamą, Wiktoria Sójką – bracia: Roman, Marian, Wiktor, Henryk i siostry: Zofia i Maria. Z Pruchenek przyjechalśmy do Chwalimia w 1945 r., chyba jesienią. Na ziemię odzyskane przyjechalśmy pociągiem. Z Pruchenek ktoś, nie pamiętam kto, zawiózł nas furmanką, właściwie wozem drabiniastym na żelaznych kołach, na stację w Siedlcach. Miałam sześć lat, nie pamiętam, co ze sobą zabraliśmy. Podróż trwała około dwóch tygodni. Pamiętam tylko, iż bardzo się przeziębiłam, na nogach miałam okropne wrzody. W pociągu mama nie mogła nic z nimi zrobić. Dopiero gdy już byliśmy w Chwalimiu mama smarowała je masłem i maścią, ale nie z apteki, tylko własnoręcznie zrobioną. Pociąg przyjechał do Wolsztyna i znów ktoś nas przywiózł do Chwalimia, chyba wozem drabiniastym.

Zasiedliliśmy dom, który stoi do dziś. Wtedy miał nr 6, obecnie nie wiem. Ten dom znajduje się obok transformatora. Był z czerwonej cegły, kryty dachówką, miał dwie kuchnie, trzy pokoje, dwie skrytki. Jakby dwa mieszkania. Pamiętam, że jeden pokój był pomalowany na zielono, drugi w kolorze kakao. W kuchniach były piece kuchenne, a w pokojach kaflowe. Zachowały się zresztą do dziś. W sieni i w kuchni była posadzka, także zachowana. Zachowało się też trochę mebli. Pamiętam kredens i fotel, w którym siadała mama. Reszta została wcześniej wyszabrowana.

## — Jakie ma pani wspomnienia z codziennego życia?

— Mama gotowała nam zupę z dyni z zacierkami. Nie pamiętam czy mieliśmy jakieś zwierzęta, na pewno były kury. Dostaliśmy dwa konie z UNRRY i pamię-

tam, że była krowa. Mama robiła masło, ale to było masło na sprzedaż, żeby mieć trochę grosza na bieżące potrzeby. Raczej jadaliliśmy chleb z wodą i cukrem lub ze śmietaną i cukrem. Chleb piekła mama w piecu chlebowym, który był w piwnicy. Piekło się na własnym zakwasie, mama sama robiła rozczyn. Ciasto na chleb wyrabiało się ręcznie w drewnianych nieckach, dzieżach. Zboże na mąkę woziliśmy do młyna w Klenicy, ale był też młyn w Smolnie Małym, obecnie to ten zrujnowany zajazd.

— **Jak funkcjonowało gospodarstwo?**

— Pamiętam, że dzielono ziemię między gospodarzy, ale lepszą ziemię otrzymywali ci, u których mieszkali mierniczowie. Mój brat Roman upomniął się na zebraniu wiejskim o ziemię dla nas, dla mamy, która powinna dostać kawałek ziemi lepszej klasy, bo była wdową. Za to został później pobity i okaleczony nożem, miał dziewięć dziur w głowie. Ledwie zdołał ująć z życiem. Mimo, że było wiadomo kto to zrobił, nie doszło do procesu. Po prostu bandyci wykupili się łapówkami.

Ponieważ otrzymaliśmy ziemię słabej klasy sialiśmy przeważnie łubin na nawóz, bo nie było obornika. Sialiśmy potem żyto, które żęło się sierpem. W późniejszym okresie kosą i potem żniwiarką. Wszyscy pracowaliśmy w polu, bracia Marian i Roman wykorzystując te dwa konie z UNRRY. Pracowali też w okolicach Zielonej Góry, wyciągali koźmi drzewo z lasu. Siostra znalazła zatrudnienie w Zielonej Górze w fabryce wełny. Marysia poszła się uczyć do Sulechowa, nawet zaczęła studiować prawo, ale wyszła za męża i przerwała naukę. Osiadła w Sulechowie i pracowała w prezydium.

— **Czy pamięta pani z kim nawiązaliście znajomości, przyjaźnie?**

— Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną Gmosińskich. Pomagaliśmy sobie po sąsiedzku w gospodarstwie, w polu, odwiedzaliśmy się. Gdy mój brat, Henryk, w wieku 26 lat zachorował na gruźlicę, pani Franciszka Gmosińska opiekowała się nim wraz z moją mamą. Leżał w jednym z pokojów, ale nikt, oprócz mamy i pani Gmosińskiej, nie mógł tam wchodzić. Po prostu mama zabraniała. W drzwiach tego pokoju u góry były takie okienka i my przez te okienka zaglądaliśmy do brata. Raz w miesiącu zawoziliśmy go bryczką do prześwietlenia do Wolsztyna. Mieliśmy dwie bryczki. Bracia skądś je przywieźli i wyremontowali. Pamiętam, że siedzenia obite były pluszowym materiałem w zielonym i czerwonym kolorze.

— **Jak wyglądała wtedy wieś?**

— Był jeden sklep był u Kłysa, a drugi mniejszy, u Meisnera, obecnie dom państwa Michalaków. Chodziło się tam po najpotrzebniejsze produkty. Nie pamiętam, żeby mieszkał tu ktoś z byłych mieszkańców, nie było Niemców ani Rosjan. Nie pamiętam także, aby byli Żydzi. Pewnego razu w sklepie u Kłysa zdarzyła się



strzelanina. Rzekomo byli to partyzanci. Nie pamiętam, kto sprzedawał. Weszli do sklepu, zabrali jakieś produkty i uciekli do lasu, jak to się u nas mówiło „w góry”. Przyjechała milicja z Kargowej, ale doszli do lasu i zawrócili, po prostu strach było dalej wchodzić. Po tym zdarzeniu we wsi pojawił się stróż, pan Sieradzki, który całą noc chodził po wsi i pilnował, żeby nic się nie stało. Pilnował od pożaru, napaści, kradzieży. Przekazywał też ogłoszenia władz. Opłacała go gmina.

Gdy miałam około 12 lat wydarzył się wypadek. Zakręt w centrum wsi był wtedy o wiele ostrzejszy. Dwaj mężczyźni jechali motorem z Sulechowa do Kargowej, tam popili i wracali z powrotem przez Chwalim. Przypomnieli sobie, że zostawili jakąś torbę w Kargowej i postanowili po nią wrócić. Rozbili się na słupie przy krzyżu. Uderzenie było tak potężne, że na słupie odbiła się twarz jednego z nich. Widziałam ten wypadek i przybiegłam do domu w szoku. Pamiętam, że bardzo bolała mnie głowa. Potem zaczęto niwelować ten zakręt. Tam zresztą wydarzyły się jeszcze kolejne wypadki śmiertelne.

We wsi stały dwa krzyże, które są w tych samych miejscach do dziś. Odbywały się tam nabożeństwa majowe z udziałem mieszkańców, w większości kobiet.

#### — Jak bawiły się, spędzały czas dzieci?

— Chodziliśmy do Szkoły w Chwalimiu. Prowadziło ją małżeństwo Grzymałowie. Mieszkali w szkole. Na dole budynku były dwie sale, uczyły się w nich cztery klasy, ale łączone. Ławki poniemieckie z otworem na kałamarz z atramentem. Uczyliśmy się czytać, pisać i rachować. Raz nie odrobiłam lekcji i dostałam linijką po rękę tak, że aż mi spuchła. Ale nie skarżyło się na nauczycieli w domu, bo mama by jeszcze poprawiła. Rodzice skądś organizowali zeszyty i podręczniki, chyba był przydział, ale najczęściej to jeden czy dwa zeszyty do wszystkich przedmiotów na cały rok. Książka była jedna na kilku uczniów.

Organizowane były akademie z okazji np. 1 Maja. Nauczyciele wybierali zespół dzieci do udziału w akademii. Pamiętam przedstawienie teatralne pt. „Staś i strach”. Były też organizowane jasełka dla mieszkańców wsi.

W domu trzeba było pomagać – paść krowy, gęsi, chodzić w pole. Brało się butelkę z mlekiem, kromkę chleba i szło się na cały dzień z krowami. Bawiliśmy się wtedy z innymi dziećmi, piekliśmy kartofle w ognisku. Lubiliśmy także chodzić nad jeziorko. Był tam dwupiętrowy poniemiecki dom, chyba jakiś pensjonat, a w nim pokoje i początkowo nawet meble. Później chyba je wywieziono. Pamiętam też, że przyjeżdżali tam jacyś leśnicy, myśliwi i gajowi na przyjęcia, zabawy. My, jako takie podlotki, biegałyśmy tam i podpatrywałyśmy te zabawy. W jezioro wpuszczony był pomost, na którym tańczono. Wokół rosły przepiękne drzewa owocowe, brzoskwinie, morele i krzewy winorośli.

Przy jeziorku biło źródło, w którym nabierało się do butelek bardzo smacznej i czystej wody. Latem kąpaliśmy się w rzece, w zasadzie nie pilnowali nas

dorośli. Każdy musiał się sam pilnować. W tej rzece matki robiły pranie latem i zimą, prały kijankami i płukały bieliznę w wodzie. Pamiętam, że były trzy mosty, które znajdowały się w tych samych miejscach, co obecnie.

Chodziliśmy też na „niemiecki cmentarz” za wsią. Początkowo był zadbane, groby miały kamienne płyty pomniki, były ogrodzone kutymi w żelazie płotkami. Cmentarz też był ogrodzony. Później wszystko rozkradziono.

Świetlica mieściła się w stodole. Gdy byłam już starsza chodziło się tam na potańcówki. Najczęściej w sobotę i niedzielę, ale w tygodniu też. Z Małego Smolna przyjeżdżał grajek i grał na akordeonie. Bawiliśmy się najczęściej do północy lub do pierwszej w nocy, nie dłużej, bo rano trzeba było wstawać i pomagać w gospodarstwie. Do świetlicy przyjeżdżało objazdowe kino i chodziliśmy na filmy, najczęściej produkcji radzieckiej. Pamiętam film pt. „Czterdziesty pierwszy”.

Na mszę świętą chodziło się do kościoła w Kargowej, do „małego” kościoła pod wezwaniem św. Wojciecha. Proboszczem był ksiądz Jan Megier, ale przed nim chyba niemiecki ksiądz. Gdy ktoś we wsi zmarł ciało pozostawało w domu. Mieszkańcy schodzili się na różaniec i śpiewali pieśni za zmarłych, żałobne. Gospodyni przygotowywała posiłek i najpierw częstowało się tych, którzy przyszli, a swoich na końcu. Potem odprowadzało się całą wsią zmarłego na cmentarz w Kargowej. Stypy także odbywały się w domach.

W Adwencie kobiety chodziły do sąsiadów na darcie pierza. Śpiewało się, opowiadało historie z przeszłości, żartowało. Zdarzało się często, że młodzi chłopcy wpuszczali dla kawału wróble, które robiły zamieszanie i pierze wszędzie fruwało.

Całą wsią chodziło się na pola zbierać stonkę ziemniaczaną do butelek. Ludzie w ten sposób pomagali sobie.

— **Czy pamięta pani jakieś ciekawe wydarzenie?**

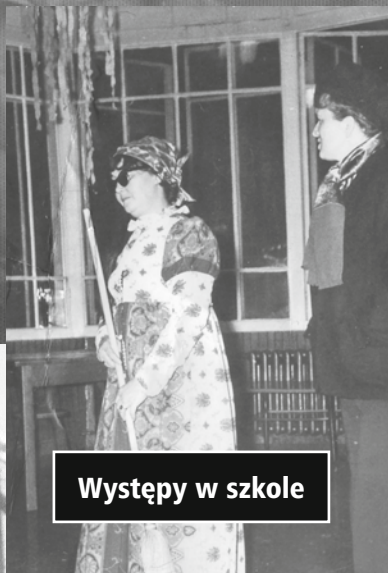
— Pamiętam, że przez wieś przejeżdżał Jurij Gagarin. Mieliśmy wtedy przykazanego odgórnie, że każdy ma wysprzątać gospodarstwo. Miało to być sprawdzane. Pamiętam, że kazano nawet umyć świnie w szamponie. Gagarin jechał w odkrytym samochodzie, ludzie stali wzdłuż drogi, a młodzież wybiegła na krzyżówkę do Wojnowa, bo tam się zatrzymał. Jechał z Wolsztyna do Zielonej Góry.

Gdy miałam 17 lat wyszłam za mąż i wyprowadziłam się do Kargowej, gdzie obecnie mieszkam.

Zanotowała: **Beata Kozubska**



**Pochod pierwszomajowy  
– mąż T. D. Czerw z synem na  
pierwszym planie**



**Występy w szkole**

**Warszawa – dożynki, wyjazd  
z Chwalimia, r. 1955.  
Pani Teresa Danuta Czerw  
pierwsza z lewej.**





**Ślub państwa Czerw (zdjęcie  
robione tydzień po ślubie)**



**Ślub – 17.XI.1956 r.**



# Józefa Halina Ćwiertniewska

KARGOWA, UL. WOLSZTYŃSKA

— **W którym roku przyjechała pani do Kargowej i skąd?**

— Przyjechałam w lipcu 1945 r. z Brześcia nad Bugiem z rodzicami – nazwisko Chalimoniuk – i rodzeństwem. Najpierw trzy miesiące mieszkaliśmy w Wolsztynie i tam ukończyłam klasę czwartą, ale rodzice nie chcieli tam zostać i ostatecznie zamieszkaliśmy w Kargowej przy ulicy Wolsztyńskiej 5. Dom otrzymaliśmy w ramach rekompensaty za dobytek, zostawiony za Bugiem.

— **Pierwsze wrażenia?**

— Och, Kargowa była zniszczona, dużo spalonych budynków. Początki były bardzo trudne, ale 1 września 1945 r. rozpoczęłam naukę w piątej klasie szkoły podstawowej. Wychowawcą klasy został Józef Samol, nauczyciel z Leszna, kierownikiem szkoły zaś był Tomasz Setny. Samol założył PCK i prowadził chór szkolny. W szkole uczył też Edward Rabięga, który posiadał stopień harcistrza ZHP i to on przygotował mnie do prowadzenia drużyn harcerskich. 1 stycznia 1948 r. złożyłam przyrzeczenie harcerskie i założyłam drużynę żeńską im. Marii Konopnickiej. Harcerki nosiły chusty koloru żółtego z brązową otoczką. Męską drużynę

im. kpt. Więckowskiego prowadził druha Jan Jaszczuk, harcerze nosili chusty czarne z niebieską otoczką. Harcerstwo prowadziłam do 1980 r. 1 kwietnia 1960 r. zdobyłam stopień podharc mistrza. Należeliśmy do Komendy Hufca w Sulechowie. Komendantem wówczas był Józef Królak. Współpracowaliśmy z drużynami z Babimostu, organizowaliśmy wspólne obozy harcerskie pod nazwą „Bab- Kar”. Na obozy harcerskie wyjeżdżaliśmy m. in. w Jeleniej Górze, trzykrotnie nad morze, nad Jezioro Linie, nad Jezioro Głębokie. Złoty i uroczystości odbywały się na Liniach, w Uściu i w Krośnie Odrzańskim, w Sulechowie, Zielonej Górze. Drużyny liczyły po 60 osób. Jako pierwsi w województwie zielonogórskim mieliśmy sztandar.

— **A jak trafiła pani do domu kultury?**

— W 1959 r. za prężną i owocną pracę w harcerstwie zaproponowano mi stanowisko kierownika Miejskiego Domu Kultury. Wspominając początki kultury muszę powiedzieć, iż pierwszymi organizatorami i kierownikami placówki byli panowie: Grześkowiak, Sójka, Adrianna Krochel. Po niej objęłam funkcję kierownika. Placówka na początku mieściła się w kinie Światowid, dopiero w 1963 r. przeprowadziliśmy się do obecnego gmachu Gminnego Ośrodka Kultury i działaliśmy tu do 1979 r. Wtedy rozpoczął się remont na ul. Browarnej i przeniesiono nas do 1980 r. do pomieszczenia zastępczego na ul. 27 Stycznia, gdzie obecnie mieści się agencja PKO.

— **Jak wspomina pani lata pracy w kulturze?**

— W domu kultury działały różne kółka i zespoły. Na przykład zespół teatralny, w działalność którego angażowali się społecznie nauczyciele Andrzej Wasielewski, Janina Wróblewska i pracownicy zakładów, Janina Dębska, Feliks Chudzik. Nasz teatr często był kwalifikowany przez Wojewódzki Przegląd Teatrów Amatorskich do reprezentowania Ziemi Lubuskiej na przeglądzie Miejskich Teatrów Amatorskich we Wrocławiu, Łodzi, Polanicy Zdroju i Kudowie Zdroju. Naszym konsultantem w sprawach teatralnych była znana aktorka Halina Lubicz, która przyjeżdżała z Michałem Kaziowem. Ważniejsze sztuki teatralne, które przygotowaliśmy to „Pałac Sprawiedliwości” Wydrzyńskiego, „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego i „Most” Szaniawskiego, „Zagłoba swatem” Sienkiewicza.

Oprócz teatru działała orkiestra dęta, opiekował się nią Jan Reiner, było kółko recytatorskie, działał zespół instrumentalny, który prowadził Andrzej Apolinariski, kółko brydżowe, szachowe oraz tenisa stołowego, prężnie działał zespół taneczny, prowadzony przez Adę Krochel. W domu kultury odbywały się też zajęcia Uniwersytetu Powszechnego. Co roku obchodzono Dni Chopinowskie- odbywały się wtedy koncerty. Raz w miesiącu odwiedzał nas Lubuski Teatr. Młodzież działająca w domu kultury ubarwiała zawsze pochody pierwszomajowe, uczestniczyła we wszystkich imprezach państwowych, akademiach, pochodach.

Warto wspomnieć, iż na Liniach podczas wakacji odbywały się turnieje miast, Babimostu z Kargową, gdzie prezentowały się różne zespoły. Na Rynku zaś odbywały się zabawy taneczne po każdej uroczystości, również bale maskowe dla dzieci i dorosłych.

— **Czy może pani wymienić znane postacie świata artystycznego, które odwiedziły nasze miasteczko w tamtych latach?**

— Trubadurzy, Framerowie, Wojciech Młynarski, Irena Dziedzic, Czerwone Gitary, Ignacy Gogolewski, Bogdan Łazuka, zespół „Termno”, Mieczysław Fogg, Wesoly Autobus.

— **A czy pamięta przejazd Jurija Gagarina?**

— Tak pamiętam, staliśmy z zespołami z domu kultury na Rynku, wzdłuż jego trasy przejazdu z lotniska w Babimoście do Zielonej Góry.

— **Podziękowano pani za tę pracę?**

— Za pracę w kulturze zostałam dwukrotnie wyróżniona odznaką Zasłużony Działacz Kultury oraz odznakę honorową za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego oraz Złotym Krzyżem Zasługi. Z okazji 35-lecia pracy zawodowej i społecznej w dziedzinie kultury otrzymałam list gratulacyjny od wojewody zielonogórskiego. Cała moja działalność w harcerstwie i domu kultury jest zapisana w kronikach Gminnego Ośrodka Kultury w Kargowej.

Rozmawiał: **Kamil Kwiecień**

KOMITET MIEJSKI I GROMADZKI

zaprasza

ob. .... na

UROCZYSTĄ AKADEMIE

poświęconą obchodom 52 rocznicy

Wielkiej Socjalistycznej

Rewolucji Październikowej

Akademia odbędzie się dnia 8 listopada br.

(sobota) o godz. 18 w miejsc. kinie „Światowid”

Wstęp za okazaniem niniejszego zaproszenia i biletu.

KOMITET ORGANIZACYJNY.

PROGRAM:

1. — Referat okolicznościowy
2. — Wręczenie odznaczeń
3. — Wyświetlenie filmu.

PROGRAM SESJI

- 1) Referat okolicznościowy
- 2) Projekcja filmu pt. „PAN WOŁODYJOWSKI”

Zalączony bilet wstępu

ważny tylko łącznie z niniejszym zaproszeniem.

MIEJSKI KOMITET

Organizacyjny Obchodów XXV-lecia PRL

zaprasza

Ob. *Józefa Ćwiertniewska*

na

UROCZYSTĄ SESJĘ

MRN i MKFJN,

która odbędzie się

w dniu 20-go lipca br. o godz. 18-tej  
w sali kina „ŚWIATOWID”

KOMITET ORGANIZACYJNY.



MINISTER KULTURY I SZTUKI  
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ  
LUDOWEJ

Legitymacja

Nr ~~2057-05-83~~

ODZNAKI  
«ZASŁUŻONY  
DZIAŁACZ  
KULTURY»

Warszawa, dnia 17.V.1983 r.

Ob. Józefa

ĆWIERTNIEWSKA

został[a] wyróżniony[a]  
odznaką

ZASŁUŻONY  
DZIAŁACZ  
KULTURY



MINISTER  
KULTURY I SZTUKI



# Janina Dębska

KARGOWA, UL. SULECHOWSKA

**P**RZYJECHAŁAM Z ŁODZI, TU SPOTKAŁAM CIOCIĘ, która pracowała tu w czasie okupacji. Pochodzę z Warszawy, ale nie miałam do czego wracać, rodzice zginęli w czasie wojny. Zostałam z cicią. Zaczęłam pracę przy cukierkach, przy zawijaniu. Kierownik wysłał mnie do szkoły, pracowałam w laboratorium. Pani dyrektor organizowała teatry, myśmy uświetniały życie w Kargowej. W kilku sztukach grałam. Pani dyrektor starała się stworzyć zespół, pierwsza piosenka, którą zaśpiewałam to „Warszawo, ty moja Warszawo”. Zespół pieśni i tańca tańczył, a ja w trakcie występów śpiewałam.

Zanotował: **Dariusz Wróblewski**

21  
Główny Pełnomocnik  
Головний Уповноважений

Тимчасового Рządu Narodowego  
Тимчасового Національного Уряду

Rzeczypospolitej Polskiej  
Польської Республіки

13. czerwiec 1943

N 146

Wydano obywatelowi  
Дано громадянину

mieszkańcowi wsi (miasta)  
жителю села (міста)

na dowód, że za zezwoleniem Głównego  
... він за дозволом Голови

...orium U  
...iki p

Ilka

...ubstę do

województwa,  
воеводства Польщі.

Wraz z nim ewakuuje się następujący ...  
З ним евакууються такі члени і ...

...dziny:

Nazwisko, imię, imię ojca Прізвище, ім'я та по батькові	Stosunek do rodziny Відношення до голови сім'ї	... Miejsce, narodziny.
Bobamatczuk Petronela s. Józefa żona		1905
Bobamatczuk Karolina s. Józefa córka		1937
Brardowska Maria s. Ilka siostra		1917
Brardowski Józef s. Józefa kuzyn		1939 8.29

23.

30/48

ATA EWAKUACYJNA

Евакуаційний лист

Bobamatczuk Petronela s. Józefa

Bobamatczuk Józef s. Józefa ur. 1906 g.  
року народж.

Radomsko

obwodu  
області

...ownika Tymczasowego Rządu Naro-  
...ważonego Tymчасового Національ-

SRR

z teritorii Ukrainy RCP.

...ro  
...волости

# Karolina Drzymać

KARSZYN

**U**RODZIŁAM SIĘ W GRUDNIU 1937 R. W ŻURAKACH, powiat Nadwórna, woj. stanisławowskie. Wieś Żuraki jest malowniczo położona u podnóża Karpat, przez środek przepływa rzeka Bystrzyca. Mieszkańcami wioski byli wtedy ludzie narodowości polskiej i ukraińskiej. Także małżeństwo moich rodziców było ukraińsko-polskie, mój ojciec, Pałamarczuk, był Ukraińcem, a mama Polką; jestem jedynaczką.

W 1943 r. Ukraińcy spalili zabudowania Polaków. Uciekających do Nadwórnej Polaków wiozł Ukrainiec. Za pomoc został pobity przez bandę UPA, która ostrzeliwała uciekinierów. Po ucieczce moja rodzina zamieszkała w Nadwórnej. Z Nadwórnej do Polski zostaliśmy wysiedleni trzy dni po mojej pierwszej komunii 13 czerwca 1945 r. Do Kargowej transport dotarł 14 lipca 1945 r. Rodziny nie wybierały sobie miejsca osiedlenia; odczepiano po dwa, trzy wagony wyznaczając tym samym miejsce zamieszkania na ziemiach zachodnich. Moi rodzice wraz z siostrą mamy i moim kuzynem pragnęli się osiedlić na wsi. Z dworca kolejowego w Kargowej przewiózł nas do Karszyna Antoni Przybyła, mieszkający już w Karszynie osiedleńiec z woj. poznańskiego.

Rodzice cały czas myśleli, że ich pobyt będzie tymczasowy, że wrócą w swoje ojczyste strony, dlatego wybrali domek z gliny w sąsiedztwie pana Przybyły, chociaż były inne wolne domy budowane z cegły. Podczas drogi z dworca do wsi poznali, że jest on dobrym człowiekiem i warto zamieszkać koło takiego sąsiada.

Pierwszą klasę szkoły podstawowej skończyłam na wschodzie, w Nadwórnej. Na ziemiach zachodnich naukę szkolną podjęłam od drugiej klasy. Szkoła w Karszynie mieściła się w budynku z cegły, który przed wojną pełnił tę samą funkcję. W Karszynie ukończyłam czwartą klasę, a od piątej klasy naukę kontynuowałam w Kargowej. Do szkoły dojeżdżaliśmy rowerami lub chodziliśmy pieszo. Jako uczniowie w sezonie pracowaliśmy na polu zbierając ziemniaki w PGR Dąbrówka.

Po wojnie stosunki z sąsiadami układały się dobrze, chociaż mieszkańcy pochodzili z różnych stron, były też rodziny miejscowe, przedwojenni mieszkańcy Karszyna. Dzieci bawiły się razem. Pamiętam jak rodzice udzielili pomocy sąsiadce, autochtonce pani Zepkowej, kiedy uciekała przed rabusiami, którzy napadli na jej dom. Mimo ciężkich lat powojennych ludzie się bawili, cieszyli wolnością. Podczas tych zabaw przygrywał zespół muzykantów w składzie: Józef Miś – skrzypce, Antoni Kostyra – trąbka, Czesław i Edward Bartoszkowie grali na bębnie i harmonii.

Pracę podjęłam w 1953 r. w Radzie Narodowej w Kargowej. Do moich obowiązków należało rozliczanie obowiązkowych dostaw od rolników. W Radzie Narodowej pracowałam do 1958 r.; dojeżdżałam rowerem. Od czerwca 1964 r. podjęłam pracę w klubie „Ruch” w Karszynie. Otwarcie klubu nastąpiło 13 czerwca 1964 r. Klub skupiał młodzież i dzieci, którzy spędzali czas korzystając z gier stolikowych i rozrywek umysłowych będących w posiadaniu klubu. Występując w przedstawieniach organizowanych przez państwa Budów polubiłam działalność teatralną. Wspólnie z młodzieżą utworzyliśmy sekcję teatralną, która występowała przed miejscową widownią. Mieszkańcy Karszyna mieli możliwość oglądania filmów podczas seansów kina objazdowego. W klubie została zorganizowana przy adapterze pierwsza zabawa sylwestrowa w 1964/1965. Zabaw tanecznych było organizowanych dużo więcej, na których przygrywały zespoły „Polanie” i „Mikrus”.

Młodzież działająca w klubie 14 stycznia 1965 r. powołała do życia Koło Młodzieży Wiejskiej. Działalność klubu to nie tylko rozrywka, ale również praca oświatowa; były organizowane odczyty i prelekcje o tematyce społecznej i kulturalnej oraz szkolenia rolnicze związane z uprawą roślin i chowem zwierząt, a także kursy nauki jazdy (samochodowe, ciągnikowe i motocyklowe).

Dorośli mieszkańcy skupiali się wokół sekcji szachowej oraz wspólnie oglądali telewizję, dyskutując o oglądanych filmach i sztukach teatralnych. Rozgrywki szachowe były organizowane również na wolnym powietrzu. Bywalczy klubowi dla upiększenia terenu wokół angażowali się w prace społeczne – siali trawę, wykonali opłotowanie oraz naprawiali sprzęt w klubie. Dzieci w okresie ferii zimowych miały organizowany kulig połączony z pieczeniem kiełbasek, a w okresie żniw dla młodszych dzieci były dziecińce.

W lipcu 1970 r. mieszkańcy Karszyna wzięli udział w Turnieju Miast Kargowa – Babimost, który odbywał się nad jeziorem Liny. Wraz z otrzymaniem nowego odbiornika telewizyjnego w 1971 r. powstała sekcja dyskusyjna; rozmawiano o oglądanych filmach. W tym samym okresie zaczęło działać Koło Gospodyń Wiejskich. Gospodynie uczęszczały na kursy kroju i szycia, robótek ręcznych, przygotowywały wieńce dożynkowe i brały udział w dożynkach gminnych.

W 1972 roku przygotowaliśmy się do turnieju wsi Karszyn–Stary Jaromierz, który odbył się 14 maja. W tym samym roku powstała sekcja tenisa stołowego. W IV konkursie klubów Ziemi Sulechowskiej w 1972 r. nasz klub zajął pierwsze miejsce.

W lutym 1973 r. artyści operetki wrocławskiej dali w świetlicy koncert dla mieszkańców, a rok później wystąpili artyści operetki poznańskiej. W 1974 r. klubowicze w czynie sadzili las. Na następny Turniej Miast Kargowa-Babimost w 1974 r. również wybrali się mieszkańcy Karszyna nad jezioro Liny. Ostatni seans kina objazdowego odbył się w maju 1978 r; był wyświetlany film pt. „Milioner”.

Klub pełnił również funkcję punktu bibliotecznego; wypożyczałam książki przez ponad 20 lat. Tą działalnością spełniałam oczekiwania mieszkańców. Młodzież i dzieci mogli korzystać z encyklopedii, leksykonów i słowników oraz innych wydawnictw na miejscu, co pomagało im przygotowywać się do lekcji.

W 1983 roku mieszkańcy Karszyna wnosząc znaczny wkład finansowy przyczynili się do budowy oświetlenia ulicznego we wsi. Klub, w którym pracowałam integrował środowisko wiejskie. Imprezy, zabawy, opieka nad dziećmi w czasie żniw, cała działalność przyczyniła się do urozmaicenia życia ludzi na wsi. Niestety, wraz z przemianą ustrojową 1989 r. kluby zostały zlikwidowane, a ja straciłam pracę. Z tą chwilą zawiesiło działalność Koło Gospodyń Wiejskich, które na nowo odżyło dopiero po 20 latach, w 2009 r. Jako członkini koła spotykam się w świetlicy z koleżankami. Organizujemy wspólne wyjazdy do teatru w Zielonej Górze oraz operetki w Poznaniu. Obecnie jestem na emeryturze.

Miejsce urodzenia odwiedziłam tylko raz, w 1972 r., dlatego rozumiem moich rodziców, ich tęsknotę za ich małą ojczyzną i pragnienie powrotu w swoje rodzinne strony.

Zanotowała: **Maria Chmiel**

Obywatel  
Громадянин

Robertowski Piotr i Józef

przewozi z sobą koni nie rogacizny nie, owiec nie,  
z собою перевозить коней, великої рогатої худоби, свиней, овець

kóz nie: inwentarza: pługów nie siewników nie żniwiarek nie;  
кіз інвентаря плугів сівалок збиральних машин

produktów żywnościowych 10 dniem: w tym ziarna i produktów zbożowych  
продовольч. продуктів 10 dniem з них зерна і зернопродуктів

nie etn., przedmiotów użytku domowego 10 dniem  
цнт. речей домашнього вжитку

UWAGA: Ewakuowanym z terytorium ZSRR do Polski, nie wydaje się świadectw wzór 9 przewidzianych w punkcie 42 siódmego rozdziału instrukcji..

Евакуованим з території РСР в Польщу, не видаються ф. 9 передбачені інструкцією в пункті 42 сьомого розділу інструкції..

Rejonowy Przedstawiciel  
Районний Уповноважений

Stanisław

po

rejonu  
району

*[Handwritten signature]*

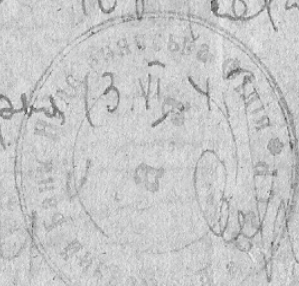
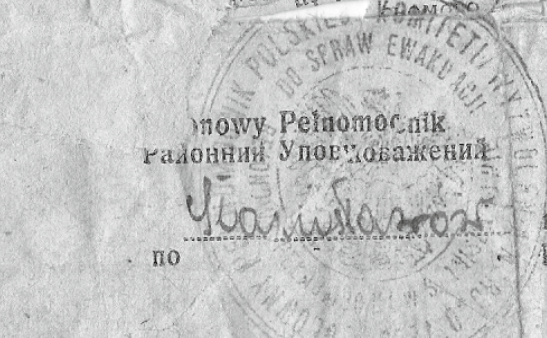
Rejonowy Przedstawiciel  
Районний Представник

Stanisław

rejonu  
району

*[Handwritten signature]*

10 dniem 10 dniem  
nie 13 VII 4





# Jerzy Duber

**KARGOWA – ZIELONA GÓRA**

**U**RODZIŁEM SIĘ W KARGOWEJ 8 MAJA 1957 ROKU. Miejszem moich narodzin, tak jak wówczas większości kargowian, była porodówka przy ul. Dolnej, za torami kolejowymi. Przez wiele lat nowych obywateli miasta i okolic przyjmowała tam na świat wspaniała położna Nina Apiecionek.

Mieszkałem z rodzicami i bratem w wynajmowanym mieszkaniu przy ul. 27 Stycznia 27. Ojciec pracował w fabryce cukierków „Dąbrówka”, gdzie był kierowcą. Mama w ratuszu, w zakładzie gospodarki komunalnej. Naszą sąsiadką była, traktowana przez nas jak trzecia babcia, kochana Seweryna Napierałowa. Opiekowała się nami, gdy rodzice byli w pracy, częściej używając niemieckiego niż polskiego; nie było to zresztą nic nadzwyczajnego, w tamtych latach niemiecki można było bardzo często usłyszeć w kolejce, w sklepie, na ulicy.

Świat zacząłem poznawać od najbliższej okolicy. Naprzeciw naszego domu znajdowała się stacja benzynowa, którą wybudowano na początku lat 60. Wokół bardzo dużo się działo, myślę, że nie tylko z mojej perspektywy małego dziecka. Podjeżdżały tankowce: stary, żubry, żuki, warszawy, emzetki, jawy, panonie, iże i wueski. Najciekawsze były jednak wielkie i głośne ursusy, pierwsze polskie

traktory. Na początku paliwo pompowano ręcznie, dopiero później pojawiły się dystrybutory elektryczne. Przez wiele lat pracował tam Kazimierz Rogowicz, a po nim Jan Fornalczyk, który wcześniej był woźnym w szkole. Samochody i inne pojazdy bardzo mnie wówczas fascynowały i tak mi już chyba pozostało. W tym czasie ruch pojazdów był niewielki, zwłaszcza zimą. Mimo, że przebiegała przez miasto droga łącząca Zieloną Górę z Poznaniem, mogliśmy ślizgać się po niej na łyżwach. Miejscowy dentysta, Cyryl Kasprzyk, mógł nawet ciągać samochodem narciarzy, czyli swoich synów Krzysia i Przemka.

W zasięgu moich pierwszych wypraw poza domowe podwórko był także, odległy o całe 150 metrów, kościół poniemiecki, który pełnił wówczas funkcję magazynu zbożowego. Wokół znaleźć można było np. niemieckie monety. Był to doskonały plac zabaw, graliśmy w palanta, w dołek, organizowaliśmy zawody w biegach wokół kościoła.

Moimi pierwszymi kolegami byli: Stasiu Brzezicki, Rysiu Kornaszewski, Czarek Kluczny, Wiesiu Szczepaniak, Heniu Nawara, Władziu Piasecki, a także moi kuzyni Maryś i Andrzej Krukowie oraz koleżanka Halina Kasperska.

Kargowa lat sześćdziesiątych zapisała się w moim prywatnym „archiwum” wieloma obrazami i zdarzeniami. Utkwił mi między innymi przejazd przez miasteczko pierwszego kosmonauty Jurija Gagarina, który 22 lipca 1961 r. przejeżdżał z Babimostu do Zielonej Góry; witały go tłumy. Aby to zobaczyć moi dwaj wujkowie przyjechali motocyklem marki Norton aż z Poznania.

W 1966 r., na Rynku pokrytym jeszcze brukiem, odbyły się obchody milenium państwa polskiego. Były tłumy, nastąpiło wkopanie urny z ziemią spod Lenino. Przemówienie Gomułki nadawano w telewizji przez całe popołudnie aż do dobranocki. Bardzo hucznie obchodzono co roku 1 maja. Pochód, flagi, transparenty, wybielone krawężniki, orkiestra dęta, no i trybuna, a na niej wśród innych wieloletni wóldarz miasta Edward Trudnowski. A później atrakcje: parówki z bułką i czerwona oranżada, lody Bambino na patyku, które zawsze 1 maja, sprzedawano w jednym sklepie. Cały Rynek i przyległe ulice wyścielone były potem papierkami po lodach. Tak zaczynała się letnia sprzedaż lodów. Na górcze za kinem (dziś dom kultury) odbywała się zabawa z tańcami, a na przyczepie grała orkiestra czyli Maksymilian Reiner, Manfred Brudło, Wojciech Gołek, Karol Hamrol i Zygmunt Bieliński. Grali wspaniale.

W mieście rosło wtedy dużo starych, ogromnych drzew, głównie lip, które bardzo często w czasie burz upadały i wyrządzały szkody. Nadszedł jednak moment, gdy je kompleksowo wycięto. Były to bardzo ciekawe widowisko, pnie podcinano ręcznymi piłami albo wrywano z ziemi traktorami, drzewa waliły się na drogę z ogromnym hukiem.

Samochodów prywatnych było niewiele, natomiast sporo motocykli i motorowerów. Mieszkając przy głównej drodze często byłem świadkiem upadków



i wywrotek na motocyklach. Pewnego popołudnia będąc na skrzyżowaniu ulic Wolsztyńskiej i Górnej usłyszałem przeraźliwy ryk pędzących motocykli. Dwaj mieszkańcy Kargowej (nazwiska wciąż pamiętam) jadąc od strony Kopanicy urządzili wyścig. Jeden na jawie, drugi na iżu. Wygrała jawa, ale kierujący nie wyhamował i staranował bramę na podwórko Nikonowicza zatrzymując się dopiero w stodole. Iż natomiast wyhamował i schronił się w podwórku Kwietnia. Obaj jeźdźcy ocalili.

W mieście było wielu rolników, a więc i dużo koni. Sporo furmanek przyjeżdżało z okolicznych wsi na targ w mieście, albo na zakupy, czy do GS-u. Była to okazja, aby wstąpić do gospody. Powroty przypominały często galopy dylizansów z dzikiego zachodu, a niektóre kończyły się ucieczkami koni, gdy wóz nie wytrzymał ostrej jazdy po krawężnikach. Bywało, że konie uciekały gospodarzom z podwórek, biegały potem po ulicach stwarzając duże zagrożenie. Niektóre konie były piękne, najpiękniejsze i największe mieli gospodarze Grelak i Milczyński. Ich przeciwieństwem był zabiedzony siwy koń ogrodnika z Wolsztyna, który co tydzień, w środy, przyjeżdżał na targ. Pewnego razu przechodził obok tego konia, znany z poczucia humoru, Jan Koziołek. Będąc blisko nagle odskoczył w bok, a stary ogrodnik widząc to chciał go uspokoić i spokojnie powiedział: — Niech się pan nie boi, on nie gryzie.

— Ja się nie boję, że mnie ugryzie, ja się boję, że się na mnie przewróci — Koziołek na to. Pół targu ryczało ze śmiechu.

Raz w tygodniu odbywał się tzw. spęd, czyli skup zwierząt rzeźnych. Mieścił się naprzeciw parku przy ul. Wolsztyńskiej. Po zakończonym skupie bydło i świnie przepędzano przez miasto, ulicą Browarną, do rzeźni. Było przy tym dużo zamieszania, kwiku i innych pozostałości oraz wrażeń zapachowych.

Nie było wtedy wodociągów ani kanalizacji. Ujęcia wody, czyli pompy ssąco-tłoczące, znajdowały się na ulicach. Po wodę chodziło się z wiaderkiem. Przez taką pompę na ul. 27 Stycznia zginęła Irena Radom, mama mojego kolegi Leszka. Jadąc zimą rowerem, poślizgnęła się na lodzie obok pompy i wpadła pod auto. Zamiast kanalizacji pracował Tadeusz Jaszczak, który jeździł wielką beczką zaprzęzoną w dwa wielkie perszerony, siedział wysoko na koźle, a podciśnienie w beczce wywoływało głośny wybuch.

W 1963 r. zostałem zapisany do przedszkola. Znalazłem się w grupie Danuty Grocholskiej. Była to bardzo zdolna, piękna i wtedy młoda przedszkolanka. Uczyla nas tańczyć, śpiewać, rysować i wielu innych pożytecznych rzeczy. Dawaliśmy nawet występy dla rodziców. W mojej grupie był też Maciek Kozłowski. Tak się złożyło, że obaj chcieliśmy tańczyć z tą samą dziewczynką, Basią. Obu nam się bardzo podobała. Maćkowi nie brakowało temperamentu, a mnie wagi i siły, czasami dochodziło do sytuacji, nazwijmy to, „bezpośrednich”. Zdarzyło się, że w szamotaninie wywróciliśmy wielki regał z zabawkami. Uszkodzone zabawki

mieli naprawić nasi ojcowie. Uniknąłem przykrych konsekwencji, bo Maciek poprosił swojego ojca, żeby zabawkom przywrócił dawną świetność. Maciej okazał się dobrym kolegą. Z przedszkola, uroczyste, 1 września 1964 r. przeszliśmy do szkoły. Naszą wychowawczynią została Leokadia Kwaśnik. Pełna energii, werwy i wspaniałych pomysłów na pracę z dziećmi młoda nauczycielka. Wszystko, co wydarzyło się później sprawiło, że została naszą ukochaną panią. Potrafiła nas świetnie zintegrować i włączać w wiele, także pozaszkolnych przedsięwzięć.

W tych latach wszystkie dzieci fascynowały się telewizyjnym serialem „Czterej pancerni i pies”. My także. Program telewizyjny pt. „Teleferie” zorganizował akcję tworzenia przez dzieci załóg pancernych. W szkole tworzyliśmy zgraną paczkę, postanowiliśmy więc założyć taką załogę. Napisałem do telewizji. Nasz list czytano na antenie, dostaliśmy nawet specjalne legitymacje. Załogę tworzyli: Maciek Kozłowski, Przemek Kasprzyk, Janek Wański i ja jako dowódca. Mieliśmy nawet psa i własnoręcznie wykonane z gipsu odznaki, nie mieliśmy tylko...czołgu. We czwórkę często spotykaliśmy się po szkole i biegaliśmy po okolicznych zaroślach i pagórkach. Zdarzyło się, że jakiegoś deszczowego dnia Maciek zaprosił nas do swojego mieszkania, w którym mieszkał z siostrą i z rodzicami. Był tam bardzo duży pokój. Postanowiliśmy więc zagrać w piłkę nożną. Gdy gumowa piłka uderzyła w szklany ekran telewizora Maciek bardzo się wystraszył, rozplakał i nas... „pożegnał”. Mieliśmy dużo szczęścia, że telewizor ocalał, wówczas taki odbiornik wart był majątek.

Do piłki nożnej Maciek, na szczęście, się nie zraził. Gdy byliśmy w trzeciej i w czwartej klasie inicjował mecze nawet na dużym boisku pod Chwalimiem. To boisko jest wyjątkowo duże, często więc gra koncentrowała się pod jedną bramką a przedostanie się z piłką pod bramkę przeciwnika było „wielką wyprawą”. To nas jednak nie zniechęcało, zwłaszcza Macieja, który „kopaną” pokochał na zawsze. Jeszcze w szkole podstawowej Maciek z Kargowej wyjechał. Wiedziałem, że do Zgierza. Nasze kontakty urwały się. Dopiero gdy pojawił się jako aktor telewizji rozpoznałem swojego dawnego kolegę. Do pierwszego spotkania po latach doszło jesienią 1994 r. w Zielonej Górze w budynku Estrady. Odbывał się pokaz filmu pt. „Miasto prywatne” z udziałem reżysera Jacka Skalskiego i odtwórcy jednej z głównych ról, Macieja Kozłowskiego. Było to dla mnie duże przeżycie. Czy mnie rozpozna, czy mnie pamięta. Jednak serdeczne przywitanie i rozmowa rozwiały wszelkie obawy. Odczuwałem wtedy i czuję dziś, wielką dumę i radość, że chłopak, który wśród nas spędził dzieciństwo, myślę, że szczęśliwie, jest człowiekiem znanym, lubianym i cenionym w całej Polsce. Takim pozostanie, bo filmy, w których zagrał i nasza pamięć uczyniły go nieśmiertelnym. Podczas tego spotkania obiecaliśmy sobie, że spotkamy się w Kargowej. Pracowałem wtedy w domu kultury. W 1995 r. zorganizowaliśmy, wspólnie z panią Kwaśnikową i Basią Pajcz, pierwsze spotkanie klasy Ia z rocznika 1964. Było to niezwykle spotkanie, przede

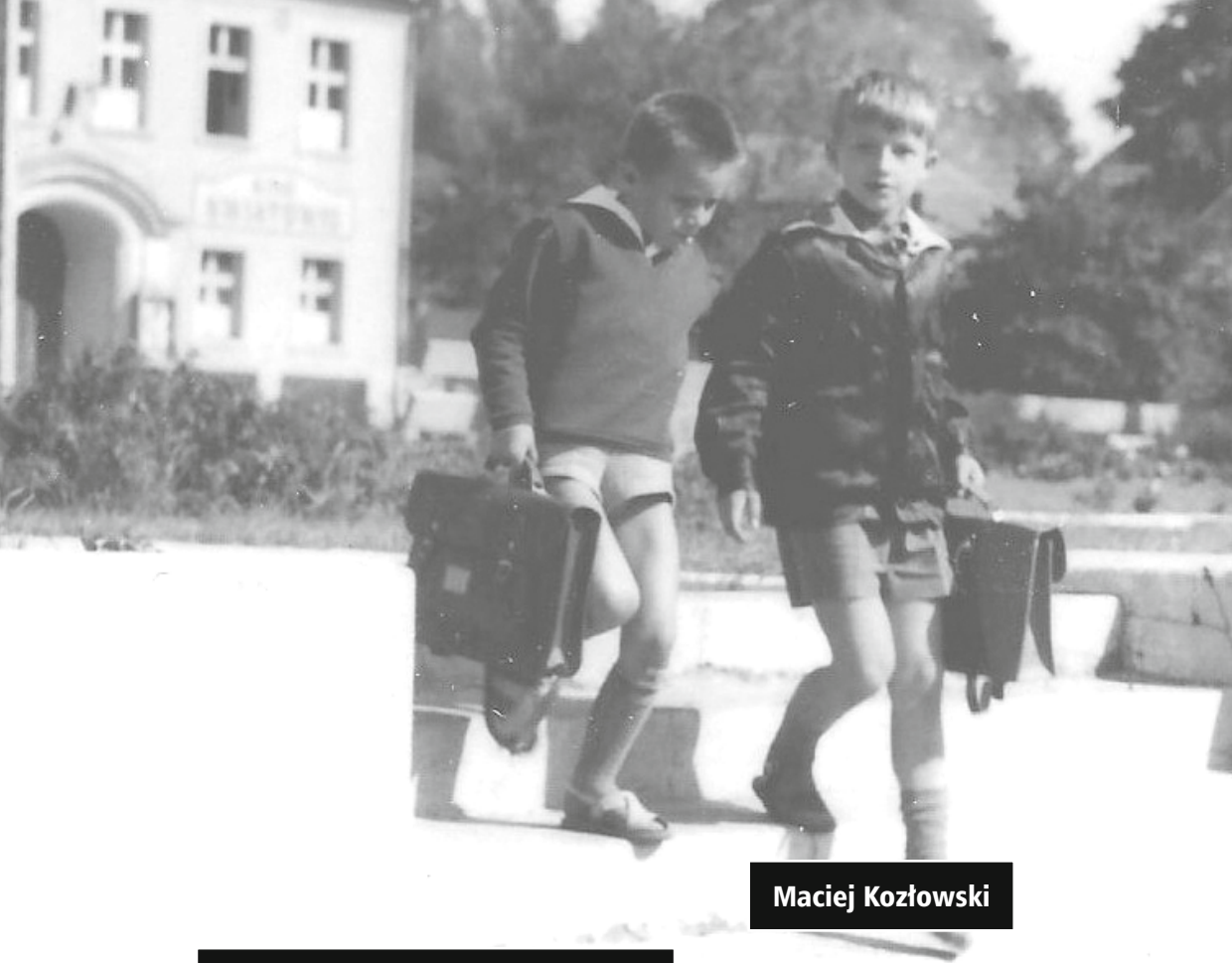
wszystkim bardzo wzruszające i serdeczne. Maciek też się rozkleił. Później był w Kargowej częściej. Pomagał dzieciom, przywoził fotosy z filmów z autografami znanych aktorów, uatrakcyjnił wycieczki dzieci do Warszawy. Z Mackiem spotkaliśmy się jeszcze w 2004 r., w 40 rocznicę rozpoczęcia nauki szkolnej. Było wspaniale, wszyscy byliśmy dumni z niego i szczęśliwi, że możemy z sobą spędzić choć jeden dzień.

W 2006 r. Maciek przyjechał do mnie do Zielonej Góry, chciał doprowadzić do wystawienia, w czasie Winobrania, widowiska pt. „Merlin”, które znajdowało się w repertuarze Teatru Narodowego. Występował w nim. Wtedy powiedział mi, że ma chorą wątrobę. Widziałem go ostatni raz. Później rozmawialiśmy już tylko przez telefon. Teraz organizuje drużynę i mecze piłki, tam po drugiej stronie, jak pięknie o Kozim powiedział, na jego pogrzebie, dyrektor Teatru Narodowego Jan Englert.

Tylko najstarsi kargowianie pamiętają, że w Kargowej mieszkał w latach czterdziestych i pięćdziesiątych profesor Zbigniew Horbowy. Artysta plastyk, profesor i wieloletni rektor Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. To także jeden z wielu powodów naszej dumy. Urodził się w 1935 r. we wsi Łączyn w województwie stanisławowskim. W 1945 r. wraz z rodziną został przesiedlony z Kołomyi do Kargowej. Tutaj ukończył szkołę podstawową, a w Wolsztynie liceum ogólnokształcące. Wspólnie z przyjacielem Jerzym Antkowiakiem, późniejszym słynnym projektantem mody, zdał egzaminy wstępne do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu i tak został artystą plastykiem, projektantem szkła użytkowego i artystycznego. Jego nazwisko stało się marką i synonimem szklanego wzornictwa lat siedemdziesiątych. Zajmował się wzornictwem przemysłowym, szkłem unikatowym i użytkowym. Uważany jest za czołowego polskiego projektanta szkła użytkowego i twórcę własnej szkoły wzorniczej. Swoje prace wystawiał w Polsce i za granicą. Miał też, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych stałą galerię w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Projektował m.in. butelki do polskich alkoholi, tych produkowanych w Zielonej Górze, a także, o czym zapewne smakosze trunków nie wiedzą, nawet ci z Kargowej. Prof. Horbowy mieszka w Polanicy Zdroju, prowadzi własne studio projektowe.

Kargowa to piękne i urokliwe miasteczko, moja mała ojczyzna. Dzięki ludziom, których tu poznałem uczyłem się życia i poznawałem świat. Tu wyraża się wyższość małych środowisk, w której zna się wszystkich nad wielkomięską anonimowością.

**Jerzy Duber**



**Maciej Kozłowski**

**22 lipca 1961 r.  
Kargowa witała pierwszego  
kosmonautę świata J. Gagarina**



# Stefania Dziewałtowska

KARGOWA

**K**OCHAM KARGOWĘ. Przyjechałam tu w 1945 r. z wschodnich rubieży Polski, dziś Białorusi. Wszyscy dla mnie i mojej rodziny byli bardzo serdeczni. Przedtem pracował mój mąż w banku spółdzielczym, ale umarł na zawał serca, zostałam jako kasjerka. Pracowałam 20 lat. Kierownikiem był pan Gołębka, a Gołębkowa była księgową. Gdy przyjechałam do Kargowej cieszyłam się, że jest kościół i szkoła. Moich czworo dzieci chodziło tu do szkoły.

Zanotował: **Dariusz Wróblewski**



**Dzieci w Sanatorium w Wojnowie  
w Gopłanie, lata 60-te**



# Gertruda Faryniuk

KARGOWA, PL. BERWIŃSKIEGO

— **Skąd pani przyjechała do Kargowej?**

— Ze Stargardu Gdańskiego. Było to 15 października 1945 r. Jechałam wojskowym pociągiem, pamiętam, że były trzy wagony. Podróżowałam z ośmiomiesięcznym synkiem Henrykiem. Podróż wspominam mile i przyjemnie.

— **Wiedziała pani dokąd jedzie?**

— Tak, ponieważ mój mąż już tam był u swojej siostry. Kiedy wysiadłam z pociągu myślałam że przyjechałam na jakieś wyspy bezludne, ponieważ nie było nikogo, nawet kota. I jak wysiadłam z tym wózkiem to nie wiedziałam, w którym kierunku iść. Ale tak mnie jakoś poprowadziło na ul. Dworcową koło młyna i dotarłam aż do Rynku. Tu stanęłam. Nie było kogo zapytać, gdzie jest ten plac Berwińskiego. Na szczęście jechał rowerem jakiś pan i zauważył, że za bardzo nie wiem dokąd iść. Uprzejmie wskazał mi drogę. Mąż mnie zauważył i wyszedł z siostrą i szwagrem.

— **Jakie były początki życia w mieście?**

— Gdy przyjechałam tego 15 października od razu zajechaliliśmy do siostry na obiad, a potem do naszego domu, w którym zostaliśmy do dziś. Tego dnia było uroczyste otwarcie cmentarza. Było pełno ludzi, grała orkiestra, przemowa. Stałiśmy w oknie i to wszystko oglądaliśmy. Na początku było bardzo ciężko. Mąż przez trzy lata nie miał pracy, a dzieci rok po roku przychodziły. Henryk urodził się w 1945 r., Edward w 1946 r. W 1947 r. urodziła się Jolanta, niestety po tygodniu zmarła. Najmłodsza córka Teresa urodziła się w 1951 r.

W Kargowej nie było wtedy żadnych zakładów pracy, w których mąż mógłby się zatrudnić. Była tylko taka mała knajpka, którą miał Władysław Zaręba. Był on też I sekretarzem PZPR. Później wyjechał do Zielonej Góry. Pan Zaręba dużo pomógł mojemu mężowi. Otworzyli sklep spożywczy w Rynku, który prowadził pan Idziaszek i pani Helena Łuszczakowa. Mąż jeździł z Zarębą po towar do Poznania. Później dostał dzięki Zarębie pracę w energetyce w Wolsztynie. Pracował tam trzy lata. A w 1951 r. zaczął w Gopłanie i był tam do końca.

Pamiętam panią Krapniewską, lekarkę. Miała swój gabinet lekarski przy ul. Ogrodowej. Była tam także weterynaria. Weterynarzem był jej mąż, a pomocnikiem pan Szkwarek. Pielęgniarkami u lekarki były Helena Daszkiewicz i Ewa Apolinarska. W tamtym okresie był tylko jeden samochód w Kargowej, który należał właśnie do weterynarza. Istniała mleczarnia, w której sprzedawała Gertruda Wechterowicz. Potem był zakład szewski. Na ul. 27 Stycznia, wówczas nazywała się Wolsztyńska, funkcjonował sklep państwa Królów, duży sklep. Była też restauracja należąca do państwa Kozłowskich, dziadków Macieja Kozłowskiego. Groby jego dziadków znajdują się na kargowskim cmentarzu.

Ogólnie to za dużo nie wychodziłam na miasto, ponieważ miałam trójkę dzieci, które musiałam wykarmić, a że nie miałam pieniędzy, żeby kupować żywność musiałam ją sama wyprodukować. Na początku, kiedy tu zamieszkaliśmy przebywało jeszcze dużo Rosjan. Trochę się ich bałam, ponieważ popijali sobie często w miejscowej knajpie i strzelali w powietrze.

— **Co pani jeszcze pamięta z tamtych lat?**

— Były trzy zakonnice, które mieszkały u Nowotnika. Jedna z nich bardzo mi pomagała przy dzieciach, gdy czasem byłam chora. Gotowała obiady, w piecu napaliła. Była dla mnie jak druga mama. Zakonnice dbały również o starsze osoby. Szkoda, że teraz nie ma takich zakonnice. Ślubu udzielał nam niemiecki ksiądz Scherer. Oboje z mężem znaleźliśmy język niemiecki.

— **Jak wtedy zaraz po wojnie wyglądały msze święte?**

— Odbywało się ich bardzo mało. Jak mówiłam, ksiądz był Niemcem i bał się Rosjan. Potem go zresztą wywieźli. Po nim przyszedł ksiądz Megger. Był bardzo



czysty, szlachetny, zadbany, dbał o parafię. Drugiego takiego księdza już nie będzie. Bardzo miło go wspominamy.

— **A co można powiedzieć o szkolnictwie?**

— Przedszkole było na ul. Babimojskiej. Pracowała w nim Danuta Grocholska. Kiedyś wykonywało się dużo prac społecznych. Ja też się sporo udzielałam. Byłam przez trzy lata radną. Pan Sobkowiak był wtedy burmistrzem. Mnie wybrali z Ligii Kobiet. Byłam również członkiem Gminnej Spółdzielni. Potem zaczęłam chorować i wyłączyłam się z tej działalności.

— **Co pani pamięta z działalności domu kultury, ówczesnego domu społecznego?**

— Oj, były piękne zabawy, na które ludzie z Poznania i z Zielonej Góry przyjeżdżali. Były piękne bale maskowe. Właściciele zakładów, tacy jak pan Wojciechowski, który miał fabrykę, pan Bardziński, który miał młyn, pan Mikołajczyk, który miał tartak i pan Sobczak, naczelnik poczty, byli organizatorami tych zabaw i bali maskowych. Z Poznania przyjeżdżały również różne teatry. Było bardzo miło. Ale to już lata późniejsze. Także pochody 1.majowe były bardzo uroczyste. Mój mąż grywał w orkiestrze.

— **Jak zapamiętała pani swoich sąsiadów?**

— Kiedyś ludzie żyli z sobą jak jedna rodzina. Najpierw mieszkał obok piekarz, pan Żok. Potem państwo Mońke, bezdzietne małżeństwo, następnie państwo Skrzypczakowie. Byli to ludzie z różnych stron Polski. Od razu znaleźliśmy wspólny język i staliśmy się dobrymi sąsiadami. Ogólnie 17 lokatorów przewinęło się przez ten dom, a ja jestem jedna, która mieszka w nim od początku.

— **A stosunki z autochtonami?**

— Miałam obok państwa Utratów i żyliśmy ze sobą bardzo dobrze. Nie było żadnych urazów wobec siebie.

Rozmawiała: **Brygida Wróblewska**



1 maja, lata 80-te



# Henryk Faryniuk

KOPANICA, UL. ZBĄSZYŃSKA

— **Jakie ma pan wspomnienia z czasów uczniowskich?**

— Szczerze mówiąc to nie wiele pamiętam z tamtego okresu. Pierwszą moją wychowawczynią była Janina Wróblewska, która uczyła mnie do czwartej klasy. A potem nauczyciele się zmieniali. Bardzo miło wspominam pana Trudnowskiego. Mogę powiedzieć, że bardzo wiele mu zawdzięczam. Miałem takie szczęście, że matematyki uczył mnie zawsze ktoś, kto ją lubił i umiał przekazać.

— **Proszę powiedzieć o początkach pracy w „Gopłanie”.**

— Po skończeniu szkoły zatrudniłem się w fabryce. Po jednym czy dwóch dniach pracy zauważyłem dziewczynę, która również tam pracowała. No i potem... została moją żoną. Przepracowałem w fabryce 44 lata i przeszedłem na emeryturę. I teraz cieszę się wolnością. Miałem fajnych kolegów, jak Gerard Ziarek, a moim szefem był Łukomski. Z tego okresu mojej pracy został już tylko jeden budynek. A w międzyczasie zakład przechodził różne koleje. Z czasem z „Dąbrówki” zrobiły się Wielkopolsko-Lubuskie Zakłady Przemysłu Cukierniczego, później „Gopłana”, no i nadszedł czas prywatyzacji. Byłem wtedy w radzie pracowniczej. Podpisywałem umowę prywatyzacyjną z „Nestle”. Ja, Zbyszek Kaczmarek i Jarek Gruszyński byliśmy w trójkę w Poznaniu i postawiliśmy ultimatum, że podpiszemy tę umowę pod warunkiem, że w Kargowej zostanie wybudowana hala. No i na to się „Nestle” zgodziło. Firmie zależało żeby być w Kargowej. W rok po podpisaniu umowy rozpoczęła się budowa hali. Dziś znów rozbudowa „Nestle” idzie pełną parą, ale to już bez mojego udziału. Wtedy to rada decydowała komu sprzedaje się zakład. Obecnie jest to dynamicznie rozwijające się przedsiębiorstwo, które daje miejsca pracy wielu mieszkańcom Kargowej i okolic.

— **Jak wyglądała działalność socjalna fabryki?**

— Gdy było wywieszzone na portierni ogłoszenie, że jest organizowana zabawa i są zapisy, to sala nie mogła pomieścić chętnych. W pierwszym roku po sprywa-

tyzowaniu zakładu na ogłoszenie odpowiedziało pięć par. To był okres masowego zwalniania osób, z 750 zatrudnionych zostało tylko 150 osób. Oprócz głównego zakładu za torami były jeszcze dwa: u nas w mieście i w Sulechowie. Zostały sprzedane za grosze i ludzie stracili pracę. Nie było im w głowie się bawić.

O innych działaniach socjalnych mogę powiedzieć na temat ogródków działkowych, ale tylko tyle, że jak robiły zabawę to sala była udekorowana i każdy stolik był jakby oddzielną altanką. Było przy tym dużo roboty, lecz ludziom chciało się pracować. Mieliśmy też w zakładzie koło wędkarskie, do którego należałem. Nie pamiętam roku, ale kiedyś wygraliśmy Żółtą Rybkę. Była to masowa impreza dla około 2 tys. ludzi z Polski, Niemiec i Czech. Zdobyliśmy wtedy 1 miejsce drużynowo. Tam, gdzie teraz pan Górski ma swój lokal, kiedyś była świetlica zakładowa. Organizowano co roku choinki, dzieci dostawały przynosił paczki od św. Mikołaja. W tym miejscu miał swoje próby i występy zespół dramatyczny ZPC Dąbrówka. Wystawiał różne sztuki, pamiętam np. „Zemsta Cygana”. Ojciec brał tam również udział, grał na instrumentach. Potem istniał zespół „Karmelek”, który dawał występy. W tym zespole działała Janina Dębska oraz moja żona.

W tamtych czasach ludziom nie żyło się najlepiej, nawet ciężko, bo często brakowało pieniędzy. Natomiast życie rodzinne, sąsiedzkie było wesołe. Dużo czasu poświęcano na rozrywkę, spotkania towarzyskie. Na wszystko był czas, i na zabawę i na pracę. Teraz są inne czasy.

Rozmawiała: **Brygida Wróblewska**  
Zanotowała: **Weronika Łukaszewska**

# Gertruda Fornalczyk

KARGOWA, UL. KPT. WIĘCKOWSKIEGO

**B**YŁ ROK 1940 – MIAŁAM WTEDY 15 LAT, mieszkaliśmy w Małej Wsi, powiat wolsztyński. Po okolicy od pewnego czasu kręciło się dużo Niemców, spisywali mieszkańców wsi. Mój ojciec, powstaniec wielkopolski, wraz z moimi dwoma najstarszymi braćmi, w obawie przed Niemcami uciekł. Pewnego dnia do naszego domu przybyli rachmani, kazali się spakować i przygotować do wyjazdu. Nie wiedzieliśmy dokąd pojedziemy. Przyjechały wozy konne, załadowaliśmy dobytek i pojechaliśmy – była to moja mama, pięcioro mojego rodzeństwa i babcia. Zawieziono nas do Kargowej – do majątku rodziny Richterów. Przydzielono nam trzypokojowe mieszkanie z kuchnią i obwieszczono, że będziemy w tym majątku pracowali. Włodarzem był tam Noack. Po kilku dniach odwiedziła nas właścicielka – starsza pani Anna Richter, wyraziła swoje zadowolenie z tego, że jesteśmy dużą rodziną, że będzie dużo rąk do pracy. Zainteresowała się też losem ojca i braci. Dowiedziała się, że oni pracują w majątku w Beskow (Branderburgia). Udało się ściągnąć ojca, bracia musieli tam zostać.

Ojca przydzielono do pracy przy młockarni, a mama pracowała dorywczo (dobrowolnie). Nasza czwórka (bez najmłodszej siostry) pracowała w różnych miejscach, w zależności od potrzeb (w polu, oborze). Każdego dnia rano był apel w podwórzu przy gorzelni. Włodarz i inspektor przydzielali nam prace na dany dzień. Krzywdy nie mieliśmy. Za pracę otrzymywaliśmy wynagrodzenie, hodowaliśmy też świnkę, którą zabijaliśmy i robiliśmy własne wyroby. Mama gotowała obiady, przynosiła je na podwórze, skąd były przywożone do naszych miejsc pracy.

Mój mąż, Jan Fornalczyk, pochodzi z województwa łódzkiego. Pracował w majątku w okolicach Szczecina. Stamtąd uciekł, trafił do łagru. W tym czasie zmarł Ukrainiec pracujący w oborze w Kargowej. Pani Richter poszukiwała kogoś znającego się na tej pracy. Wykorzystała znajomość z kargowianinem – Niemcem, który był nadzorcą w łagrze, w którym przebywał mąż. Podczas porannego apelu poszukiwano właściwej osoby. Wybrano męża. Przyjechał do Kargowej, podjął pracę. Wkrótce zapoznaliśmy się, pokochaliśmy i zostaliśmy parą.

Mąż mieszkał z kolegami – Polakami, którzy pracowali w majątku lub u innych rolników. Przychodzili często do nas, u nas były cztery siostry. Pamiętam szczególnie jednego z tych kolegów – Wincentego Żoka (późniejszego właściciela dużej piekarni w Sulechowie), który pracował w piekarni Decke (okolice dzisiejszej stacji benzynowej). Zaproponował nam, abyśmy z siostrą przychodziły w nocy po chleb, który wyrzucał nam przez okno. Pozyskanym chlebem dzieliliśmy się z potrzebującymi. W późniejszym okresie chodziłam tam z mężem również po chleb i mąkę.

Pod koniec wojny Żok dowiadywał się gdzie są Rosjanie. Przyniósł do nas płótno białe i czerwone i zalecił uszyć polską flagę i powitać nią Rosjan udowadniając w ten sposób, że nie jesteśmy Niemcami. Był styczeń 1945 r. w Kargowej pojawiły się patrole rosyjskie. W obawie przed mogącą nas spotkać krzywdą nocowaliśmy kilka dni w piwnicy. Mąż z Żokiem powiesili przy piekarni Decke polską flagę. Rosjanie nie wierzyli, że są Polakami. Przekonała ich dopiero polska mowa. Sąsiadami w naszym domu byli rosyjscy jeńcy, pracowali w majątku pod nadzorem wachmanów. Oni najbardziej obawiali się swoich rodaków – za to, że dostali się do niewoli czekała ich śmierć. Mój mąż ukrywał ich w oborze na sianie (było ich pięciu). Po wejściu do Kargowej Rosjanie niszczyli miasto i ludzi. Palili domy i strzelali do mieszkańców – Niemców i Polaków. Zastrzelono znajomego Polaka mieszkającego blisko nas. Mówiono: Polacy do Polski, tu są Niemcy. Wyruszyliśmy więc na wschód. Nasz dobytek znajdował się na wozie z zaprzężonymi wołami, my szliśmy obok. Z nami szli Rosjanie – niewolnicy. Dotarliśmy do Wolsztyna, spotkaliśmy się z naszym wujkiem, który skontaktował nas z rosyjskim lejtnantem. Mąż przedstawił mu sytuację towarzyszących nam Rosjan. Lejtnant podziękował i zapewnił, że włączy ich do wojska, a nam kazał wrócić do Kargowej. Po powrocie nasze mieszkanie było zajęte. Rosyjska komendantura przydzieliła nam dom przy obecnej ul. kpt. Więckowskiego (dawniej Zielonogórska). Moja starsza siostra, Stefania Jagoda (obecnie Himińska) została przydzielona do pracy administracyjnej w komendanturze. Sporządzała wykazy przedmiotów pozyskanych z opuszczonych domów (przenoszono je do ratusza) oraz wykazy Niemców do przesiedlenia. Na liście znalazła się też Helena Demandt (obecnie Napierała) wraz z mamą i babcią. Była wówczas małą dziewczynką, uczennicą młodszej klasy szkoły podstawowej. Mój mąż spowodował, że ta rodzina została w Kargowej, usłyszał bowiem piękny śpiew dziewczynki „Jeszcze Polska nie zginęła”. Pani Helena została nauczycielką, ponad 30 lat uczyła dzieci w kargowskiej szkole. Obecnie jest na emeryturze.

Wiosną 1945 r. mąż chciał pojechać w rodzinne strony. Mieliśmy już dziecko, chcieliśmy wziąć ślub. W Kargowej administracja jeszcze nie pracowała – ślub cywilny wzięliśmy 4 marca w Kopanicy. 9 marca był zaplanowany ślub kościelny. Wyjechaliśmy powózkami, niestety mosty zostały zniszczone, więc wróciliśmy.

Po kilku dniach pojechaliśmy rowerami. Ślubu udzielił nam ksiądz Rogalewski z Wolsztyna. Wracając do Kargowej zostaliśmy przez Rosjan pozbawieni rowerów. Część naszej „podróży poślubnej” odbyliśmy więc pieszo. Przyjęcie weselne za pozwoleniem rosyjskiego komendanta, mogło się odbyć w domu do godz. 23.00.

W kolejnych tygodniach i miesiącach przybywali do Kargowej osadnicy. Organizowano życie miasta. Pierwszym burmistrzem był Piotr Jagodziński, a milicjantami: Jan Fornalczyk (mój mąż), Fiebig, Lehman, Ciuńczyk. Grupa ta dbała o porządek w mieście.

Wkrótce po ślubie pojechaliśmy z mężem w jego rodzinne strony. Do Rawy Mazowieckiej jechaliśmy dwa dni pociągami towarowymi. Rosjanie po wejściu do Kargowej zachowywali się strasznie. Wiele osób, w tym również moich współpracowników, pozbawiono życia. Była to zemsta – Kargowa była pierwszą niemiecką miejscowością za granicą.

Po wojnie moje siostry i moi bracia kolejno zakładali rodziny i osiedlili się w okolicy. Mąż był krótko milicjantem. W kolejnych latach pracował jako gajowy u leśniczego Mojszejenki (Linie). Tam spotykał się z Eugeniuszem Pauksztą i jego rodziną (żoną i synem Dominikiem). Przekazywał pisarzowi wiedzę o Kargowej, z której ten korzystał pisząc powieści. Moja najstarsza córka, Urszula, przebywała na Linach bawiąc się z Dominikiem. Po reorganizacji nadleśnictwa mieliśmy się przenieść do Bukowa. Nie zgodziłam się, więc mąż zrezygnował z pracy. Podjął nową, w składnicy drewna, a następnie w młynie, potem w szkole podstawowej – jako woźny. W ostatnich latach życia prowadził stację benzynową w Kargowej. Zmarł w 1986 r.

Moje losy potoczyły się następująco: urodziłam sześcioro dzieci, prowadziłam dom, wychowywałam dzieci. W latach 50. podjęłam pracę w placówkach oświatowych, początkowo w przedszkolu, a następnie w szkole podstawowej. W latach 80. przeszłam na emeryturę. Mieszkam z córką i wnuczką.

Zanotowała: **Brygida Wróblewska**

Kargowa, dnia 16 stycznia 1950 r.

Z a s w i a d o z e n i e

Ob. Irena Grelakówna, urodzona w Kargowej dnia 5 października 1933 r. praktykowała w tut. administracji miejskiej od grudnia 1948r. dotychczas.

W pracy swojej przechodziła referaty: ewidencja i ruch ludności, sanitarne, aprowizacyjne, opieki społecznej, rolnictwo, podatkowe i inne. Dzięki pilności, staranności i sumiennosci w opracowywaniu powierzonych zadań, Irena Grelakówna nabrała odpowiedniego zasobu wiedzy z dziedziny życia samorządowego i przepisów obowiązujących samorząd miejski, zdobywając sobie władz miejskich szacunek i poważanie, jak również u wszystkich współpracowników zarządu miejskiego.

Brak jedynie kredytów na płatne zaangażowanie Grelakówny w tut. administracji, może być powodem zaprzestania dalszej pracy.



Jagodziński  
Burmistrz

od 1. XI. 48  
do 24. I. 50





# Krystian Grelak

**KARGOWA, UL. POLNA**

**P**RAGNĘ PRZYPOMNIEĆ MIESZKAŃCOM KARGOWEJ, że 29 stycznia 2004 r. minęła 59. rocznica wyzwolenia miasta przez Armię Czerwoną. W połowie stycznia 1945 r. dowiedziałem się z gazet, że Armia Czerwona przeszła do natarcia w kierunku zachodnim – na Berlin. Pewnego dnia spotkałem w mieście kolegę szkolnego, Fiedlera, od którego dowiedziałem się, że Rosjanie są już w Częstochowie. W następnych dniach zauważyłem dużo uciekinierów podążających przez miasto w kierunku Sulechowa. W tym czasie władze miasta w miejscowym kinie, obecnie jest to Gminny Ośrodek Kultury i Sportu, zorganizowały jadalnię dla uciekinierów. Podawano im gorącą herbatę, kawę oraz chleb obłożony wędliną. Za posiłek nie pobierano pieniędzy. Widziałem osobiście dzieci, które miały tak mocno odmrożone nogi, spuchnięte, że nie można było zdjąć butów i trzeba było je rozcinać.

25 stycznia 1945 r. około godziny 16.00 po raz pierwszy zobaczyłem radziecki samolot wracający z lotu wywiadowczego. 27 stycznia 1945 r., w sobotę, większość mieszkańców miasta opuściła swoje domy, mieszkania udając się pociągiem lub innymi środkami lokomocji w nieznaną. W niedzielę, 28 stycznia,

około godziny 13.00 pododdziały radzieckie pochodziły pod miasto i rozpoczęła się pierwsza wymiana ognia. W tym czasie pozostała ludność cywilna, która nie uciekła schroniła się w miejscowym zamku w piwnicy, której mury miały 1 metr grubości. Wraz z zapadającym zmrokiem sowieci rozpoczęli natarcie na miasto, zdobywając bloki kolejowe, mleczarnię i gorzelnię, dochodząc pod stację kolejową. Wojska niemieckie przeszły do kontrnatarcia wypierając Rosjan za miasto do lasu dźwińskiego. W trakcie tego natarcia duża grupa Rosjan wozami, bryczkami ruszyła wzdłuż Obrzycy i udała się do Karszyna, gdzie wymordowała w pierwszym dniu około 16 osób: starców, kobiety i dzieci.

W pierwszym dniu walk o Kargowę zapaliły się od wybuchu pocisków cztery domy, których dachy były pokryte słomą. Były to domy w Kargowej Dolnej. Tej nocy moja cała rodzina i jeszcze około 60 osób spało w piwnicy w zamku. Byłem przekonany, że rano zobaczymy pierwszych Rosjan. Rano natomiast zjawił się niemiecki oficer w asyście dwóch żołnierzy i rozkazał wszystkim rozejść się do domów. Po obiedzie około godziny 14.00 – 29 stycznia w poniedziałek zobaczyłem dym nad Rynkiem koło ratusza. Wziąłem brata Janka i poszliśmy zobaczyć, gdzie się pali. Zeszliśmy koło cmentarza ewangelickiego i szkoły do ulicy 27 Stycznia. Po drodze nikogo nie zauważyliśmy, wszędzie pustka. Ogarnął mnie dziwny lęk, jakbyśmy z bratem byli sami na tym świecie. Jak się okazało, to nie paliła się gospoda – obecnie Maraton, ale budynek obok – dziś sklep Słomińskiego. Wracając tą samą drogą usłyszeliśmy nadlatujące samoloty z kierunku zachodniego. Schowaliśmy się na cmentarzu za słupki betonowe. Za kilka sekund samoloty nadleciały ponownie, były to myśliwskie samoloty typu JAK 3. Wróciłem z bratem i wszystko opowiedziałem mamie. Gdy się ściemniło, usłyszeliśmy potężną eksplozję i cały dom zachwiał się w swoich posadach. W pokoju spali mój brat oraz Gerard i Ewa Ziarek. Rosjanin Iwan pracujący w naszym gospodarstwie chwycił mnie i wepchnął do piwnicy, następnie przyprowadził brata oraz Ewę i Gerarda. Mama, dziadkowie i pani Ziarek już tam byli. Ponownie nastąpiła potężna detonacja i odczuwalny wstrząs całego domu, uderzył następny pocisk artyleryjski, który spadł około 100-150 metrów od naszego domu. Było jeszcze kilka wybuchów, ale już mniej odczuwalnych i oddalających się. Potem nastąpiła dziwna cisza.

W nocy, około godziny 1.00, pojawili się dwaj rosyjscy żołnierze, sprawdzając ilu nas jest. Rozmawiali z Iwanem. Gdy odeszli, Iwan powiedział nam, że pytali go czy doznał jakichś krzywd z naszej strony. Odpowiedział, że nie i że jest mu tu dobrze. Iwan powiedział nam, że chcieli nas rozstrzelać.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej zaczął się okres bezpański. Palenie miasta, gwałty, zabójstwa i kradzieże. Ogółem zamordowano i rozstrzelano od 15-20 osób. Z rozpaczki kilka osób starszych odebrało sobie życie przez powieszenie. Zamordowanych znałem osobiście, a część z nazwisk. Ustanowiono wojenną komendanturę dla Kargowej.

## Opis Rynku

Opisując Rynek kargowski zaczynam od północno-zachodniej strony, gdzie dziś znajduje się apteka pani Smółko. Była tam apteka przed wojną i w czasie wojny, aż do 1945 roku. To jedyny ocalały budynek na stronie północnej, reszta została spalona przez Sowieców w dniach 29 stycznia – 14 lutego 1945. Obok apteki w kierunku wschodnim był sklep spożywczy, czyli towary kolonialne Spielhagena. Na zapleczu i na ul. Browarnej posiadał on hurtownię spożywczą. Następny dom należał do Albrechta, który handlował wyrobami tytoniowymi: papierosami, tytoniem i cygarami. Przypuszczam, że dom należał kiedyś do Polaka, Szymańskiego, gdyż na starszych zdjęciach i pocztówkach na fasadzie domu widnieje napis „Szymański”. Ci obywatele (tzw. optanci) mogli się zamienić posiadłościami na podstawie uzgodnień Traktatu Wersalskiego i regulacji po I wojnie światowej pomiędzy rządem niemieckim i polskim. Tak za obopólną zgodą Polak wyemigrował na stronę polską do woj. poznańskiego, natomiast Niemiec z Polski przyszedł do Kargowej. Następny duży dom był hotelem i restauracją pod nazwą „Hotel zu drei Kronen”, czyli był to hotel „Pod trzema koronami”. Właściciel – Schön. Obok hotelu, dalej w kierunku wschodnim stał dom mieszkalny pana Dimke, ale ja pamiętam, że w tym domu był zakład fryzjerski. Marta Rauhut prowadziła tam zakład fryzjerski męsko-damski, ale przeważnie klientkami były kobiety. Następny budynek to sklep masarski Rothe. Na zapleczu znajdowała się ubojnia i zakład przetwórstwa. Ten rzeźnik pracował tam jeszcze przed I wojną światową, wg relacji mojego ojca, Jana Grelaka, który z rodzicami osiedlił się w Kargowej w 1907 r. Następny budynek należał do piekarza Karenke. Sklep był czynny w czasie wojny do 27 stycznia 1945 roku. Jedna z jego córek po wojnie wyszła za mąż za Szkota i zamieszkała w Szkocji. Za kolei wnuczka piekarza Karenke urodziła się w Szkocji i tam wyszła za mąż za wysokiego rangą oficera armii brytyjskiej. Pracuje on w dowództwie NATO w Brukseli. Następny budynek, ostatni z północnej strony, to był Unruhstädter Sparkasse – czyli Kargowski Bank Oszczędnościowy. Miałem wówczas już książeczkę oszczędnościową i bywałem tam wiele razy. Gmach został spalony, zaś w piwnicy znaleziono dużą kasę pancerną. Sowieci próbowali ją kilkakrotnie otwierać, ale się nie udało. W marcu 1947 roku przyjechało UB z Poznania, zaangażowało pana Pachółka z aparatem spawalniczym i opróżniło kasę pancerną z 300 pierścionków różnej wartości i dwóch maszyn do pisania. Miałem okazję w latach późniejszych rozmawiać z byłą pracownicą tegoż banku, która jeszcze dzień przed wkroczeniem Armii Radzieckiej (28 stycznia 1945 r.) sama od niemieckiego złotnika przyjęła do depozytu te 300 pierścionków i dwie maszyny do pisania.

Strona wschodnia rynku. Zaczynam od narożnika przy ul. 27 stycznia. Dawniejsza gospoda GS, obecnie właściciel „Mazur”. Właścicielem był kiedyś niejaki

Grandmann, wg relacji mojego ojca wyjechał i zamieszkał w USA wydierżawiając hotel niejakiemu Arnholdowi. Właścicielem następnej kamienicy był Jäkel, obecnie jest tu sklep wędliniarski „Słomiński”. W tym domu urzędował złotnik, który oddał do banku depozyt w postaci 300 pierścionków. Kolejny dom, gdzie obecnie Zawadzki prowadzi sklep odzieżowy, był domem mieszkalnym Kirschów; ich krewni Frischeisenowie mieszkali w ratuszu. W tym budynku w czasie wojny nie prowadzono działalności handlowej, gdyż władze hitlerowskie ze względu na brak towarów – wszystko było na kartki – nie każdemu dawali zgodę na handel. Potem mamy dom, w którym mieszkał, wg mojej wiedzy, zdun Kluge. Następny był sklep odzieżowy Hoffmannów. Państwo Hoffmannowie zatrudniali Polaka z daleka – krawca, który szył ubrania na miarę, nazywał się Słociński. Kamienica gdzie teraz mieszkają państwo Jaszczakowie należał do Kadachów. Kiedyś to sklep rzeźnicki oraz miał pijalnię piwa i wyszynk wódki. Następny należał do Schubertów, dziś znajduje się sklep pani Gestner. Ciekawostka, Schubert był wydawcą lokalnego pisma – „Unruhstädter Zeitung”. Oprócz tego sprzedawał artykuły papiernicze. W czasie kampanii wrześniowej Schubert był oficerem i uległ śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu. Został pochowany na byłym cmentarzu ewangelickim. Ostatni dom narożnikowy – obecnie piekarnia GS i sklep spożywczy Mani. Wtedy właścicielem budynku był Baumgart. Pamiętam, że urzędował tam blacharz produkujący rynny, garnki, konewki do mleka.

Południowa strona Rynku od ul. kpt. Więckowskiego. Duży dom mieszkalny – właściciel Luck, od strony obecnej ul. kpt. Więckowskiego mieszkał niejaki Jabusch, który wypłatał wyroby z wikliny. Przed wojną był tam sklep z wyrobami cukierniczymi, jakiś czas później sklep z wyrobami rękodzielniczymi jak serwetki. Następny dom, obecnie odbudowany przez Brychcego, była to piekarnia–cukiernia i kawiarnia. Obiekt dosyć duży, w nim bardzo ładny lokal dla 50 gości. Właściciel nazywał się Kadach. Kamienica gdzie obecnie Cichy z Kopanicy ma sklep masarski zajmował masarz Beyer–Dickfeld. Kolejny dom (obecnie sklep spożywczy Skrzypczaków), zamieszkiwała rodzina Fabisch. W następnym domu urzędował fryzjer Kadach. Jego żona i dzieci zginęły w 1945 r. w czasie wkroczenia Armii Czerwonej, on był wówczas na wojnie. Tu gdzie teraz znajduje się Bank Spółdzielczy Siedlec był dom mieszkalny niejakiego Panke. A na rogu, aż do ul. Dworcowej, właścicielem kamienicy był Peschel. Miał piekarnię – cukiernię z dużą kawiarnią, miał też drugi obiekt przy ul. Ogrodowej, gdzie przerabiał owoce, jabłka, gruszki, maliny, porzeczki na soki pitne i sprzedawał je w kawiarni. Ten duży, ładny obiekt jeszcze przed wojną był oświetlony neonami. Niestety, oprócz piekarni wszystko zostało spalone przez Armię Radziecką. Ale zaraz po dwóch tygodniach piekarnię uruchomili Winke i Gałęzowski oraz Plocek. Dla komendy radzieckiej oraz ludności, która właśnie w tym czasie znajdowała się w Kargowej.

Chleb był wydawany bezpłatnie – na jedną osobę dziennie 500 gram chleba. Cztery osoby otrzymywały dziennie jeden bochenek chleba dwukilogramowego. Było to możliwe gdyż w kargowskich młynach zachowały się dostatek mąki żytniej i pszenicy.

Opis zachodniej strony Rynku zaczynam od rogu Marchlewskiego, gdzie obecnie znajduje się sklep Tarnowskiego. Właścicielem kamienicy był Zwillich, miał sklep elektryczny połączony ze sprzedażą radiodbiorników, wykonywał też wszelkie instalacje elektryczne jak i siłowe. Ponadto na rogu Rynku miał stację benzynową. W czasie wojny sklep był nieczynny, gdyż z chwilą zajęcia Polski Zwillich przeniósł się do Wolsztyna. Kolejny dom był mieszkaniem Eberta. Trzeci zaś należał do Rigerów; mieli duży sklep z materiałami, w tym bogaty wybór futer. Córka Riegera po wojnie zamieszkała w Hanowerze, gdzie prowadziła duży sklep z futrami i przechowalnią-zamrażalnią. Następny dom był mieszkalny i należał do Schöneichów. Zajmowali się udzielaniem korepetycji, dodatkowych lekcji szkolnych. W obecnym sklepie Rajewskich sprzedawano kiedyś porcelanę, zabawki, a pod koniec wojny był nieczynny. Właściciel, Fiedler, po wkroczeniu Armii Radzieckiej ukrył ogromne ilości porcelany, zabawek, nowo zapakowanych dywanów, niestety, wszystko to w krótkim czasie zostało rozkradzione. Następny dom należał do Förstera, który prowadził sklep nabiałowy zaopatrywany przez miejscową mleczarnię. Właścicielem domu, w którym teraz jest hotel (przedtem bank), był niejaki Witzel. Pod koniec wojny Witzel został burmistrzem miasta Unrustadt – Kargowa. Zginął w niedzielę 28 stycznia 1945 r. Witzel miał sklep obuwniczy oraz sklep z bronią taką jak pistolety małokalibrowe oraz broń myśliwska i sprzedawał amunicję. Następny dom narożnikowy do ul. Sulechowskiej. Właściciel – Schmidt. Mieścił się tu duży piętrowy dom towarowy, bardzo okazały. W czasie wojny czynny był tylko parter, sprzedawano zeszyty, książki. Niestety, wszystko to padło ofiarą bezmyślnego podpalenia w czasie przemarszu Armii Radzieckiej przez Kargowę.

**Krystian Grelak**

Część pierwszą zanotował: **Dariusz Wróblewski**



Biskup w Wojnowie



# Elżbieta Grocholska

WOJNOWO

**N**AZYWAM SIĘ ELŻBIETA GROCHOLSKA, URODZIŁAM SIĘ 17 STYCZNIA.1927 r. w Komyi. Miasto to leży w zachodniej części Ukrainy, nad rzeką Prut, ok. 60 km od granicy z Rumunią. Ojciec mój, Robert Szmít, pracował jako robotnik w gazowni miejskiej. Matka, Ludwika, była położną w szpitalu miejskim. W mieście było kilka szkół. Mieszkali w nim Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Każda z narodowości miała swój kościół. W centrum znajdował się ładny ratusz. Było czysto.

W końcu czerwca 1945 r. przyjechałam z rodzicami i rodzeństwem do Przemysła. Był to mały transport, zorganizowany w pośpiechu przed najeżdżającymi co raz częściej na Polaków bandami ukraińskimi. Mimo nocnego przejazdu do Przemysła po drodze zatrzymała nas taka banda, która na szczęście żądała tylko okupu. W Przemysłu ojciec pracował w gazowni, a matka zajmowała się wychowywaniem dzieci. Było nas pięcioro: starsza siostra Katarzyna, ja, młodsza Stefania oraz bracia Józef i Zdzisław. Po wybuchu wojny skończyłam sześć lat. W Przemysłu uczyłam się zawodu w zakładzie fryzjerskim, gdzie dorywczo pracowałam. W lipcu 1950 r. przyjechałam do Wojnowa z ciotką, Rozalią Grochol-

ską, która mieszkała tu od 1945 r. Przyjechała transportem z Kołomyi do Wołowa na Dolnym Śląsku, a stamtąd do Kargowej. Mieszkałam u ciotki i pomagałam jej w pracy na gospodarce. W 1950 r. Maria Gębuś, Stanisław Grocholski, Franciszek Nitschke i pan Gordon otrzymali pisemną zgodę królowej Holandii – Julianny na przekształcenie spichlerza na kaplicę. Prace z tym związane wykonali mieszkańcy we własnym zakresie. W 1951 roku odbywały się tam już msze – raz w miesiącu. Na poświęcenie kaplicy przybył biskup naszej diecezji.

W budynku ponemieckiej szkoły zorganizowano szkołę podstawową. Funkcjonowała w latach 1946–53, a nauczala w niej Maria Gębuś, nauczycielka z Kołomyi. Potem dzieci z Wojnowa chodziły do szkoły w Starym Kramsku. W budynku szkolnym otwarto świetlicę gromadzką. W czerwcu 1957 roku wzięłam ślub ze Stanisławem Grocholskim. Mąż pochodził z Kamionek koło Kołomyi. Z rodzinnych stron przybył transportem do Wołowa na Dolnym Śląsku, a stamtąd do Kargowej. W Wojnowie dostał za pozostawione mienie gospodarstwo rolne. Mieliśmy wtedy 7 h ziemi, hodowaliśmy świnię i bydło. Mąż, jako wdowiec, miał dwoje dzieci. Wspólnych mieliśmy dwoje, Zbigniewa i Danutę. Było dla kogo pracować. Praca w gospodarstwie była ciężka, ale dawała dochód. Do GS-u w Kargowej odstawialiśmy świnię, mleko, zboże i od ręki dostawialiśmy pieniądze. Dzisiaj syn czeka na pieniądze miesiącami.

Zyło nam się dobrze. Wybudowaliśmy nowy dom, dokupiliśmy ziemi. Mąż przez kilka kadencji był sołtysem Wojnowa. Organizował zabawy, które odbywały się bardzo często. Co roku odbywały się dożynki, organizowaliśmy je wspólnie ze Smolnem Wielkim. Na pochody pierwszomajowe udekorowanymi wozami drabiniastymi jechała delegacja wsi do Kargowej.

W 2009 r. odwiedziłam rodzinne strony. Kołomyja nie jest mocno zniszczona, ale zaniedbana. Ratusz został odnowiony. Kościół był do niedawna magazynem i wewnątrz jest całkiem zniszczony. Tam poczułam się młodsza i zdrowsza. Ciężko było wracać do domu. Po powrocie przez wiele dni wspominałam młodość i łzy leciały ciurkiem.

Zanotował: **Czesław Błoszyk**





**Stanisław Grocholski przyjmuje  
nominację na sołtysa Wojnowa 1953 r.**

**Od lewej Elżbieta i Stanisław  
Grocholscy, Władysław Korbanek  
– przewodniczący Gromadzkiej Rady  
Narodowej**



Kaplica ze spichlerza Wojnowie



# Elżbieta Gryca

KARGOWA, UL. KPT. WIĘCKOWSKIEGO

**T**RAFIŁAM DO DOMU, W KTÓRYM OD KWIECZNIA 1945 R. była zadowolona moja rodzina. Obecnie jest to budynek na ulicy Więckowskiego. Po wyjeździe z Mikołajowa tu była cisza domu, miasteczka, poza kilkoma strzałami. Nie było frontu, ziemia obiecana, bajka, cisza. Kargowa jest moim drugim domem do dziś, dobrowolnie nie chciałabym się wyprowadzić. Od 1958 r. na stałe tu mieszkam, obserwuję wrastanie ludzi z różnych korzeni, z różnych miejsc, to było społeczeństwo jakby zlepek. W pierwszych latach słyszałam: to są zaburzenie, czyli zabugole, to pyry poznańskie, a to autochtoni, czyli tutejsi i tymi terminami tak się operowało. Potem to przycichło, z biegiem czasu też się to rozmywało. Nie było zabugoli, pyr, ani autochtonów, tylko byli po prostu ludzie. Nowe pokolenie się wyłoniło i różnice się coraz bardziej zacierały. Zabugol ożenił się z pyrą, ktoś inny z kimś innym. To jest właśnie charakterystyczne, żeby wytworzyło się takie silne społeczeństwo pochodzące z takich różnych zlepeków, z różnych kultur, nawet, można tak zaryzykować, z różnych tradycji wyrosniętych z różnych korzeni. A tu wszystko tak się pięknie zasymilowało, zaaklimatyzowało i takie się stworzyło swoiste społeczeństwo. To właśnie bym chciała powiedzieć, bo jak się pracuje, to jest kwestia dnia, kwestia humoru, tego czy tamtego, kwestia jednodniowej emocji, ale ten klimat, który się wytworzył w Kargowej i te domki sympatyczne powstały i to wszystko to jest takie jakieś bardzo miłe sercu. Chyba, że by ktoś mnie na taczce stąd wywiózł, ale do Mikołajowa nie wrócę na pewno. Lecz Kargowa i Mikołajów to są dwa właśnie takie punkty, nie tylko na mapie, ale i w świecie, które kocham.

Zanotował: **Dariusz Wróblewski**

10 Pfennig

zahlt bis zum 1. städtische Spar dem Vorzeiger ohne Prüfung d. Unruhestadt, m. B.

Der Magistrat  
Nur gültig des

10 Pfennig

Oktober 1917 die Unruhestadt dieses Gutdrehmes

Magistrat

mit dem Namenszug des Magistrats

Unruhestadt Kreis Bomst  
Freistaat Preußen / Prov. Grenzmark Posen / Westpreußen



Abschnitt

Post-Aufgabestempel



Eingezahlt vom

Postamt

Unruhstadt

18.10.1917

Bemerkungen

Postauftrag

Nachname

an Wiese

in Niederdorf

vom 1/8

Rassenzeichen

Buchungs-Nr. 243

# Jan Gut

## STARY JAROMIERZ

**U**RODZIŁEM SIĘ 15 MAJA 1927 ROKU W MIEJSCOWOŚCI Uście Zielone, powiat Buczacz, woj. tarnopolskie, obecnie jest to Ukraina. Ojciec miał gospodarstwo 10 ha ziemi, duże zabudowania gospodarcze, sad i pasiekę, konie i bydło. Rodzinną miejscowość zmuszony byłem jednak opuścić wraz z rodziną, rodzicami i czterema siostrami, w związku z napadami band UPA. Byliśmy dwukrotnie napadnięci, zostaliśmy ograbieni praktycznie z całego dobytku. Żeby przeżyć musieliśmy uciekać. W marcu 1945 r. z całą rodziną uciekliśmy do Stanisławowa. Tam zorganizowano transport kolejną na zachód, do woj. lubelskiego. Dojechaliśmy do stacji Zwierzyniec, gdzie nas wyładowano. Następnie kolejką wąskotorową dojechaliśmy do Biłgoraja, gdzie przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w barakach. Ukraińców mieszkających w okolicznych wioskach wysiedlono na wschód, my natomiast mieliśmy wybrać dla siebie gospodarstwo przez nich opuszczone. Były tam jednak bardzo słabe ziemie i bardzo skromne zabudowania. Ponadto nocami grasowały bandy. Przedstawicielka Czerwonego Krzyża, pani Burakowa, doradziła, abyśmy wyjechali w Poznańskie i zorganizowała transport. Doczepiono go do składu wojskowego i podróżowaliśmy z nim po całych ziemiach zachodnich.

W końcu trafiliśmy do wsi Sarnówka, gmina Lubanie, powiat Aleksandrów Kujawski na Kujawach. Osiedlono nas wraz z trzema innymi rodzinami na 40-hektarowym gospodarstwie. Każda rodzina miała dla siebie jeden pokój i wspólną kuchnię. Mieszkaliśmy tak dwa lata, a w międzyczasie szukaliśmy innego miejsca. Ojciec skontaktował się z panem Niedzielskim, który pochodził z naszych stron i mieszkał już w Starym Jaromierzu. Od niego dowiedział się, że jest możliwość osiedlenia się w Starym Jaromierzu.

Tym sposobem w kwietniu 1948 r. przyjechaliśmy do Starego Jaromierza i osiedliliśmy się w gospodarstwie zajmowanym uprzednio przez kolejarza; zajmowało 16 ha. Mieszkam tu do dziś. Ziemia wcześniej leżała ugorem, musieliśmy ciężko

pracować, żeby doprowadzić ją do stanu umożliwiającego uprawę. Snopowiązałkę, która była w obejściu zabrał GOM, Gminny Ośrodek Maszynowy, więc zboże musieliśmy kosić kosami.

Jaromierz zamieszkiwali repatrianci z kresów południowo-wschodnich, z Wileńszczyzny oraz przesiedleńcy z Małkini w woj. warszawskim, a także autochtoni i kilka rodzin z woj. poznańskiego. Bywało różnie, czasami jedni z drugich się podśmiewali, bo gwara była różna i różne obyczaje. W Jaromierzu była czteroklasowa szkoła, w której uczyła pani Niedzielska. Dzieci z rodzin autochtonicznych początkowo miały kłopoty z mową polską. Różnice szybko się jednak zatarły. Niektóre zabudowania w wiosce były zniszczone po wojnie. Miejskowa młodzież, która była zorganizowana w organizacji Służba Polsce pomagała je odgruzowywać. Mieliśmy Ochotniczą Straż Pożarną, która oprócz gaszenia pożarów organizowała latem zabawy na powietrzu, a zimą w dużej sali u pana Manulika w Jaromiersku. Na te imprezy przyjeżdżała młodzież z okolic ponieważ nie było u nas bijatyk. Stary Jaromierz uchodził za najspokojniejszą wieś w gminie. Pomimo tego, że należeliśmy do parafii Kargowa do kościoła chodziliśmy do Kopanicy, bo było bliżej.

W 1949 roku zostałem powołany do wojska, moja służba trwała trzy lata. Po powrocie zająłem się gospodarstwem. Czasy były ciężkie, bo istniały dostawy obowiązkowe - za darmo trzeba było oddawać państwu zboże, mięso, mleko oraz ziemiaki. Zimą musieliśmy chodzić do lasu ścinać drzewo za darmo - trwało to do 1956 r., kiedy Gomułka zniósł obowiązkowe dostawy. Od tej pory rolnikom się byt poprawił. Wioska się zmieniła, gospodarze zaczęli się budować i inwestować w gospodarstwa. Dobrze mi się tu mieszka, bo ludzie w Starym Jaromierzu są dobrzy i uczynni.

Zanotowała: **Barbara Kornaszewska**



# Gerda Jungowska-Bielicka

WOJNOWO

**N**AZYWAM SIĘ GERDA JUNGOWSKA-BIELICKA. Urodziłam się 17 sierpnia 1937 r. w Wojnowie. Mieszkali tu moi dziadkowie ze strony mamy. W budynku nr 2 mieszkał Niemiec, Koch, który był sołtysiem przedwojennego Wojnowa. A moja mama pracowała właśnie w gospodarstwie sołtysa. Po wybuchu wojny Koch wyjechał do Niemiec i już nie wrócił. Zamieszkałam z mamą w jego domu. Z pałacu wyprowadziła się wtedy rodzina księcia Bernarda. Budynek zajął oddział Wehrmachtu. Za gorzelnią postawiono baraki szpitala polowego. Na ogrodzonej łące obok trzymano bydło i konie pałacowe. W czasie wojny było spokojnie. Gdy zaś zbliżał się front wojsko niemieckie zabrało pałacowe bydło i konie w głąb Niemiec.

Jak przyszli Rosjanie w pałacu utworzyli punkt dowodzenia. W budynku, w którym mieszkałam z mamą, powstał punkt krawiecki. Mama zajmowała się naprawianiem mundurów żołnierskich. Punkt ten nadzorowała Rosjanka o imieniu Kalina. Do zagrody za gorzelnią Rosjanie spędzili bydło i konie z gospodarstw poniemieckich. Kobiety ze wsi chodziły codziennie doić krowy. Gdy ogłoszono koniec wojny żołnierze rosyjscy zorganizowali na placu przed pałacem ucztę dla

całej wsi. Po niedługim czasie Rosjanie opuścili Wojnowo zabierając bydło i konie. Kalina zostawiła mamie jedną krowę. Generalnie można powiedzieć, iż wojska jednej i drugiej strony raczej omijały Wojnowo.

Obok pałacu były stajnie, które zburzono, a na ich miejscu postawiono budynek mieszkalny, w 1958 r. rozpoczęłam pracę jako wychowawca w sanatorium dla dzieci, które działało w pałacu. Był to oddział Lubuskiego Ośrodka Rehabilitacyjno-Ortopedycznego w Świebodzinie. Kierownikiem zakładu został Jan Florkowski, który przyjechał z Kościana. W 1960 r. zmieniono profil zakładu. Powstał Państwowy Dom Zdrowia. Pracowałam w nim przez dwa lata. W 1963 r. rozpoczęłam pracę w Ośrodku Wypoczynkowym dla Nauczycieli. Powstał przy domu moich dziadków, w którym wtedy mieszkałam. Pracowałam w nim do 1980 r., czyli do przejścia na emeryturę. Był to okres pracy i rozrywki jaką był kontakt z wieloma ludźmi. Każdego roku zjeżdżało tutaj dużo wczasowiczów z całego województwa. W każdym turnusie było kilka imprez kulturalno-rozrywkowych. W 2002 roku ośrodek został zlikwidowany. Dziś jego mury psują obraz Wojnowa.

Zanotował: **Czesław Błoszyk**

**Turnus dzieci w Lubuskim Ośrodku  
Rehabilitacyjno-Ortopedycznym  
rok 1958–1959**





# Henryka Kazimowicz

SMOLNO WIELKIE

**H**ENRYKA KAZIMOWICZ Z DOMU WASYLIK urodziła się w Janowie koło Trembowli w 1930 roku. Jej rodzicami byli Stanisław Wasylik i Aniela z domu Ossowska. Miała brata – Bronisława, który zmarł wcześniej, bo w wieku 53 lat, ma siostrę, która mieszka w Świebodzinie.

Pani Henryka dosyć dobrze pamięta moment, kiedy Sowieci napadli na Polskę 17 września 1939 roku. Miała wtedy wprawdzie dopiero 9 lat, ale utkwilo jej w pamięci szczególnie to, że byli bardzo butni i pewni siebie. Zawsze powtarzali, że przybyli tutaj, aby „oswobodzić uciśniony naród ukraiński od polskich panów i ciemiężców”. Pamięta też dobrze, jak nasze wojska, a zwłaszcza dowództwo, chciało ewakuować się do Rumunii. Jechali całą kolumną na południe, ale nie wiedzieli, że są obserwowani ze szczytu pobliskiego wzgórza przez sowiecki patrol. Gdy tylko Polacy wjechali do wąwozu, który był poniżej Janowa, to z drugiej strony pojawił się duży oddział sowiecki, który zagroził im drogę. Zaskoczenie było kompletne, a poza tym wojsko miało rozkazy, aby nie walczyć z Rosjanami. Zostali wszyscy wzięci do niewoli. Oficerowie zostali wywiezieni do któregoś z obozów, a co stało się z żołnierzami nie wiadomo.

Pani Henryka opowiada, jak poprzez swoją wrodzoną intuicję uniknęła deportacji na roboty do Niemiec. Pamięta, że którejś niedzieli była na mszy w miejscowym kościele. Coś jej jednak mówiło, żeby wyjść wcześniej. Gdy tylko z niego wyszła, to zobaczyła, jak po kilku minutach kościół został otoczony przez kordon niemieckiego wojska. Z tyłu stało kilka ciężarówek. Do nich zaczęto ładować ludzi prosto z kościoła. Okazało się później, że niektórzy ludzie z tej grupy zdołali uciec, ale było to zaledwie kilka osób. Zatrzymano ponad 40 osób.

Niemcy często robili rewizje w domach. Szukali czy nie ma nielegalnie ubitych świń. Za taki ubój wywozili na roboty lub wsadzali do więzienia, a nawet wywozili do obozu koncentracyjnego. Ogólnie w czasie okupacji hitlerowskiej żyło się bardzo ciężko, brakowało prawie wszystkiego – nafty, zapalek, żywności, ubrań.

Rodzice pani Kazimowicz mieli nieduże, dwuhektarowe gospodarstwo, ale było co robić w gospodarstwie i w samym domu. Nie było kiedyś tylu maszyn, co dzisiaj. Ale żyło się jakoś inaczej, swobodniej, może trochę wolniej i biedniej, ale ludzie nie narzekali.

H. Kazimowicz pamięta, że wyjeżdżała z Janowa wraz z rodziną w październiku 1945 roku, a przyjechała do Smolna Wielkiego dopiero 18 listopada. Jechali, jak się okazało, prawie siedem tygodni! Podkreśla, że podróż była bardzo męcząca. Przez długi czas jechali w odkrytych wagonach, tzw. lorach. Dopiero gdzieś od połowy drogi przeładowali się do innego transportu, gdzie były wagony kryte.

Gdy przyjechali na zachód to zamieszkali w Ostrzycach, gdzie już wcześniej ich ojciec zajął dom. Na początku było im bardzo ciężko, tak jak i innym, którzy przyjechali ze wschodu. Na początku był ogromny chaos, niepewność jutra i tymczasowość. Mieli tylko jedną krowę, kilka prosiąt i trochę drobiu. Jednak później, dzięki pomocy państwa i ludzi dobrej woli, doprowadzili swój dom do takiego stanu, by można było w nim w miarę możliwości normalnie mieszkać. I tak z roku na rok zaczęło im się żyć coraz lepiej. Nie było to może to samo co przed wojną na wschodzie, ale mogli żyć normalnie. Pani Henryka mieszkała w Ostrzycach do 1947 roku, kiedy wyszła za mąż za Jana Kazimowicza. Od tamtej też pory zamieszkała w Smolnie Wielkim. Moja rozmówczyni wspomina, że za jej pamięci zostało rozebranych co najmniej kilkanaście domów, część z nich została spalona przez przebywających tu jeszcze Rosjan, a część przez grasujących często szabrowników z Wielkopolski. Takie były wtedy czasy, że to, co wydawało się bezpieczne, traktowane było jako niczyje. Taki właśnie los spotkał tartak, domy leżące z dala od wsi, piece chlebowe i inne obiekty.

H. Kazimowicz wspomina, że jeszcze kilkanaście lat temu odwiedziła ich pewna niemiecka rodzina, która tu kiedyś mieszkała. Niemcy zrobili trochę zdjęć, filmowali okolicę. Po jakimś czasie przysłali im zdjęcia wraz ze swym adresem. Mieszkali podobno w Berlinie. Niestety, okazało się, że był to jednorazowy kontakt.

Mąż pani Henryki – Jan, pochodził z okolic Stanisławowa. Był od niej o kilka lat starszy. W czasie wojny walczył w kampanii wrześniowej. Później był na zesłaniu na Syberii aż za Uralem. Mieszkał tam wraz z innymi nieszczęśnikami w ziemiance, musiał pracować w nieludzkich warunkach, wiele wycierpiał. Później, gdy zaczęła się formować 1 Armia Wojska Polskiego, wstąpił do niej. Przeszedł cały front aż do Berlina. Przez wiele lat pracował na kolei. Kazimowiczowie mieli w Smolnie nieduże gospodarstwo rolne. Niestety, od wielu lat pan Jan nie żyje. Pani Henryka mieszka teraz z najmłodszym synem.

Zanotował: **Józef Pławski**



# Józef Kazimowicz

SMOLNO WIELKIE

**J**ÓZEF KAZIMOWICZ URODZIŁ SIĘ W DRYSZCZOWIE w powiecie podhajeckim, w dawnym województwie tarnopolskim w 1927 r. Dereszów leżał blisko granicy z woj. stanisławowskim. Wieś była średniej wielkości. Parafia katolicka i kościół znajdowały się w Horożance. Jego rodzicami byli Władysław i Emilia z domu Pawłowska. Miał troje rodzeństwa, ale wiedział też, że troje jego starszego rodzeństwa zmarło. Z tych dzieci, które przeżyły był najstarszy, miał jeszcze brata i siostrę.

W Dereszowie rodzice pana Józefa mieli dosyć duże gospodarstwo rolne o powierzchni około 7 ha. Przed wojną chodził do Szkoły Powszechnej w Dereszowie. Uczęszczał do niej do wybuchu wojny, a właściwie do czasu agresji Rosji sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 r.

Kazimowicz zapamiętał szczególnie moment wkroczenia wojsk sowieckich na te tereny w 1939 r. Miał wtedy 12 lat, pasł wtedy krowy na łące. Widział polskie wojsko maszerujące w stronę Rosji. Na czele oddziału jechał na koniu dowódca. Zatrzymał wojsko, gdyż widać było zbliżające się z naprzeciwka oddziały rosyjskie. Oznajmił swym żołnierzom, że Rosjanie jadą na pomoc Polsce. Stało

się jednak zupełnie inaczej. Polskie wojsko zostało zmuszone do złożenia broni i dostało się do niewoli.

Brat jego ojca został wysłany w tamtym czasie na Sybir. Potem udało mu się wraz z synem dostać do tworzącej się armii generała Andersa. Walczył w niej armii do końca wojny. Potem wojnie osiadł w Anglii.

Rodzice J. Kazimowicza zajmowali się pracą w gospodarstwie. Matka troszczyła się o dom, a ojciec oprócz pracy na roli, pracował od czasu do czasu jako szewc. Handlował też trochę końmi. W okolicach Dereszowa nie było większego przemysłu. W tej miejscowości było sporo rzemieślników – szewców, krawców, stolarzy, masarzy. Handlem trudnili się głównie Żydzi. W dawnym Dereszowie mieszkało znacznie więcej Ukraińców niż Polaków, ale żyli ze sobą we względnej zgodzie, bez większych konfliktów czy zdrażeń. Było tak aż do czasu wybuchu wojny.

Latem 1945 roku J. Kazimowicz wyjechał pociągiem na zachód i dotarł do Sulechowa. Wsiadł na stacji i dalej szedł pieszo torami w kierunku Smolna. Wcześniej dowiedział się, że jego rodzice już tu przybyli. Po drodze widział, jak Rosjanie pędzili stada niemieckich krów. Wreszcie spotkał się z rodzicami.

Jak wyglądało wtedy Smolno? Ogólnie wieś nie była mocno zniszczona. Latem 1945 r. i wczesną jesienią we wsi byli jeszcze nieliczni Niemcy. Było też w tym czasie sporo Rosjan, którzy mieli pilnować tu porządku. Już wtedy było osiedlonych sporo rodzin z Wielkopolski, ale tylko nieliczni z nich pozostali tu na dłużej, jak np. rodzina Izydora Stasika.

Pan Józef pamięta, że gorzelnia w dawnym majątku była jeszcze w dobrym stanie, ale pałac był wtedy spalony i mocno zdewastowany. Prawdopodobnie do końca września został całkowicie rozebrany. Mój rozmówca pamięta, że obelisk naprzeciw kościoła wyglądał wtedy całkiem inaczej. U góry był biały granitowy krzyż, całość ogrodzona ozdobnym płotem. Na stopniach obelisku były białe tablice z niemieckim napisem. Pamięta też, że przy kościele było sporo niemieckich grobów, a w kaplicy cmentarnej wiele tablic nagrobnych. Potwierdza istnienie przejścia podziemnego z pałacu do kościoła. W kościele zaraz po wojnie chór znajdował się także po bokach, jednak później boki zostały zlikwidowane. W tamtym czasie było we wsi niewiele domów krytych strzechą, dziś nie ma żadnego z nich.

Na placu, gdzie stoją dziś dwa bloki mieszkalne byłych pracowników PGR istniały ogrody m.in. Lachowicza, pani Śrutwy i Obaczów. Były szopy i inne budynki gospodarcze.

Zaraz po wojnie działała gospoda w obecnym domu Klementowskich. Znajdowało się w niej kilkanaście stolików, duży bar. Obok był sklep Grzybów. Druga gospoda, a po wojnie właściwie pijalnia piwa, była w domu Świstuniów. Przy obecnym domu Artura Gąsiorowskiego funkcjonowała ubojnia, dopiero później powstał tam sklep spożywczo-przemysłowy.

Gdy rodzina przyjechała do Smolna to zamieszkała najpierw w obecnym domu państwa Puczelów (przed nimi mieszkał tam Szałapata). W obecnym domu Kazimowicza mieszkał wówczas Piątek. W tamtym czasie sołtysem był Kujawa i według mego rozmówcy, to on właśnie był pierwszym sołtysem. Po nim sołtysem był Marcinów, ale stosunkowo krótko. Kujawa mieszkał w domu pani Golli. Z czasem sołtys pozwolił zamieszkać rodzinie pana Józefa w obecnym jego domu.

Tuż po wojnie było tak, że te domy zajęte oznaczono czerwonymi flagami, a te bez chorągwi czekały na zamieszkanie.

Po wojnie pierwsza poczta powstała w domu Kozaków. Potem działał tam sklep spożywczy, w którym sprzedawała Natalia Wenne. Poczte przeniesiono do Zawadzkich. Pierwszym listonoszem był Jan Stróżyński, który był też sołtysem. Pierwszym zawiadowcą stacji był Kupriańczyk. Za jego kadencji zdarzył się wypadek kolejowy, miał on nawet być oskarżony o sabotaż, ale na szczęście do oskarżenia nie doszło. Pan Kazimowicz wiele lat przepracował na kolei. Pracował też na stacji w Smolnie. Jednak najdłużej pracował w Sulechowie jako zwrotniczy, a później jako nastawniczy.

Po wojnie mój rozmówca służył Służbie Polsce. W ramach tej formacji pracował na Żuławach przy odwadnianiu terenów podmokłych. Była to ciężka i wyczerpująca praca. Przez ten czas, gdy pan Józef był na Żuławach zniszczono większość niemieckich grobów na naszym cmentarzu.

Ożenił się w 1950 r. z siostrą pana F. Włoska, Marią. Chciał dostać mieszkanie i otrzymał je w tym domu, gdzie obecnie mieszka. Podpisał umowę z poprzednią właścicielką na 20 lat. Jednak miejscowa władza zakwestionowała legalność decyzji o jego prawie do zamieszkania. Dostał nakaz eksmisji. W efekcie okazało się, że miał przez jakiś czas wspólne budynki gospodarcze z panem Szachlewiczem, który mieszkał obok. Później nawet doszło do tego, że dom był zaplombowany. Okazało się jednak, iż eksmisja była nielegalna. Wiele czasu i nerwów trwała jego walka o dom. Dopiero, gdy pomógł mu pan Bykowski, a także nieznamy z pociągu, który jak się okazało był wysoko postawionym urzędnikiem w Warszawie, to dopiero wtedy sprawę odkrecono, a postępowanie umorzono.

Pan Kazimowicz przypomina sobie, że do 1958 r. Smolno Wielkie podlegało pod Trzebiechów, a dopiero później pod Kargowę. Jeśli chodzi o kontakty z Niemcami, to mój rozmówca nie miał bezpośrednich kontaktów z nimi, ale wiedział o wizytach byłych mieszkańców tej wsi u innych osób.

Pan Józef wspomina też starszych księży, będących proboszczami w Smolnie. Np. ks. Megier z Kargowej, był zaciekłym wrogiem ustroju i nieraz miał z tego powodu kłopoty z władzą. Ksiądz Koper też był odważnym mówcą. Wyróżniało go spośród innych to, że jak był młodszy, to często w soboty i niedziele grał z ministrantami na miejscowym boisku w piłkę nożną. Potem był proboszczem w Sulechowie, ale kiedy tylko mógł odwiedzał dawną parafię.

W pierwszych latach funkcjonowania PGR-u działała jeszcze gorzelnia. W tym zakładzie miało prace wielu mieszkańców wsi.

W latach 60. i 70. bardzo popularną rozrywką we wsi były mecze piłki nożnej, na które w niedziele przychodziła prawie cała wieś. Niestety, do dzisiaj po tamtych czasach pozostało jedynie zaniedbane boisko.

— Każdy człowiek powinien przeżyć swe życie ciekawie i powinien zostawić coś po sobie — takie jest motto życiowe pana J. Kazimowicza. Ale to nie znaczy, że zrobił w swym życiu wszystko, co chciałby. Nie narzeka jednak na los, przyjmuje go z godnością, pomimo tego, że nie jest mu lekko.

Zanotował: **Józef Pławski**

# Alfons Kojro

KARGOWA, UL. 27 STYCZNIA

**M**ÓJ TATA, ALFONS KOJRO, URODZIŁ SIĘ W RYDZE, a później z rodzicami zamieszkał w Prozorokach na Wileńszczyźnie. W czasie II wojny światowej, został wywieziony do obozu pracy w Niemczech. Zakończenie wojny zastało go pod Lipskiem, gdzie pracował w fabryce amunicji. W Kargowej został zameldowany 1 października 1945 r.

Tata opowiadał:

— Wyzwolili nas Amerykanie i przez trzy miesiące nas ubierali i karmili, proponowali też wyjazd do Australii, gdzie wyemigrował mój brat lub do Kanady. Myśmy z żoną postanowiliśmy jednak wracać do Polski. Przejechaliśmy całą Polskę, aby z nowej granicy wraz z innymi repatriantami z Wileńszczyzny przyjechać na ziemie odzyskane. Do Kargowej przyjechałem z żoną Nadią późnym latem 1945 r., miałem wtedy 37 lat. Pociąg z repatriantami zatrzymał się na stacji kolejowej. Wysiedliśmy, aby zobaczyć miasteczko. Kargowa spodobała się nam, a urzędnicy z PUR-u (Państwowego Urzędu Repatriacyjnego) oświadczyli, że możemy zajmować opuszczone domy. Na spacerze ulicą 27 stycznia zauważyłem dom, w którym mieściła się pracownia obuwia, było tam wszystko co potrzebne szewcowi do pracy. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyszedł z domu na spacer i już do niego nie powrócił. Były tam kopyta, prawidła i inne narzędzia szewskie. Zdecydowaliśmy z żoną, że tu zostajemy. Przez trzy dni sprzątaliśmy i doprowadziliśmy warsztat i dom do porządku. Wtedy przyszedł inny pracownik PUR-u i kazał opuścić ten dom, ponieważ został przydzielony wcześniej innym repatriantom. Już wtedy działały łapówki. Opuściliśmy oboje, lecz pozwolono zabrać wyposażenie warsztatu szewskiego, gdyż nowym mieszkańcom nie było potrzebne. Zamieszkaliśmy po drugiej stronie ulicy w małym domku, który też wkrótce opuściliśmy, bo zawalił się komin. Przeprowadziliśmy się do domu nr 37, gdzie mieszkaliśmy do 1961 r. Było bardzo ciężko, bo przyjechalśmy bez niczego. Meble znosiliśmy z opuszczonych domów, dwa taborety przyniosłem z domu

na ulicy Górnej, później dowiedziałem się, że tam w czasie wojny mieszkali jeńcy rosyjscy. Gdy się już urządziliśmy i miałem narzędzia rozpocząłem pracę, otworzyłem warsztat szewski. Wpierw były to naprawy, ale z czasem, gdy mogłem zakupić skórę, zacząłem robić buty na zamówienie. Robiłem obuwie damskie, dziecięce i męskie, w tym oficerki, sam szyłem cholewki. Klienci zamawiali wzory obuwia z katalogów. Do bardzo wymagających i modnych klientów należeli państwo Apiecionkowie.

Nie było źle do chwili wymiany pieniędzy w roku 1950, gdy 100 złotych wymieniano na 3 złote. Parę dni przed tym dniem obszedłem swoich dłużników jak i chętnych na nowe buty, aby pobrać zaliczki na skórę i odebrać długi. Po skórę wówczas jeździłem do Poznania. Można rzec, że w ciągu jednej nocy z milionera stałem się biedakiem. Ale i to przeżyłem. Wkrótce zmuszono nas do zamknięcia prywatnych zakładów szewskich i krawieckich, zrzeszono nas w spółdzielniach. Tam pracowaliśmy już zespołach. Tak pracowałem jako szewc do roku 1959, kiedy to podjąłem pracę w fabryce cukierków „Dąbrówka” jako portier-rewident.

Wspominała: córka **Anna Balcerak**









Rzemieślnicza  
**SPÓŁDZIELNIA PRACY** RPO  
*Brzozy Skórzanej* RPO  
Z ODR Udz. w Zielonej Górze c.  
PUNKT USŁUGOWY w KARGOWEJ ZAKŁAD R-9

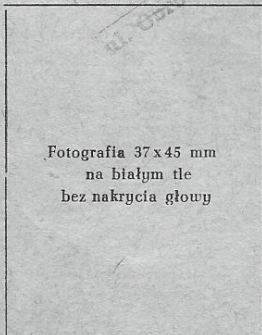






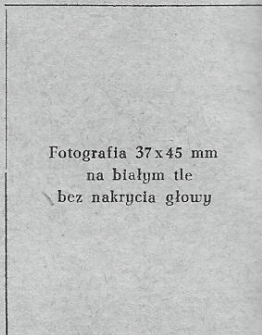
Fotografia 37x45 mm  
na białym tle  
bez nakrycia głowy

członek rodziny



Fotografia 37x45 mm  
na białym tle  
bez nakrycia głowy

członek rodziny



Fotografia 37x45 mm  
na białym tle  
bez nakrycia głowy

członek rodziny

## LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

Nr 112/56

Ob. Kocho  
nazwisko

Albens  
imię

rodowe nazwisko mężatki

urodzony w Ryga, Łotwa  
15 marca 1908  
data urodzenia

wydano dnia 28 lutego 56

**Rzemieślnicza Kasa Chorobowa**

Sekr. Zarządu  
Rzem. Kasy Chor.

m. p.

Przew. Zarządu  
Rzem. Kasy Chor.

ul. Obradców Stalingradu 13



# Maria i Ignacy Kownaccy

## SMOLNO WIELKIE

**I**GNACY KOWNACKI URODZIŁ SIĘ W 1916 R. W WILNIE. Ojcem był Szczepan Kownacki, a matką Stanisława z domu Wiśniewska. Brat – Wacław, urodził się w 1915 roku. Miał też dwie siostry – Nastazję i Janinę.

W marcu 1939 r. młody Ignacy dostał powołanie do wojska. Służył w wojsku zaledwie dziewięć miesięcy, gdyż wybuchła wojna. W grudniu 1939 r. Niemcy dotarli do Wilna. Kownacki był świadkiem agresji Rosji na Litwę we wrześniu 1939 roku. Był świadkiem aresztowania polskich oficerów i wywożenia ich do obozu jenieckiego w Ostaszkanie. Jako żołnierz miał być wywieziony do jednego z obozów jenieckich, udało mu się jednak wykorzystać zamieszanie przy załadunku żołnierzy na wagony i zdołał uciec z transportu. Doszedł na piechotę z Ukrainy aż do rodzinnego domu. Od tamtej pory ukrywał się przez półtora roku. W tym czasie Niemcy napadli na Rosję.

Pani Kownacka urodziła się w 1924 roku w Debiesiach (Debiesiach) w pow. oszmiańskim. Jej ojcem był Paweł, a mama Anna pochodziła ze szlacheckiej rodziny Zienkiewiczów. Miała siostrę i trzech braci. Wzięła ślub z Ignacym w 1941 roku.

Kownaccy wyjechali na zachód w sierpniu 1945 r. Jechali m.in. przez Piłę i Choszczno. Potem ich skład cofnięto do Poznania. Z Poznania pojechali aż do Gubina, a stamtąd trafili już do Smolna. Przyjechali tu jako repatrianci, mieli więc prawo do zabrania ze sobą koni, bydła, inwentarza drobnego, niektórych maszyn i sprzętu rolniczego. Wg nich, pierwszymi osadnikami w Smolnie Wielkim byli Wiśniewscy, Ławrynowiczowie, Konopkowie, Stelmachowie.

Dużo sowieckich żołnierzy mieszkało na osiedlu koło stacji kolejowej. Przebywali tam prawie do zimy. Państwo Kownaccy potwierdzili też, że po wojnie za stacją był tartak. Był podobno spalony, a później doszczętnie go rozebrano. Prawdopodobnie podczas wojny produkowano w nim stemple do umacniania okopów. Z tyłu za wsią w kierunku na Chwalim był nieduży dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi. Został prawdopodobnie rozebrany zaraz po wojnie. Jesienią 1945 roku pozostały po nim jedynie fragmenty murów. W okolicach tego domu znajdowała się wtedy ponemiecka przepompownia, której resztki są do dzisiaj. Kownaccy potwierdzili też, że obok domu pana Zająca (nieżyjącego już) pochowano potajemnie młodego chłopaka, który pracował w Smolnie jako parobek (pochodził podobno z Żodynia). Chłopak, wg ich opinii, został zamordowany przez Niemców i dosłownie zakopany obok wspomnianego domu. Z kolei na cmentarzu znajdują się dwie mogiły – matki i dziecka (oddalone od reszty cmentarza), którzy, jak można sądzić na podstawie opowiadań, zostali zamordowani w trakcie ucieczki, ale przez kogo nie wiadomo. W Smolnie znajdowały się takie domy, w których prawdopodobnie Rosjanie spalili kilka niemieckich rodzin. Z tego powodu niektóre polskie rodziny nie chciały w takich domach się osiedlać, np. rodzina Wójcików po odkryciu spalonych zwłok w domu, gdzie miała zamieszkać, postanowiła przeprowadzić się do całkiem innej okolicy.

Państwo Kownaccy nie są całkowicie pewni, kto był pierwszym sołtysiem w Smolnie. Uważają, że Jan Stróżyński, po nim sołtysiem miał być Fafuła, potem Berezowski. Pamiętają, że za obecnym domem pani Golli, znajdował się mały gliniany domek, który stał jeszcze po wojnie, ale tak jak większość podobnych domków stojących na uboczu i niezamieszkałych, został rozebrany. Kownaccy potwierdzili, że w obecnym domu pani Jancelewicz znajdowała się kuźnia, a kowalem był Antoni Barczewski.

Na stacji kolejowej pierwszym zawiadowcą wg państwa Kownackich, był pan Kupriańczyk, ojciec Romana Kupriańczyka, przy torach przez długi czas pracował pan Maćkowski. Kownacka przypomniała sobie jeszcze, że Niemcy, którzy mieszkali jeszcze przez jakiś czas w Smolnie, pokazali im gdzie mają pole z ziemniakami. Pojechali z nimi na pole pod Starym Kramskiem i pomagali nawet wykopywać i zbierać.

W trakcie zbierania tego materiału okazało się, że pan Ignacy zmarł niespodziewanie w sierpniu 2007 r.

Zanotował: **Józef Pławski**



# Monika Król

**KARGOWA, UL. KPT. WIĘCKOWSKIEGO**

**Do** KARGOWEJ PRZYBYŁAM WRAZ Z OJCEM JAKO 14-LATKA. Było to 29 sierpnia 1945 r. Wcześniej mieszkaliśmy w Chwałkowie Kościelnym w powiecie śremskim, gdzie w rodzinnym domu ojciec prowadził rzeźnictwo i sklep mięsny. Przyjazd do Kargowej poprzedziły ciężkie lata wojenne. W 1939 r. aresztowano ojca, był zakładnikiem w okresie, gdy na Rynku w Książu Wlk. rozstrzeliwano mieszkańców. Po dwóch tygodniach został zwolniony. Na początku marca 1940 r. (miałam dziewięć lat) do naszego domu wkroczyło dziewięciu SS-manów; aresztowano nas i przewieziono do tymczasowego obozu w Poznaniu, skąd po krótkim pobycie wywieziono pociągiem w nieznaną stronę. Trafiliśmy do Generalnego Gubernatorstwa, do Tarnobrzega, gdzie w trudnych warunkach przebywaliśmy pięć lat. Ojciec pracował w lesie, ja wraz z dwojgiem rodzeństwa korzystałam z tajnego nauczania prowadzonego przez profesora pochodzącego z Kępna.

W kwietniu 1945 r. pierwszym transportem powróciliśmy. Jechaliśmy dwa tygodnie. Nasz dom stał pusty, nie było śladu po rzeźnictwie. Nowe polskie władze zachęcały do zasiedlania ziem odzyskanych. Ojciec wraz ze swoim bratem wybrali się w podróż na zachód. Dojechali do Wolsztyna i kolejno do Kargowej,

Sulechowa i Zielonej Góry. Ojcu najbardziej spodobała się Kargowa. Uzasadniał to: ładne, małe miasteczko, chociaż wypalono wiele domów, jest miejsce na rzeźnictwo i niedaleko była granica z Polską. Postanowił zatem (jego brat również) osiedlić się w Kargowej. 29 sierpnia 1945 r. przyjechałam z ojcem, zamieszkaliśmy w domu, w którym do dziś mieszkam. Zasiedliliśmy rzeźnictwo Niemca Richarda Hunolta. Ojciec rozpoczął pracę w zawodzie, a było jej dużo. W mieście funkcjonowała początkowo rosyjska komendatura, której pracownicy dbali o ład i porządek oraz o właściwe zaopatrzenie w żywność. Z okolicznych wsi dostarczano zwierzęta, które zabijano w naszym rzeźnictwie i przygotowywano wyroby. Pracowali u nas Stanisław Benysek, Leon Wienke, Jan Jagoda i inni. Ja prowadziłam gospodarstwo domowe.

Byliśmy jednymi z pierwszych osiedleńców. Zastaliśmy miasto w gruzach. Wiele wypalonych domów, cisza i spokój stwarzały atmosferę wymarłego miasta. Miejscowa ludność, która pozostała w Kargowej obawiała się Rosjan, którzy strzelali i często gwałcili kobiety. Ludzie woleli przebywać w swoich mieszkaniach. Z tygodnia na tydzień przybywało jednak mieszkańców, byli to Polacy z różnych części kraju, wiele osób przybyło z byłych kresów – okolic Lwowa, Kolumny i Wilna. Akcją osiedleńczą kierował PUR, Państwowy Urząd Repatriacyjny. Puste domy rezerwowano i przydzielano osiedleńcom.

Ponieważ początkowo byłam tylko z ojcem, pomagała mi rodzina Jagodów, która mieszkała w sąsiedztwie. W marcu 1946 r. wozem konnym przyjechała mama, siostra i brat. Wraz ze zwiększającą się liczbą ludności widać było ożywienie w mieście. M.in. przybył mieszkaniec Poznania Grześkowiak, który organizował życie kulturalne w budynku obecnego GOK-u. Młodzież była bardzo aktywna. Przygotowywała teatryki, śpiewy, deklamacje, tańce. Osobiście też chętnie uczestniczyłam w tych działaniach, chętnie deklamowałam i śpiewałam. Nasze występy prezentowaliśmy też w okolicznych miejscowościach, np. w Wolsztynie. Na wysokim poziomie był chór prowadzony przez Józefa Samola. Osoby, które pamiętam ze współpracy w kulturze to: Edward Dynak, Jan Faryniuk, Maria Słabikowska, Chudzikowa, Irena Gołek. Pomimo trudnych warunków materialnych było wesoło. Bardzo wesołe były pierwsze dożynki w 1946 r., przygrywała orkiestra z Chwalimia: akordeon, skrzypce i bęben.

W styczniu 1946 r. odbywało się referendum (3 x tak). Mój ojciec został wtedy aresztowany przez UB z Wolsztyna. Uważano go za kapitalistę – wroga narodu. Pamiętam jak komendant milicji zabrał mnie do Wolsztyna na widzenie z ojcem. Został wypuszczony na 1 dzień przed referendum. UB-owcy często w nocy odwiedzali nasz dom. Szukali pieniędzy, dolarów, tytoniu i ulotek. Któregoś dnia moja mama siekierą przegoniła tych „gości”. Tata w końcu jednak w 1950 r. zlikwidował prywatne rzeźnictwo, gdyż zbyt często był nachodzony przez UB. Rozpoczął pracę w Gminnej Spółdzielni, początkowo jako referent ds. żywności, a następnie jako kierownik sklepu masarni. Zmarł w czasie pracy w 1962 r.



Moje losy potoczyły się następująco. W 1946 r. ówczesny burmistrz Kargowej Piotr Jagodziński wziął mnie na bezpłatną praktykę do magistratu. Pracowałam z Zofią Sznajder. 1 września 1947 r. rozpoczęłam wraz z Zofią naukę w Zielonej Górze w Liceum i Gimnazjum koedukacyjnym na Placu Słowiańskim. Ponieważ nie było możliwości dojazdu mieszkałam na stacji. 1 marca 1950 r. podjęłam pracę w Zakładach Zbożowych w Kargowej. Dyrektorem był Jan Brzeski. Pracowałam 24 lata, następnie osiem lat – do przejścia na emeryturę – w Przedsiębiorstwie Spedycji Krajowej Zielona Góra. Była to praca na kierowniczych stanowiskach w administracji.

Z pierwszego okresu w Kargowej pamiętam, że był tu niemiecki ksiądz Scherer. Dla nas Polaków wielką radością było usłyszeć nabożeństwo odprawione przez kolejnego księdza, Woltera, który przejął parafię po wyjeździe poprzednika. Pamiętam też, że moja mama częstowała obiadem byłego niemieckiego burmistrza miasta, który musiał zamykać ulice. Zresztą ojciec, prowadząc jeszcze zakład rzeźniczy, pomagał też Niemcom, którzy byli zdeorientowani nową sytuacją i przygotowywali się do wyjazdu pierwszym transportem w styczniu 1946 r. Również autochtoni często korzystali ze wsparcia – otrzymywali żywność z naszego rzeźnictwa.

Porównując lata 40., 50. i 60. do obecnych, twierdzę, że pomimo niedostatku, braku wszelkich udogodnień życie było lepsze. Ludzie byli względem siebie bardziej życzliwi, wspomagali się wzajemnie. Nie było „wyścigu szczurów”. W zakładach pracy odbywały się spotkania towarzyskie, wspólne wycieczki i inne imprezy. Święto 1 Maja było w naszym mieście świętem radości, kończyło się świetną zabawą.

W związku z pobytem w obozie zostałam zakwalifikowana do grupy dzieci obozu hitlerowskiego, posiadam też odznaczenie kombatanckie nadane przez Polski Związek byłych Więźniów Politycznych hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych.

Zanotowała: **Brygida Wróblewska**



**Członkowie kółka fotograficznego – 1977 r.**



**Działalność Domu Kultury w okresie powojennym**



# Jadwiga Kulikowicz

SMOLNO WIELKIE

**J**ADWIGA KULIKOWICZ z DOMU RADŹKO, urodziła się w 1932 r. w miejscowości Rudniki w gminie Repki w powiecie białskopodlaskim. Po pięciu latach jej rodzina przeniosła się do wsi Wygoda w powiecie wołkowyskim. Mieszkała tam od 1937 r. do sierpnia 1945 r. Rodzice pani Jadwigi prowadzili 10-hektarowe gospodarstwo.

Jadwiga Kulikowicz miała dwie siostry bliźniaczki, które zmarły bardzo wcześnie, a 15-letni brat zginął od wybuchu granatu w kwietniu 1945 r. Mama pani Jadwigi pochodziła z okolic Starczewic, odległych od wspomnianych Rudnik o niespełna 10 km.

Kulikowiczowie wyjechali na zachód Polski w sierpniu 1945 r. Zabrali ze sobą m.in. dwa konie, krowę, niedużą ilość drobnego inwentarza, trochę sprzętów rolniczych i rzeczy, które były najbardziej potrzebne. Rodzina osiadła w Smolnie Wielkim być może dlatego, że przyjechali tu krewni – Józef, Stanisław Jurczakowie ze swymi rodzinami, a poza tym znajomi z pobliskich Pacewiczów – Karczewscy, którzy osiedlili się w Radowicach koło Trzebiechowa.

Gdy rodzice pani Jadwigi objęli dom, w którym ona obecnie mieszka, musieli go prowizorycznie odremontować. Miał powybijane szyby, poniszczone drzwi

i ściany. Ogólnie cały był zniszczony i zagrożony różnymi szpargałami i śmiecia-  
mi. Być może tak wyglądały ślady działalności szabrowników, którzy grasowali po  
przejściu frontu. Jurczakowie, którzy przyjechali razem z Kulikowiczami zamiesz-  
kali początkowo w domu, gdzie obecnie mieszka Stanisław Obacz, syn Józefa. Do  
swego obecnego domu koło krzyża, przy głównej drodze, wprowadzili się dopiero  
wtedy, kiedy Rosjanie, którzy stacjonowali w tym domu, wyprowadzili się z niego.  
Podobno Rosjanie przebywali w Smolnie Wielkim prawie do zimy 1945 r. Mieli pil-  
nować wsi przed szabrownikami, ale prawdopodobnie sami najwięcej rabowali.

Kulikowiczowie przeprowadzili jeszcze przed zimą prowizoryczny remont  
domu tak, aby można było w nim przezimować. Powstawiali szyby w niektórych  
oknach, pozabijali płytami wszystkie dziury i ocieplili czym się dało. Budynki go-  
spodarcze, a szczególnie obora, zostały też zniszczone. W 1947 r. wskutek zwarcia  
w instalacji elektrycznej spaliła się obora. Później trzeba było ją i tak rozebrać.  
W tym miejscu jest teraz ogród. Pani Jadwiga, jako kolejna osoba z grona pierw-  
szych osadników potwierdziła, że w domu pani Zawadzkiej była poczta, a praco-  
wała w niej pani Domin, która mieszkała przez ten czas, kiedy istniała poczta.

J. Kulikowicz pamięta pierwsze dwa sklepy, które funkcjonowały w Smolnie.  
Jeden był w domu koło stacji kolejowej (mieszkali tam Kozakowie), a sklepo-  
wą była tam na pewno Natalia Wenne (jeszcze wówczas Czernichowska). Drugi  
sklep prowadzony był przez państwa Grzybów w domu, gdzie mieszka pan Kle-  
mentowski. Z kolei w sklepie, który znajdował się kiedyś przed obecnym sklepem  
Klujów, pracowała kuzynka Romaszewskich ze Smolna. Następnie przez krótki  
czas sprzedawała tam bratowa pani Jadwigi. Później (na pewno już w latach 60.)  
działał sklep GS-owski, w którym kierowniczką była Natalia Wenne. Pracowała  
tam bardzo długo, aż do przejścia na rentę. Po niej sklep przejęła jej córka – Irena.  
Sklep GS-u funkcjonował do lat 90-tych. Później przejęli go Klujowie. Wyremon-  
towali, powiększyli i prowadzą do tej pory.

Pani Jadwiga pracowała przez jakiś czas w kiosku w Wojnowie. Później prowa-  
dziła klubokawiarnię w Smolnie, ale nie trwało to długo. Następnie w klubokawiar-  
ni pracowała pani Pigłas, po niej prawdopodobnie Krystyna Wenne (później Rusiec-  
ka), w dalej, już pod koniec działalności tego obiektu, sprzedawała pani Kanoniuk.

Co do stacji kolejowej w Smolnie Wielkim, J. Kulikowicz wiedziała, że w kasie  
oprócz Szalapaty, pracował również Jan Kazimowicz, a dyżurnym ruchu przez  
wiele lat był jej mąż – Czesław Kulikowicz.

Pani Jadwiga należała do Koła Gospodyń Wiejskich. Szefową była przez wiele  
lat Stanisława Kostańska. Czynnie działała też w kole Zakrzewska. W KGW or-  
ganizowane były kursy kroju i szycia, gotowania, szydełkowania.

Zanotował: **Józef Pławski**



# Zofia i Tadeusz Kuprianowiczowie

KARGOWA, UL. POCZTOWA

— **Skąd państwo przybyli do Kargowej?**

**Zofia:** — W 1945 roku, a miałam wówczas osiem lat, zostaliśmy dobrowolnymi przesiedleńcami z Sokołowa, niedaleko Treblinki. Państwo namawiało wtedy do przesiedleń na odzyskane ziemie polskie. Wraz z matką Heleną, ojcem Stefanem Gajowiakiem i rodzeństwem – Marią, Eugeniuszem, Stanisławem, Józefem, Zofią i Władysławem pociągiem przyjechaliśmy do Jaromierza.

**Tadeusz:** — W 1946 roku, miałem 13 lat, przyjechałem jako repatriant z dzisiejszej Białorusi, wraz z rodzicami, Józefem i Anną oraz bratem Maciejem. Rodzice pozostawili ziemię na Białorusi i przenieśli się do gospodarstwa w Jaromierzu.

— **Jakie wrażenie wywarła na państwu Kargowa przy pierwszym spotkaniu?**

**Zofia:** — Cieszyłam się na przeprowadzkę, było to dla małego dziecko coś nowego i nieznanego. Po przyjeździe zauważyłam domy murowane, odmienne, od tych do których przywykłam, czyli drewnianych. Dużo z nich było jednak spalonych. Ludzie mimo wszystko szanowali się i pomagali sobie.

### — Jak toczyło się życie w Kargowej?

**Zofia:** — W Jaromierzu uczęszczałam do szkoły. Była to czteroklasowa podstawa dla dzieci z wioski. Uczyła nas Aniela Niedzielska, podległa pod kierownika Rabiegę z Kargowej. Piątą klasę skończyłam już w Kopanicy, a dalszą edukację kontynuowałam w liceum wolsztyńskim, nazywanym „gamają”. Uczyła tam pani z Kargowej, Gryca, na którą uczniowie wołali „Kicia”. W latach 1958 – 1982 pracowałam w „Gopłanie”, w biurze.

**Tadeusz:** — Pracę zacząłem od pracy w zlewni mleka w Jaromierzu, przyjmowałem tam mleko. Po dwuletniej, w 1954 r. przerwie na służbę wojskową podjąłem pracę w Gminnym Ośrodku Maszynowym. Po rozwiązaniu ośrodka zająłem się gospodarką w Jaromierzu. W 1961 r. sprowadziłem się do Kargowej na ulicę Babimojską i zacząłem pracę w PZZ – Spichrz i Młyn Kargowa. W roku 1972 kupiliśmy domu przy ulicy Pocztovej.

### Wspólne wspomnienia

Miasto nie było zniszczone przez wojnę tylko przez Armię Radziecką. Gdy doskwieriała ostra zima żołnierze ogrzewali się podpalając meble w mieszkaniach. Na stadionie stała duża, piękna hala sportowa. Przed wejściem do niej widoczne były duże kule. Park i pałac ogrodzony był murem. Woda w parku była bardzo czysta. Park był zadbany, pięknie wystrzyżone alejki i różowe altanki. W pałacu mieściło się przez pewien czas przedszkole PGR.

### Pochody

W 1946 r. – jeden jedyny raz pochód pierwszomajowy wyszedł z kościoła, później już nigdy więcej – prowadzony był przez pana Patalasa. Wozy drabiniaste dowoziły dzieci z pobliskich wsi i szkół, aby także mogły uczestniczyć w pochodzie. Władze zasiadały na trybunach, naprzeciwko ratusza. Rozpisany był cały harmonogram, kto za kim idzie w pochodzie; na samym końcu szła kolej, na początku orkiestra.

### Zakłady pracy

Istniało wiele miejsc pracy: BM, fabryka, spichrz, młyn, kolej, PSK, GS, tartak i PGR. Ludzie nie bali się, że tracą pracę. Wiedzieli, że kiedy jeden ich zwolni – zatrudni drugi.

### Zabawy

W karnawale odbywało się wiele zabaw. Co niedzielę kolejna. Na sylwestra było pięć niezależnych zabaw i bali maskowych. Ludzie chętnie się przebierali. Czasami tak dobrze, że starsze kobiety miały podczas zabawy wielu młodszych adoratorów. Nikt się nie bił. Wszyscy dobrze się bawili. Najlepsze zabawy organizowały

ogródki działkowe. Dom kultury wyglądał inaczej niż teraz. Sala była większa, bez obecnego korytarza przy wejściu. Tam też odbył się koncert Mieczysława Foga. Występował z „Zakazanymi piosenkami”. Kino miało wielu gości. Grano w nim takie filmy jak :Świat się śmieje”, „Zakazane piosenki”, „Wilcze doły”, „Wojna i Pokój”.

Zanotowała: **Joanna Pochłopień**



**Mieczysław Fogg w Kargowej**



Bal maskowy w Kargowej,  
rok 1956



# Antonina Kutnik

KARGOWA, UL. KPT. WIĘCKOWSKIEGO

**U**RODZIŁAM SIĘ 27 KWIETNIA 1935 R. W BEREZIE KARTUSKIEJ na Białorusi. 19 marca 1946 r. przybyłam w te rejony wraz z mamą, Anną Olichwier, i rodzeństwem: Sabiną, urodzoną w 1932 r. i bratem Waławem, urodzonym w 1928 r. Przybyliśmy transportem kolejowym, która wpiery kierował się na Poznań, potem do Kargowej. Na końcu do Chwalimia przyjechaliśmy wozami. Przybyliśmy do rodziny Szydłowskich i mieszkaliśmy u nich trzy miesiące. Po tym okresie otrzymaliśmy dom po Henryku Kuśmidrze (budynek numer 82; już nie istnieje). Dom odstraszał, był zaniedbany. Za ogrodem jest jezioro Zaciszne, nad którym stał piękny pałacyk, był też parkiet na jeziorze, zbudowany na palach, z zadaszaniem, tam odbywały się tańce. Nic po tym nie zostało. Rodzina Kuśmidrów wyjechała do centralnej Polski.

1 maja 1946 r. poszłam do szkoły do klasy czwartej i otrzymałam promocję do klasy V, choć nie umiałam polskiego i ciężko było nawiązać kontakt z innymi. Na Białorusi uczyłam się bowiem w klasie rosyjskiej. Ale nauczyciele poszli mi na rękę. Miałam względy u nauczyciela Setnego, ponieważ umiałam dobrze matematykę, a bardzo przychylnym nauczycielem był też Wróblewski. Kargowa nie akceptowała nas, uczniów z Chwalimia, musieliśmy stworzyć własne grono.

W 1948 r. do naszego domu przychodził Józef Kutnik, miał wtedy 19 lat. W 1953 r. oświadczył mi się. 26 grudnia 1953 r. o godz. 18.00 zawarliśmy ślub w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Wojciecha, sakramentu udzielił nam ks. Jan Megier. Urodziła nam się trójka dzieci. Jako pierwsza na świat przyszła 20 grudnia 1954 r. córka, Regina, potem urodził się syn Tadeusz, wreszcie córka Teresa.

Do miasta chodziło się pieszo, nie mieliśmy rowerów. W 1950 r. podjęłam pracę w fabryce cukierków. Aby dostać się do tej pracy trzeba było mieć 16 lat, wprawdzie miałam 15, ale skłamałiśmy, że mam 16 i się dostałam. Tam należałam do Związku Młodzieży Polskiej. W następnym roku wysłali nas na tygodniowy kurs ZMP do Kisielina. 1 lipca 1961 r. podjęłam pracę w Chwalimiu jako sklepowa,

a po trzech latach zostałam przeniesiona do Kargowej, gdzie przepracowałam dziewięć lat. Następnie pracowałam w sklepie nr 1 (teraz sklep ma tam pani Rajewska), dalej na ulicy Dworcowej nr 12 (obecnie pan Adamski), potem w masarni (teraz sklep prowadzi pani Sabina). W sumie pracowałam dla GS 30 lat.

W 1966 r. przeprowadziliśmy się do Kargowej, do domu obok dzisiejszej Nestle. Widok na dom był piękny, bo budynek duży, bardzo dobrze się tam mieszkało. Obok ogród piękny i duży, w którym rosły warzywa i owoce. Tam założyliśmy hodowlę nutrii, z których były niezłe zyski. W lutym 1974 r. kupiliśmy dom od Stanisławy Stankiewicz przy ulicy Więckowskiego 7 (obecnie numer 9), w którym mieszkam do dziś.

W latach 1948–1952 r. Wanda Gliwińska (już nie żyjąca) prowadziła zespół taneczny, w którym brałam udział. Występowaliśmy w okolicy (Kargowa, Wolsztyn, Jaromierz).

W 1960 r. w Chwalimiu jako trzecia rodzina mieliśmy telewizor. Pierwszy był w szkole, drugi w świetlicy. Gdy leciał serial „Czterej pancerni i pies” to nawet gospodarze wyłączali silniki i szli oglądać. Największą atrakcją było jak kolarze przejeżdżali przez Chwalim, wszyscy rzucali robotę i szli oglądać ten widok i świętowali.

Odstrasżającym widokiem był cmentarz poległych żołnierzy radzieckich na placu Berwińskiego oraz cmentarz w Chwalimiu, a także cmentarz niemiecki, z którego Polacy zdejmowali nagrobki i wywozili na inne cmentarze.

Zanotował: **Denis Adamczak**

# Teresa i Kazimierz Łęczzakowie

KARGOWA, UL. WOLSZTYŃSKA

**W** 1960 r. DO KARGOWEJ PRZYJECHALIŚMY Z LWÓWKA koło Nowego Tomysła, mąż miał 31 lat, ja 30 i mieliśmy dwoje dzieci. Mieszkaliśmy tam w wynajętym mieszkaniu, mieliśmy tylko maleńki pokój i kuchnię. Mąż pracował jako kowal – podkuwacz koni w stadninie koni Posadowo. Był tam cenionym pracownikiem, dobrze zarabiał, miał ukończony kurs podkuwaczy w Płocku. Do przyjazdu do Kargowej namówił nas mój brat, Jan Mrówka, który był kierownikiem PGR-u. Zamieszkaliśmy w pałacu. Bardzo mi się spodobało, bo otrzymaliśmy mieszkanie: bardzo duży pokój i kuchnię, która była tak wielki, że nasz 5-letni synek po niej jeździł rowerkiem i się cieszył, i prosił żebyśmy już nie wracali do dawnego domu. W mieszkaniu był już prąd, woda, ale ubikacje były na zewnątrz. Tylko gazu brakowało. Zimą było trudno ogrzać to mieszkanie, bo miało wysokość ok. 4 m. W pałacu mieszkaliśmy my, moja siostra Kopijkowska, Herbikowie, Hela Białogońska, Rafińscy, Raczyńscy, Dulatowa z rodziną i Półrolniczak. Mieszkaliśmy od alei kasztanowej, my na dole z Dulatową i Półrolniczakiem, a pozostali u góry na piętrze. Na środku w pałacu były biura. Nie mieliśmy łazienek, więc chodziliśmy do gorzelni się kąpać, bo tam była łaźnia, z której korzystali mieszkańcy pałacu i podwórza. W pałacu też była świetlica, stał tam telewizor, to było dla nas coś nowego, wszyscy się schodzili i wspólnie oglądaliśmy różne programy. W niedzielę dzieci przychodziły na bajki, wtedy leciał „Miś z okienka”. Świetlicą opiekowała się Kopijkowska, ona tam sprzątała, zimą paliła.

W pałacu mieszkaliśmy do 1964 r. i stamtąd przeprowadziliśmy się na ul. Wolsztyńską, gdzie do dziś mieszkamy. Mąż nadal pracował jako kowal.

Gdy przyszlismy do Kargowej to w PGR było 16 koni, 50 krów, było dużo pracy w kuźni, w której pracowałem z kowalem Przybyłą. Później, aby zwiększyć wydajność mleka u krów czyściłem racice, obcinałem kopyta – bo krowa cierpiąca dawała mniej mleka. W 1960 r. mieliśmy dwa lub trzy traktory, ale to się zmie-

niało. Konie pracowały do 1976 r., później były już tylko mechaniczne maszyny rolnicze. W pałacu odbywały się też zabawy i dożynki z różnymi konkursami, był bieg dla kobiet, a mężczyźni wspinali się na wysoki słup, na którym była zawieszona kiełbasa. Teraz takie zabawy byłyby nie do pomyślenia, ludzie wstydziłiby się w nich uczestniczyć, ale wtedy wszyscy się bawili, było wesoło i zgodnie. PGR organizował nam również wycieczki, jeździliśmy na Targi Poznańskie, w 1963 r. była wycieczka do Wieliczki, a w 1976 r. byliśmy w Niemczech. Mąż był też w ZSRR.

Zanotowali: **Anna i Marek Balcerakowie**



# Stanisława Makosa

KARSZYN

**Do** KARSZYNA PRZYJECHAŁAM NA WIOSNĘ 1949 r. wraz z czteroletnią córką Jadzią z Nowego Jadowa, pow. wołomiński, woj. warszawskie; miałam wtedy 29 lat. Od urodzenia mieszkałam w Nowym Jadowie, około 30 kilometrów od Warszawy. Wieś była położona nad malowniczo płynącą płytką, ale szeroką rzeką Liwiec. Tam od zawsze mieszkała moja rodzina, to jest rodzice i dziadkowie. Byli jak na wiejskie warunki zamożni, gdyż żyli z wynajmowania warszawskim letnikom domów w lesie nad Liwcem oraz ze sprzedaży tymże letnikom produktów z gospodarstwa: nabiału, drobiu, warzyw, mięsa z gospodarczego uboju. Ojciec wraz z matką potrafili w ciągu jednego sezonu z zarobionych pieniędzy wybudować drewniany dom dla czterech rodzin letników.

Mieszkanie w tamtych stronach okazało się jednak nieszczęściem, gdy wieś znalazła się podczas ostatniej wojny w pierścieniu wojsk niemieckich otaczających Warszawę we wrześniu 1939 r. Cała ludność została wtedy ze swych domów ewakuowana. Dużo gorzej było w lecie 1944 roku, kiedy zbliżały się wojska rosyjskie. Wtedy niemieccy żołnierze znosili do domów, stodół, stajni snopy zboża z pól i je podpalali. W jednej kupce ze snopami ukrył się dziadek, gdyż powiedział,

że nigdzie nie pójdzie. Szczęście, że nie został odkryty w tym zbożu. Połowa wsi wtedy poszła z dymem. Z gospodarstwa rodziców, będącego po tej niewłaściwej stronie „uratowało się” wtedy tylko pół psiego ogona. Poza tym wszystko, łącznie z płotami, spłonęło, gdyż cała zabudowa była drewniana. Po przejściu frontu ludzie zostali bez niczego. Dziadek, ponieważ w lesie miał domy dla letników jeden przeznaczył cieślom jako zapłatę za to, że inny przenieśli do wsi, a materiał z kolejnego posłużył do zbudowania obiektów gospodarczych. Po przejściu frontu w 1945 roku żyło się biednie, ale przynajmniej pod własnym dachem, co długo jeszcze nie było dane innym rodzinom z naszej wsi.

Do Karszyny – jak wtedy mówiono – nie planowałam i nie chciałam jechać, bo to było gdzieś daleko na tzw. dzikim zachodzie. Jednakże tam wraz z ze swymi rodzicami wyjechał mój mąż, Stanisław Makowski. Mój ojciec, zamożny gospodarz, pytał mnie więc, co dalej z moim małżeństwem. Zostając pod Warszawą, byłam nie wiadomo kim – mężatką, matką, a jednocześnie nie było przy męża. Chcąc nie chcąc pojechałam w końcu tam, dokąd jechać nie chciałam. Z początku mieszkaliśmy z mężem i jego rodzicami w Siadczu, a niedługo potem w Karszynie. Nie nacieszyliśmy się długo swoim małżeństwem, gdyż w 1952 r. mąż zmarł i zostałam wdową z małym dzieckiem w dodatku z wielką gospodarką. Tymczasem wówczas z wszystkich rzeczy najważniejsza dla państwa była sprawa obowiązkowych dostaw w naturze. Zboża, żywca, mleka, ziemniaków. Było mi tak ciężko, że wiele razy chciałam rzucić wszystko i tak jak stałam wyjechać. W dodatku nieżyczliwe mi osoby, to jest żony pewnie zazdrosne o swych mężów, robiły mi złą opinię. Co znaczy na wsi zła opinia o kobiecie, w dodatku wdowie, mogę niejedno opowiedzieć.

Zdarzyło się jednak, że nie dałam rady odstawić na czas zboża, które wtedy wozilo się do magazynu, a był nim nieczynny kościół w Kargowej. Tego zboża po prostu nie miałam. Prosiłam o pomoc tzw. trójkę gromadzką, by mi pomogła wytłumaczyć władzy, że nie mam skąd owego ziarna wziąć. Nic z tego nie wyszło. Usiadłam więc jednego wieczoru do stołu i zła na cały świat oraz na swój los postanowiłam poskarżyć się komuś. Ojcem narodu ówczesna propaganda nazywała prezydenta Bolesława Bieruta. Pomyślałam więc, że skoro jest ojcem, jemu poskarżę się ze swych trosk. Nie miałam specjalnych przyborów do pisania, więc sięgnęłam po torebkę po cukrze, na której zwykłym ołówkiem wylałam cały swój żal. Złożyłam ją pismem do środka, potem klejem z mąki skleiliśmy, na wierzchu zaadresowałam, chyba tak: Prezydent Bierut Warszawa. Nie sądziłam, że coś takiego w ogóle dojdzie do stolicy i że takie pismo ktokolwiek przeczyta. Jakie było moje zdziwienie, kiedy po trzech dniach z samego rana we wsi była komisja z Zielonej Góry i gminy w towarzystwie miejscowego sekretarza partii. Najpierw zaszła do sąsiadów, pewnie dlatego, że jak się później wyjaśniło nie podałam swego dokładnego adresu. Kiedy przyszli na moje podwórze, od furki jeden, ten z powia-

tu, pytał groźnie coś tak: Dlaczego żeście, towarzyszeko, nic nam nie mówili, tylko od razu tak wysoko żeście sięgali? Przecież są trójki gromadzkie i to one na pewno by wam, towarzyszeko, pomogły. Wkurzyło mnie to towarzyszkowanie, bo ja żadną towarzyszką nie byłam, w dodatku czyjaś tam z Zielonej Góry. Powiedziałam więc, że prosiłam, ale ludzie mają swoje problemy i nie mogłam nic więcej zrobić. Na odchodne kazał mi podpisać jakiś dokument, z którego miało wynikać, że państwo nie może się zrzec „swego” to znaczy mojego zboża, ale rozłoży mi na „dogodne” raty jego dostarczenie do magazynu. Potem wszyscy sobie poszli. Przez kolejne lata odstawałam ludowemu państwu kontyngenty, ale powiększone o tę „ulgę” – jak ją dziś nazywam – Bierutową. Zaległość zbożową wpisano w hipotekę mojego gospodarstwa, gdzie miała figurować do czasu jej zwrócenia.

I tylko się zastanawiam, dlaczego ona nie została usunięta z księgi wieczystej, mimo iż przez wiele kolejnych lat odstawałam owo nieszczytne zboże. Kiedy po 1991 roku, to jest po śmierci mojego drugiego męża, mój syn „robił porządek” ze sprawami spadkowymi, okazało się, że ciężar realny w wysokości 70,14 q zboża ciągle istnieje. Minęło 50 lat, od kiedy Bierut mi „pomógł”, a okazało się, że wcale nie. Urzędnicy zapomnieli poinformować, że „dług” wobec państwa został spłacony i że ciężar ustanowiony na hipotece może zostać zdjęty.

Jeśli chodzi o relacje z autochtonami, to mogę powiedzieć, że każdemu życzyłabym, żeby miał z innymi takie, jak ja. Może moje dobre i bardzo dobre z tymi ludźmi relacje wynikały stąd, że nikomu z nich nic nigdy nie zabrałam. Przyjechałam do Karszyna, kiedy tu już wszystko było czyjeś. Z moim pierwszym, a po jego śmierci drugim mężem wszystkiego musieliśmy się ciężko dorabiać. Od rana pracowałam w gospodarstwie przy inwentarzu, później na polu. Mąż, Ignacy Mąkosa, w tym czasie pracował jako drwal w lesie. Po powrocie z pracy pomagał mi w gospodarstwie. Letnią porą, żeby więcej zrobić, brał dodatkowo żywicowanie, w czym od samego świtu ja mu pomagałam. Nieraz też do późna w nocy szyłam ludziom odzież, o którą w tym czasie było trudno. We wsi, poza mną, nie było kogoś, kto umiałby szyć, toteż zajęcia mi nie brakowało. Kiedy na świat przyszły dzieci, było jeszcze trudniej, bo doszły nowe obowiązki, ale za to była radość, że jest dla kogo żyć i pracować. Widocznie nasza ciężka i uczciwa praca była dostrzegana przez rodowitych karszyniaków, bo zawsze byli nam życzliwi. Mąż z niektórymi autochtonami pracował w lesie, gdzie robota nigdy nie była lekka. Ja tak samo jak moje sąsiadki od świtu po zmierzchu byłam zajęta gospodarstwem. Ponadto im oraz ich dzieciom szyłam sukienki, bluzki, spodnie i wszystko, co chcieli, jeśli tylko mieli materiał i do niego dodatki.

Oboje z Ignacym byliśmy do tutejszych autochtonów podobni, bo im obecna władza niezbyt ufała, gdyż utrzymywali stosunki z „wrogimi” zachodnimi Niemcami, nam zaś, bo mąż miał niepoprawną, to jest więzienną przeszłość. Sześć lat spędzonych we Wronkach w latach 1946–1952 za „przynależność do organiza-

cji terrorystyczno-rabunkowej mającej na celu obalenie ustroju Polski Ludowej siłą”. Tak brzmiała sentencja wyroku skazującego go na 15 lat więzienia. Opinia o niepokornym „człowieku z lasu”, jak go nazywali przyjeżdżający do klenickiego nadleśnictwa oficerowie Urzędu Bezpieczeństwa, przylgnęła na długo do męża. Owi funkcjonariusze zadbali o zrobienie mu odpowiedniej opinii w okolicy tak, że nawet gdy umarł w 1991 roku, znalazł się ktoś, kto przyszedł na pogrzeb, ale wracając nie omieszkał zauważyć do jednej z osób, że umarł bandyta.

A właśnie podobieństwo losów autochtonów i przybyszów zbliżyło nas do siebie. To podobnie wykonywana ciężka praca kazała podobnie się oceniać. Oboje z mężem Ignacym ciężko pracując mogliśmy pozwolić sobie na zakup drugiego we wsi telewizora. Pierwszy był w świetlicy wiejskiej, drugi mieli autochtoni Kubaccy i myśmy mieli trzeci. Dom nasz wtedy był drugą świetlicą dla dzieci z połowy wsi, a wieczorami gromadził wielu dorosłych chcących obejrzeć film.

Muszę też powiedzieć o mojej długoletniej sąsiadce, Franciszce Chmiel, której mogłam się zwierzać z moich problemów, gdy zostałam wdową. Ona również wdowa po poległym na wojnie mężu, rozumiała mnie jak matka córkę, była bowiem ode mnie starsza. Na nią jak na mało kogo we wsi mogłam liczyć, gdy trzeba było popilnować nasze małe dzieci. Przedszkola we wsi nie było, nie mieliśmy też z mężem tutaj nikogo z rodziny. Nasze dzieci do dziś wspominają panią Chmielową jako swoją babcie.

Zanotowała: **Maria Chmiel**





# Czesław Molenda

**KARGOWA, UL. SULECHOWSKA**

— **Skąd pan przybył do Kargowej i w którym roku?**

— Przyjechaliliśmy w 1945 roku, pod koniec października, z miejscowości Zabłocie. Tam chodziłem do rosyjskiej szkoły i otrzymywałem same jedynki, dlatego że edukację zacząłem z trzytygodniowym opóźnieniem i stąd zaległości w nauce. Podczas wyjazdu do Polski okazało się, że tory kolejowe były zastawione radzieckim transportem z szabrem pochodzącym z zachodu, również Polski, więc do miejscowości Luboń eskortowała nas NKWD. Powód – w okolicy grasowały bandy UPA. Pod gołym niebem czekaliśmy aż trzy tygodnie na dalszy transport. Byli z nami państwo Wojciechowicze, mieszkali jakiś czas w Kargowej, także Pawlikowie – mieszkali na ul. Pocztowej, zabrał się z nami Markowski, krawiec, który mieszkał w Chwalimiu. Do Kargowej przybyłem z rodzicami i siostrą. Wpierw osiedliliśmy się w Chwalimiu, tam gdzie mieszkał pan Kolbuszewski. Ojciec na podwórzu wymurował piec z cegły do pieczenia chleba. Pojechał do Smolna, gdzie był czynny młyn i przywiózł mąkę. Mama umiała piec chleb, bo nauczyła się na wschodzie. Tam chleb piekło się na żarnach. Gdy ciasto było zarobione okazało się, że nie ma soli. Ojciec poszedł na strych, znalazł worek z solą, ale okazało się,

że była to sól potasowa. Chleb był bardzo gorzki, lecz nie wyrzuciliśmy go, byliśmy głodni. Głód był pierwszym problemem, drugim robactwo. Później przeniesiliśmy się do innego budynku w Chwalimiu, pod numer 189. W Chwalimiu była mieszanina ludzi ze wschodu, z kieleckiego, a głównie z łowickiego. Tam też chodziłem do szkoły, lecz były tylko cztery klasy. W jednym pomieszczeniu uczyły się dwie klasy jednocześnie. Uczył mnie pan Grzymała, który był kierownikiem, później zaczęła uczyć jego żona. Nie mieliśmy na czym pisać, początkowo pisaliśmy na niemieckich gazetach. Były stalówki, ale nie było atramentu, więc niektórzy używali soku z czarnego bzu. Do klasy szóstej i siódmej uczęszczałem w Kargowej. Chodziłem pieszo tam i z powrotem. Kierownikiem szkoły w Kargowej był pan Setny. Dla mnie dużym autorytetem był pan Samol, który uczył śpiewu, prowadził chór szkolny i chór dla dorosłych. W chórze dla dorosłych występowały m. in. pani Germaniuk, pani Gołkova, Jan Rudnik, Gwoździowa, Rutkiewicz, Dębska. Wychowawcą w ostatniej klasie był pan Wróblewski, ojciec Janusza Wróblewskiego. Później naukę kontynuowałem w Zielonej Górze, w technikum, specjalność – konstrukcje spawane. Jako jedyny z klasy zdałem do technikum, reszta kolegów poszła do zawodówki. Rodziców nie było stać na to, żeby mnie dalej kształcić więc dostałem nakaz pracy i zatrudnili mnie w mleczarni w Sułęcinie. Następnie trafiłem do wojska, do Technicznej Szkoły Wojsk Lotniczych w Zamościu, a stamtąd dostałem się do dywizji lotnictwa Marynarki Wojennej w Babidolach, 14 km na północny zachód od Gdyni. Po wojsku zatrudniłem się w fabryce „Dąbrówka”. Dyrektorem była pani magister Terlecka z Warszawy. Pracowałem jako ślusarz, bo nie było etatów umysłowych. Później byłem głównym mechanikiem. Na początku o pracę było ciężko. Fabryka cukierków była „matką” wielu ludzi, znaleźli tu zatrudnienie mieszkańcy z okolicznych miejscowości.

—  **Ile lat przepracował pan w „Dąbrówce”?**

— W sumie 35 lat. Najpierw w „Dąbrówce”, później w Wielkopolsko- Lubuskich Zakładach Przemysłu Cukierniczego z siedzibą w Poznaniu i na koniec w „Goplanie”.

—  **Z inne becзки. Czy pamięta pan kargowskie cmentarze?**

— Powyżej gimnazjum był piękny poniemiecki cmentarz, podobno jeszcze wyżej, obok PGR-owskich obór, istniał cmentarz żydowski, bo przecież Żydzi też tu byli. Pamiętką po nich jest synagoga na ul. Dworcowej. Budynek zamieniono na mieszkania. Był też cmentarz żołnierzy radzieckich, obecnie stoi tam tablica poświęcona powstańcom wielkopolskim.

Powiem kilka słów o naszym stadionie. Otóż słyszałem, że prawdopodobnie był tam ośrodek Hitlerjugend i tam wewnątrz budynku istniał basen nieduży. Pamiętam, że ojciec przyniósł stamtąd podesty, kładł na nie siano, aby nie leżało

bezpośrednio na glebie. Po pięknej sali gimnastycznej pozostała tylko ogromna betonowa kula. Budynki, które były zniszczone, spalone zostały na rozebrane na odbudowę Warszawy. Od Chwalimia po Kargowę kiedyś były winnice. Tak do roku 1948, później wszystko zdziczało.

— **Gdzie się chodziło na zabawy?**

— Bale odbywały się w domu kultury. Zabawy i potańcówki przed domem kultury. Był drewniany podest, grała orkiestra w składzie: Gołek, Piotrowski, Przybyła, Manfred Brudło, Konieczek. Grali też na święto 1 maja. W Kargowej mieliśmy też strzelnicę, tam gdzie obecnie jest sklep „Natalia”, była czynna jeszcze jakiś czas po wojnie. Odbywały się tam zawody strzeleckie, które prowadziła Liga Obrony Kraju z Sulechowa z reguły z okazji takich świąt jak 1 maja, 22 lipca.

— **Czym się jeździło?**

— Głównie pociągami, mówię o młodzieży dojeżdżającej do szkół, także ludzie do pracy jeździli pociągami.

— **A gdzie się bawiliście jako dzieci?**

— Bawiliśmy się nieraz w okopach. Często znajdowaliśmy tam niemieckie hełmy, ja obcinałem przy nich paski skórzane. Te zabawy nie były bezpieczne. Kiedyś nie poszedłem z kolegami, poszli sami i znaleźli granat. Zginął wtedy Olejarz i dwóch Kantorków. Również na ul. Dolnej zginął od pocisku moździerzowego brat Witka Danilkiewicza.

— **Czy pamięta pan kiedy zaczęto obchodzić święto 1 maja?**

— Nie pamiętam. Dobrze pamiętam akademie, pochody, ale w którym roku to się zaczęło, tego nie powiem. Pewnie zaraz po wojnie. Wtedy w każdym domu był „kołchoźnik”, czyli głośnik odbiorczy. Różne programy propagandowe nadawano z poczty. Przy ulicy Kościuszki, w budynku, w którym mieszka między innymi pani Gołkowa, funkcjonowało więzienie.

— **Jak wyglądał stan wojenny w naszym mieście?**

— Krótko przed tym stanem zabiłem dwa wieprzki, które hodowałem u rodziców w Chwalimiu. Jakbym przewidział, że będą problemy, bo pojawiły się przecież kartki żywnościowe. Ale u nas nie było żadnych demonstracji, było spokojnie. Poza tym, że ludzie stali w kolejkach. Niektóre fakty pamiętam doskonale, o niektórych wiem ze słyszenia.

Rozmawiał: **Kamil Kwiecień**



Żniwa (koniec lat 50-tych)



Pomnik radziecki?????



# Helena Napierała

KARGOWA

**M**OMENTAMI WYDAJE MI SIĘ, ŻE MIESZKAM W KARGOWEJ od zawsze. Ale to nieprawda. Przyjechałam tu późną jesienią 1943 r. licząc sobie już kilka wiosen. Smutne i wręcz tragiczne wojenne zdarzenia losowe sprawiły, że moja mama postanowiła powrócić w swoje rodzinne strony. Zamieszkałyśmy obie w domu babci przy ulicy Kościuszki 3. Była to kryta papą, parterowa chatka, z sienią wyłożoną cegłami i oświetleniem gazowym. Mieściły się w niej dwa pokoje; jeden od ulicy, drugi od strony ogrodu.

Kilka dni po naszym przyjeździe zaczęłam uczęszczać do kargowskiej Grundschule (szkoła podstawowa). Moja klasa mieściła się na parterze, opodal drzwi wejściowych.

Pamiętam, że stały w niej trzy rzędy dwuosobowych ławek z zielonymi, nieco pochyłymi blatami, w których były otwory na kałamarz i wyżłobione rowki na przybory szkolne, takie jak rysik czy ołówek. Wszystkie miejsca w ławkach były zajęte, co wskazywało, że klasa była liczna. Pisaliśmy rysikami na grafitowych tabliczkach.

Rok 1943 i pierwsza połowa roku 1944 minęły w miarę normalnie, jeżeli można w ogóle takie słowo zastosować, mówiąc o czasie wojennym. Codziennie rano wysyłano mnie po bułki do piekarni Paula Decke (dzisiaj na miejscu piekarni stoi stacja paliw) i po mleko do małej mleczarni mieszczącej się przy zachodniej stronie Rynku pod numerem 30 (dziś mieści się tam piekarnio-cukiernia Gwoździa). Mleko sprzedawano „luzem” z wielkich metalowych konwi. Sprzedawczynie nabierała mleko aluminiowymi miarkami (litrowymi i półlitrowymi) z haczykową rączką.

Wczesną jesienią roku 1944 byłam już uczennicą klasy drugiej. Teraz moja klasa mieściła się na pierwszym piętrze, w późniejszym gabinecie fizyczno-chemicznym. Pisałam już atramentem za pomocą obsadki ze stalówką, w prawdziwym zeszytcie. Szło mi opornie, bo raz za razem pojawiały się na kartce uporne kleksy, które nie przysparzały mi uznania w oczach nauczycielki.

Wojna trwała. Ofensywa wojsk radzieckich też. Atmosfera w domach – również i w naszym – stawała się nerwowa. W październiku albo listopadzie szkoła przestała funkcjonować. Zamieniono ją na lazaret. Nauka odbywała się teraz w sali hotelu Grundman na piętrze. Dziś mieści tam restauracja pana Górskiego. Do sali wchodziliśmy po metalowych schodach od strony podwórza. Podziału na klasy chyba już nie było. Często brakowało też prądu i uczyliśmy się przy świeczkach.

Niezbyt długo uczyłam się w sali hotelu Grundman. Najprawdopodobniej w grudniu zakończyłam moją edukację w niemieckiej szkole podstawowej. Nadchodził ciężki czas dla mieszkańców Kargowej i okolicy. Listonosze chodzili od domu do domu roznosząc nakazy opuszczenia miasta i ewakuowania się na zachód. Nie tylko moja mama, jak się później okazało, zignorowała ten nakaz.

Przy końcu listopada albo na początku grudnia pojawiły się na szosie z Wolsztyna do Sulechowa pierwsze furmanki z uciekinierami. Były to przeważnie zaprzężone w konie wozy, rzadko ciągnięte przez traktory załadowane skromnym dobytkiem. Przy końcu grudnia i w styczniu był to już niekończący się sznur zaprzęgów konnych. Drewniane, okute koła wozów turkotały po bruku dniem i nocą (asfaltu jeszcze nie było) nie pozwalając spać. Szczególnie przykre były noce, kiedy rozlegał się płacz niemowląt, nawoływania, krzyki. Między zaprzęgami pojawiały się też pojazdy wojskowe samochody, motocykle. Pamiętam samochód wojskowy, którego koło zaklinowało się w pogłębionym rynsztoku, naprzeciwko naszych okien. Pamiętam też, jak przed naszymi oknami przechodziła kolumna wymizerowanych, wycieńczonych, zobojętniałych, w postrzępionym odzieniu kobiet. Pamiętam żołnierza z psem zamykających ten pochód.

Koleżanka mojej babci, która akurat była u nas, na widok tych kobiet uklękła przed oknem i ze wzniesionymi rękami głośno przyzywała miłosierdzia bożego. Ja stałam, patrzyłam i patrzyłam, niewiele rozumiejąc z tego co widziałam. Dziś po latach mogę powiedzieć: błogostawiony jest stan dziecięcej nieświadomości.

Na kilka dni przed wkroczeniem Rosjan do miasta wybuchł pożar w domu przy ul. Wolsztyńskiej (dziś 27 Stycznia). Budynek zajmowany był przez Feldpolizei (żandarmerię polową). Tego dnia było bardzo wietrznie. Wiał, najprawdopodobniej północno-zachodni wiatr i ogień bardzo szybko rozprzestrzenił się na ul. Kościuszki. Spłonęło kilka domów, w tym dom mojej babci. Byliśmy zmuszeni przenieść się do innego budynku. Wybraliśmy dom państwa Sommerów, przy ul. Górnej, bo znaleźliśmy tę rodzinę. Dziś dom ten jest własnością państwa Tkaczuków. Rosjanie byli już na krańcach miasta. Schroniliśmy się w piwnicy. Było nas tam, według relacji mojej mamy, 28 osób. Z tej liczby pamiętam tylko państwa Kubiaków, starsze małżeństwo, które mieszkało w domku na przeciwko. Dziś dom ten, pięknie odnowiony, jest własnością państwa Kojro.

W nocy Polacy pracujący u Niemców Wincenty Żok i Władysław Milczyński przeprowadzili do naszej piwnicy dwóch rosyjskich żołnierzy. Obu wymienionych panów znaleźliśmy dobrze. Przychodzili do nas często. Byli to Polacy pracujący u Niemców. Żok pracował w piekarni Paula Decke, po wojnie zamieszkał w Sulechowie. Założył tam stosunkowo wcześniej prywatną piekarnię, dzielnie stawiając czoła niesprzyjającym prywatnej inicjatywie czasom, dzięki czemu piekarnia ostała się w dobrej kondycji do naszych czasów, prowadzona teraz zapewne przez potomków Żoka. Któż nie zna piekarni Żoka w Sulechowie?! Stała się ona niemal symbolem miasta. Pan Milczyński, natomiast pracował u gospodarza Winzlera, mającego swoje gospodarstwo przy ul. Górnej. Był w naszym domu częstym gościem. Nierzadko zimowe wieczory uprzyjemnialiśmy sobie grą w chińczyka. Teraz, podejmując się mediacji między nami a czerwoarmistami, ci dwaj panowie brali nas jak gdyby w obronę.

Większość osób znajdujących się w piwnicy znała język polski. Dyskusja trwała zatem krótko. Rosjanie stosunkowo szybko opuścili dom roztrzaskując po drodze na parterze duże lustro, radio i kilka innych drobniejszych przedmiotów. W domu przy ul. Górnej nie mieszkaliśmy długo. Było to uciążliwe ze względu na bliskość gorzelni na terenie gospodarstwa ziemskiego (późniejszego PGR-u).

Kargowa była pierwszym miastem niemieckim za granicą polsko-niemiecką i „wyzwolicielem” wolno było wiele. Moja mama, skądinąd energiczna i rezydentna kobieta, postanowiła opuścić miasto. Złapała dwie luźno chodzące krowy, zaprzęga je do wozu, załadowała na wóz babcię, mnie i skromny dobytek i ruszyła w stronę Kopanicy do naszych krewnych ze strony dziadka, Dekarczyków. Jechaliśmy objazdem, bo most na rzece przed Kopanicą został zburzony. Krowy do rączych zwierząt raczej zaliczyć nie można, zatem podróż trwała długo, co najmniej kilka godzin. Wiem, że nudziłam się już nieco na tym wozie. W okolicach Małej Wsi jedna z krów zaczęła się cielić. Mama zostawiła nas w szczerym polu i pobiegła z powrotem do wsi. Znalazła tam gospodarza, który zaopiekował się, będącym w potrzebie zwierzęciem, a my o jednej krowie szczęśliwie dotarliśmy do naszych krewnych. W Kopanicy byliśmy sześć tygodni.

Po powrocie do Kargowej okazało się, że w mieście było już spokojniej. W piekarni przy rogu Dworcowej i Rynku dostawało się po pół chleba (chyba na osobę) dziennie. Piekarzem był Bernard Wienke. Śmietana, która zalegała w mleczarni przy ul. Kolejowej (dziś zakład Nestle) na polecenie komendanta została rozdana kobietom, za co każda zobowiązana była oddać pewną ilość masła. Moja mama też przyniosła do domu duży dzban śmietany.

Wiosną 1945 r., jeszcze przed zakończeniem wojny, a dokładnie 21 kwietnia, zaczęła funkcjonować polska szkoła. Organizatorem oświaty na terenie gminy Kargowa był pan Franciszek Sławiński, delegowany w tym celu z Wolsztyna.

Pan Sławiński tak wspomina ten czas: – Do szkoły zgłosiło się 57 dzieci. Były to dzieci autochtonów oraz kilku rodzin polskich, które już zdążyły osiedlić się w Kargowej. Na wstępie, na podstawie rozmowy z dziećmi oraz stwierdzenia ich zaangażowania w nauce i w języku polskim, podzieliłem całość na trzy grupy. Do pierwszej zakwalifikowałem dzieci w wieku 7 i 8 lat. Do drugiej należały dzieci, które ukończyły klasę III i IV. Do trzeciej wszystkie dzieci, które ukończyły klasę V-VII, a więc wysoko zaawansowane w nauce innych przedmiotów.

Szkoła polska w Kargowej stała się faktem. Zanim jednak mogła podjąć normalną działalność, trzeba było sprostać ogromnej pracy. Pracy tej podjęła się, na prośbę pana Sławińskiego, matka mojego męża wraz z trójką swoich dzieci. Szkoła była, najdelikatniej mówiąc, w ogromnym nieładzie. Książki, papiery, sprzęty i śmieci tworzyły ogromną stertę. Poręcz schodów pocięta bagnetem. Wiele rzeczy, które można by było jeszcze wykorzystać do nauki szkolnej zostało przez plądrujących i szabrowników bezmyślnie zniszczone. Moja teściowa z dziećmi, wykonała ogromną pracę.

I znów posłużę się cytatem ze wspomnień pana Sławińskiego: — Czując się moralnie upoważnionym do zabezpieczenia mienia szkolnego zacząłem rozglądać się za kimś, komu można by powierzyć chwilową opiekę nad tymi budynkami. Na myśli mam dwa budynki szkolne przy ul. Szkolnej i przy ul. Górnej. Za radą Napierały nawiązałem kontakt z rodziną autochtonów mieszkającą w pobliżu szkoły. Była to znowu rodzina Napierałów, składająca się z matki i trojga dzieci oraz starych rodziców gospodyni. Mąż jej był zmobilizowany i przebywał gdzieś na froncie wschodnim, lecz od dłuższego czasu nie miała żadnej wiadomości o jego losie. Ciężar utrzymania pięciu osób spoczywał na jej barkach. Kiedy przedstawiłem jej sprawę i zaproponowałem zaangażowanie na stanowisko woźnej do szkoły, chętnie się zgodziła. Wypisałem upoważnienie i zastrzegłem, że wynagrodzenie otrzyma później, po uruchomieniu szkoły. I dalej ciągu dwóch dni przy wyteżonej pracy woźnej Napierałowej i jej trojga dzieci uporządkowaliśmy budynek szkolny, a nawet kwiatowy ogródek. Dzieci zbierały, porządkowały i układały na regałach książki, segregowały mapy, obrazy do przyrody, historii i geografii. Napierałowa myła okna, odkurzała ściany, ustawiała ławki i zapusz-



czała podłogę pyłochłoniem. Ja zaś szczegółowo i skrupulatnie przeglądałem, porządkowałem i segregowałem akta szkoły.

Wkład pracy mojego męża w organizację inauguracji życia szkolnego według powyższego jest zatem niezaprzeczalny. Inaczej było ze mną. Ja przyszłam, że tak powiem na gotowe.

Pewnego pięknego wiosennego dnia mama zaprowadziła mnie do szkoły. Nauka tego dnia odbywała się na piętrze, w największej sali. Była w niej olbrzymia grupa dzieci, albo raczej młodzieży, z których większość była starsza ode mnie. Posadzono mnie w jednej z tylnych ławek. Niewiele stamtąd widziałam, przede mną siedzieli znacznie wyżsi ode mnie uczniowie. Zajęcia prowadził Józef Samol. Pisał na tablicy tekst jakiejś pieśni i uczył nas jej melodii. Trochę później dowiedziałam się, że był to hymn Polski.

Jest ciekawą rzeczą, że z tej ogromnej liczby uczniów, z którymi wtedy byłam w klasie, nie zapamiętałam ani jednej osoby, wtedy też nie potrafiłam przepisać ani jednego wyrazu z tablicy i nie rozumiałam ani jednego słowa, które mówił nauczyciel. Dziś wiem, że byłam w ogromnym stresie z powodu niezajomości języka polskiego. Ze łzami w oczach wracałam tego dnia ze szkoły do domu. Zaczął się dla mnie trudny rok.

Najwięcej kłopotów sprawiała mi pisownia polska, głównie zmiękczeń. Alfabet jako taki znałam ze szkoły niemieckiej, ale nikt nie powiedział mi, że jest w języku polskim literka „s” zmięczana kreską albo przez „i”, i że tak samo sprawa ma się z literką „c”, „z” itp. Sama po czasie do tego doszłam. Najgorzej było na dyktandach. Siedziałam w ławce z rodowitą poznanianką, moją późniejszą długoletnią przyjaciółką, dla której zmięczenia były przysłowiową bułką z masłem. Korzystałam zatem z jej „pomocy”.

Kłopoty, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakoś po kilku miesiącach przestały istnieć. Język polski w mowie opanowałam też stosunkowo szybko. Po roku gadałam już całkiem niezłe i nauka w szkole nie sprawiała mi żadnych trudności.

W tym miejscu chciałabym napisać słów kilka o moim pierwszym polskim podręczniku, o mojej pierwszej polskiej czytance. Była to mała, jednoskładowa książeczka, bez żadnej oprawy. Zawierała kilkanaście krótkich, półstronicowych czytanek. Dwie z nich pamiętam do dziś. Nosiły tytuły; „Grześ i jego króliki” i „Przydrożne figury”. Po latach wiem, że to właśnie ta mała efektowna, niepozorna, wręcz skromna książeczka sprawiła, że nauczyłam się czytać po polsku, że za jej przyczyną rozwikłały się moje trudności z polską pisownią i że to ona wreszcie rozbudziła moje zainteresowanie polskimi tekstami. Za jej przyczyną sięgnęłam po pierwszą polską książkę a była to książka pt. „Kichuś majstra Lepigliny” Janiny Porazińskiej. Ten mój pierwszy podręcznik, ta mała książeczka sprawiła, że bez czytania i literatury w ogóle, trudno byłoby mi teraz żyć. Dużo bym dała, żeby mieć tę książeczkę, dużo, bardzo dużo...

Zajęcia w szkole odbywały się normalnie, wręcz rutynowo i systematycznie. Przybywali nowi nauczyciele. Po panu Sławińskim, który w międzyczasie wrócił do Wolsztyna i po panu Samolu, przyjechali do Kargowej Edward Rabięga i Tomasz Setny. Później następn.

Chodziłam teraz do klasy trzeciej. Języka polskiego uczył mnie pan Setny, matematyki pan Rabięga, prac ręcznych pan Rosiński (późniejszy kierownik szkoły w Kopanicy). Był to czas trudny tak dla nauczycieli, jak i dla nas, uczniów. Wspólnie cieszyliśmy się z naszych postępów i osiągnięć. Nauczyciele może nawet więcej niż my sami. Dobrze napisane albo poprawnie powiedziane po polsku zdanie wprowadzało niekiedy nauczycieli w euforię. Pamiętam, że z takiego właśnie powodu pan Setny nosił kiedyś Elżbietę Brychcy (dzisiaj Ptak) po klasie na rękach. Nie znam już dokładne przyczyny tej radości. Nie jest to istotne, ważne, że była. Szkolne życie z dnia na dzień nabierało rumieńców. W szkole zaczął funkcjonować chór prowadzony przez pana Samola. Chór nie byle jaki, bo trzygłosowy, a reprezentował nieprzeciętny poziom. Dziś nie spotyka się już w szkołach podstawowych takich chórów. Występowaliśmy niezwykle często, szczególnie z okazji najrozmaitszych uroczystości. Przedmiot zwany wtedy „śpiewem” (nazwa w pełni oddaje to, co na lekcjach tego przedmiotu robiliśmy), stał w naszej szkole też na wysokim poziomie. Józef Samol był doskonałym muzykiem i fenomenalnym znawcą swego przedmiotu. Po latach, będąc uczennicą Liceum Pedagogicznego, jako jedyna w klasie umiałam czytać nuty i znałam się na solmizacji. Wszystkie te umiejętności wyniosłam ze szkoły podstawowej.

Był też w szkole zespół teatralno-taneczny prowadzony przez Izabelę Zaklika. Zespołowi tanecznemu przygrywał mój klasowy kolega Janek Grelak i kolega szkolny z klasy niższej, Herbert Laskowski. Ten ostatni był multitalentem muzycznym, grał na wielu instrumentach. Obaj już nie żyją. Zespół teatralny zyskał sobie uznanie przedstawieniem pt. „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Grałam w tej sztuce rolę krasnoludka Kichasia.

Działała organizacja harcerska. Do dziś wspominam biwaki nad jeziorem Linie, zabawy w podchody, interesująco zorganizowane zdobywanie stopni harcerskich, wieczorne ogniska na terenie dawnej strzelnicy, (dziś mieści się tam sklep „Delikatesy” Sobkowiaka), podziwiam ogromne zaangażowanie naszej drużynowej Haliny Cwiertniewskiej (wtedy Chalimoniuk) i przybocznej Krystyny Poźniak (wtedy Stankiewicz).

W powojennej Kargowej kwitło życie kulturalne inicjowane przez Miejski Dom Kultury. Chór dorosłych, notabene też prowadzony przez pana Samola, swoimi występami zdobył nie tylko ogromną popularność, ale występem w Polskim Radiu – sławę. Nie mniej znany był, działający przy domu kultury, zespół teatralny. Pamiętam, że wystawiono sztukę „Grube ryby” Michała Bałuckiego i „Niemcy” Kruczkowskiego. Zespołu tanecznego dorosłych, prowadzonego przez panią Ade

(nazwiska nie pamiętam) i pana Broniarka (oboje z Zielonej Góry), mogłoby nam wówczas pozazdrościć niejedno większe miasto.

Część tej działalności przyblakła nieco pod koniec lat 40. Szkolne harcerstwo zamieniło się w obcego skautowski zwyczajom dziwoląga, osłabł dawny zapał i entuzjazm. Życie jakby przygasło. Nastaly czasy stalinowskie.

W 1951 r. ukończyłam szkołę podstawową i za namową moich nauczycieli rozpoczęłam naukę w Liceum Pedagogicznym w Sulechowie. Nieuchronnie zmierzałam ku dorosłości. W 1955 r., z nakazem pracy w rękę, podjęłam w Raculi pod Zieloną Górą, moją pierwszą pracę zawodową. I tu kończą się moje wspomnienia związane z dawną Kargową. Proszę nie traktować ich jako prawdy oczywistej, bo zapewne nią nie są. Wydarzenia przeze przedstawione, to wydarzenia widziane oczami 7-letniego dziecka, zapamiętane z jego uczuciowością i wrażliwością, i spisane wreszcie sugestywnością dorosłego człowieka. Cięży na nich miniony czas i ułomność ludzkiej pamięci. Dla mnie jednak wciąż są świeże i żywe, co potwierdzałyby mądrość słów Leopolda Rene Nowaka, że „Wspomnień nigdy nie czuć stęchlizną”.

**Helena Napierała**



**Przygotowanie do pochodu z okazji patriotycznej manifestacji  
z okazji zakończenia wojny, Rynek 1945 r.**



**Lata 60-te, Dyr. WL ZPC Dabrowka  
– J. Bachorski oraz W. Danielkiewicz wśród młodzieży Zasadniczej szkoły Zawodowej**



**Od prawej pierwszy dyrektor domu kultury p. Grzeskowiak**

# Jerzy Nikonowicz

KARGOWA

**N**IE MUSZĘ SIĘ PRZEDSTAWIAĆ, BO MNIE WSZYSCY ZNAJĄ, prawda... Przyjechałem do Kargowej w 1945 roku, 20 sierpnia. Jeszcze w mieście nie było za wiele ludzi, Kargowa nie była w pełni zasiedlona, więc repatrianci przyjeżdżali i zajmowali te puste mieszkania. Jeżeli chodzi o przemysł kargowski, no to był PGR, tartak, którego już nie ma, fabryka cukierków, ta co jest, no i cały był przemysł kargowski. A gorzelnia, w gorzelnii ruscy urzędowali, a w pałacu Wojsko Polskie. Kargowa była miastem, miasteczkiem tylko i wyłącznie rolniczym. Ale rolnictwo to było takie, że ci, co przyjechali to byli bardzo czynni gospodarze. W każdym bądź razie każdy gospodarz musiał oddać 100 kilo ziemniaków do gorzelnii za 9 złotych, taki był plan. Musiał oddać plan mięsa, musiał oddać plan ziemniaków i oprócz tego płacił podatek. To było tak, każdy rozpoczynał od nowa. Tak, jak po spaleniznie. Niczego i nic kupić było nie można. Proszę porównać, co można było kupić, jeżeli sprzedał ziemniaki za 9 złotych 100 kilo, a 3 złote kosztowała paczka papierosów. Potem cukierki... fabryka cukierków ta co jest na Marchlewskiego była prywatna, krótko była prywatna, potem ją poskromili tak, jak wszystko zrobili. Była robiona kielkownia, tam za stacją, na Dolnej. A jak ten prywatniarz zaczął robić to, jak już tak daleko było zrobione, to go upaństwowili, rozwalili i nic nie wyszło. W każdym bądź razie to było bardzo ciężkie życie wszystkich mieszkańców. Pracy nie było, z rolnictwem też nie bardzo.

Natomiast jak się wyszło już później, po kilku latach, jak się wyszło poza Kargowę, to każdy miał krowę, każdy miał świnie, nikt nie narzekał, że nie ma co jeść. Wszędzie się pasło, wszędzie ludzie pracowali na polu. Teraz nikomu nic nie potrzeba, teraz każdy czeka na zapomogę. Ja natomiast wiem, że teraz najbogatsi ludzie to są emeryci, którym tylko życzyć dużo zdrowia i pomyślności.

W 1945 roku jak przyszedłem to ja rozmawiać po polsku rozmawiałem, ale myśleć po rusku myślałem. Przed wojną skończyłem dwie klasy szkoły podstawowej, polskiej i tutaj jak przyszedłem bez świadectwa, bez niczego kierowni-

kiem szkoły był pan Setny. Nauczycielem pan Wróblewski, nie przepraszam, nie był pan Wróblewski, był pan Samol, pan Rabiega i z Kopanicy pan Rosiński. Potem dopiero przyjechała pani Wróblewska, pan Wróblewski i tak dopełnili się nauczyciele. No i ja poszedłem do szkoły i do której klasy? Pan Setny pyta się, do której klasy mam iść. Ja mówię, no nie wiem. A jakie mam świadectwo? No żadne, ja mam tylko dużo lat. Takich jak ja było dużo, dużo nas było, bo nas potem zabrali na jeden dzień i nas było może dwudziestu, może więcej. Jeżeli ktoś znał Daszkiewicza Zygmunta i żona jego i więcej takich było. Mnie przyjęli do piątej klasy. Chodziłem do tej piątej klasy pięć tygodni. A potem powiedzieli mi, że już więcej nie mogę iść do szkoły, mogę iść na kurs, bo już jestem za stary. I było po wszystkim. Natomiast na kurs nie poszedłem, bo trzeba było płacić 4 tysiące złotych, a mój ojciec jak tu przyjechał, to sprzedał konia za cztery tysiące. I mnie dałby cztery tysiące, żebym za szkołę zapłacił? Taka była nauka, o... I potem dopiero, na drugi rok, to już mnie przyjęli do szóstej klasy, a siódmej nigdy w życiu nie było.

Zanotował: **Dariusz Wróblewski**

# Kazimiera Nowak

KARGOWA, RYNEK

**P**RZYJECHAŁAM W 1946 R. WTEDY W KARGOWEJ były piękne bale, przyjeżdżali tu ludzie z Zielonej Góry, Poznania, bo była tu Polska. Można było się bawić, radować. Kino objazdowe przyjeżdżało do Kargowej z Zielonej Góry od 1948 r. do 1953 r. Filmy wyświetlano w sali Domu Publicznego raz w tygodniu. Przychodziło bardzo dużo ludzi. Pierwszym kierownikiem był pan mieszkający na ulicy kapitana Więckowskiego, po nim przyszedł pan Sójka. W roku 1955 powstało kino „Nowe”. Filmy, trzy razy w tygodniu, wyświetlał Czesław Kowalewski, ale kierownikiem nadal był Sójka, który po jakimś czasie wyjechał z Kargowej. Na jego miejsce przysła Jadwiga Rapicka. W 1959 r. kino zmieniło nazwę na „Światowid”. Kierownikiem wciąż była i jest J. Rapicka.

Do roku 1968 jeździliśmy furmanką z panem Januszem wyświetlać filmy w wioskach. I tak we wtorek w Karszynie, w środę w Smolnie Wielkim, a w czwartek w Kopanicy. Wyjeżdżaliśmy o godz. 18.00, czekaliśmy aż się ludzie zbiorą do godz. 21.00–23.00. Wracaliśmy do domu około północy lub później w nocy. Ze trzy, cztery razy byliśmy w Obrze. W piątek, sobotę, niedzielę filmy wyświetlano w Kargowie.

W roku 1968 kino dostało duże aparaty szerokoekranowe i było odtąd kinem stałym. W tym też roku przeniosło swą siedzibę na ulicę Słodową, gdzie mieści się do dziś. Pierwszym wyświetlanym tam filmem były „Działa Nawarony”. W roku 1980 przeszłyśmy z panią Rapicką na emeryturę.

W kinie na ulicy Browarnej odbywały się akademie, zabawy, bale karnawałowe słynne nawet w Poznaniu, przyjeżdżał teatr z Zielonej Góry oraz wielu słynnych artystów: Mieczysław Fogg, Irena Santor, Danuta Rinn, Jerzy Połomski, Karin Stanek, Bogdan Łazuka, Sława Przybylska, „Wesoły Autobus” i iluzjoniści (nie można było zahipnotyzować M. Kozłowskiego).

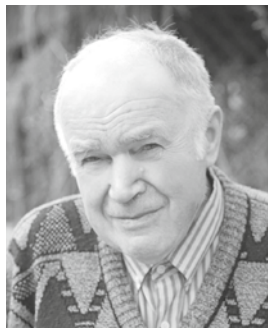
Ciekawostki: listopad był miesiącem filmów radzieckich. Środkowy (najmniejszy) żyrandol znaleziony wśród różnych staroci oddaliśmy do kościoła i po poświęceniu wisi do dziś w kościele parafialnym.

Zanotowała: **córka Jolanta Jaworska**

ДХрольник спóтс







# Stanisław Obacz

SMOLNO WIELKIE

**S**TANISŁAW OBACZ MIESZKAŁ PRZED WOJNĄ W MARIAMPOLU, w województwie stanisławowskim. Urodził się w 1926 roku. Jego rodzicami byli – Jan Obacz i Paulina z domu Szkredka. Mariampol był małym miasteczkiem, pięknie położonym na wzgórzach w zakolu Dniestru.

Nadszedł 1945 rok. Ludzie wyruszali w pole do zasiewów i innych prac polowych. Już wtedy wiedziano jednak, że będą wysiedlać, ale nikt nie chciał w to wierzyć. W czerwcu zrobiono zebranie i powiedziano na nim, że wszyscy Polacy wyjeżdżają przymusowo na zachód. Ludzie nie dowierzali. Jednak gdy powiedziano, że zostając trzeba przyjąć sowieckie obywatelstwo to uwierzyli w czekający ich los. Przez trzy dni nikt nie chciał brać kart ewakuacyjnych, To było straszne wyjeżdżać, zostawić ojcowiznę. Pozwolono zabrać jedynie rzeczy pierwszej potrzeby – jednego konia (lub krowę), trochę starego zboża. Powstał też problem kościoła. Wraz z kilkoma innymi osobami S. Obacz zdołał ukryć w sianie obraz Matki Boskiej Zwycięskiej, który wpadłby w ręce Sowieców. Większość sprzętów kościelnych wywieziono do zakonu jezuitów w Stanisławowie.

Na początku sierpnia 1945 roku ks. Mikołaj Witkowski odprawił ostatnią mszę w Mariampolu. Po mszy zaczęto zwozić swoje rzeczy na peron kolejowy w Stanisławowie. Trzeba było marznąć na dworze przez kilka dni, czekając na wagony. Po kilku dniach przyszły wreszcie wagony, były to zwykłe węglarki. Ludzie musieli się łądować po kilka rodzin do jednego wagonu. Kto zdobył kawałek papy, przykrywał swoje rzeczy, żeby nie zmokły. Pod koniec sierpnia wyjechali ze Stanisławowa. Lwów przejechali w nocy, później Przemysł. W Krakowie byli w nocy. Na dłużej zatrzymali się w Zabrze-Mikulczycach. Tam musieli czekać kilka dni na polskie wagony. Musieli uważnie pilnować dobytku, gdyż wokół kręciło się pełno rabusiów. Wreszcie przeładowali się i ruszyli w dalszą drogę. Nie wiedzieli jednak, dokąd ich wiozą. Co kilka dni odczepiano parowóz. S. Obacz pamięta, jak przejeżdżali przez zrujnowany Głogów. Później mieli dłuższy postój we wsi Buchwald koło Szprotawy. Chcieli się tam osiedlić, ale Rosjanie im na to nie pozwolili. Mieszkający tam Niemcy prosili Polaków, aby zechcieli zostać. Mieli dosyć Sowietów, którzy traktowali ich gorzej niż niewolników.

Pociąg dojechał do Żar, tu na rozkaz wysiedleńcy mieli się osiedlić, ale stanowczo odmówili. Skierowano ich w stronę Poznania. Ostatecznie transport trafił na tzw. ziemie odzyskane. Po sześciotygodniowej jeździe, 16 października około godziny 18.00, transport zatrzymał się w Świebodzinie. Do Smolna Wielkiego rodziny dotarły wieczorem. Ludzie zaczęli wychodzić z wagonów, żeby rozprostować kości. Radość, że to koniec tułaczki mieszała się z bolesnym uczuciem utraconej na zawsze ojcowizny. Nikt nie poszedł do wsi, bo była już noc. Wieś wyglądała na dziką i smutną. Kobiety szlochały, bo różnie mówiono o tymczasowości ich pobytu tutaj, o nowej wojnie, wszystko to zastraszало ludzi. W tej panice kilku starszych gospodarzy zaczęło się naradzać. Chwilę później rozpalono ognisko. Ludzie zaczęli schodzić się do ogniska. Wtedy Jan Tomczak tak przemówił: — Teraz miesiąc różańcowy i my z różańcem rozpoczniemy tu nasze nowe życie, nic złego nam się nie stanie pod opieką Matki Bożej. Pierwsze nasze kroki na tej ziemi zaczniemy z modlitwą.

Ludzie pokrzepieni modlitwą poszli do swych wagonów. Z pobliskich domów wyszli Niemcy i płacząc powtarzali: — Mein Gott! Wiedzieli, że Polacy się modlą.

Rano ludzie zaczęli się osiedlać w przeznaczonych im gospodarstwach. Wzięli się też do porządkowania kościoła ewangelickiego, który był w opłakanym stanie. Pojawił się problem księdza. W niedzielę Obacz spytał jednej Niemki, gdzie jest najbliższy kościół katolicki. Na migi wytłumaczyła mu, że w Kargowie. W kilka osób poszli tam pieszo. Wreszcie po sześciu tygodniach mogli być na mszy. W Kargowie utrzymała się wtedy nieduża grupa Polaków, autochtonów. Po mszy grupa mariampolan poszła do zakrystii, żeby ksiądz poświęcił ich kościół. Okazało się jednak, że był on Niemcem i nie mogli się z nim dogadać. Dowiedzieli się jedynie tyle, iż muszą jechać albo do Gorzowa, albo samemu znaleźć księdza.

Szczęśliwym trafem znaleźli na peronie w Sulechowie księdza Stefanickiego, tego samego, który był proboszczem w Janowie, koło Trembowli Zapanowała wielka radość we wsi. Ludzie, sami biedni, bardzo troszczyli się o utrzymanie księdza. Do dziś S. Obacz wspomina, jak staruszka Maria Tomczak, wzięła konia i wraz z innymi ludźmi, chodząc od domu do domu, zbierała datki na utrzymanie księdza.

W związku z tym, że był już ksiądz zaczęto myśleć o poświęceniu kościoła. Miejscowa ludność włożyła wiele pracy, aby kościół nabrał katolickiego charakteru. Przy remoncie pracowali stolarze, murarze i inni ludzie całkiem za darmo. 9 grudnia 1945 roku nastąpiło uroczyste poświęcenie przez księdza Stefanickiego. Radość z kościoła nie była jednak długa, ksiądz zaczął poważnie chorować (miał już ponad 80 lat). Jesienią 1946 r. pożegnał się z parafianami i musiał wyjechać. Niedługo potem zmarł. Opiekę nad smoleńskim kościołem przejął proboszcz z Klenicy, który obiecał jednak, że będzie odprawiał msze w miejscowym kościele jedynie raz w miesiącu. Dopiero w latach 50. Smolno otrzymało swego księdza.

Stanisław Obacz przypomina sobie, że we wsi była piękna niemiecka biblioteka, w której było mnóstwo starodruków. Wśród starych książek znalazł łaciński brewiarz z XVII wieku. Kazano mu jednak go spalić, taki sam los spotkał prawie wszystkie książki z tej biblioteki.

Obacz słyszał od starszych kobiet ze wsi Stare Kramsko, że w tym miejscu, gdzie stoi dziś kościół, był wcześniej drewniany kościół katolicki. Jednak dziedzic Smolna Wielkiego przeszedł na protestantyzm. Zbudował kościół z cegły według wzorów ewangelickich i cała wieś przeszła na luteranizm.

Jak wyglądało Smolno Wielkie zaraz po wojnie? Wieś sprawiała trochę przynębiające wrażenie. Dużo domów było spalonych i splądrowanych. Stacjonowali tu Rosjanie i to oni w głównej mierze (oprócz szabrowników z Wielkopolski) przyczynili się do ograbienia wioski. W samej wsi nie było śladów przejścia frontu (prócz zniszczonego pałacu). To właśnie w rejonie pałacu zdarzyła się jedyna potyczka Rosjan z Niemcami. Według świadków, pałacu bronili młodociani żołnierze niemieccy. Rosjanie, nie chcąc ryzykować śmierci swych żołnierzy podpalili pałac i spalili w nim obrońców. Zginęło wtedy prawdopodobnie ośmiu Niemców. Po pożarze pałac rozebrano do fundamentów.

Niemcy, którzy jeszcze przez jakiś czas przebywali w Smolnie, byli zgrupowani w kilku domach koło stacji kolejowej, w tzw. getcie. Zostali ogołoceni niemal ze wszystkiego. Pozwolono im jedynie na zabranie naprawdę niezbędnych rzeczy. Ich punkt zborny znajdował się w obecnym domu Klementowskiego. Co kilka dni załadowywano ich na ciężarówki i wieziono w kierunku Sulechowa. Osadnicy, którzy mieli zamieszkać w domach, w których byli jeszcze Niemcy, najbardziej na tym skorzystali. W gospodarstwach zachowały się praktycznie wszystkie sprzęty i urządzenia domowe. Gdy ludzie już wyjeżdżali niewiele mogli z tego zabrać.

Wszystko, co związane z pobytym Niemców było niszczone. Np. tablice z numerami domów i nazwiskami właścicieli, wszelkie dokumenty, druki, plany, mapy. Najbardziej ucierpiał miejscowy cmentarz ewangelicki. Takie to były wtedy czasy – wszystko, co niemieckie niszczone.

S. Obacz pamięta, że tuż obok kościoła stała ponemiecka szkoła. Miała jedynie spalony dach. W tej szkole pan Stanisław znalazł mnóstwo starych książek i brewiarzy. Jednak większość z nich spalono. Z lewej strony kościoła był cmentarz protestancki. Obok krypty piękny grobowiec rodzinny, zapewne jakiejś bogatej, arystokratycznej rodziny. Kościół od cmentarza oddzielało drewniane ogrodzenie. Obacz pamięta, że widział na cmentarzu co najmniej kilka nagrobków z polskimi nazwiskami, takimi jak Parnitzky, Kaliske.

Sam kościół został bardzo zrujnowany – zniszczono dach, wewnątrz kościoła było mnóstwo gruzu i śmieci, zachował się ołtarz. Brakowało jednak ławek, sprzętów liturgicznych. Był jeszcze chórki przy obu bocznych ścianach. Jednak balkony boczne były w tak złym stanie, że należało je rozebrać. Na cmentarzu kościelnym znaleziono porzucane w nieładzie fragmenty organów kościelnych.

Od 1945 do 1957 r. kościół w Smolnie należał do parafii w Klenicy. Gdy ks. Stefanicki musiał wyjechać, msze odprawiał ks. Megier z Kargowej. Dopiero w 1957 r. władze zezwoliły na utworzenie parafii w Smolnie. Pierwszym proboszczem został Józef Król.

Pan Stanisław jest szczęśliwy, że żyjemy w wolnej Polsce, o którą trzeba było w przeszłości tyle walczyć. Całe swe życie spędził obok kościoła i z kościołem. Ma brata Władysława, który jest księdzem. Wraz z bratem wiele przeszedł w swym życiu ciężkich chwil, ale nie żałuje tego. Wie, że warto było poświęcać się dla innych. Chciałby, aby młodsze pokolenia zrozumiały, jak wielką ofiarę trzeba było ponieść w obronie wiary ojców i w obronie ojczyzny.

Zanotował: **Józef Pławski**

# Sabina Olichwer (Kantorek)

CHWALIM

**S**ABINA OLICHWER WYSZŁA ZA MĄŻ ZA JANA KANTORKA, ale ponieważ mieli tylko ślub kościelny, bez cywilnego, pozostała przy nazwisku panięńskim. Urodziła się 23 czerwca 1932 r. w Berezie Kartuskiej, na Polesiu (obecnie Białoruś). Mama, Anna Olichwer z domu Towpik. Ojciec Kazimierz Olichwer, zmarł w 1936 r. na cukrzycę w wieku 29 lat; był leczony w Warszawie, ale nie chciał stosować diety i zmarł. Matka została z trójgiem dzieci. Byli to, oprócz pani Sabiny, brat Wacław Olichwer (zamieszkuje w Chwalimiu) i siostra Antonina Kutnik (zamieszkuje w Kargowej).

— W Berezie Kartuskiej mieliśmy własny dom i 7 ha ziemi, część we wsi Zdzitów. Pamiętam, że dom był drewniany, pomalowany na zielono. Znajdował się przy ulicy Piłsudskiego, a kiedy Bereza znalazła się pod okupacją radziecką (1939 -1941) ulica nazywana została Szyroka. Dom miał cztery pokoje, kuchnię, korytarz. Był duży ogród (20 arów), mama uprawiała warzywa i rosły tam drzewa owocowe. Była też studnia na korbę, wspólna z czterema sąsiadami. Na noc była zamykana i każdy współwłaściciel miał klucz. Mieliśmy gospodarstwo, w nim dwie krowy, konia i mama trzymała od 60 do 100 gęsi. Na końcu ulicy był staw, taka sadzawka. Tam się goniło gęsi, żeby się napiły, potem trzeba było je pilnować, a następnie zagonić do domu. Na zimę zostawiało się 10 sztuk, a resztę się sprzedawało. Najczęściej Żydom, bo nie jadali wieprzowiny.

2 września 1939 r. poszłam do szkoły. Poprzedniego dnia, w niedzielę, byliśmy na mszy, a w poniedziałek o godzinie 9.00 mama zaprowadziła mnie do szkoły, jednej z trzech w mieście. Pani zabrała nas na lekcje, ale już około godziny 11.00 Niemcy zaczęli nalot, szczególnie nad naszą ulicą, która była jedną z głównych. Bombardowali ulice, chodniki i trawniki. Lecieli w stronę rzeki Jasiołdy i wracali na zachód. Mama i inni rodzice przybiegli do szkoły po swoje dzieci. Biegła potem ze mną ul. Biskupską (tam mieszkali Szydłowski – później w Chwalimiu nasi sąsiedzi). Pamiętam straszny widok, Żydówkę wiszącą na drzewie, prawdopodob-

nie wyrzuconą siłą wybuchu bomby. Żyła jeszcze, mimo że pod drzewem leżały jej wnętrzności, i wzywała pomocy. Mama jednak biegła dalej, bo w domu był mój brat i siostra. Gdy dotarliśmy do domu mama założyła nam przygotowane wcześniej worki – plecaki. Byliśmy już przygotowywani do ucieczki, bo pod miastem z jednej strony stali Niemcy, a z drugiej Rosjanie i ciągle nam ogłaszano, żebyśmy byli gotowi do ucieczki z miasta. Brat wziął obie krowy i uciekaliśmy do Zdzitowa.

Tydzień trwały walki o miasto. Ten tydzień spędziliśmy w Zdzitowie. Potem powróciliśmy do Berezy. Do 1941 r. miasto było w rękach Rosjan. Chodziliśmy do szkoły, uczyliśmy się rosyjskiego, ukraińskiego i niemieckiego. Języka polskiego była tylko jedna godzina w tygodniu. Od 1941 do 1944 trwała okupacja niemiecka. Niemcy wędrując na wschód dawali pokaz siły, byli doskonale wyposażeni. Kiedy trwały walki na froncie wschodnim na naszym podwórku Niemcy umieścili wagon, w którym znajdowała się stacja odbiorczo–nadawcza. Obsługiwało ją na zmiany po sześciu żołnierzy. Jedli u nas śniadania i kolacje, obiady im przywożono. Mama doiła krowę, dawała im mleko, dostawała od nich butydyń, czekoladę i kostki cukru. Pomiędzy nimi był Antoni – poznaniak. Mówił po polsku, choć kaleczył język. Od niego dowiadywaliśmy się, jak przebiega front, o klęskach Niemców pod Moskwą i Stalingradem. Wracający Niemcy już nie wyglądali tak, jak wcześniej. Przedstawiali obraz nędzy, byli wygłodzeni, obszarpani, brudni, poowijani w szmaty. Młodzi mężczyźni wyglądali jak starcy.

Pamiętam też, że na obrzeżach miasta był obóz, w którym więziono polską inteligencję: inżynierów, dentystów, oficerów, lekarzy. Moja babcia Mania mieszkała obok tego obozu. Ogrodzony był dwumetrowym płotem drewnianym, bardzo szczelnym i trzema liniami drutu kolczastego. Pamiętam, że my, dzieci, mogliśmy się zbliżyć do tego płotu, strażnik nic nie mówił, ale gdy tylko spróbował się zbliżyć starszy chłopak, czy dorosła osoba reagował krzykiem. Babcia Mania uszyła nam takie torby na szyję z trzema przegródkami, do których wkładało się trzy butelki z mlekiem, aby się nie obijały o siebie i „pyszki” – bułki z chlebowego ciasta. Wygrzebywało się dołek pod ogrodzeniem i podawało się podchodzącym z drugiej strony dzieciom (w latach 1934–1939 był to obóz odosobnienia dla więźniów politycznych, osadzano w nim przeciwników sanacji, ale nie znalazłam nigdzie, co dalej było w tym obozie – przyp. BK).

9 maja 1945 r., po wyzwoleniu, nasz dom był doszczętnie zniszczony przez bombę, którą podłożyli Niemcy mieszkający u nas. Inne domy na naszej ulicy także zniszczyli – pozostały tylko trzy. Wtedy w mieście zaczął działać Państwowy Urząd Repatriacyjny. Kierował nim Surwiło, jego córka Sabina chodziła ze mną do szkoły. Ksiądz w kościele ogłosił, że kto chcejechać zasiedlić ziemie odzyskane to ma się zgłosić do PUR-u. Gospodarzy, którzy mieli więcej niż 10 ha wywożono z całymi rodzinami na Sybir. Nie dziw, że Polacy masowo się zgłaszali do wyjazdu na ziemie odzyskane. Ponieważ mama zgromadziła już budulec na nowy

dom(drewno) i zamówiła okna, nie chciała wyjeżdżać. Bała się o syna, bo jego rówieśnicy zostali wcieleni do wojska radzieckiego i ginęli. A był w mieście urząd Passportnyj Stoł, który zajmował się werbowaniem młodych do wojska. Pracował tam naczelnik Sorokowka – nasz jakby wujek. Uważaliśmy go za rodzinę, bo miał ożenić się z naszą ciotką, która zmarła tydzień przed ślubem. Przeciągał on jak tylko mógł powołanie mego brata Waclawa do ruskiego wojska. Udawało się to aż do 1946 r., ale wówczas powiedziano mamie, że jeśli da syna do armii to może zostać i się budować. Jeśli nie, to musi wyjechać.

Wyjechaliśmy w 1946 r., 27 lutego, ostatnim transportem z Berezy. Wraz z nami jechali Szydłowscy z ul. Zdzitowskiej i Danielkiewiczze z ul. Biskupskiej. Kutniki pojechali wcześniej, w 1945 r. Dostaliśmy wagon towarowy. Pół wagonu to były worki ze zbożem, mieliśmy też dwie krowy i konia. Siedzieliśmy na tych workach, było strasznie zimno. Mieliśmy ręce i nogi podmrażane. Gdy dotarliśmy do Warszawy ustawiono nasz skład na bocznym torze. Mówiono, że dalej tory są zablokowane, ale chodziło o łapówkę. Warszawa była cała zburzona, sterczały tylko kominy. Ludzie uwijali się przy odgruzowywaniu. Było o wiele cieplej. Zdejmowaliśmy kożuchy, walonki. Kilka dni staliśmy na bocznym torze. W końcu wybrano dwóch starostów z transportu – jednego ze wsi, jednego z miasta i zebrano składkę dla naczelnika. Był to alkohol, bo pieniędzy nie mieliśmy. Transport ruszył do Poznania.

W Poznaniu znów odstawiono nas na boczny tor. Znów czekano na składkę. Było już dużo cieplej, trawa rosła w rowach. Wyprowadzaliśmy krowy, aby sobie skubały trawę. Cierpieliśmy głód. Do pociągu podchodzili handlarze z bułeczkami, ale my nie mieliśmy pieniędzy. Jedliśmy suchary maczane w gotowanej wodzie.

Trafiliśmy do Krosna Odrzańskiego. Pamiętam, że jechaliśmy przez Babimost, a ja, ponieważ niezbyt dobrze czytałam po polsku, przeczytałam napis „Babinos”. W Krośnie Odrzańskim byli Rosjanie, brali ludzi na samochód i wieźli do opuszczonych domów. W domach wszystko było. Niemcy w pośpiechu opuszczali domostwa, nawet na kuchniach stały garnki. Nikt jednak nie chciał się osiedlać, ludzie bali się, bo przecież blisko była granica z Niemcami. Gdziekolwiek toczyły się jeszcze walki, było niebezpiecznie. Mama napisała telegram do swojego brata do Kaszczoru, który osiedlił się jako osadnik ziem zachodnich. Wracając z wojny już się tam osiedlił i potem sprowadził żonę (dziecko zmarło im jeszcze na wschodzie). On załatwił, że cofnęli nas do Wolsztyna, a z Wolsztyna trzy wagony trafiły do Karkowej. Dotarliśmy na miejsce 19 marca 1946 r. My, Szydłowscy i Danielkiewiczze.

Najpierw zatrzymaliśmy się u Szydłowskiego i mieszkaliśmy do 20 kwietnia. Przydzielono nam dom obok Szydłowskich, ten, w którym obecnie mieszkam, ale tam mieszkał Henryk Kuśmider z Kielc. I chociaż mama miała przydział na ten dom, nie mogliśmy się wprowadzić. Ten Kuśmider wyszabrował wszystko co było i wyjechał. Zasiadliśmy pusty dom. Żyliśmy z gospodarstwa. Jak to w gospo-

darstwie były krowy, koń, kury. Później mama hodowała świnię, ale to był ciężki obrządek. Pomagałam w gospodarstwie i uczyłam się krawiectwa. W 1950 r. wyszłam za mąż za Jana Kantorka, był krawcem z zawodu. Mąż zamieszkał ze mną, dostaliśmy od mamy jeden pokój, a kuchnię mieliśmy w piwnicy. W 1952 r. urodziła się pierwsza córka – Teresa, w 1953 r. – Marysia. We czwórkę mieszkaliśmy w malutkim pokoiku. Gdy za mąż wyszła siostra to szwagier wprowadził się do nas i zajął się gospodarstwem. Było za ciasno, żebyśmy wszyscy mogli mieszkać. A we wsi był pustostan – domek między domem Antasów (dziś Rzepowskich) i pani Stasi Zienkiewicz (Pawelczak). Dom był stary i ucierpiał, kiedy Seligowskim spaliły się budynki gospodarcze, ale mąż trochę znał się na murarce i podreperował go. 1 listopada 1953 r. wprowadziliśmy się do tego domu. Mąż pracował, było dwoje dzieci, postanowiłam otworzyć sklep. W tym czasie Kłys wymówił sklep u siebie, więc sklep był potrzebny. Ciężko było, po towar jeździłam sama, Marysię zostawiałam u mamy, a Tereskę zabierałam ze sobą. Dwa lata prowadziłam ten sklep, w dokumentacji sklepowej pomagali mi Staszek Sz wajkowski i Adam Poźniak. Potem wybudowano w Chwalimiu sklep i zrezygnowałam.

Władzą w Chwalimiu wtedy byli: Stanisław Gliwiński – sołtys, Wojciech Kantorek – zastępca i Ignacy Kolbuszowski – sekretarz.

Pracowałam szyjąc, obszywałam wioskę. Każdy za szycie coś przynosił. W 1955 r. urodziła się Janka. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w tym domu przejął go Strzelecki z Kiele i gospodarował trzy lata, a potem na jego miejsce przyszedł Banaś z żoną, córką i pięcioma wnukami. Kazali nam się wyprowadzić. Zamieszkaliśmy u ciotecznego brata – Jana Piasty. Tam urodził się syn Wojciech i córka Hania (prawidłowo Danuta). Było bardzo ciężko. Pieluchy prałam w rzece zimą i latem. Dobrze pamiętam, że pomagała mi Franciszka Gmosińska, teściowa Jana Piasty, która mieszkała po sąsiedzku.

6 grudnia 1959 r. znowu musieliśmy się przeprowadzić, tym razem do rodziców męża, do domu, w którym obecnie mieszka Krystyna Szymczak (z domu Kantorek, siostra mojego męża) i Józef Szymczak. Pamiętam, że było zimno, śnieg, a my przewoziliśmy rzeczy, skromny dobytek na sankach. Po jakimś czasie brat z rodziną wyprowadził się, więc my 8 marca 1964 r. wprowadziliśmy się z powrotem do mamy. Tu mieszkam do dziś z córką Hanią (Danutą) i wnuczkiem Mateuszem.

Zanotowała: **Beata Kozubska**





# Jadwiga Onoszko

**KARGOWA, UL. KOŚCIUSZKI**

**U**RODZIŁAM SIĘ NA WSCHODZIE, DO KARGOWEJ przyjechałam jesienią w 1945 r. Oczywiście dzieciaka pamiętam kargowski tygiel. Ze wszystkich stron kraju przybyło tu mnóstwo ludzi; ze wschodu oraz tych, co mieszkali w Kargowej całe życie, w Chwalimiu byli łowiczanie. Mieszanie kultur sprawiło, że Kargowa zawsze pragnęła wielkiej kultury – wszyscy byliśmy i jesteśmy uduchowieni atmosferą miasteczka. Mój ojciec zawsze powtarzał: „Uczmy się wszystkiego tego, co inni mają nam do pokazania, a jest dobre”. Mieliśmy sympatycznych sąsiadów – byli to państwo Rapiorowie. Pan Rapior okazał się wspaniałym człowiekiem. Gdy kończył pracę na kolei wracał do domu, wsiadał na rower i jeździł po mieście, żeby uczyć ludzi porządku. Tam gdzie mieszkaliśmy zawsze nas zalewowało podczas ulew, a pan Rapior powiedział jak zapobiec zalewaniu.

Po Rapiorze był pan Zienkiewicz z Rady Miejskiej. Jako urzędnik pilnował porządku w mieście, uczył jak dbać o nie, aby było ładnie i czysto. Pojednanie ludzi w Kargowej wzrastało poprzez działania kulturalne. Przykładem ogniska na strzelnicy, tam gdzie dziś znajduje się sklep Gorgiela na ul. Sportowej. Miasteczko zbierało się na tych ogniskach. Później harcerstwo uczyło nas patriotyzmu lokal-

nego i wzajemnego szacunku. Założycielami harcerstwa byli Józef Królak i Halina Ćwiertniewska. Uczyli nas pieśni patriotycznych, organizowali obozy, biwaki.

W szkole uczyli nas fantastyczni nauczyciele. W tym miejscu chciałabym wspomnieć państwa Wróblewskich, byli to pedagodzy z powołania. Historii uczyli na każdej lekcji, przy każdej okazji opowiadali o tym, co ważne. Wspominam moich nauczycieli, jak dyrektora Rabiege, i łezka w oku się kręci. Pan Trudnowski zasłużył na miano honorowego obywatela naszego miasteczka, uczył matematyki i robił to świetnie. Później z konieczności, mimo, że sam nie umiał śpiewać, uczył też śpiewu. I jak nikt inny nauczył nas śpiewać i rozumieć hymn Polski. Wspominając pana Trudnowskiego zawsze będę mówiła, że sekretarze partii nie tylko byli źli, ale byli również dobrzy i pomocni. Byli tacy sekretarze, którzy identyfikowali się ze swoimi współmieszkańcami, nie wychodzili przed szereg, pomagali zawsze, gdy uważali, że ich wsparcie może się przydać. Najlepszym dowodem na to była wiedza Trudnowskiego na temat mieszkańców, którzy w okresie stanu wojennego robili to, czego partia by sobie nie życzyła. Lecz zachowywał to dla siebie.

Wracając do nauczyciela Wróblewskiego muszę wspomnieć ważną dla mnie historię. W 1959 r. skończyłam szkołę podstawową i ze względu na brak miejsc nie dostałam się do Liceum Pedagogicznego w Sulechowie. W związku z tym rodzice stwierdzili, że wyślą mnie na naukę praktycznego zawodu dla kobiet; miałam zostać krawcową. Uczyć miał mnie pan Karaś. Pierwszego września, gdy miałam iść już na naukę, bardzo płakałam i właśnie wtedy spotkałam pana Wróblewskiego. Opowiedziałam mu o tym jak bardzo bym chciała iść do szkoły, a nie na naukę zawodu. Zabrał mnie wtedy do Sulechowa, do Liceum Pedagogicznego, na dodatkowy egzamin. Kazał się zgłosić do Wojciecha Pasterniaka i powołać się na niego. Posłano mnie wobec tego ponownie na egzaminy ustne, które zdałam i mogłam zacząć naukę w szkole następnego dnia. Byłam bardzo, ale bałam się powiedzieć o tym rodzicom. I znowu pan Wróblewski uratował mnie i o wszystkim powiedział rodzicom. Tak rozpoczęła się moja przygoda z kierunkiem pedagogicznym.

Okres szkoły średniej wspominam jako okres harcerstwa, obozów w Chwalimiu i nad morzem w Niechorzy. Te obozy były bardzo kształcące. Państwo Ćwiertniewska, Królak i Jaszczuk byli cudownymi ludźmi, którzy uczyli nas życia. Ogniska harcerskie były wplecione w pejzaż kargowski.

W Kargowej odbywały się przepiękne bale maskowe, które mają swoją długą i bardzo ciekawą historię. Przebrania niektórych osób, wyglądały jak dzieła sztuki. W tamtych czasach istniało kino i wyświetlano wiele filmów. W kinie pracowały panie Rapicka, Kazimiera Nowak i operator Kowalewski, którego potem na bardzo długie lata zastąpił Władysław Strzałka. K. Nowak w nagrodę za to, że posprzątałśmy wokół kina wpuszczała nas, dzieciaki, na seanse od podwórka. Staliśmy wtedy za kotarą, ponieważ na widowni nie było wolnych miejsc. A pani Nowak ustawiała nas od najniższego do najwyższego, żeby każdy dobrze widział

film. Pierwszy, który oglądałam w kargowskim kinie to był „Skarb”. Frekwencja w kinie zawsze była duża, a godziny seansów dostosowywane do potrzeb społeczeństwa. Gdy były żniwa to filmy wyświetlano dopiero ok. godz. 22.00. Bardzo lubiłam to nasze kino i nawet, gdy byłam uczennicą szkoły podstawowej napisałam w swoim wypracowaniu, że w przyszłości chciałabym „zostać panią Rapicką”. I tak się też z czasem stało...

Wracając jeszcze do mojego dzieciństwa, szczególnie miło wspominam górkę Chudzika, kąpielisko, gdzie trzeba było płacić za wstęp. Pani Wandzia siedziała sobie na ręczniku i pobierała opłatę. I nikt nigdy nie oszukiwał, każdy podchodził do niej i płacił. Na kąpielisku zawsze było pełno ludzi, znajdowały się piękne trampoliny, falochrony, przebieralnie. Woda była często czyszczona. Pamiętam jakby to było dziś, jak pani Zmuda, mama Ireny Kaczkowskiej, skakała z trampoliny na główkę. Dla mnie, dziecka, było to niesamowite wydarzenie.

Życie toczyło się także wokół kościoła. Ksiądz Meger i odwiedzający nas ksiądz Jacek Kochański potrafili zachęcić ludzi, aby uczęszczali do kościoła. Dodatkowe nabożeństwa majowe dla dzieci odbywały się przy Wilczej Jamie nad kanałem, za mostem w kierunku Dąbrówki. Pani Maternowa piekla na tę okoliczność ciasto, a w konwi od mleka przygotowywała kakao, które jej mąż dowoził nad kanał. Tam śpiewaliśmy pieśń „Chwalmy łąki umajone”. Jakże inne emocje są w człowieku, kiedy śpiewa się pieśń „Chwalmy łąki umajone” właśnie na łące. Uczono nas kochać siebie i innych.

Później był ksiądz Jan Zdziarski, który jak nikt inny zasłużył na miano honorowego obywatela Kargowej. Był człowiekiem, który w trudnych czasach dla naszej Ojczyzny ryzykował bardzo. Przywoził z Gorzowa plakaty i ulotki, które przechowywaliśmy w kinie wśród plakatów filmowych. Rozwoził zdjęcia Lecha Wałęsy po okolicy; robił je Jurek Radkiewicz.

Ważnym wydarzeniem dla mieszkańców Kargowej było powitanie Gagarina, który w 1961 r. przejeżdżał przez nasze miasto. Wszyscy bardzo to przeżywali.

Gdy wyszłam za mąż musiałam wyjechać z Kargowej na dwa lata, ale bardzo tęskniłam za swoim miasteczkiem. Dlatego przyjeżdżaliśmy tu jak najczęściej. W każdą niedzielę jechaliśmy z Gorzowa motorem do kargowskiego kościoła na mszę świętą. Najpierw pracowałam w szkole w Gorzowie Wielkopolskim, później w przedszkolu w Czerwieńsku. A gdy wróciłam do Kargowej, to już do pracy w szkole lub przedszkolu nie wróciłam. Praca za biurkiem nie dawała mi satysfakcji. Któregoś dnia, gdy szłam na zakupy, zobaczył mnie Edward Rabięga i przypomniał mi wypracowanie, mówiąc, że jest szansa, abym została panią Rapicką i podjęła pracę w kinie „Światowid”. Napisałam podanie i w ten sposób zaczęłam pracę w kinie. Tak się zaczęła moja przygoda z kulturą i tak zaczęłam realizować swoje marzenia. Jednak okazało się, że praca w kinie strasznie mnie nudzi i postanowiłam rozpocząć nowe działania kulturalne. Nawiązałam kon-

takt z nauczycielami i spróbowaliśmy zrobić z kina miejsce dla dzieci i młodzieży. Najciekawsze zajęcia i lekcje kinowe przeprowadzała Elżbieta Rusin. Wiedzę o książce sprawdzała poprzez film – młodzież musiała wskazywać różnice między książką a filmem.

Gdy zostałam przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zajęłam się kulturą rosyjską. Kochałam i nadal kocham literaturę rosyjską. Chciałam połączyć pracę w kinie z szeroko rozumianą wiedzą o kulturze wschodu. Chęć ta zaowocowała organizacją różnych konkursów, m. in. „Film zbliża narody”. Imprezy te zorganizowaliśmy, aby przybliżyć kargowiakom kulturę rosyjską oraz wszystko, co z nią było związane – stroje, obyczaje, kuchnię. Pierwsze spotkania odbywały się w budynku urzędu miejskiego, przy samowarze i z płytami Wysockiego, Okudźawy. Do dziś mam te płyty. Andrzej Wasilewski grając umiłał te spotkania, a Elżbieta Ginter znała wiele przepisów na potrawy wschodu i przygotowywała je na te wieczory. Spotkania, podczas których poznawaliśmy kuchnię rosyjską odbywały się w restauracji „Maraton”. Jolanta Skopowska robiła piękne matrioszki, na których znajdowały się przepisy kulinarne. Wszystko to robiliśmy we własnym zakresie. Nie było pieniędzy na organizację imprez, ale ludzie chętnie pracowali społecznie. Jedni przygotowywali kołaczki, drudzy pierogi lub ciasta. Osoby, które chętnie włączały się do pomocy przy organizacji konkursu to byli m. in. Teresa Bielicka – prowadząca w GS koło gospodyń, czy Michał Karolewski, który pomagał robić ogromne dekoracje. Dwa razy wygraliśmy główną nagrodę w ogólnopolskim konkursie „Film zbliża narody”. Otrzymaliśmy premię i zorganizowano nam wyjazd do Związku Radzieckiego. Młodzież ceniła sobie te nasze działania, a ponieważ dom kultury był w remoncie kino w tym czasie przejęło jego funkcję.

Poza tym organizowaliśmy Turnieje Miast na Linach. Były to turnieje między Kargową a Babimostem. Na turniej składały się m.in. zawody plastyczne i sportowe. Potyczki sportowe przygotowywałam z Miłą Delijewską, Marylą Jankun, operatorem Władysławem Strzałką oraz Haliną Karmanową. Czasami pracowałyśmy całą noc, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Prawie w każdej dyscyplinie wygrywałyśmy z Babimostem. Ale w zbiórkach na PKO zawsze wygrywał Babimost. W pomoc przy organizacji turnieju włączali się przedsiębiorcy, sklepikarze; wtedy w ludziach było dużo pasji i zaangażowania. Zespoły Jarka Rzepeckiego i Grzesia Wnęka grały za darmo podczas imprez.

Pewnego razu wspólnie z Marleną Kubiak, Waldkiem Wiśniewskim, Michałem Karolewskim, Hanną Kantorek i Arturem Przybylakiem zorganizowaliśmy przedstawienie i na jego potrzeby stworzyliśmy makietę domu kultury wielkości całej sceny kinowej. Na makiecie z przodu widoczny był przystanek autobusowy, a z tyłu drzwi domu kultury z napisem „Remont”. Tym sposobem chcieliśmy dać do zrozumienia władzy wojewódzkiej, że miejsce młodzieży nie jest na ławeczce na przystanku, ale w domu kultury.

Przed przedstawieniem na przystanku autobusowym czekała na gości z Zielonej Góry przebrana za cygankę Marlena Kubiak, która wróżyła gościom z kart. Wywróżyła im piękną przyszłość dla Kargowej. Towarzyszył jej Waldek Wiśniewski, który swoim strojem demonstrował, że młodzież kargowska zasługuje na coś więcej, niż spędzanie czasu na ulicy lub na przystanku autobusowym. Nasze przedstawienie wszystkim się bardzo spodobało i otrzymaliśmy pomoc finansową na remont. Wtedy też zaproponowano mi pracę w domu kultury i z czasem połączono kino i dom kultury w jedną instytucję. I wtedy spektakle grane przez młodzież ze szkoły podstawowej pod opieką nauczycieli oraz ognisko muzyczne Andrzeja Apolinarskiego zaczęły owocować.

Pani Halinka Ćwiertniewska była dla mnie jak matka, dlatego chciałam, aby nadal pracowała ze mną w domu kultury. Razem zaczęliśmy szukać pracowników do tej placówki. Jako pierwsi podjęli pracę: Małgorzata Kwiecień, Marlena Kubiak, Krysia Prządka, Feliks Umerski. W działalności dobrowolnie pomagali pracownicy kina: Maryla Jankun, Miła Delijewska, Jasiu Zienkiewicz, Piotr Strzałka. Pierwsze przedstawienie, jakie wspólnie zorganizowaliśmy była to inscenizacja Święta Niepodległości w niedokończonym pomieszczeniu dzisiejszej biblioteki (publiczna biblioteka mieściła się wtedy w remizie). Ludzie byli zachwyceni.

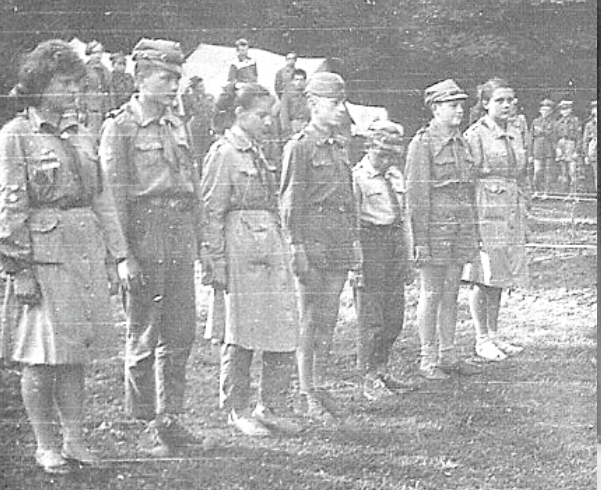
W tamtych czasach nie było wielkich pieniędzy na kulturę, dlatego musiałam prosić o pomoc do Urząd Wojewódzki, pisałam też o pomoc do Ministerstwa Kultury. Za pierwszą transzę otrzymanych pieniędzy wyremontowałam parter domu kultury: salę, hol i kawiarnię. Wspierała nas w tym red. Danuta Piekarska z „Gazety Lubuskiej”, która często bywała w Kargowej. Następnie zorganizowaliśmy bal sylwestrowy, przy którym pomogły nam: Danuta Abraś, Bachorska, Prządka, Maryla Jankun, babcia Przymuszała; były one jak jedna zgodna rodzina. Wtedy, podczas pierwszego sylwestra, padł pomysł, żeby organizować w domu kultury różne imprezy okolicznościowe, nawet stypy. W ten sposób zarabialiśmy potem na pracę sekcji plastycznej, muzycznej, teatralnej. Przy domu kultury działała też ciemnia fotograficzna, a pani Halinka Ćwiertniewska szyła lalki na przedstawienia, powstawały obrazy. W domu kultury zawsze było dużo dzieci i młodzieży, a najbardziej obłożony był gabinet plastyczny.

Warto było robić to wszystko, pozostając w nadziei, że kiedyś młodsze pokolenia będą nas wspominały. I ważne jest, żeby opowiadając takie historie, młodzi ludzie z naszej gminy wiedzieli, że te starsze pokolenie bardzo się starało, żeby życie w Kargowej było łatwiejsze i lepsze oraz godne wspomnień.

Nagranie: **Aleksander Żukowski**  
Zanotowała: **Agnieszka Zielińska**



**Spotkanie harcerzy z bohaterem Powstania Wielkopolskiego Wechterowiczem, Jadwiga Onoszko i drużynowa Halina Cwierniewska.**



# Bernadeta Patelska

KARGOWA, UL. KWIATOWA

**U**RODZIŁAM SIĘ W MAŁEJ WSI, DO KARGOWEJ przybyłam w 1958 r. wraz z mężem Henrykiem i zamieszkaliśmy na Rynku. Życie w mieście w latach 50. i 60. kwitło. Każdy miał pracę, nie było widać biedy, ludzie byli weseli, zgrani, nie przygnębieni, każdy miał swoją działkę, dzieci potrafiły się bawić jedną hulajnogą, rowerem. Około czwartej po południu większość mieszkańców wychodziła ze swoich domów i spacerowała po mieście, brała udział w życiu kulturalnym. Centrum był Rynek, a wszędzie było pełno zieleni. Każdy krzak, drzewko było ładnie przycięte, miały różne kształty. Ludzie się spotykali, mówili do siebie dzień dobry, kłaniali się. Wydarzeniem były majówki. Odbываły się koło kina, na specjalnym placu. Mieszkańcy bawili się, ale nigdy nie było awantur, bo wieloletnim szefem policji był pan Przybylski, którego każdy się bał.

Dużo działało się w Domu Kultury. W latach 50. występ miał sławny śpiewak Mieczysław Fogg. Poza tym odbywały się też występy innych zespołów i coroczne bale przebierańców, które wzbudzały bardzo duże zainteresowanie, bilety rozchodziły się w ekspresowym tempie. W Maratonie istniała restauracja i sala do zabaw. Każdy zakład miał swoją zabawę karnawałową i czasem karnawału brakowało, bo ludzie tak chętnie się bawili. W restauracji na dole podawano tanie obiady za bony, przychodzono tam też na kawę. Od 1961r. kierownikiem restauracji był mój mąż, Henryk. Później był także wiceprezesem GS.

Miasto zaczęło się rozrastać dopiero w latach 80. Ulica Kwiatowa, gdzie obecnie mieszkamy powstała w 1983 r. Wcześniej powstały bloki na ul. Sulechowskiej i na ul. kpt. Więckowskiego. Rynek zaczęto odbudowywać dopiero w latach 70. i 80.

Już przed przybyciem do Kargowej pracowałam w GS (Gminnej Spółdzielni). Została założona 21 czerwca 1945 r. Najpierw jako Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa „Rolnik” liczyła 25 członków. Następnie 27 lutego 1948 r. powstała Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” i działała tak do 31 grudnia 1974 r. W latach 1975–1982 została połączona z GS Babimost, a od 1 lipca 1982 r. znów działała samodzielnie.

Pierwszym prezesem GS został Mikołajczak. Przewodniczącym rady i założycielem spółdzielni jednocześnie był Jagodziński. Spółdzielnia stanowiła jedyne źródło zaopatrzenia w żywność dla miasta. GS zajmowała się wszystkim. Początkowo towar dowoził, koniem z Wolsztyna, Ossowski. GS utrzymywała się wtedy z własnych wkładów, o kredyty było bardzo ciężko. Ale za to wybudowano pierwsze sklepy, budynki. W każdej wiosce należącej do gminy był sklep, a w Kargowej masarnia i piekarnia (1974 r.), restauracja, sklepy, pawilon. W Wojnowie działała piękna restauracja. Wszystko to powstawało do lat 80. Najbardziej znanym prezesem był Augustyn Rapicki (lata 50.), a głównym księgowym Albert Szeniawski. W czasach gdzie spółdzielnia prosperowała najlepiej zrzeszała ponad tysiąc członków. Miała 200 pracowników i 20 uczniów. Na dzień kobiet panie wyjeżdżały na wycieczki do Poznania, a co drugi rok odbywała się wycieczka pracownicza. Byliśmy m.in. na lodowisku w Łodzi, Częstochowie, Poczdamie, Berlinie, wszystko to opłacano z akcji socjalnych. GS nigdy nie była na stratach i zawsze inwestowała.

Ciekawe było to, że dużo pracowników GS zawierało ze sobą małżeństwa. Pani Rajewska, pracowała od 1969r. Poznała się ze swoim mężem, który był kierowcą. Geniu Konieczny i Małgosia Curzydło również się pobrali. Nasz GS przeznaczał bardzo dużo pieniędzy dla młodzieży, co było ewenementem! W 1982 r. ze środków GS zakupiono instrumenty muzyczne dla młodzieży kargowskiej, próby tego zespołu odbywały się w świetlicy. W podziękowaniu za zakup zespół grał za darmo na wszelkich imprezach dla dzieci, które odbywały się m.in. w restauracjach. Kiedy powstała Solidarność GS-y zaczęły się rozpadać.

Zanotowała: **Monika Patelska**

(wiadomości i wspomnienia o GS z pomocą Marii Rajewskiej  
na podstawie kronik GS)

**Grocholski (trzeci sołtys Wojnowa), trzeci to Antoni Adamczak (czwarty sołtys Wojnowa). Zebranie członków GS w Kargowej, rok 1960**





# Jadwiga Pinecka

KARSZYN

**M**OI RODZICE BYLI MAŁŻEŃSTWEM POLSKO-NIEMIECKIM. Z opowiadań rodzinnych wiem, że konkury taty trwały bardzo długo, około 10 lat, ponieważ dziadek nie chciał się zgodzić na małżeństwo córki z Niemcem.

Jako siedmioletnia dziewczynka pamiętam koniec działań wojennych. Wiązało się to z ewakuacją całej rodziny przed nadchodzącym frontem. Uciekaliśmy, mama z dwójką dzieci i siostrą męża, do Świdnicy koło Zielonej Góry. Przebywaliśmy tam około miesiąca. Nie ewakuowała się rodzina Kubackich, rodzina Pineckich (dziadek mojego męża) oraz rodzina Chmielów. Po powrocie zastaliśmy nienaruszony dom, stała nawet choinka.

Po przyłączeniu Karszyna do Polski przedstawiciele nowej władzy pewnego wieczora wysiedlili naszą rodzinę do Bojadeł. Mogliśmy zabrać tylko to, co zmieściło się na wózek. Jednak dziadek sprowadził nas z Bojadeł do siebie, do Kargowej. Mój rodzinny dom został zajęty przez rodzinę Polaków, jednak go odzyskaliśmy. Pewnej nocy pijani szabrownicy włamali się do naszego domu wybijając kamieniem szybę w oknie. Całe szczęście, że kamień, którym się posłużyli trafił między śpiące dzieci i nie zrobił żadnemu krzywdy. Moja mama uciekła oknem z piętra do sąsiadów, Pałamarczuków, którzy przybyli do naszej wioski ze wschodu. A ciotka schowała się pod łóżko. Złodzieje wynieśli z domu wszystko, została tylko moja sukienka położona na krześle. Całe szczęście, że my dzieci się nie obudziliśmy, bo moglibyśmy stracić życie.

Pamiętam moje i brata zabawy dziecięce z Karoliną Pałamarczuk i jej kuzynem Józkiem Twardowskim. Nieznajomość języka nie była przeszkodą w udanych zabawach, ponieważ porozumiewaliśmy się na migi. Moja serdeczna przyjaźń z dzieciństwa z Karoliną trwa po dzisiejsze czasy.

Od września 1945 r. rozpoczęłam naukę w szkole w Karszynie. Nauczycielką była pani Szczermińska. Języka polskiego uczyła mnie jednak także mama oraz koleżanki i koledzy w szkole. Od drugiej klasy uczyli mnie pan Moskwa, pani

Maria Grabowska i panna Stanisława Makutrówna. Od szóstej klasy naukę kontynuowałam w Kargowej. Z Kargowej pamiętam Edwarda Rabiege, który uczył matematyki, panią Poźniak – uczyła języka polskiego i rosyjskiego, pana Kotlarskiego, który uczył fizyki, Janinę Wróblewska – co uczyła biologii. Mieczysław Wróblewski miał historię, panią Zaklikowa uczyła wychowania fizycznego, ks. Jana Megera religii, a czego uczyła pani Grzymałło nie pamiętam. Jako uczniowie byliśmy dowożeni na pochody pierwszomajowe do Kargowej traktorami. Przyczepy były przybrane brzożami, czasami kwitnącą czeremchą. Moje szkolne czasy wspominam bardzo mile, nie doświadczyłam dokuczliwości związanych z korzeniami niemieckimi, ani ze strony nauczycieli ani koleżanek.

W latach 50. państwo Budowie z Siadczy przygotowywali z młodzieżą przedstawienia teatralne. Próby odbywały się u nich w domu, a przedstawienia w świetlicy. Wystawiano między innymi „Grube ryby”, „Moralność pani Dulskiej” i „Zemstę”. Do Karszyna przyjeżdżało też kino objazdowe. Seanse były wieczorem w sali wiejskiej. Z początku pracownicy kina z Kargowej, pani Nowakowa i pan Kowalewski, przyjeżdżali furmanką. Później obsługę kina przejęła ekipa z Sulechowa, która poruszała się samochodem.

Po wojnie wioska zmieniła się na gorsze. Dużo budynków uległo zniszczeniu. Piękny gmach fabryki cygar, w której pracowała moja ciocia, działający do połowy lat 30., a później przeznaczony na obóz pracy dla dziewcząt, rozebrano. Materiał przeznaczono podobno na budowę Szkoły Tysiąclecia Państwa Polskiego. Rozebrano również wiele innych obiektów.

Po ukończeniu szkoły od września 1952 r. podjęłam pracę w Babimoście, w Prezydium Gminnej Rady Narodowej. Do pracy dojeżdżałam rowerem (około dwa miesiące), a potem zamieszkałam w Babimociu, do 31 stycznia 1955 r. Od 1 maja 1955 r. rozpoczęłam pracę w Miejskiej Radzie Narodowej w Kargowej, w referacie gospodarki komunalnej. 1 kwietnia 1957 r. powstał Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Kargowej, z którym związałam swoją pracę zawodową. Moja praca była doceniana, zostałam odznaczona resortowymi odznaczeniami oraz Brązowym Krzyżem Zasługi. Do pracy dojeżdżałam rowerem, ponieważ nie było komunikacji autobusowej. Od 1975 r. do pracy docierałam już autobusem PKS. Na początku lat 90. kursy tego autobusu zostały zlikwidowane, a jeździł tylko autobus szkolny dowożący dzieci. Przez pewien czas pracowników z okolicznych miejscowości dowoził do pracy samochód zakładowy, oczywiście za odpłatnością. Aż do emerytury byłam związana z Zakładem Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, który niedawno obchodził 50. rocznicę działalności.

Po przejściu na emeryturę nie rozstałam się z zakładem, jeszcze przez pięć lat pracowałam na pół etatu. Obecnie jestem na emeryturze i pomagam wychowywać wnuki.

Zanotowała: **Maria Chmiel**

**Kronika klubu Karszyn, gra w szachy w klubie wiejskim**



**Kronika klubu Karszyn  
– Turniej wsi Karszyn-Jaromierz, bieg w workach.**





Dziewczyny z grupy teatralnej w Karszynie



# Urszula Pławska

SMOLNO WIELKIE

**M**OJA MAMA, URSZULA PŁAWSKA Z DOMU WENNE, urodziła się w 1932 r. w Wodnikach w powiecie halickim, w woj. stanisławowskim. Jej rodzicami byli Grzegorz i Olga ze Studzińskich. Rodzice mamy nie żyją już od wielu lat, oboje są pochowani na cmentarzu w Smolnie Wielkim. Mama miała siedmioro rodzeństwa, ale większość już nie żyje.

Wodniki, to piękna wieś położona nad Dniestrem, liczyła około 90 domów. Był to tygiel narodowościowy – żyli w nim Polacy (dziewięć rodzin), Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie, a nawet Karaimi. W Wodnikach istniał folwark i majątek z pięknym pałacem, którego właścicielami byli Strawińscy. Z tej rodziny do dzisiaj żyje jeszcze tylko ich córka, Anna, która mieszka od wielu lat w Kanadzie. Wodniki leżały około 7 km od Halicza, do Mariampola, gdzie stał kościół parafialny było ok. 5 km. W samym Mariampolu mieszkało dużo ludzi, którzy później osiedlili się w Smolnie Wielkim i okolicach. Urszula Pławska знаła księdza Władysława Obacza, brata Stanisława Obacza mieszkającego w Smolnie. Po wojnie, gdy ksiądz Obacz mieszkał w Smolnie, chodził do szkoły razem z mamą. Ona chodziła wprawdzie do szkoły przed wojną, ale musiała przerwać naukę z powodu

coraz częstszych napadów Ukraińców na Polaków. Nie lubi opowiadać o tamtych czasach, zbyt wiele by to ją kosztowało. Ostatecznie w październiku 1945 r. rodzina Pławskich wyjechała na zachód.

Ojciec, Antoni Pławski, mieszkał przed wojną w Strzałowie, w powiecie baranowickim (woj. nowogródzkie). Urodził się w 1928 r. Jego rodzicami byli Józef i Malwina z Pawłowskich. Strzałowo to była spora wieś licząca około 100 domów, położona wśród lasów i bagien. Rodzina ojca była liczna – miał trzy siostry i czterech braci. Zaraz po zakończeniu wojny rodzeństwo wyjechało na zachód. Bracia i siostry osiedlili się w większości w rejonie Szczecina i Gorzowa. Antoni dołączył do nich dopiero gdy wyszedł z wojska. Wtedy przyjechał do Szczecina, pracował w miejscowej cukrowni jako kierowca.

W 1958 r. poznał mamę i w tym samym roku wzięli ślub. Zamieszkali w Smolnie, w domu, gdzie mama mieszka obecnie. Kupili go od Droniów. Mama przed ślubem mieszkała w domu pod numerem 83, gdzie mieszka do dzisiaj jej brat – Zbigniew. Przez krótki czas mieszkała tam rodzina Kupke (on był podobno malarzem), ale po kilku tygodniach wyjechał wraz ze swoją rodziną do Niemiec. Mama zapamiętała taki epizod z tamtego okresu: gdy przybyli do tego domu spotkali się z początkową niechęcią ze strony niemieckiej rodziny. Dopiero, gdy jej matka, Olga, wytłumaczyła im (a znała dobrze niemiecki), że nie przyjechali tu z własnej woli i gdy opowiedziała im, co przeżyła jej rodzina na wschodzie, że musieli zostawić cały swój majątek, dopiero wtedy Niemcy zmienili swój stosunek. Niemcy albo nie znali sytuacji politycznej po wojnie, albo nie chcieli zaakceptować tego, że przegrywając wojnę zmuszeni zostali do opuszczenia rodzinnych stron. Nasi dziadkowie i rodzice znaleźli się w podobnej sytuacji, gdy zostali wypędzeni ze swych domostw. Musieli zostawić cały swój dorobek życiowy. Było tak, jak opowiadała moja mama, dostali dwie godziny na spakowanie się i wyjazd. Jechali w nieludzkich warunkach prawie siedem tygodni w odkrytych wagonach.

Mama pamięta, że gdy zamieszkała po ślubie w nowym domu to jej sąsiadami byli przez krótki czas państwo Wenne (jej brat Tadeusz, z żoną). Później zamienili się na domy z Bednarzami.

Z licznego rodzeństwa Pławskich żyją jeszcze wspomniany brat mamy, Zbigniew, siostra Krystyna (mieszka w Sulechowie), brat Julian (mieszka w Pabianicach). Bratowa Natalia, która była żoną Tadeusza, przez wiele lat była sprzedawczynią w miejscowych sklepach. Najpierw pracowała w sklepie u Kozaków, a potem w sklepie GS. Pracowała do połowy lat 80. Później w tym punkcie sprzedawała jej córka, Irena.

Sąsiadem mamy został Szałapata. Jego ojciec, Władysław, był przez wiele lat grabarzem, wyrabiał też nagrobki. Naprzeciwko mieszkali Kostańscy – Józef i Stanisława. Stanisława była najstarszą siostrą mamy, ale nie żyje już od kilku lat, tak jak jej mąż.

Ojciec przez wiele lat pracował jako kierowca w STW w Sulechowie. Zmarł przedwcześnie w 1990 r. Żyje jeszcze kilkoro jego rodzeństwa, którzy mieszkają w okolicach Gorzowa Wlkp.

Mama przypominała sobie, jak jej dzieci wraz z rówieśnikami pracowały w połowie lat 70. w czasie wakacji przy wykopaliskach archeologicznych. Było to w Smolnie W. za mostem w kierunku na Chwalim i w Wojnowie. Pracami kierował jeszcze wtedy docent, a dziś profesor Michał Kobusiewicz. Archeolodzy byli zakwaterowani w miejscowej szkole, a obiady gotowała im siostra mamy, Stanisława Kostańska. W wyniku prac archeologicznych natrafiono na ślady osadnictwa prasłowiańskiego. Znalezione mnóstwo krzemieni w kształcie grotów i innych narzędzi, a także dużo szczątków naczyń, kości, narzędzi.

Ponadto mama pamięta miejscowy cmentarz ewangelicki. Tuż po wojnie i jeszcze w latach 50. był w dosyć dobrym stanie. Dzisiaj pozostały jedynie zniszczone nagrobki bez płyt i ogrodzeń. Ale cmentarz istnieje...

Prawdopodobnie (takie były pogłoski), gdy istniał pałac, miał połączenie podziemnym korytarzem z kościołem. W kilku miejscach (na terenie parku, który był między pałacem a kościołem) istniały wejścia do tunelu. Na placu, gdzie był folwark, oprócz pałacu znajdował się piękny dziedziniec. Znajdowała się tam gorzelnia, inne budynki gospodarcze, obory, stajnie i magazyny. Gorzelnia zachowała się, chociaż jest już mocno zniszczona, a budynki gospodarcze po pożarze są mocno zniszczone.

Jeszcze do niedawna za wioską funkcjonował drewniany most przez rzekę. Któregoś dnia ktoś podpalił most. Pozostał tylko most kolejowy.

Poza tym mama zapamiętała, że w pobliżu cmentarza były kiedyś dwa stawy. Jeden większy, podłużnego kształtu. Młodzież grała na nim w hokeja, służył też jako ślizgawka. Drugi staw był znacznie mniejszy. Na nim ślizgali się i bawili najmłodsi. Teraz, niestety, oba stawy są już mocno zarośnięte i nie ma w nich wody.

Tata był przez kilka lat kierowcą w miejscowej straży pożarnej, a mama pamięta, jak my, jej synowie jeździliśmy z nim na zawody strażackie, np. do Podmokli, czy Babimostu. Ale tak się złożyło, że nie zostaliśmy strażakami. W tym czasie, gdy tata był kierowcą w straży, komendantem OSP był Pańczyszyn, a prezesem szwagier mamy, Józef Kostański.

Naprzeciw kościoła stał krzyż. Zaraz po wojnie wyglądał on trochę inaczej – krzyż był szerokoramienny i wykonany z granitu, z obu stron obelisku tablice z napisami po niemiecku. Na początku nikt nie wiedział, że ten krzyż to obelisk upamiętniający ofiary I wojny światowej z tej miejscowości.

Dzisiaj od czasu do czasu przyjeżdżają niemieckie rodziny, które odwiedzają swe dawne domy. Ale wizyt takich jest już coraz mniej. Wiadomo, że byli mieszkańcy Smolna Wielkiego czują sentyment do tego miejsca i nieraz odwiedzają wieś.

Mama nieraz chciała by pojechać na wschód, aby zobaczyć swoją wieś, swój dom i najbliższe okolice. Ale z drugiej strony zdaje sobie sprawę z tego, że to raczej niemożliwe. Obawia się, że nawet gdyby miała taką okazję, to mogłaby być rozczarowana tym, co tam zastanie. Woli mieć w pamięci obraz swego domu i okolic taki, jaki zapamiętała sprzed 60 lat.

Zanotował: **syn Józef Pławski**







# Edward Rabięga

**KARGOWA, UL. KPT. WIĘCKOWSKIEGO**

**M**ÓJ OJCIEC, EDWARD RABIĘGA, URODZIŁ SIĘ 20 MAJA 1915 R. W WOLSZTYNIE, JAKO syn Adama i Agnieszki z domu Hałaszczyk. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Wolsztynie. W 1925 r. rozpoczął naukę w państwowym gimnazjum, a w 1930 r. w Seminarium Nauczycielskim w Wolsztynie. Egzamin dyplomowy złożył 27 maja 1935 r. w Wągrowcu. Po odbyciu służby wojskowej w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii otrzymał posadę nauczyciela w Wiązynie (pow. Wilejka), a następnie został przeniesiony do Horodyszcz w tym samym powiecie (obecnie Białoruś). Tam został nauczycielem kierującym szkołą jednoklasową. W 1939 r. brał udział w kampanii wrześniowej, a po jej zakończeniu powrócił do Horodyszcz. W 1940 i 1941 r., już pod administracją radziecką, pracował nadal jako nauczyciel w tej samej miejscowości. W okresie okupacji niemieckiej musiał przerwać pracę pedagogiczną. W lutym 1942 r. ożenił się z Marią Adamowicz; przeniósł się do Wilna, gdzie pracował jako robotnik. Po oswobodzeniu tych ziem pracował znów jako nauczyciel w Timutach (pow. Oszmiana). W maju 1945 r. powrócił do Wolsztyna, otrzymał posadę nauczycielską w Kębłowie, a od 1 czerwca 1945 r. został przeniesiony do Kargowej. Chcąc podnieść

swoje kwalifikacje rozpoczął studia uniwersyteckie na wydziale filozoficzno-histerycznym w Poznaniu. W 1950 r. był zmuszony je przerwać ze względu na chorobę żony. 1 kwietnia 1949 r. został kierownikiem szkoły w Kargowej. W 1961 r. ponownie podjął studia. Dyplom magistra etnografii z wynikiem bardzo dobrym otrzymał w 1962 r. i dalej kierował kargowską szkołą. Równocześnie swoje zainteresowania poświęcił historii i kulturze materialnej Ziemi Babimojskiej. Zbierał eksponaty świadczące o przywiązaniu ludzi zamieszkujących tę ziemię do Polski, o powiązaniu ich kultury z Polską. Zbiory umieścił w zorganizowanej przez siebie, pierwszej w woj. zielonogórskim Izbie Pamiątek Regionalnych, otwartej w 1963 r. w Babimoście. W 1965 r. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze przyznało mu Lubuską Nagrodę Kulturalną. W następnym roku założył Towarzystwo Miłośników Ziemi Babimojskiej i był jednym z inicjatorów Dni Folkloru. Był też kustoszem wystawy propagującej polską kulturę. Ekspozycja została umieszczona na barce płynącej po terenie Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W związku z rozległymi zainteresowaniami napisał ważne prace. Były to m. in. „Kargowa zarys historyczno-gospodarczy”, „O babimojskim cechu rybackim”, „Adaptacja mieszkańców Kargowej w zakresie kultury rolniczej”, „Wesele babimojskie”. Jednym z najbardziej satysfakcjonujących osiągnięć było zdobycie tytułu Lubuszanin 1966 roku w plebiscycie zorganizowanym przez „Gazetę Zielonogórską”. W październiku tego roku został delegatem na Kongres Kultury Polskiej. W Warszawie 1 września 1972 r. został mianowany dyrektorem szkoły w Kargowej, a od 1 stycznia 1973 r. pełnił funkcję dyrektora Szkoły Gminnej. W 1975 r. przeszedł na emeryturę, lecz w dalszym ciągu, do 1995 r. był kustoszem i opiekunem Izby Pamiątek Regionalnych w Babimoście.

Ojciec podjął pracę w Szkole Podstawowej w Kargowej 1 czerwca 1945 r. Wówczas pracowali już inni nauczyciele, ale życie w mieście i szkole dopiero się organizowało. Budynek szkolny należało posprzątać, dostosować do prowadzenia zajęć po byłym szpitalu wojennym. Praca w szkole była trudna, gdyż uczęszczali do niej uczniowie z różnych stron Polski oraz tacy, którzy w ogóle nie znali języka polskiego (autochtoni). Prowadzono wówczas tzw. kursy repolonizacyjne, na których osoby w różnym wieku uczyły się języka polskiego ze specjalnych podręczników. W szkole prowadzono też kursy dla analfabetów, gdyż było ich wielu. W pierwszych miesiącach powojennych mieszkańcy byli zdeorientowani w sprawach praktyk religijnych. W Kargowej istniały dwa kościoły, katolicki i ewangelicki. Ponieważ ewangelicy opuścili Kargowę, ten kościół został zamieniony na magazyn zboża. Parafia katolicka miała z kolei tylko księdza niemieckiego, Scherera, co stanowiło problem dla osiedlających się Polaków. Ojciec znając język niemiecki pisał księdzu kazania po polsku, a on uczył się je odczytywać, choć miał duże trudności z polskimi dwuznakami. Przed wyjazdem do Niemiec podziękował ojcu i sprezentował mu rower.

W pierwszych latach powojennych w szkole działał chór prowadzony przez Józefa Samolę i zespoły teatralne. Ojciec aktywnie działał w środowisku lokalnym, współpracował z domem kultury (wówczas nazywano go „domem społecznym”), był też bibliotekarzem, w okresie gdy miejska biblioteka mieściła się w ratuszu (obecne pomieszczenie policji). Był też współorganizatorem Izby Pamięci w miejscowej Gminnej Spółdzielni. W kolejnych latach pracy, jako kierownik szkoły, podjął działania umożliwiające mieszkańcom kształcenie na poziomie ponadpodstawowym. W ten sposób w latach 60. powstała filia Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Zielonej Górze; kształciło się tu kilka roczników karmelarzy (na potrzeby zakładu „Dąbrówka”) i mechaników (na potrzeby POM). W kolejnych latach działała też Szkoła Przesposobienia Rolniczego oraz podstawowe i średnie studium zawodowe.

Ojciec realizował swoje zainteresowania również w innych miejscowościach. Izbę Pamiętek planował uruchomić w Kargowej, lecz niestety nie znalazło się wolne pomieszczenie, a ówczesne władze nie były zainteresowane taką placówką. Czuł się jednak usatysfakcjonowany, kiedy za swoją pracę i zaangażowanie społeczne otrzymywał nagrody i wyróżnienia. Niektóre z nich to: Lubuska Nagroda Kulturalna 1965 r. za działalność upowszechnieniową w środowiskach autochtonicznych powiatu sulechowskiego przyznana przez Prezydium WRN w Zielonej Górze, Lubuszanin Roku 1966, Nagroda Kuratora Oświaty w 1975 r., listy gratulacyjne od: kuratora oświaty z wpisem do księgi pamiątkowej „Zasłużeni dla oświaty i wychowania”, z okazji Międzynarodowego Dnia Spółdzielczości, medal z herbem miasta Babimost.

Wolny czas, odpoczynek po pracy zawodowej ojca poświęcony był wędkowaniu i hodowli nutrii. Ryby łowił najczęściej w jeziorze Linie, gdzie spotykał się i chętnie rozmawiał z Eugeniuszem Pauksztą. Wspólnie z panami Michałakiem (zawiadownicą stacji kolejowej) i Szumejło (kolejarzem) zakładali pierwsze hodowle nutrii w Kargowej. Ojciec był też biegłym sądowym reprezentującym Związek Hodowców Nutrii.

Po przejściu na emeryturę w 1975 r. nadal chętnie odwiedzał szkołę. Przychodził na uroczystość rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego, na spotkania z uczniami, uroczyste obchody Dnia Edukacji Narodowej. Wiele radości sprawiło mu hospitowanie lekcji religii wspólnie z biskupem Pawłem Sochą i dyrektorką szkoły Brygidą Wróblewską. Było to 20 maja 1995 r. w dniu jego 80. urodzin. Prezent otrzymany od biskupa, symboliczny krzyż, jest przechowywany w domu wraz z krzyżem, który został zdjęty w szkole w latach 50.

Szkoła Podstawowa w Kargowej w 1995 r. obchodziła 50-lecie istnienia. Ojciec z ogromnym wzruszeniem uczestniczył we wszystkich organizowanych z tej okazji uroczystościach, a nauczyciele i uczniowie dziękowali mu, jako twórcy tej placówki.

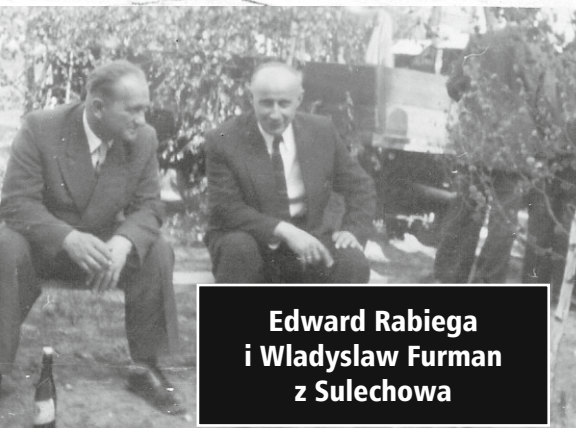
Opowiedział: **syn Andrzej Rabięga**  
Zanotowała: **Brygida Wróblewska**

WICTWO  
OWE  
RASA 52  
KIPULIARDO P.  
NDGÓRSKA  
KACJA

# Gazeta ZIELONOGÓRSKA



Przed redakcją Gazety Lubuskiej, jako Lubuszanin Roku



Edward Rabięga i Władysław Furman z Sulechowa





**Edward Rabiega w izbie  
pamięci w Babimoscie**

**gazeta**  
**ZIELONOGORSKA**

## EDWARD RABIEGA

W imieniu czytelników składam najszczerze gratulacje z racji zwycięstwa w plebiscycie na „Lubuszanina 1966” zorganizowanym przez „Gazetę Zielonogorską”

Redaktor Naczelny  
„Gazety Zielonogorskiej”  
*Zdzisław Olsz*  
(Zdzisław Olsz)



# Maria Sroka

KARGOWA, UL. 27 STYCZNIA

## — Kiedy przybyła pani na nasze tereny?

— Moi rodzice pochodzą ze Słopnic, wtedy było to woj. krakowskie. Przyjechali do Wielkiej Wsi w 1964 r., a ja dojechałam do nich w 1965 r., gdy moja córka Danusia miała prawie roczek. Mój ojciec, Józef Curzydło i bracia dużo wcześniej przyjeżdżali w te strony do pracy. Spodobało im się i dlatego postanowili się tutaj osiedlić.

## — Pamięta pani, jak wyglądała Wielka Wieś w tamtych czasach?

— Rodzice przyjeżdżając do Wielkiej Wsi nie mieli nic, tylko jedną owcę. Była straszna bieda. Za pomoc przy żniwach, wykopkach i innych pracach często dostawaliśmy mąkę, chleb. Czasami było to krępujące, ale potrzebowaliśmy jedzenia. Z biegiem czasu sytuacja znacznie się poprawiła. Wzięliśmy kredyty na rozbudowę gospodarstwa, na zakup sprzętu, a później pojazdów niezbędnych do pracy na roli. Jako pierwsi mieliśmy samochód – Warszawę. Nigdy nie żalowaliśmy, że się wyprowadziliśmy ze Słopnic, że porzuciliśmy góry, mimo, że teraz jest tam pięknie, wszystko się rozwinęło w niesamowitym stopniu, wszędzie są drogi. Kontakt z góralami utrzymujemy do dziś, choć z rodziny żyje już tylko jedna stryjenka i kuzynstwo. Z góralskich obyczajów przenieśliśmy do Wielkiej Wsi zwyczaj śpiewania przy każdej okazji, ale teraz czynimy to coraz rzadziej.

## — A jak w latach 60. wyglądała Kargowa?

— Podobnie jak teraz. Dopiero niedawno zaczęło się tu wszystko zmieniać. Do Kargowej przyjeżdżaliśmy przede wszystkim do kościoła św. Wojciecha, ale też na targowisko, które znajdowało się za torami. Szkoła dla klas I–III była w Wielkiej Wsi, a później dzieci chodziły do Kopanicy albo do Kargowej. Do lekarza jeździliśmy do Kopanicy. Jednak gdybym wtedy wiedziała, że w Kargowej będzie tak ruchliwie i głośno, to bym nigdy tego domu nie kupiła. Wciąż tylko hałas. Teraz chętnie bym w góry wróciła.

— **To ile lat mieszka już pani w Kargowej?**

— Od ponad 20 lat, a moi bracia mieszkają i w Kargowej, i w Wielkiej Wsi. Gdy tęsknimy za górami i przyjaciółmi góralami, to do nich po prostu jedziemy. Oni również nas odwiedzają. Kiedyś jeździliśmy w góry na wesela, a teraz na pogrzeby. Taka przykra kolej rzeczy.

— **A jak Kargowa była odbierana przez mieszkańców Wielkiej Wsi i Kopanicy?**

— Normalnie była odbierana, tylko nasi znajomi z gór zawsze mówili, że my do Niemiec pojechaliśmy i śmiali się z nas pytając, czy my jeszcze Polki czy Niemki?

— **Gdzie pani pracowała?**

— W masarni u Boguszewskiego, w pawilonie, a później w sklepie „U Renaty”. W pawilonie było kiedyś wszystko, a teraz nie ma nic. Lecz z wieloma rzeczami tak się dzieje, wszystko się zmienia. Dziewięć lat pracowałam też w Caritasie w Wielkiej Wsi, dlatego częściej jeździłam do Kopanicy niż do Kargowej. Ale przed pracą w Caritasie pracowałam też w fabryce za torami, w „Goplanie”. Do dziś żałuję, że się stamtąd zwolniłam, ale bałam się dojeżdżać rowerem z Wielkiej Wsi. W tamtych czasach fabryka produkowała toffi, irysy, sługusy, czasami się podjadało cukierki, ale tak się robi pewnie i dziś. Kiedyś wszystko było smaczniejsze, bo robione na prawdziwym maśle. Irysy były przepyszne.

— **Dobrze się żyje w Kargowej?**

— Gdyby była obwodnica to byłoby idealnie. Kiedyś nie było takiego ruchu, a teraz jest i bardzo mi to przeszkadza. Czasami ciężko jest znieść ten hałas, szum, szafki w domu aż się trzęsą. Mój dom jest bardzo stary, na szczęście cegła jest solidna, to zabytkowy dom. A latem siedzimy sobie w ogródku.

Rozmawiał: **Kamil Kwiecień**





# Franciszka Stachowska

SMOLNO WIELKIE

**F**ranciszka Stachowska z domu Krzaczkowska, urodziła się w 1934 r. w Złoczowie woj. tarnopolskie. Jej rodzicami byli Józef Krzaczkowski i Maria z domu Schtochmall. Rodzina Franciszki wyjechała ze swych rodzinnych stron wiosną 1945 r. Nie wyjechała jednak na zachód, lecz zamieszkała przez jakiś czas w okolicach Miechowa koło Krakowa. Przez półtora roku Krzaczkowsy mieszkali w Sarbinowie w powiecie miechowskim. Franciszka mieszkała tam razem ze swoją matką, babcią i bratem. Jej mama pracowała tam w miejscowym folwarku ( musiała chodzić do pracy codziennie 3 km pieszo). Później, gdy już minęła powojenna zawierucha, brat pani Franciszki zaczął poszukiwać ich poprzez Czerwony Krzyż. Gdy w końcu odnalazł sprowadził ich do siebie, czyli do Smolna W. I w taki to sposób cała rodzina Stachowskiej znalazła się w Smolnie. Mieszkali najpierw wspólnie z bratem, który miał spore gospodarstwo, jednak później, wskutek różnych nieporozumień i złych warunków lokalowych, matka pani Franciszka znalazła dom, w którym mieszka obecnie.

Mąż Stachowskiej był długoletnim piekarzem w piekarni Żoków w Sulechowie, już nie żyje.

F. Stachowska stwierdza z przykrością, że po wojnie przy przydzielaniu domów i gospodarstw dochodziło do wielu nieprawidłowości. Istniała wtedy grupa kilku osób, które o tym decydowały i nie zawsze odbywało się to uczciwie. Pani Franciszka cofnęła się jeszcze na chwilę do momentu ich wyjazdu ze Złoczowa. Pamięta to jak wczoraj, że w drzwiach ich domu wetknięta była kartka z komunikatem, że mają 24 godziny na spakowanie się i wyjazd z domu. Pod spodem był dopisek, że jeśli nie wyjadą, to dom zostanie spalony, a oni zamordowani. Takie kartki były dziełem UPA, która wtedy coraz bardziej nasilała swe działania w stosunku do Polaków. W takiej sytuacji rodzina Franciszki spakowała się jak najszybciej. Poprosili znajomego gospodarza, Ukraińca, aby odwiózł ich na stację kolejową w Krasnem. Najbardziej przykre było to, że musieli zostawić w swym domu cały swój dobytek – zwierzęta, maszyny i sprzęt rolniczy. Wzięli ze sobą tylko najbardziej niezbędne rzeczy – trochę żywności, ubrań i podręcznych rzeczy. Gdy już jechali Stachowska dowiedziała się, że spora część jej znajomych osiedliła się w rejonie Szprotawy.

Wspomina też, iż jej brat, ale też i matka, często opowiadali, że przyjechali tutaj tylko na razie i nie ma potrzeby, żeby inwestować w nowy dom i gospodarstwo. Liczyli, że niedługo wrócą na swoje. Wielu ludzi tak wtedy myślało. Niestety, bardzo się pomylili. Poza tym panowało wśród ludzi złowieszcze przekonanie, że Niemcy tu jeszcze wrócą.

Rozmówczyni pamięta, że chodziła do szkoły tam, gdzie mieszka teraz Kamiński. Uczyły ją m.in. Pytłowa i Sławska, a proboszczem był w tym czasie ks. Marcin Stefanicki. Musiała przez jakiś czas chodzić na tzw. przysposobienie rolnicze do Kargowej, żeby jej mama mogła zapisać na nią swe gospodarstwo. Zaraz po wojnie plebania była zniszczona i dlatego też pierwszy proboszcz, którym był ks. Stefanicki mieszkał przez dłuższy czas u Berezowskiego. Dopiero, gdy plebanię odremontowano zamieszkał na plebanii. Nie przebywał tam jednak długo. W związku z tym, że był schorowany i w podeszłym wieku, wyjechał do Chojnic i tam podobno wkrótce zmarł.

Zanotował: **Józef Pławski**

# Melania i Stanisław Stróżykowie

KARGOWA, UL. BROWARNA

— **Dziadku, od kiedy mieszkasz w Kargowej?**

**Stanisław Stróżyk:** — Przeprowadziliśmy się tu z rodzicami w roku 1946 lub 1947, nie pamiętam dokładnie. Miałem wtedy 14 lat. Ojciec dostał pracę, uruchamiał gazownię zniszczoną po wojnie. Pierwsza próba z wypuszczeniem gazu pokazała jak bardzo uszkodzona była instalacja na mieście, właściwie cały gaz poszedł w powietrze. Dużo było z tym roboty, bo chodziło o zapewnienie bezpieczeństwa życia i zdrowia mieszkańców. Mieszkaliśmy w gazowni. Tata przepracował tam całe życie, odszedł dopiero kiedy zachorował. Pamiętam, że po wojnie poszedłem od razu do czwartej klasy, wtedy robiło się dwa lata w jeden rok.

— **A babcia jak trafiła do naszego miasta?**

**Melania Stróżyk:** — Mój brat, Janek, miał wesele w Kargowej, a ja mieszkałam wtedy jeszcze w Buczu koło Wolsztyna. Oczywiście byłam na ślubie brata, a Staszek był jego kolegą. Tam się poznaliśmy. Niedługo potem wzięliśmy ślub. Mieszkaliśmy około dziewięciu miesięcy u mnie, w Buczu. W 1957 r. przeprowadziliśmy się do Kargowej na ulicę Browarną, czyli tu gdzie mieszkamy do dzisiaj. Na samym początku pół domu zajmowały dwie zakonnice, były tu przez trzy lata. Potem na ich miejsce wprowadził się mój brat z żoną.

— **Jakie są pierwsze wasze wspomnienia związane z Kargową?**

**Melania:** — Gruz, szaro i zimno. Wszystko było poniszczzone, widać było skutki wojny. Dopiero ludzie wprowadzając się zaczęli porządkować wszystko koło swoich domów i powoli miasto zaczęło nabierać jakiegoś kształtu. Osiedliło się tu dużo ludzi ze środkowej Polski, z Ukrainy, zza Bugu, byli autochtoni.

— **Gdzie pracowaliście, czym się zajmowaliście?**

**Stanisław:** — Pracowałem w wielu miejscach, rozpoczynając od Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni w Wolsztynie, poprzez GS w Kargowej, młyn gdzie byłem głównym księgowym i gospodę, którą kierowałem. Potem przeszedłem na wcześniejszą emeryturę i zająłem się hodowlą lisów.

**Melania:** — Miałam czwórkę dzieci, to jak ja mogłam iść do pracy? Miałam je wszystkie zostawić? Ustaliliśmy ze Staszkiem, że on pracuje, a ja zajmuję się domem i dziećmi. Pieniądze nie były najważniejsze. Nie chciałam żeby moje dzieci wracały ze szkoły do pustego domu, gdzie było zimno i głodno. Przeciwnie, dom był otwarty, zawsze było coś ciepłego do zjedzenia. Mąż nie miał normowanych godzin pracy, czasem musiał coś zrobić, zostawał dłużej, wracał wieczorem. Musiał się liczyć dom!. Herbata, zupa mleczna z bułką z dżemem, to się jadło. A teraz dzieci mają wszystko i nic nie doceniają. Musiałam jakoś dorobić, żeby mieć emeryturę. Dlatego dla kobiet istniały takie chałupnicze zajęcia. Byłam krawcową. Naprawiałam fabryczne materiały i tak przez 21 lat. Potem do emerytury byłam stróżem w GS-ie. Ponadto ludzie, mieli jakieś gospodarstwa. Najwięcej było hodowli nutrii.

Rozmawiała wnuczka **Magdalena Stróżyk**

# Henryka Szkwarek

KARGOWA, UL. MARCHLEWSKIEGO

**U**RODZIŁA SIĘ W 1927 R. NA ZIEMIE ZACHODNIE PANI HENRYKA WRAZ Z MATKĄ I RODZIEŃSTWEM PRZYBYŁA Z WIOSKI KOCAWINA, GMINA ŚW. STANISŁAW, POWIAT KOŁOMYJSKI, WOJ. STANISŁAWOWSKIE. TO POKUCIE. MATKA, BRONISŁAWA CHMIEL, MIAŁA WÓWCZAS 45 LAT, SIOSTRA STANISŁAWA LAT 10, A ROMUALDA SIĘDEM MIESIĘCY; BYŁ TEŻ BRAT JÓZEF. BRACIA MIECZYŚLAW I TADEUSZ WALCZYLI NA FRONCIE, OJCIEC JUŻ NIE ŻYŁ. WRAZ Z NIMI JECHAŁA NA ZACHÓD RODZINA NAUCZYCIELI, ALE NAZWISKA JUŻ NIE PAMIĘTA.

Kocawina była wioską młodą, dopiero w rozbudowie. Domy i zabudowa nowoczesne, na fundamentach, ale z drewna, kryte dachówką lub blachą. Przez wioskę płynęły dwa strumyki – w tej chwili jest tam jezioro. Wokoło były piękne lasy liściasto-świerkowe. W wiosce, która pierwotnie nazywała się Sobótką Leśną, było jakieś 120 domów. Parafia nazywała się św. Józef. Był bardzo ładny, duży kościół. Stacja kolejowa oddalona była o 3 km (Chlebiczyn – Sobótką Leśną).

Po przyjeździe na zachód rodzina zamieszkała w Błońsku koło Wolsztyna. Do Kargowej przyjechała w 1953 r. i zamieszkała na ul. Zielonogórskiej (obecnie kpt. Więckowskiego). 25 lipca 1953 r. zaczęła pracować w magistracie. Przewodniczącym prezydium miejskiej rady był wtedy pan Sobkowiak. Ratusz miał dwa wejścia. Z przodu był pomnik.

Na początku najważniejszym zadaniem było odgruzowanie miasta. Mieszkańcy brali w tym czynny udział. Urzędnicy zaś spisywali z rolnikami umowy na odgruzowywanie miasta. Lepsze cegły szły na odbudowę Warszawy, gorsze mogli kupić rolnicy. Budynek gimnazjum, który w ogóle nie był zniszczony, rozebrano, a cegły wysłano do Warszawy. Najpierw jednak odgruzowano Rynek, potem plac przed obecnym Gminnym Ośrodkiem Kultury, następnie Więckowskiego 1 – był tam zburzony dom – zrobiono targowisko (teraz stoją tam dwa budynki). Odgruzowano też plac koło Maratonu i wybudowano nowy dom (obecnie Rynek 10). Przebudowano bożnicę na budynek mieszkalny (ul. Dworcowa), za co wojewoda chciał wsadzić do więzienia pana Edmunda Zienkiewicza i pana Szkwarka. Aby

przebudować bożnicę musiała zrobić plany budżetowe zabudowania Sulechowa i powiatu sulechowskiego, za co obiecano pieniądze na budowę wspomnianego budynku. Plany robiła za darmo.

W prezydium powstały komisje: rolnicza, gospodarczo-komunalna oraz pomocy społecznej. Pracowały bardzo rzetelnie, H. Szkwarek uczestniczyła we wszystkich komisjach. 1 kwietnia 1957 r. powstał Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Kierownikiem był Kasiński, później Staśkiewicz. W zakładzie utworzono ekipę remontowo-budowlaną, której kierownikiem był Edmund Zienkiewicz. Zatrudniono w niej 38 pracowników. Z magistratu pani Henryka przeszła do Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej jako główna księgowa. W latach 60. Kargowa zajęła 1 miejsce w województwie pod względem czystości.

W Szkole Podstawowej kierownikiem był Edward Rabięga. Działało siedem klas. Bardzo się starano o pieniądze dla szkoły. Nauczycielami byli państwo Wróblewscy.

Kierownikiem gazowni został Jan Stróżyk, a Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska Teodor Hakowski. Działał sklep rzeźnicki Króla.

Kargowa była miastem kultury. Przyjeżdżał teatr z Zielonej Góry. Sala była na 500 osób z balkonem. Sufit był podwieszany, cały z róż. Istniał zespół taneczny prowadzony przez panią Adę, która przyjeżdżała z Zielonej Góry. Kargowa słynęła z bali maskowych, na które przyjeżdżali ludzie aż z Poznania. Sala miała bardzo dobrą akustykę. Chętnie przyjeżdżali artyści: Jerzy Połomski, Danuta Rinn, Mieczysław Fogg, Irena Santor, był Wesoły Autobus. Co tydzień odbywały się zabawy taneczne w sali lub na świeżym powietrzu, za obecnym GOK-iem. Była tam podłoga zbita z desek, orkiestra przygrywała na przyczepie ciągnikowej. Pomimo biedy ludzie bawili się bardzo radośnie.

Zanotowała: **Jolanta Jaworska**



**Wręczenie Orderu  
Odrodzenia Polski Henryce  
Szkwarek**



**Młody Wróblewski,  
Sobczak, Baszyński**



**Pierwszy z lewej  
Powstaniec Rejman**





# Józefa i Henryk Świstuniowie

SMOLNO WIELKIE

**W**PRAWDZIE PAŃSTWO ŚWISTUNIEWIE NIE NALEŻĄ do pokolenia osadników, jednakże ich rodzice mają wiele wspólnego ze Smolnem Wielkim i dobrze byłoby o nich wspomnieć, zwłaszcza, że ojciec Józefy Świstuniowej był prawdopodobnie pierwszym sołtysem w powojennej historii Smolna Wielkiego. Z kolei pan Henryk powiedział, że jego rodzice mieszkali w dawnym woj. łuckim na Wołyniu.

Józefa Świstuniowa jest przekonana, iż jej ojciec, Józef Fafuła, był pierwszym sołtysem w powojennym Smolnie. Po nim nastąpił Jan Stróżyński, który pełnił tę funkcję dosyć długo. A kolejnym sołtysem został Berezowski, potem Szczygielski, Michał Zawadzki i inni. H. Świstuniowa przypomina sobie, że gdy jej ojciec przyjechał do Smolna Wielkiego w sierpniu 1945 r. to przyszło mu mieszkać z Niemcami. Mieli oni swoje gospodarstwo – zwierzęta, jak krowy, konie, dużo drobnego inwentarza, sporą ilość maszyn i narzędzi rolniczych. Pani Józefa pamięta, że Niemcy nazywali się Spiess, albo podobnie. Była to dosyć sympatyczna rodzina, w późniejszym czasie kilkakrotnie ich odwiedzała.

Świstuniowie przypomnieli sobie, że jeszcze kilka lat temu mieli wizytę pewnego starszego pana z Niemiec, który mieszkał w Smolnie W. koło kościoła. Pokazywał im stare przedwojenne fotografie. Okazało się, że mieszkał tam, gdzie teraz Kubejkowie. Od tego Niemca dowiedzieli się jaki był układ cmentarza ewangelickiego. Po prawej stronie, tam gdzie były kiedyś kwatery z ogrodzeniami – ulokowano grobowce najbogatszych mieszkańców wsi. Po lewej stronie pochowani byli pozostali mieszkańcy. Podobno kilka lat temu pewna niemiecka rodzina zabrała kości swego krewnego. Czy było więcej tego typu przypadków?

Państwo Świstuniowie potwierdzili też, że istniało podziemne przejście z pałacu do kościoła.. Jednak nikomu nie udało się przejść (w okresie powojennym) przez cały korytarz. Było w nim na tyle ciemno i duszno, że ciężko byłoby przejść bez odpowiedniego sprzętu. Poza tym znajdowało się było tam kilka zwłok, których fetor skutecznie odstraszał śmiałków. Po jakimś czasie wejścia do tunelu zostały zniszczone i zasypane.

Historia domu Świstuniów, a właściwie ojca Józefy (ona była jeszcze w tym czasie niezamężna) jest bardzo ciekawa. W pierwszym okresie po wojnie mieściła się w nim siedziba Gromadzkiej Rady Narodowej, przeniesiona później do domu Bajorów. Potem była tu gospoda, która funkcjonowała przez kilka lat. Po gospodzie w tym samym pomieszczeniu ulokował się tzw. sklep metalowy. Sprzedawcami byli w nim m.in. Kazimierz Stróżyński, Julian Wenne, Nalepko, Stanisława Golińska, Kilimiak. Gdy zlikwidowano sklep metalowy zaczął działać sklep spożywczy, w którym pracowała Katarzyna Tomczak.

Państwo Świstuniowie pamiętają, że klubokawiarnię prowadziła Teresa Utrata (później Kozak). Sala taneczna przed remontem miała z boków podłogi podwyższenia, na których znajdowały się stoliki i krzesła. Przez wiele lat pełniła funkcję reprezentacyjną. Tu odbywały się oprócz zabaw i imprez towarzyskich także zebrania, masówki, wiece i inne tego typu zgromadzenia. W sali była profesjonalna estrada z dwoma wejściami i pomieszczeniem dla suflera pod podłogą estrady. Ponoć w tym miejscu znajdował się budynek, w którym funkcjonowała nieduża gospoda. Niestety, po wojnie budynek został spalony, a na jego miejscu wybudowano wspomnianą już klubo-kawiarnię.

Zanotował: **Józef Pławski**

# Maria Tkaczuk

KARGOWA, UL. GÓRNA

**U**RODZIŁAM SIĘ W 1940 ROKU W KOLONI KOZEROWO koło Prozorok (obecnie Białołęka). Tam skończyłam szkołę podstawową, która mieściła się w oddalonym o 2 km miasteczku. Jako pierwsza do Polski przyjechała moja siostra Stefania z mężem i dwiema córkami, w ramach łączenia rodzin. Jej teść i brat męża przyjechali do Kargowej w pierwszej grupie repatriantów. W maju 1958 r. moja rodzina zaczęła wyrabiać papiery i trzy miesiące później mogliśmy wyjechać.

Wyjechałam z sąsiadami, którzy osiedlili się na Mazurach, jechali do swojego syna. Na punkt repatriacyjny w Giżycku przyjechałam 1 listopada 1958 r., akurat w swoje 18 urodziny. Tam oczekiwał na mnie Franek Kajraniec, szwagier mojej siostry Stefanii. Skierowano mnie do Kargowej. Gdy zobaczyłam dom siostry stwierdziłam, że to ten „co mi się wyśnił, ja śniłam o nim”, chodzi o dom na ul. Krótkiej. W grudniu tego roku przyjechał brat z mamą i wszyscy zamieszkaliśmy u siostry, która została już wdową i było jej bardzo ciężko. Na początku byliśmy bardzo szczęśliwi, że jesteśmy razem. Miasto też nam się spodobało, gdyż wszystko było na miejscu: szkoła, kościół, lekarz.

4 lipca 1959 r. poszłam do pracy do fabryki cukierków „Dąbrówka”, byłam tak szczęśliwa, jakbym wygrała milion. Pracowałam na produkcji przy karmelu. Wkładałam go do maszyny lub odbierałam gotowe cukierki. Pracowali ze mną panowie Brudło i Jaworski i pani Krukowa. Brat Włodek pracował w tartaku przy stacji kolejowej, obecnie mieści się tam zakład gospodarki komunalnej. Miał ukończoną szkołę mechanizacji rolnictwa, uprawnienia na wszystkie maszyny rolnicze, a później rozpoczął pracę w melioracji; jeździł tam spychaczem.

Męża poznałam dzięki bratu, on się z nim kolegował. Mietek pracował jako piekarz. A piekarnie były dwie, jedna wojskowa mieściła się gdzie obecnie jest sklep „Biedronka” na Rynku, druga na ul. Dworcowej. Zimą piekarze piekli chleb tylko na Dworcowej (teraz jest tam sklep elektryczny „Kaczmarek”). Później wybudowano jedną dużą piekarnię na ulicy Sportowej. Pobraliśmy się 6 stycznia

1961 r. Zamieszkaliśmy w domu, w którym mieszkam do dziś, to dom teściów. Urodziło się nam troje dzieci. Rodzina męża pochodzi z Ukrainy, z Kamionki Małej powiat kołomyjski. W Kargowej mieszkali już w 1945 r. Mówili potem, że gdy się osiedlali to autochtoni krzywo na nich patrzyli. Było nieprzyjemnie, bo oni rozmawiali między sobą tylko po niemiecku, żeby nikt nie rozumiał. Repatrianci ze wschodu trzymali się razem.

Później wszystko zaczęło się zmieniać. Gdy poszłam do pracy z początku brakowało też mi polskich słów, ale nie odczuwałam z tego powodu nieprzyjemności, różnice się zacierały. Z czasem mieszkańcy Kargowej, ci tutejsi i ci ze wschodu, zaczęli się integrować i żenić między sobą. Moja córka wyszła za mąż za autochtona. Dziś nie wiadomo, kto jest tutejszy, kto ze wschodu, kto poznaniak, a kto miejscowy.

Zanotowali: **Anna i Marek Balcerakowie**

# Krystyna Tomczak

SMOLNO WIELKIE

**K**RYSTYNA TOMCZAK, z DOMU TARNOWSKA, urodziła się w 1930 r. w Mariampolu w woj. stanisławowskim. Rodzicami byli Stanisław Tarnowski i Michalina. Miała troje rodzeństwa, Marię, Bronisława i Jana. Ojciec pani Krystyny był murarzem, ale i muzykiem. Często grał na różnych imprezach. Był także wziętym szewcem, „złotą rączką”, miał talenty w różnych kierunkach. Nade wszystko uwielbiał jednak grać i śpiewać. Brat, Bronisław, skończył studia prawnicze, ale w latach swej młodości również grał w rodzinnym zespole na różnych instrumentach, ładnie śpiewał. Również syn K. Tomczak – Henryk odziedziczył ten talent. Pani Tomczak od wielu lat wraz ze swoją siostrą Marią (po mężu Jancelewicz, mieszka w Smolnie Wielkim) śpiewa w miejscowym chórze kościelnym. Brat Jan, już nie żyje.

Mąż mojej rozmówczyni, Władysław, przed wojną też mieszkał w Mariampolu, ale w dzielnicy Słoboda, ona mieszkała na Przedmieściu. Krystyna знаła swego przyszłego męża jeszcze z Mariampola, ale była to znajomość najwyżej koleżeńska.

K. Tomczak chodziła w Mariampolu do szkoły powszechnej czteroklasowej. Gdy zaczęła się wojna, a potem ukraińskie napady na Polaków przestała chodzić. Była świadkiem pożogi, która ogarnęła w tamtym latach pobliski Wołczków. Zginęło bardzo wielu Polaków. Bardzo przeżyła morderstwa Ukraińców z UPA w jej miejscowości, ale także i w sąsiednich wsiach. Żył się wtedy w nieustannym strachu o własne życie. Gdy spytałem ją, czy chciałaby chociaż raz pojechać w swe rodzinne strony, odparła, że nic jej tam już nie ciągnie.

Gdy rodzina przyjechała jesienią 1945 r. na zachód, to miała zamieszkać początkowo w Smolnie Małym. Jednak ze względu na to, że było tam dużo lasów, nie zostali tam. Bliskość lasu przez długi czas napawała ich strachem. Na samym początku w Smolnie W. było bardzo ciężko. Na ich posesji stał spalony dom. Przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej Korbanek nakazał rodzicom pani Tomczak wyremontować go lub rozebrać. A gdy dom rozebrano Korbanek polecił wywieźć nie pozostałości na budowę własnego domu w Kargowej. Takie były czasy.

Pierwszy powojenny okres był szczególnie ciężki, ale z drugiej strony ludzie kiedyś byli bardziej otwarci i pomocni w stosunku do siebie. Inaczej niż dzisiaj. Wspomina, że będąc jeszcze panną, bardzo często brała udział w różnego rodzaju korowodach, festynach i zabawach. Przyznaje, że lubi zabawy i śpiew do dzisiaj. Ma taką cygańską, romantyczną duszę.

W 1954 r. pani Krystyna wzięła ślub z panem Władysławem, przy czym ślub cywilny wzięli dopiero w 1955 r. w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego, który mieścił się w obecnym domu Bajorów.

Mąż grał w miejscowym kościele na fisharmonii. Później z inicjatywy księdza Cudaka wyremontowano organy i na nich grał przez wiele lat. Zaraz po wojnie przez 12 lat pracował w „Zastalu” w Zielonej Górze. Później był inkasentem w energetyce. W międzyczasie Tomczakowie objęli gospodarstwo, które prowadzili aż do jego śmierci. Po tym czasie pani Krystyna przeszła na rentę. Wcześniej przez jakiś czas pracowała w Sulechowie w barze. Nie trwało to jednak długo. Musiała wrócić do pracy na roli. Ciężko było pogodzić pracę zawodową z pracą na roli, szczególnie kobiecie.

Moja rozmówczyni pamięta Fafułę, który był, według niej, pierwszym sołtysiem wsi. Ona sama miała nieraz zaszczyt wieść wieniec dożynkowy do Trzebiechowa. Często przebierała się w korowodach dożynkowych za Cyganke, a towarzyszył jej przy tym sołtys Fafuła, a potem i inni. Pamięta Fafułę, bo był potężnym, trochę otyłym i flegmatycznym mężczyzną. Miał jednak ogromne poczucie humoru, był człowiekiem bardzo wszystkim życzliwym i lubianym. Miał charakterystyczny nosowy głos.

K. Tomczak często brała udział w dożynkach i festynach i, jak powtarza, lubiła się bawić, gdy była młodsza. Ale nie tylko wesołe wspomnienia utkiły w pamięci. Na przykład w latach 50. został zabity od uderzenia kamieniem syn Leszczyńskich. Była to bezsensowna i głupia śmierć podczas zabawy chłopców, którzy bawili się podobno w wojnę.

Jednymi z pierwszych osadników byli: Woroniec, Zakrzewski, Szostakiewicz. K. Tomczak pamięta (ale z opowiadań innych repatriantów, którzy byli tu jeszcze przed nią), że bardzo negatywną rolę w ogołoceniu wsi z wartościowych rzeczy i sprzętów rolniczych, a także zwierząt hodowlanych mieli Rosjanie, którzy stacjonowali do 1945 r. Podobno w tamtym okresie podpalili i zniszczyli granatami kilka domów (w jednym spalili całą niemiecką rodzinę). Wspomina też o przypadkach brutalnych gwałtów na kobietach i częstych grabieżach ludności niemieckiej.

Nie wszyscy osadnicy w tym pierwszym okresie pochodzili ze wschodu. Np. Stasik pochodził z Wielkopolski. Przez szereg lat był wziętym stolarzem i szefem miejscowej straży pożarnej. Znalazło się też sporo osadników wojskowych, np. Janczałek, Dronia, czy Kujawa. Osoby te zajmowały się rozdzielaniem domów i ziemi.

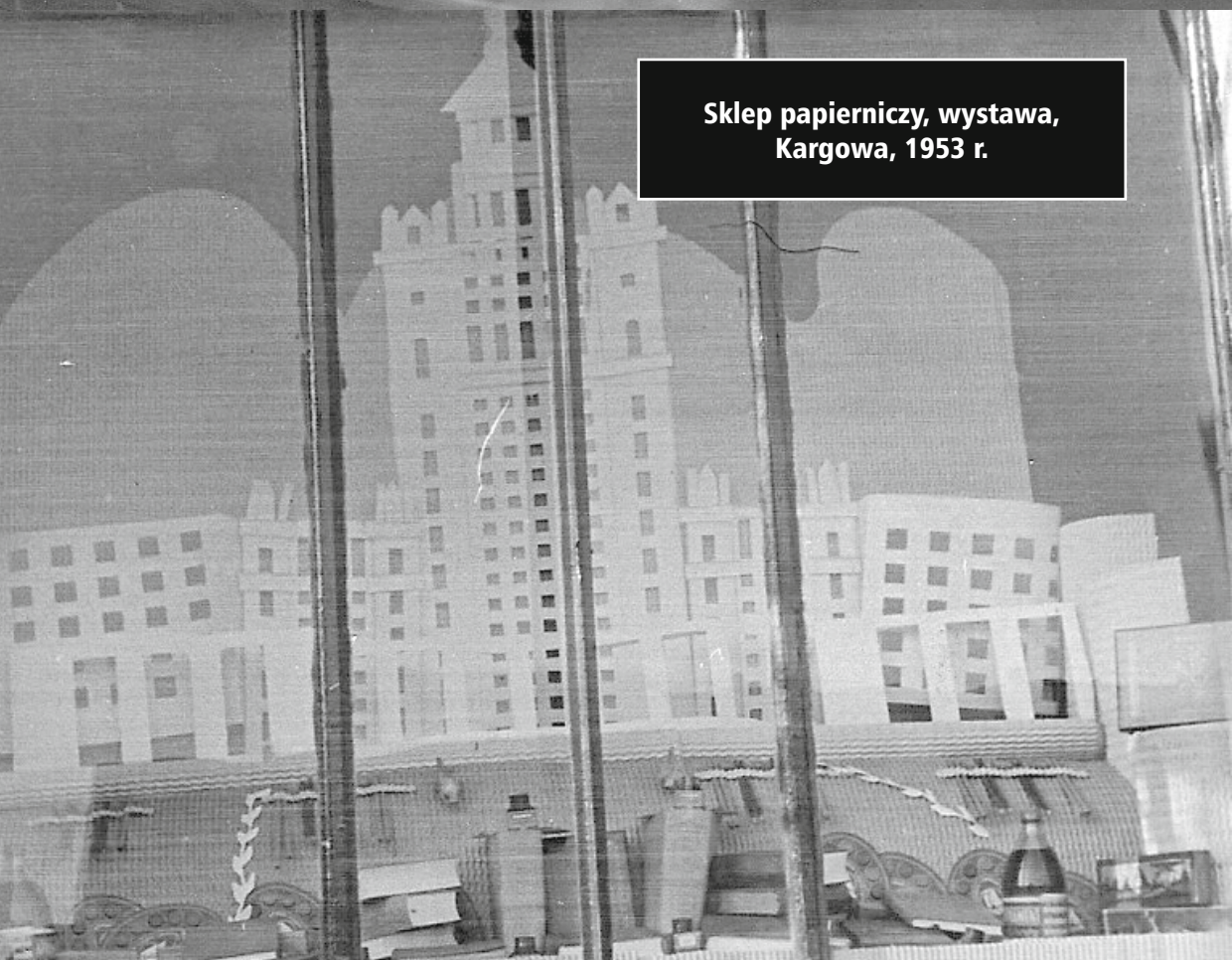
W obecnym domu Klementowskich znajdował się punkt zborny dla Niemców opuszczających naszą wieś. Gromadzono tam rzeczy, które deponowali tu Niemcy. Odbierali je potem w dniu wyjazdu. Punktu pilnował z karabinem w ręku Rymaszewski. Co kilka dni od strony Sulechowa przyjeżdżała ciężarówka, która zabierała poszczególne rodziny do Sulechowa, skąd dalej jechali pociągami do Niemiec. Wiele było przypadków okradania Niemców z ich rzeczy osobistych.

Pani Krystyna z sentymentem wspomina te czasy, kiedy sąsiedzi w Smolnie Wielkim pomagali sobie w czasie żniw, czy wykoppek. Minęły jednak te czasy, teraz jest więcej maszyn, ale i rolników coraz mniej. Zmienił się też ludzie – stali się dla siebie obcy, podejrzliwi, na wszystko brak im czasu. Kiedyś było inaczej. Może było biedniej, ale żyło się szczęśliwie i spokojnie. Ale widocznie tak już musi być, a to, co było, to już nie wróci...

Zanotował: **Józef Pławski**



**Sklep spożywczy przy  
ul. Dworcowej, Kargowa, 1948 r.**



**Sklep papirniczy, wystawa,  
Kargowa, 1953 r.**



# Monika i Irena Wawrzynowiczowe

KARGOWA, UL. KLONOWA

**W**ROKU 1940 MARIAN WAWRZYNOWICZ MIAŁ 13 LAT. Pochodził z 11-osobowej rodziny z Małej Wsi koło Kopanicy. Jego rodzicami byli Jan i Antonina Wawrzynowiczowie. Najstarsza z rodzeństwa, Maria miała wówczas 20 lat, a najmłodsza, Tereska, trzy lata. W tym czasie właścicielami majątku w Kargowej była rodzina Richterów. Tam podjął pracę J. Wawrzynowicz. Zatrudnił się jako pracownik rolny przy gospodarstwie, a z nim dzieci: dwudziestoletnia już Maria, Jaś (17 lat), Gertruda (15 lat), Marian (13 lat) i Franek (12 lat). W ciągu dnia wszyscy pracowali na roli w majątku, a wieczorami Jan i Jaś jeździli rowerami do oddalonego o 20 km Wolsztyna, żeby meldować się w Rafii (ośrodek przygotowujący do wywozu na roboty w dawnej fabryce cygar). Tam spali. Młodsze rodzeństwo wracało na noc do Małej Wsi, do domu rodzinnego.

Ingeberg Richter, młodsza właścicielka majątku, zainteresowała się uciążliwym losem rodziny Wawrzynowiczów. Pojechała do Wolsztyna i załatwiła sprawę. Od tego czasu, czyli od 1940 r., cała rodzina Wawrzynowiczów znalazła zatrudnienie i nocleg w majątku. Dostała pomieszczenie przy budynkach gospodarczych.

Jan, głowa rodziny, został stangretem i powoził końmi oraz pracował w polu. Jego żona Antonina zajmowała się najmłodszymi dziećmi, Agnieszką (10 lat), Joachimem (7 lat), Zofią (4 lata) i Tereską (3 lata) oraz wykonywała prace w kuchni jako pomoc kuchenna. Mały Jaś został fornałem, Gertruda wykonywała prace polowe, Marian i Franek byli pomocnikami ogrodnika w szklarniach, ogrodach i inspektach. Do obowiązków Mariana należała pielęgnacja kwiatów i dostarczania ich do pałacu. W pałacu upiększał kwiatami pokoje. W tym też czasie Marian miał 24-godzinną przepustkę i roznosił po mieście o wyznaczonych godzinach kosze kwiatów, które zostały wcześniej zamówione.

Dzięki Ingeberg Richter i jej teściowej Wawrzynowiczom łatwiej było przeżyć ubóstwo wojny i pokonać głód, ponieważ w dyskretny sposób dawała jedzenie Marianowi, a on przekazał swojej mamie. W ten sposób miała czym nakarmić dzieci.

I. Richter była bardzo wyrozumiała i serdeczna. Sama miała trzy córki. Potrafiła stworzyć dobrą atmosferę wśród swoich pracowników, nie przelewała też swojego żalu na Polaków po utracie męża w działaniach wojennych. Przeciwnie, starała się im wynagrodzić zły czas, który wszystkich dotknął.

Podczas rozmów starszej pani, czyli teściowej I. Richter z Antoniną Wawrzynowicz padło kiedyś takie zdanie: „Ty, Antonino, to jesteś bogatą kobietą”. Na zdziwienie A. Wawrzynowicz Niemka odpowiadała: „Bo masz wszystkie dzieci koło siebie. Ja miałam jednego syna, którego zabrała mi wojna. Pozostała synowa i trzy wnuczki”.

Po wojnie Antonina Wawrzynowicz bardzo chciała wyrazić wdzięczność Richterom za to, że jej rodzina przeżyła w całości dzięki wspaniałej opiece i udzieleniu ochrony. Niestety, nie było ku temu okazji. Tę wdzięczność mógł wyrazić dopiero Marian podczas spotkania w latach 70. z dwiema córkami I. Richter, mianowicie Urszulą oraz Katrin. Uczynił to przez bukiet 25 czerwonych goździków i pudełko czekoladek i prośbę o przekazanie ich pani Ingeborg, co córki uczyniły z wdzięcznością. Kwiaty symbolizowały swym podobieństwem kwiaty rosnące w majątku i przypominały o jego pracy w ogrodnictwie i upiększeniu pałacowych pokojów. Marian przez całe życie wracał pamięcią do tamtych czasów i opowiadał o nich swojej żonie, Monice.

Katarina Humborg (z domu Richter, jedna z córek Ingeborg) wciąż jeszcze odwiedzając w Polsce odwiedza potomków Wawrzynowiczów. Andrzej Wawrzynowicz, kargowski wędkarz chętnie towarzyszy wnukom, K. Humborg, zachęca ich do wędkowania na Jeziorze Linie, byłej posiadłości Richterów.

Wojenne losy rodziny Richterów i Wawrzynowiczów zaowocowały pracą magisterską na temat pałacu napisaną przez wnuka Mariana.

Zanotowała: **Grażyna Brychcy**,  
córka Mariana Wawrzynowicza

# Kazimiera Wichłacz

CHWALIM

## — Skąd pani pochodzi?

— Urodziłam się 8 kwietnia 1940 r. w Reczycach, pow. łowicki, woj. warszawskie, mieszkam w Chwalimiu 60. Ojcem moim był Tomasz Gmosiński, mama nosiła imię Franciszka, z domu była Czuba. W Reczycach mieszkaliśmy z rodzicami i siostrą w dwupokojowym, drewnianym domku. W naszej wsi prawie wszystkie domy były drewniane i kryte słomą. Domu już nie ma. Z tej wioski tylko nasza rodzina wyjechała na zachód. Ojciec miał znajomych w sąsiedniej wsi i dowiedział się, że z okolicznych wiosek trzy rodziny wyjechały, aby osiedlić się na ziemiach odzyskanych, właśnie tu, Chwalimiu. To były rodziny Sapów i Skaradków, tak, jak pamiętam, się nazywali. Więc tata też postanowił wyjechać z rodziną, ale najpierw pojechał do Chwalimia wiosną 1945 sam, żeby sprawdzić, jak tu jest. Gdy rozejrzał się i spodobały mu się warunki wrócił po nas. Wyjechaliśmy we wrześniu 1945 roku koleją, w towarowym wagonie. Nie pamiętam tego, ale chyba do samego Chwalimia.

Lepsze gospodarstwa były już pozajmowane przez osadników z innych stron. Zajęliśmy domek nr 57 (obecnie 60). Dom był pusty, nic w nim nie zastaliśmy oprócz pieców, kuchni kaflowej. W jednym z pieców znaleźliśmy dokumenty pozostawione chyba przez poprzedniego gospodarza, a dotyczące powstania tego domu w 1903 r. Był murowany, kryty dachówką. Miał trzy pokoje, kuchnię i skrytkę. No i była elektryczność.

Budynek gospodarczy stoi do dziś, była także stodoła i chlewiki. Przywieźliśmy ze sobą kury i kozę, a także najpotrzebniejsze sprzęty i naczynia.

## — Co pani pamięta z pierwszych lat zamieszkania?

— Była tzw. komasacja gruntów. Dostaliśmy słabą ziemię, 5-6 klasa. Siało się na niej owses, żyto i ziemniaki. Nic więcej nie rosło. Ci gospodarze, u których mieszkali mierniczowie dostawali lepszą ziemię. Jako repatrianci dostaliśmy krowę z UNRRY i wialnię.

Obok nas mieszkała rodzina Foksów (z wioski w okolicach Łowicza), a o jeden dom dalej rodzina Matyaszczyków z kieleckiego. Był też zrujnowany dom. Długo stał pusty, dopiero około rok później zamieszkało tam bezdzietne małżeństwo Sieradzkich. Pochodzili z okolic Krakowa. Pamiętam, że żyło się biednie. Trzeba się było wszystkiego dorabiać. Ojciec chodził do lasu po drewno, aby było czym palić w piecach. Kiedy rodzice kupili konia zrobiło się trochę łatwiej. Przyjaźniliśmy się z rodziną Sójków oraz z panią Anną Olichwer i jej rodziną. Pomagaliśmy sobie wzajemnie w gospodarstwach. Obie te rodziny mieszkały blisko nas, po drugiej stronie drogi. A droga to były kocie łby. Po kilku latach została poszerzona i zamieniono kocie łby na asfalt. Zredukowano wtedy ostre zakręty, na których doszło do śmiertelnych wypadków.

Najgorsze lata były za Gomułki. Gospodarze mieli nałożone plany, to znaczy musieli oddawać zboże, mleko, tuczniki. Prawie nic nie zostawało. Były tak straszne lata, że mama nie miała co włożyć do garnka. Ale na kuchni zawsze stał zakwas na żur i mama gotowała nam go na śniadanie. Jadło się z chlebem. Gdy już mieliśmy krowę to było też mleko i masło.

Mama szyla nam sukienki i ubrania. Najczęściej przerabiała jakieś stare rzeczy. A gdy było trochę więcej pieniędzy jechało się wozem do Wolsztyna na targ. Ojciec dorabiał do gospodarstwa w melioracji, w lesie i przy poszerzaniu drogi.

Krów nie pasło się na łące, bo tam trawa musiała rosnąć na siano. Pasaliśmy je na ugorach, przy drogach, nad jeziorkiem. Kiedyś bawiłam się z dziećmi w zrujnowanym domu nad jeziorkiem, nie dopilnowałam krów i jedna z nich wpadła do bagna. Tylko łeb było widać. Na szczęście obok na polu pracowało dwóch gospodarzy z naszej wsi, Lucjan Krzysztofik i Kazimierz Woch. Koźmi wyciągnęli tę krowę.

Jako dzieci bawiliśmy się na kupie gruzów. Można było tam znaleźć kolorowe szkiełka. To były nasze zabawki. Nie pamiętam, w którym roku chłopcy od Kantorków i Marian Sójka znaleźli w lesie minę. Chcieli ją rozbroić, ale wybuchła. Jednego z braci Kantorków ta mina zabiła, a Marianowi uszkodziła trwale rękę.

Do Kargowej i Wolsztyna jeździło się na targ wozem zaprzężonym w konie. W Kargowej targ był w środy, a w Wolsztynie w piątki. Mama sprzedawała tam masło, jajka i śmietanę, a kupowała inne potrzebne rzeczy. Zboże na mąkę woziło się do młyna w Smolnie Małym. Pamiętam, że młynarz nazywał się Szumny.

### — Jak wyglądała nauka w szkole?

— Do szkoły poszłam w 1948 r. Najpierw były cztery klasy w Chwalimiu. Pamiętam nauczycieli - Grzymałów. Do klasy piątej, szóstej i siódmej chodziło się do Kargowej. Pieszko się szło, nawet zimą. Pamiętam, że musieliśmy chodzić nawet, gdy był mróz do 23 stopni Celsjusza. Dopiero, gdy temperatura spadała poniżej 23 stopni mogliśmy zostać w domu. Czasami, gdy było zimno rodzice lub sąsiedzi zawozili nas saniami.

W szkole przyjaźniłam się z Basia Śliwińską. W klasach były dzieci w różnym wieku. Pisało się piórem maczanym w atramencie. Bawiliśmy się najczęściej na boisku, istniał duży plac przy szkole, było dużo miejsca do zabaw. Graliśmy w berka, dwa ognie, w piłkę, potem w siatkówkę. Dziennie było cztery, pięć lekcji. Ubikacje, czyli ustępy, były na dworze.

— **Czym zajmowały się dzieci, młodzież?**

— Gdy byłam trochę starsza to chodziło się po szkole zarabiać do PGR-ów w Smolnie Wielkim. Sadziliśmy też las oraz pracowaliśmy u gospodarzy w polu i w obejściu. Chodziło się także na tzw. odrobek. Jeśli ktoś komuś pomagał w polu, np. przy żniwach czy sianokosach, to trzeba było jemu to odrobić. Nie było kombajnów, były kosiarki i snopowiązałki. Trzeba było wiązać snopy powróślem i ustawić w kupki. Dopiero zimą to zboże się młóciło. W adwencie chodziło się na darcie pierza.

Zabawy i potańcówki były w świetlicy, albo też chodziło się do tych domów, w których był adapter. Pamiętam, że chodziło się do Kutników, Gliwińskich, Szymańskich.

— **Czy były jakieś imprezy masowe, akademie?**

— W szkole w Chwalimiu działał zespół taneczny prowadzony przez panią Grzymała. Jeździliśmy na występy samochodem, który dawał Związek Młodzieży Wiejskiej z Sulechowa. Jeździliśmy do Babimostu, Smolna Wielkiego, Trzebichowa, Ostrzyc, Nowego Kramaska. W zespole było około 20 osób, mniej chłopców, więcej dziewcząt. Mieliśmy stroje łoświckie, ale także krakowskie – jakie kto tam miał. Jeździło się z tym szkolnym zespołem na winobranie do Zielonej Góry. Pamiętam, że kiedyś na winobranii był dostojnik z Chin, któremu wręczaliśmy kwiaty. Były też zawody sportowe, a nawet strzeleckie. Strzelnica w Chwalimiu znajdowała się po prawej stronie przed rzeką w kierunku stacji.

Odbywały się też dożynki we wsi, raz był nawet minister rolnictwa. Wręczaliśmy mu wieńce i kwiaty. Na kąpiele chodziliśmy do rzeki, a na spacerzy nad jezioro. Latem nad jeziorkiem rozbijał się obóz harcerski. Był tam budynek dwupiętrowy, obok zadaszona sala i pomost do tańca.

Regularnie przez Chwalim kursowały pociągi, bo dużo ludzi pracowało w Sulechowie. Pamiętam kursy pociągów na trasie Wolsztyn-Sulechów. Były o 5.00, 7.00, 9.00, 14.30, 18.00 i 22.00.

— **Jakieś szczególnie wydarzenia, które utkwiły pani w pamięci?**

— Jako pierwsza po wojnie we wsi zmarła pani Foks, żona naszego sąsiada. Chyba tylko pół roku tu mieszkała. Pochowana została w Kargowej. Tradycja była taka, że zmarły leżał w domu, chodziło się do niego na różaniec i śpiewało pieśni

żałobne. Drugiego lub trzeciego dnia przybywał ksiądz i wraz z mieszkańcami odprowadzał zmarłą osobę do kościoła, a potem na cmentarz. W 1948 roku urodził się mój brat, Stanisław. Na chrzestnych rodziców poproszono Romana Sójkę i sąsiadkę panią Bogucką. Chrzest odbył się w Kargowej w kościele pod wezwaniem św. Wojciecha. Chrztu udzielał ksiądz Megier. Później w domu odbył się poczęstunek.

Gdy miałam 14 lat wydarzyła się smutna historia. Nasza sąsiadka, Małgorzata Piasta, zmarła tragicznie w wyniku zaccadzenia. Mieszkała sama, bo jej syn przebywał w szpitalu w Obrzycach koło Międzyrzecza. Był chory na padaczkę. Pani Małgorzata wybierała się do niego w niedzielę rano. Napaliła w piecu i niestety w nocy zaczął ulatniać się czad. Znaleziono ją dopiero po trzech dniach, gdy zwierzęta w gospodarstwie zaczęły głośno domagać się karmienia. Zwróciło to uwagę sąsiadów, którzy byli przekonani, że kobieta nie wróciła jeszcze od syna.

Pamiętam też, że chyba w roku 1959 sąsiad Stanisław Miszczak wybierał cegły z cembrowiny po starej studni. Nagle ziemia się obsunęła i zasypała go. Nikt nie zauważył tego faktu. Dopiero, gdy żona spostrzegła co się stało wezwano pogotowie. Przyjechała lekarka Kropniewska. Okazało się, że był bardzo płytko pod ziemią. Niestety, już nie żył.

— **Czy utrzymywaliście kontakt z rodziną w centralnej Polsce?**

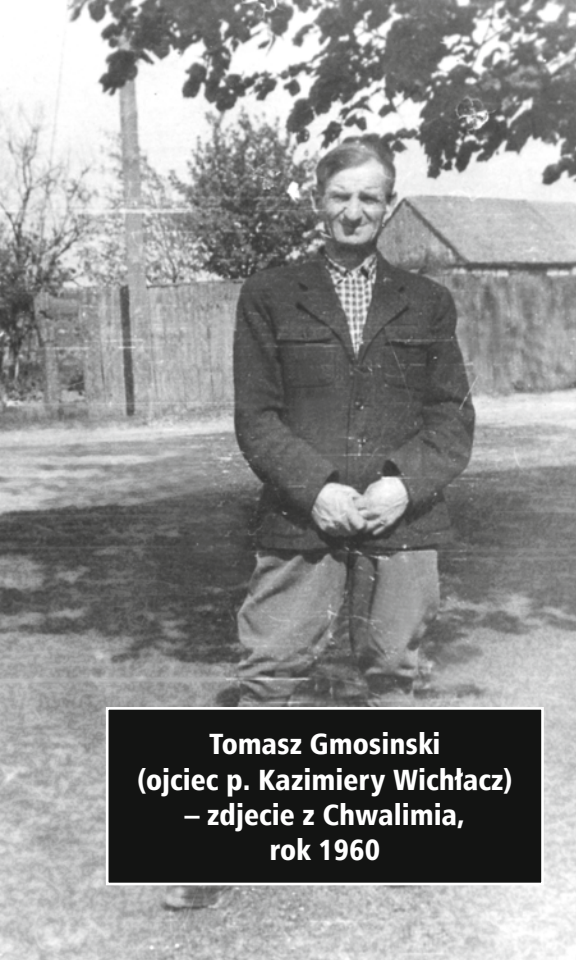
— Oczywiście. Tęskniło się za rodziną i odwiedzaliśmy ją mniej więcej dwa razy do roku. Jechało się pociągiem. Podróż trwała 12 godzin. Pociąg dojeżdżał do Domaniewic, a pozostałe 4 kilometry do Reczyc pokonywało się pieszo. Rodzina także nas odwiedzała. Częściej w lecie, pomagali przy żniwach i sianokosach. Jesienią przyjeżdżali na grzyby, a zbierało się tylko prawdziwki i podgrzybki. Były też rydze i zielonki. W Reczycach nie ma takich lasów grzybowych. Pamiętam też, że do lasu chodziło się na jeżyny, z których robiło się soki, dżemy i wino. Wujek ze strony mamy łowił ryby i raki, które potem się gotowało.

— **Jak wyglądała wioska?**

— To była ładna wioska, prawie wcale nie zniszczona przez wojnę. Pamiętam tylko dwa zrujnowane domy. Każdy dom miał pompę do wody na podwórku. Studni raczej nie pamiętam, chociaż w pobliżu nas znajdowała się studnia z żurawiem, u Dachów.

Od 1970 do 2010 r. mieszkałam z rodziną w Głogowie. W tym domu w Chwalimiu po śmierci rodziców mieszkał mój brat, Stanisław. Po jego śmierci dom kupiła moja córka i mieszkam obecnie z córką i jej rodziną.

Rozmawiała: **Beata Kozubska**



**Tomasz Gmosinski**  
**(ojciec p. Kazimiery Wichłacz)**  
– zdjęcie z Chwalimia,  
rok 1960



**Koleżanki – od lewej**  
**Halina Klys, Maria Sojka,**  
**Kazimiera Gwoźdź**



**Franciszka Gmosinska (matka**  
**p. Kazimiery Wichłacz)**  
– zdjęcie z Chwalimia,  
rok 1960



**Przed domem, w tyle droga – obecnie szosa. Pan Tomasz Gmosinski, dziecko Stanisław Gmosinski i Kazimiera Wichfacz (z domu Gmosinska)**



**Zygmunt Klimczak, przed nim Stanisław Gmosinski (chłopiec w berecie), w środku Tomasz Gmosinski trzyma wnuczkę Grażynę**





# Helena Wiśniak

## OBRA DOLNA

— **W którym roku przybyła pani do Obry Dolnej?**

— Przyjechaliśmy transportem 15 listopada w 1945 roku z Bukowiny Rumuńskiej.

— **Ile miała pani wtedy lat?**

— 15 lat. Przyszedł do nas pan z komisji z Polski i spisywał chętnych, którzy chcieli wyjechać. Ojciec, jako wojskowy, miał prawo zabrać do Polski swoją rodzinę. Służył w Wojsku Polskim i podczas powstania warszawskiego został ranny, a dwaj bracia mojej mamy zginęli. Gdy ojciec wrócił do domu wojna już się skończyła i wtedy wyjechaliśmy do Polski.

— **Czy to była zorganizowana grupa? Więcej ludzi jechało do Polski?**

— Jechał duży pociąg, całą grupą kierował mój ojciec. Kto co miał to zabierał ze sobą: bydło, świnie, krowy, konie. Jechali Polacy i Żydzi. Żydzi osiedlili się we Wrocławiu. Ludzie ze wsi nie patrzyli za miastem, tylko za gospodarstwem, za polem, żeby było co obsiać. Przyjeżdżając tu przywieźliśmy ze sobą trzy worki suchego chleba i trochę innych zapasów. Skierowano nas do Wolsztyna, bo tam

było dużo wolnych gospodarstw. Na stacji w Wolsztynie wyszliśmy na zewnątrz i ci co obsługiwali wagony rzucali nam buraki cukrowe. Zbieraliśmy te buraki, a później mama robiła z nich herbatę, bo nie było cukru ani pieniędzy, nie było co jeść. Nagotowaliśmy tych buraków, babcia narwała patyków z porzeczek i wiśni, wrzuciliśmy do garnka i tak nagotowała się herbata. Do tego ten suchy chlebek. Organki grały, bawiliśmy się i cieszyliśmy się wolnością.

— **Ile trwała podróż do Polski?**

— Trzy miesiące, jechaliśmy razem z bydłem i innymi zwierzętami. Ludzie podczas tej jazdy łapali różne infekcje, wszy.

— **Jak przybyliście na te tereny to mieliście już przydzielone domy?**

— Trzeba było sobie wyrobić dokumenty. Była karta majątkowa i karta ewakuacyjna, i to trzeba było mieć. Starzy mieli karty ewakuacyjne, a my jak braliśmy ślub musieliśmy sobie wykupić mieszkanie od państwa. Każdy wybierał sobie mieszkanie. W Wolsztynie panował tyfus, biegunka, były wszy, więc każdy uciekał. Przyjechała ruska ekipa, pielęgniarki, lekarz i dezynfekowali to wszystko proszkiem.

— **Czy w 1945 roku był w Obrze Dolnej jakiś sklep?**

— Nie, nie było. Sklep pojawił się dopiero za czasów Gierka i powstało wtedy też koło gospodyń. Po zakupy chodziło się na piechotę do Obry Kościelnej, ciężko się żyło. Było nas dużo młodzieży i pracowaliśmy za jedzenie. Mimo, że było ciężko to i było wesoło. Pomagaliśmy przy żniwach i na wykopkach, chodziliśmy las sadzić. Najpierw trzeba było kopać bruzdy łopatą, później sadzić sadzonki. Później Obrza zaczęła się rozwijać. Powstała szkoła – troje dzieci chodziło do pierwszej klasy. Uczył wtedy Furman, który mieszkał w Starym Jaromierzu w budynku szkolnym, a do Obry chodził na piechotę. Jego żona uczyła w Starym Jaromierzu do klasy szóstej. Siódmej klasy już nie było, bo nie było dzieci.

— **Czy w Obrze Dolnej już ktoś mieszkał jak przybyliście?**

— Tak, było kilka dużych gospodarstw niemieckich, Niemki same gospodarzyły z dziećmi. Nie było komu robić, więc pracowali ludzie z Obry, Jażyńca. Później Niemki wyjechały, a ci, co tam służyli zostali na gospodarstwach. W Obrze był taki duży budynek – haus. Ludzie mówili, że w nim ukrywała się rodzina Hitlera. Jeszcze po latach przychodzili szukać jakiś papierów. Potem dom został rozebrany, nie ma ani śladu.

— **Jakie były relacje między ludźmi?**

— Tam gdzie się urodziłam, w Rumunii, to nie był kraj komunistyczny, tam mieszkał król Rumunii Michał – żyje do dziś, ma 91 lat – i jego matka Helena, z którą

ożenił się król Karol II. My pochodzimy z górali czadeckich. Ludzie często dokuczali nam mówiąc na nas „cygańskie rumuny”.

— **Niedawno odwiedziła pani Bukowinę. Jakie wrażenia?**

— Byłam szczęśliwa, przypomniało mi się dzieciństwo. Byłam tam z wycieczką w 1992 r. Obudziły się wspomnienia jak paśliśmy owce, paliliśmy ogniska, piekliśmy kukurydzę, ziemniaki. Musieliśmy doić owce, robić sery, musieliśmy pracować, ale czuliśmy się wolni. Teraz dzieci nie mają czasu, siedzą przed komputerem.

— **Czy z Bukowiny przywiozła pani jakieś tradycje? Wspomniała pani, że maluje pani pisanki...**

— Tak. Tam nauczyłam się wielu rzeczy, nauczyłam się tkać na krosnach, prząść na wrzecionie, wyszywać koralami. Pierwsze dożynki gminne w Kargowej odbyły się w 1946 r., podczas, których razem z mamą śpiewałam. W 1948 r. w parafii kargowskiej pojawił się polski ksiądz Meger. W kościele były tylko cegły, nie było żadnych świeczek, ani obrusów, ani nawet ołtarza. Ludzie musieli wszystko odbudować, wyposażyć, państwo nie pomagało. Była duża bieda. Ale ludzie nawzajem sobie pomagali. Ja z dziećmi byłam na gospodarce, a mąż poszedł do pracy, bo nie było z czego podatku zapłacić. Mieszkaliśmy w lesie, mieliśmy 8 hektarów ziemi – sam piasek, nawet saradela nie rosła. A trzeba było odstawić świnie 180 kg, 15 metrów zboża, 300 litrów mleka i ziemniaki. Dzisiaj ludzie narzekają, że podatek płacą, a wtedy to dopiero było ciężko. Kiedyś na rodzinne trzeba było sobie zapracować po pracy, trzeba było stróżkę robić – to był dyżur nocny, mieszkańcy wioski po kolei czuwali nad jej bezpieczeństwem. Później wyznaczili jedną osobę, która stróżowała.

— **Gdzie jeździliście do lekarza?**

— Ludzie sami się leczyli, kładło się bańki, leczyło się pijawkami, ziołami, robiło się świecowanie uszu. Pędziło się spirytus, robiliśmy różne nalewki, syropy.

— **Jak było z dostępem do mediów?**

— Jedno radio było w szkole, słuchano Wolnej Europy przy zasłoniętych oknach, ponieważ było to zakazane, chodziła policja, ORMO i sprawdzali.

— **A kto miał pierwszy telewizor we wsi?**

— Pierwszy telewizor miał Janik. Był w nim tylko pierwszy program. Ale ludzie schodzili się i oglądali „Bonanzę” „Czterech pancernych”, kolarzy.

Rozmawiał: **Kamil Kwiecień**



**F. Włosek w wojsku  
– 1944 r.**



**Janina i Franciszek  
Włoskowie**



# Franciszek Włosek

SMOLNO WIELKIE

**F**RANCISZEK WŁOSEK URODZIŁ SIĘ W JANOWIE KOŁO TREMBOWLI W 1924 r. Jego rodzicami byli: Stanisław Włosek i Józefa z domu Kotlińska. Matka przez wiele lat była sparaliżowana. Siostra, Maria, wyszła za mąż za Józefa Kazimowicza, który mieszka do tej pory w Smolnie Wielkim. Maria już nie żyje. Została pochowana na miejscowym cmentarzu. Druga siostra Włoska mieszkała w Kłodzku, wyszła za mąż za Tomczaka, brata Władysława Tomczaka organistę z kościoła w Smolnie. Ona też już nie żyje.

Gdy F. Włosek był już pełnoletni, ok. 1943 r. wywieziono go do Rosji, do miejscowości Sumy, gdzie znajdował się punkt werbunkowy polskich poborowych. Po okresie przeszkolenia Włosek został wcielony do 1 Armii Wojska Polskiego. Służył jako łącznościowiec. Nie chce opowiadać szczegółowo na temat swych przeżyć wojennych i okropności związanych z samą wojną. To, co przeżył i widział wystarczyłoby niewątpliwie za scenariusz filmu lub książki. Pan Franciszek wspomina, że wojnę przeżył szczęśliwie dzięki modlitwie, którą odmawiał w najcięższych chwilach. Swoją szlak bojowy zakończył na Łabie, daleko za Berlinem. Podobno dwa dni później w tym samym miejscu Rosjanie spotkali się z Amery-

kanami. On jednak nie był świadkiem tego ważnego wydarzenia. Wojna wywarła na nim tak ogromne wrażenie, że jak twierdzi, nie życzyłby najgorszemu wrogowi przejść takiego piekła walki i ognia, jakie on musiał przejść.

Po powrocie z frontu Włosek nie wracał już do Janowa, lecz pojechał w okolice Smolna Wielkiego. Wcześniej bowiem dowiedział się, że jego rodzina już tam jest. Można sobie wyobrazić wielkie rozczarowanie młodego człowieka, gdy dotarło do niego, że nigdy już nie wróci do ukochanego Janowa i Trembowli.

F. Włosek pamięta, że jego ojciec chciał początkowo osiedlić się w Zgorzelcu, lecz rodzina wolała jechać do Smolna W. Ostatecznie przybyli tu w sierpniu 1945 r. i już zostali na zawsze. Od początku mieszkali w tym domu, gdzie teraz.

Żona pana Franciszka, Janina z domu Sługocka, urodziła się w 1932 r. w Horożance w woj. tarnopolskim. Po przyjeździe na zachód mieszkała przez jakiś czas w Ostrzycach (około trzy lata). Ślub wzięli w 1952 r.

Pan Franciszek wspomina, że zaraz po zakończeniu wojny osadnicy i repatrianci mogli osiedlać się gdzie chcieli. Nie było przymusu osiedlenia się w danej miejscowości. W tamtych czasach zdarzało się wiele przypadków emigracji za granicę, a nawet za ocean, do USA, Kanady, Australii.

Jak wyglądało ich życie na początku? Było naprawdę ciężko. Mieli np. konia do spółki z sąsiadem, później z biegiem czasu żyło się coraz lepiej. Nie żyli wprawdzie w luksusie, ale narzekać nie mogli.

Pan Włosek przypomina sobie, jak w Smolnie Wielkim miał powstać tzw. kołchoz. Aktywiści partyjni posuwali się do tego, że rozdawali dzieciom rolników czekoladę i cukierki, aby zachęcić ich rodziców do przystąpienia do kołchozu. Okazało się, że opór materii był tak wielki, że ostatecznie nie doszło do jego powstania. Natomiast PGR powstał w latach 50. Pierwszym przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej był Józef Oczujda, jednym z działaczy Korbanek z Wojnowa.

Mój rozmówca twierdzi, że pan Żmuda z Wojnowa, który mieszka tu jeszcze od czasów przedwojennych, posiada wiele informacji i dokumentów na temat dawnych mieszkańców Smolna.

Zanotował: **Józef Pławski**



# Brygida Wróblewska

**KARGOWA, UL. KPT. WIĘCKOWSKIEGO**

— **Od kiedy mieszka pani w naszym mieście?**

— Od urodzenia. Najpierw mieszkałam na ul. 27 Stycznia, dawniej była to ul. Wolsztyńska, ale dom ten został spalony. Ojciec mój zginął w czasie wojny. Wtedy zamieszkałyśmy z mamą u dziadków na ul. Górnej. Dziadkowie byli pracownikami w majątku Richterów. Dziadek Rejman powoził bryczką, a babcia pracowała w parku. Często z dziadkami bywałam w pałacu, bawiłam się tam, właściciele majątku bardzo dobrze nas traktowali, stąd też moja znajomość z panią Humborg, z domu Richter.

— **Jak wyglądała pani edukacja?**

— Do podstawówki w Kargowej uczęszczałam przez siedem lat. Uczniowie pochodzili z różnych terenów, mówili różnymi dialektami. Klasy były bardzo liczne. Pierwszym moim wychowawcą był Jan Rosiński, a kierownikiem Tomasz Setny. Uczyliśmy się z elementarza Falskiego w wydaniu czarno-białym. W klasie piątej dołączyli do nas uczniowie z Chwalimia, a od klasy szóstej chodziły jeszcze dzieci z Karszyna. Uczniowie z wiosek chodzili do szkoły pieszo. Później kierownikiem

szkoly został Edward Rabiega. Z nauczycieli, którzy mnie uczyli zapamiętałam takie nazwiska jak Józef Samol, Nikodem Kotlarski, Janina i Mieczysław Wróblewscy, Izabela Zaklika, Cecylia Grochowicka, Ludwika Poźniak, Janina Łagoszówna, Antonina Rybiec, Maria Wieremiej. W szkole bardzo aktywnie działały drużyny harcerskie prowadzone przez panią Halinę Ćwiertniewską i Jana Jaszczuka. Przy szkole działał zespół taneczny, prowadzony przez Izabelę Zaklikę oraz chór szkolny pod kierownictwem Józefa Samola, później kierowany przez Nikodema Kotlarskiego. Zespoły te uświetniały wiele uroczystości miejskich. Wyjeżdżały na występy do sąsiednich miejscowości. Po szkole podstawowej podjęłam naukę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Sulechowie i zostałam nauczycielką. Przez rok pracowałam w Sulechowie, potem rok w Chwalimiu i następnie do emerytury w szkole podstawowej w Kargowej. W trakcie pracy ukończyłam trzyletnie studium nauczycielskie w Zielonej Górze, kierunek matematyka i kolejno studia magisterskie w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze oraz dwuletnie Studium Zarządzania Oświatą w Kaliszu.

— **W którym roku rozpoczęła pani pracę w szkole kargowskiej?**

— W 1960 r. Początkowo pracowałam w klasach I-III, a później jako nauczycielka matematyki w klasach V-VIII. W tym czasie nauka odbywała się w dwóch budynkach, przy ul. Szkolnej i Babimojskiej. Gdy kończyłam pracę byłam dyrektorem podstawówki i na tym stanowisku wytrwałam do emerytury. Praca z dziećmi i młodzieżą była dla mnie bardzo ważna i dawała mi dużo satysfakcji i zadowolenia.

— **To ile lat pani przepracowała w szkolnictwie?**

— Aż 46 lat. A po przejściu na emeryturę dalej aktywnie działałam na rzecz środowiska społecznego. Od powołania samorządów byłam dwie kadencje radną w gminie i trzy kadencje radną powiatu. Przez długie lata, aż do 2010 r. pracowałam w Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Swoje doświadczenia zawodowe staram się wykorzystywać w działaniach Kargowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, który został powołany w 2007 r. i którego jestem prezesem.

— **Jakie postacie, pani zdaniem, w powojennej historii miasta były tymi najważniejszymi? Tymi, które wpłynęły na jego rozwój.**

— Uważam, że ważnymi osobami byli zawsze burmistrzowie i naczelnicy miasta, przewodniczący rady miejskiej. Taką postacią, która cieszyła się dużym autorytetem był w swoim czasie Edward Trudnowski. Rozpoczął pracę jako nauczyciel matematyki, potem był naczelnikiem gminy, a następnie I sekretarzem Komitetu PZPR. Ważnymi osobistościami zapewne byli też kierownik, następnie dyrek-

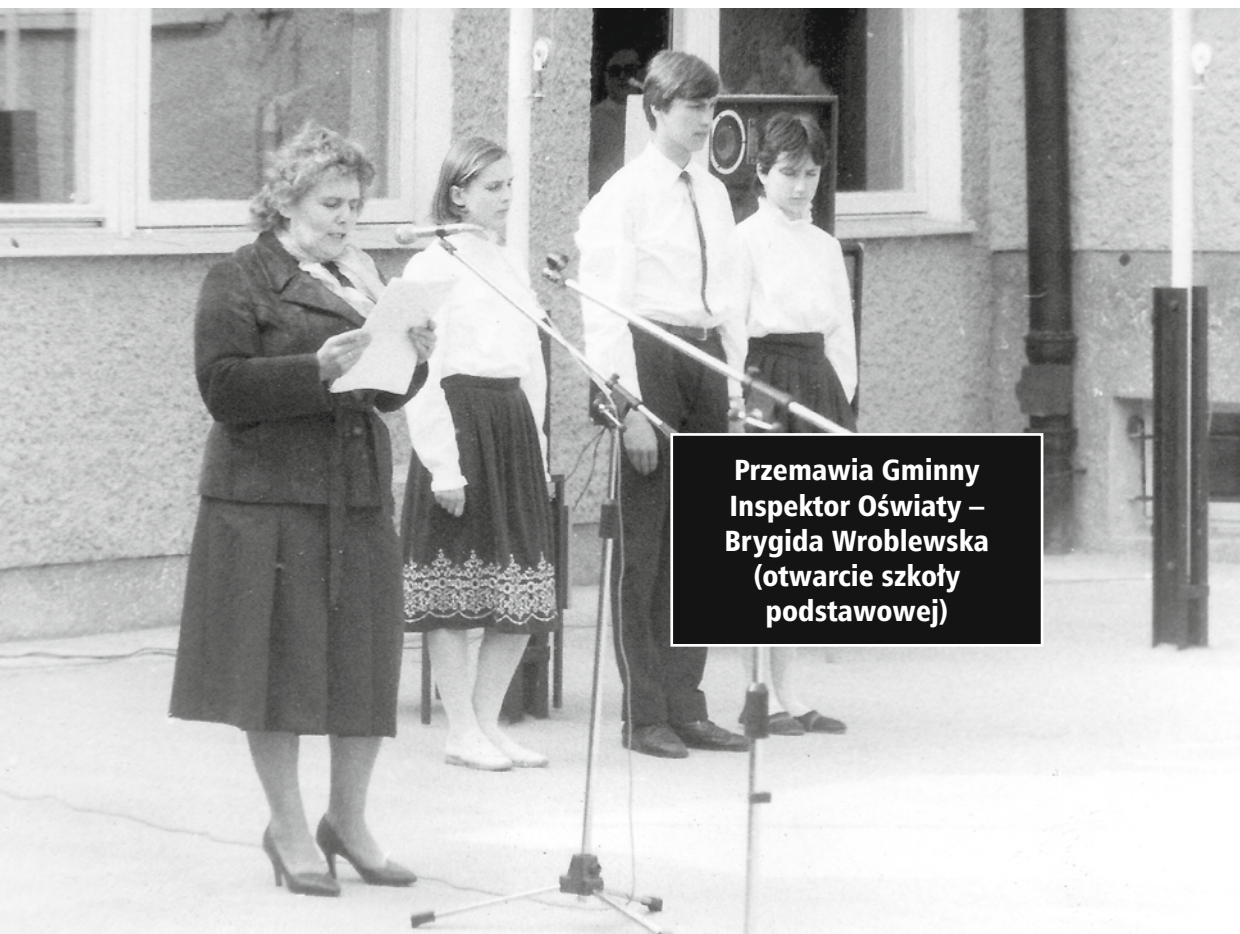


tor szkoły, regionalista Edward Rabięga, księęa, jak wieloletni proboszcz ks. Jan Meger, a dalej ks. Jan Zdziarski. Wpływowymi osobami byli niewątpliwie dyrektorzy dużych zakładów pracy, zwłaszcza ZPC „Goplana”: Julianna Terlecka, Jan Bachorski, Bogdan Marciniak. I dyrektor PGR-u Tadeusz Jóźwik. Sporym autorytetem cieszyli się zawsze lekarze, Nina Krompiewska i Stanisław Parachimowicz oraz położna Nina Apicioneek, która przez wiele lat prowadziła izbę porodową. Dodajmy, w pustym obecnie budynku po Banku Spółdzielczym przy ul. Dolnej...

— **A jakie zdarzenia tego okresu mogłyby pani uznać za ważne dla Kargowej?**

— Myślę, iż w kolejności można by wymienić remont kościoła ewangelickiego, który w okresie powojennym służył jako magazyn zboęa; został wyremontowany, poświęcony i oddany parafii. Następnie oddanie nowego oddziału zakładu pracy w latach 60., mam na myśli zakład „Goplana”. Potem rozbudowę przedszkola z 1984 r., wybudowanie nowej szkoły w 1987 r. i wreszcie powrót do samorządności gminnej w 1990 r.

Rozmawiał: **Kamil Kwiecień**





**Kurs szycia w Maratonie,  
czwarta od lewej na  
górze – mama p. Brygidy**



**Władysław Rajman  
– dziadek B. Wróblewskiej  
z rodziną Richterów (właściciele  
majątku nad Jeziorem Linie)**

# Lubomira i Kazimierz Wróblewscy

## DĄBRÓWKA

**D**O DĄBRÓWKI PRZYJECHAŁAM W 1945 R. Z RODZICAMI, Stanisławą i Franciszkiem Rysmanami oraz z młodszym bratem Jerzym. Miałam wtedy trzy lata więc samego przyjazdu nie pamiętam. Przyjechaliśmy z pobliskiego Reklina w Wielkopolskie. Drugi z braci urodził się już w Dąbrówce, siostra Krystyna również urodziła się tutaj.

W wieku siedmiu lat poszłam do szkoły w Klenicy. Chodziliśmy jak kto mógł, najczęściej pieszo, a nieliczni rowerami. Zimą gospodarze wozili dzieci furmankami. Dąbrówka należała kiedyś do gminy Bojadła i tam uczniowie brali udział w pochodach pierwszomajowych. Szkoła była tam gdzie dziś, niedaleko kościoła parafialnego. W klasach I-IV moją wychowawczynią była pani Michałowska, a Konieczny był dyrektorem. Rachunków uczyła Szczemirska, polski i rosyjski mieliśmy z Mendefikową, a z Kozakowską geografii. Śpiewu uczyła Sławska. W szkole istniał chór, który brał udział w różnych konkursach i zdobywał nagrody. Nauczyciele byli wymagający, w szkole panowała dyscyplina. Po zajęciach wraz z rodzeństwem pomagałam rodzicom w gospodarstwie. Pasłam krowy, plewiłam, pracowałam przy żniwach. Pamiętam, że sąsiedzi wzajemnie sobie pomagali, często wieczorami przychodzili do rodziców słuchać „Radia Wolna Europa”, bo mieliśmy radioodbiornik. Pamiętam parę nazwisk m.in. Patuszyński, Boś, Bocer, Pędak. Mężczyźni z ojcem dyskutowali o polityce, wszyscy bali się, że znowu będzie wojna. Kobiety w zimowe wieczory spotykały się na „pierzaku”, padało wtedy dużo żartów. Do rodziców przychodzili też inni mieszkańcy wypiekać chleb, bo nie w każdym domu był piec chlebowy.

Raz w miesiącu przyjeżdżał ksiądz i odprawiał mszę w kaplicy, bo Dąbrówka należy do parafii Klenica. W pozostałe niedziele jeździliśmy na msze do sąsiednich miejscowości, Karszyna albo Kargowej.

Przyjeżdżało do nas kino objazdowe. Ponadto mieszkańcy wspólnie organizowali dożynki i różne zabawy. W 1961 r. wyszłam za mąż za Kazia Wróblewskiego.

Nasz najstarszy syn, Andrzej, uczęszczał do szkoły w Dąbrówce, gdzie nauczycielem był Jan Kolesiński. Organizował razem z żoną różne przedstawienia w świetlicy, która najpierw była w szkole. Później zabawy odbywały się w świetlicy PGR-u. Syn chodził tu do szkoły przez trzy lata, później rok do Karszyna i w końcu do Kargowej. Dzieci dojeżdżały tzw. ptysiem, to ciągnik z budą (przyczepą) do przewozu osób. Do Kargowej trzeba było dojeżdżać własnym środkiem transportu. Dąbrówka przez te wszystkie lata prawie się nie zmieniła.

**P**RZYJECHAŁEM DO DĄBRÓWKI W 1945 R. Z MOIMI RODZICAMI, Katarzyną i Wincentym, z rodzeństwem, bratem Jerzym i siostrą Haliną. Miałem pięć lat. Trafiliśmy tutaj z Kolonii Rzgów w powiecie konińskim. Jechaliśmy pociągiem, Najpierw z Trąbczyna była kolej wąskotorowa, musieliśmy się przeładować w Witaszycach na szerokie tory, tam trzeba było dać łapówkę, żeby jechać dalej. Potem z Kargowej jechaliśmy do Dąbrówki przez Karszyn, bo most w stronę Dąbrówki był zniszczony. Na podwórko wszedłem przez dziurę w siatce ogrodzeniowej. W domu nie było drzwi, wszędzie potłuczone szkło i porcelana. Dwa pokoje wypalone, schody na strych też spalone. Dom najpierw musieliśmy uprzątnąć żeby zamieszkać. Któryś z sąsiadów przyniósł drzwi. Rodzice i sąsiedzi bali się o swój dobytek, bo mówiło się dużo o szabrownikach. Na wsi ustalono „nocne warty”. Gospodarze pilnowali porządku. Pamiętam, jak czekaliśmy na podłączenie instalacji elektrycznej, zupełnie inaczej to sobie wyobrażałem.

Do szkoły chodziłem do Klenicy. Moją wychowawczynią najpierw była Świgniońowa, a później Mendefikowa. Do pierwszej komunii św. poszedłem w Klenicy. Proboszczem był wtedy ks. Wysocki. Po szkole trzeba było pomagać rodzicom, najczęściej pasłem krowy. A jak ukończyłem szkołę pracowałem z rodzicami na gospodarstwie. Po skończeniu 19 lat podjąłem pracę w PGR-ze. W 1961 roku ożeniłem się z Ludką Rysman. W 1969 r. wróciłem z żoną i dziećmi na gospodarstwo rodziców, mój ojciec już wtedy zmarł, a mama była sama.

Przez jedną kadencję byłem sołtysem. Pamiętam z tamtego okresu kino objazdowe, zabawy i dożynki. Było wesoło. Przed każdym domem od ulicy ludzie mieli ławki, można się było spotkać i porozmawiać. Osobę, którą szczególnie dobrze wspominam jest mój już nieżyjący sąsiad, Władek Hamrol. Był człowiekiem lubiącym żarty, ale też wielkim społecznikiem. Jako sołtys starał się o oświetlenie uliczne wioski.

Na zakupy do Kargowej jeździłem motocyklem WFM, później była OSA, później jeszcze SHL, a w latach 70. kupiłem samochód marki Skoda. W 1988 r. przekazałem gospodarstwo synowi.

U sąsiada na stodole było bocianie gniazdo, które stanowiło radość wszystkich mieszkańców wsi w myśl starego porzekadła, że jest ono błogosławieństwem dla domu, a w tym wypadku także wioski.

Zanotowała: **Janina Chołuj**



# Helena Zawadzka

SMOLNO WIELKIE

**P**ANI HELENA Z DOMU TOMCZAK PRZYJECHAŁA do Smolna Wielkiego z Mariampola w powiecie stanisławowskim. Urodziła się w 1926 r. Miała trzy siostry – Anielę, Janinę i Stefanię. Ojciec jej zginął w wypadku mając zaledwie 43 lata. Po śmierci ojca duża część obowiązków spadła na nią, była spośród rodzeństwa najstarsza.

Helena знаła swego męża, Michała, jeszcze z Mariampola. Po przyjeździe do Smolna W. wyszła za niego za mąż w 1947 r. Wcześniej Michał Zawadzki był przez kilka lat na robotach przymusowych w Niemczech. Dopiero po jego przyjeździe na zachód postanowili się pobrać. H. Zawadzka zaraz po osiedleniu w Smolnie Wielkim e zamieszkała z rodziną w domu, w którym mieszka teraz Walczak. Dopiero po ślubie małżonkowie otrzymali obecne mieszkanie. Zawadzcy wzięli ślub kościelny w 1947 r., a cywilny dopiero w 1949 r. w Trzebiewowie. Kiedyś śluby cywilne nie były tak powszechne jak teraz. Jednak cywilny po wojnie był bardziej potrzebny do spraw meldunkowych i urzędowych.

H. Zawadzka nie ma miłych wspomnień, jeśli chodzi o sam przyjazd do Smolna. Podróż trwała w okropnych warunkach siedem tygodni. Gdy rodzina dotarła

tu wreszcie wieś wyglądała ponuro – puste, odrapane domy, niektóre bez okien i drzwi, splądrowane przez szabrowników, puste stodoły i budynki gospodarcze. Przyznaje jednak, że dom, w którym mieszka był w dosyć dobrym stanie.

Przypomina sobie, że w pierwszych latach po przyjeździe zdarzyły się nieśnaski i nieporozumienia między osadnikami z Mariampola i z Janowa. Jednak z biegiem lat było już coraz lepiej. Tłumaczy sobie to tym, że przyjechali tu ludzie z różnych kultur, o różnych obyczajach i różnej mentalności. Jednak po jakimś czasie różnice te zacierają się.

Pani Helena od najmłodszych lat musiała ciężko pracować i nie zwracała szczególnej uwagi na takie rzeczy jak polityka, czy życie towarzyskie, nie miała na to po prostu czasu. Musiała dbać o wychowywanie dzieci, a oprócz tego mieli przecież razem z mężem dosyć spore gospodarstwo, na którym pracy nigdy nie brakowało. H. Zawadzkiej udało się przywieźć ze wschodu jednego konia i trochę drobnego dobytku. Później, gdy już była zamężna, powoli jej los zaczął się poprawiać, ale było to okupione bardzo ciężką pracą. Zawadzczy mieli dosyć duże gospodarstwo, w którym pracy nie brakowało. Wielokrotnie jeździła z mężem do młyna w Smolnie Małym. Pamięta, że we wsi były różnego rodzaju warsztaty usługowe. Np. zakład szewski miał Tomczak, u którego nieraz zamawiała buty. Piekarnia należała do Pigłasa.

Według Zawadzkiej, pierwszym sołtysiem we wsi mógł być Dronia. Mieszkał w obecnym domu Pławskich. Po nim następcą był Fafuła, ale kolejnych sołtysów, pani Helena nie jest pewna. Prawdopodobnie Dronia zajmował się przydziałem mieszkań i ziemi. Np. przyznał piękny i duży dom Józefowi Kostańskiemu z Mariampola. Wynika więc z tego, że Dronia oprócz funkcji sołtysa (jeśli taką pełnił) miał jeszcze ważniejszą – zajmował się przydziałami domów i gospodarstw.

Rozmówczyni przypomniła sobie jeszcze, jak syn jej siostry, Janiny Tomczak, utopił się w rzece koło mostu, tuż obok domu Klementowskiego. Siostra strasznie rozpacziała po jego śmierci.

Zanotował: **Józef Pławski**

# Elżbieta Zmuda

**KARGOWA, UL. SŁODOWA**

Miasto w latach 1850–1860 bardzo się rozwijało. Wybudowano szkołę, w 1905–1910 r. młyn, wcześniej było 40 wiatraków. Mówiło się jednak zawsze, że było ich 100. Było siedem sklepów rzeźnickich, bank, stara poczta przy ulicy Kościuszki. Żyło się przed wojną bardzo dobrze, spokojnie. Ludzie się znali i wspólnie żyli, mimo że katolików było mało.

Zanotował: **Dariusz Wróblewski**



**Przeprawa z Wojnowa do  
Starego Kramska**



**1 maja 1954 r. – obchody  
1 majowe w Wojnowie**





# Franciszek Żmuda

WOJNOWO

**U**RODZIŁEM SIĘ 15 SIERPNIĄ 1922 R. W STARYM KRAMSKU jako syn rolnika. Naukę rozpocząłem w niemieckiej szkole katolickiej w 1929 r.; ukończyłem w niej siedem klas. W 1936 r. podczas spisu ludności ojciec podał narodowość polską. W związku z tym ósmą klasę ukończyłem w polskiej szkole w Starym Kramsku. Po szkole przez dwa lata pracowałem jako robotnik rolny w majątku ziemskim w Okuninie. Praca była dobrze zorganizowana. W gospodarstwie odbywały praktyki panny niemieckie, żeby zdobyć przygotowanie do prowadzenia gospodarstwa rolnego. Był to zwyczajowy wymóg dla dobrej panny.

W styczniu 1939 r. rozpocząłem pracę u rolnika Romana Weimana w Babimoście. W tym czasie ojciec został powołany do wojska, ale jako żywiciel wielodzietnej rodziny po sześciu miesiącach został zwolniony ze służby. 10 października 1941 r. dostałem powołanie do wojska. Przydzielono mnie do jednostki zaopatrzenia oddziałów konnych. Magazyny mieliśmy pod Warszawą. W styczniu 1943 r. zachorowałem na tyfus plamisty i do Wielkanocy leżałem w szpitalu w Żyrardowie. Ze szpitala pojechałem na trzytygodniowy urlop do domu. Po urlopie pojechałem do jednostki Fürstenwalde. Stamtąd skierowano mnie do Poczdamu. W lipcu 1943

r. dostałem skierowanie na prawo jazdy na pantery do Biedruska pod Poznaniem. Z Biedruska wróciłem do Poczdamu, a stamtąd w marcu 1944 r. trafiłem do dzisiejszego Wędrzyna. Dalej transportem na wschód w okolice Krzywego Rogu na Ukrainie. Tam toczyły się ciężkie i krwawe walki. W czerwcu 1944 r. wycofywaliśmy się do Rumunii przez Dniestr w Tiraspolu (Mołdawia). Po drodze widziałem wielkie tabory Cyganów wypędzonych z Rumunii, którzy wędrowali na Ukrainę. W lipcu tego roku dostałem przydział do piechoty. W tamtym rejonie linia frontu była mocno poszarpana. Rosjanie często przeprowadzali wypadki zwiadowcze. Podczas odpierania jednego z takich wypadków zostałem ranny w rękę, okolice pachy. Po wizycie w szpitalu wróciłem do walki. Za kolejną sprawną przeprowadzoną akcją odparcia ataku zwiadu rosyjskiego dowódca zaproponował mi szkołę podoficerską. Taką propozycję przyjąłem z zadowoleniem. Była to większa szansa na przetrwanie wojny. Dostałem skierowanie do Orzysza. Tam dowiedziałem się o zamachu na Hitlera. Gdyby wtedy żołnierze na froncie o tym wiedzieli, to wojna by się skończyła. W Orzyszu przebywałem do grudnia 1944 r.; po szkoleniu dostałem urlop i na Boże Narodzenie przyjechałem do domu. 6 stycznia 1945 r. miałem stawić się w Wiedniu. Przez Bratysławę dotarłem na front przy granicy z Węgrami. Spotkałem tam kolegę z frontu wschodniego. 10 stycznia uciekliśmy przed Rosjanami. Było nas ok. 20. Cofaliśmy się w kierunku Bratysławy. 8 marca zostałem poważnie ranny w nogę. Samochodami przewieziono nas pod wieś Leskowo. Trafiłem z innymi rannymi do szpitala w Bratysławie. Rana była poważna, dostałem zakażenia. Dołączono mnie do transportu kolejowego, który jechał przez Wiedeń i Salzburg do Innsbrucka. Ze względu na ciężki stan, zakażenie, wysoką temperaturę, zostałem przewieziony do szpitala w Salzburgu. Tam lekarz chciał mi amputować nogę do połowy uda. Uprosiłem, aby amputował tylko do kolana. Zgodził się. Rana zagoiła się po kilku miesiącach. Przy pomocy kul mogłem się poruszać. Na ulicach Salzburga pojawili się Francuzi, a potem Rosjanie. Był to przełom kwietnia i maja 1945 r. Gdy Niemcy skapitulowały szybko można było zapomnieć o okropnej wojnie. Byłem tam do grudnia 1945 r. i jeszcze w grudniu wywieziono nas do Niemiec, w okolice Hamburga. W marcu 1946 r. alianci mnie do cywila i wróciłem do Starego Kramaska, gdzie czekał ojciec i rodzzeństwo. Mama zmarła jeszcze przed wojną.

Pewnego dnia przypomniałem sobie, że gdy jechałem pociągiem do Biedruska poznałem dwie kobiety z okolic Poznania. Jedna z nich wróżyła mi wtedy. Powiedziała, że na wojnie stracę rękę lub nogę. W rzeczywistości byłem ranny w rękę i straciłem pół nogi. W krótkim czasie poznałem Gertrudę Początek z Wojnowa, z którą ożeniłem się 15 kwietnia 1947 r. Zamieszkaliśmy w Liniach, gdzie dostałem pracę jako robotnik leśny. W 1950 r. kupiłem od pana Kozy z Wojnowa działkę, na której zacząłem budować dom i stodołę. Chciałem mieć własne gospodarstwo rolne. Mieliśmy troje dzieci. I właśnie ze względu na nie w 1956 r. za-

mieszkaliśmy na swoim, żeby miały bliżej do szkoły. Kończyłem wtedy budowę, uprawiałem ziemię i hodowałem zwierzęta. Stopniowo dorabiałem się wyposażenia domu i gospodarstwa. Pracowałem bardzo ciężko, na dodatek z protezą nogi. Przykro było słuchać jak czasem rodacy wypominali mi służbę w niemieckim wojsku. Przecież nie zrobiłem tego z wyboru.

Dziś gospodarstwem zajmuje się syn. Ja staram się pomagać jak mogę, bo człowiek żyje jak się rusza! Córka i dwaj synowie założyli rodziny. Żyje jeszcze siostra i młodszy brat. Owdowiałem w 2000 r.

Dziś myślę, że miałem dużo szczęścia w życiu. Jako 19-latek poszedłem na wojnę. Z grupy stu ze mną powołanych tylko ja przeżyłem te okropności. Widocznie ktoś nade mną czuwał. Za kilka miesięcy kończę 90 lat i co najmniej tyle każdemu życzę.

Zanotował: **Czesław Błoszyk**

**Chór z Kargowej prowadzony  
przez nauczyciela Józefa  
Samola na wycieczce  
w Warszawie**







# Kronika

## Szkoły Podstawowej w Starym Jaromierzu

(fragmenty)

Początek

W Imię Boże!

### **Rok szkolny 1945/1946**

W należącej już teraz wsi, o starej nazwie zdradzającej pochodzenie polskie – Jaromierz Stary, do Ziemi odzyskanych, objęła pracę ob. A. Niedzielska, naucz. etat. repatriantka z tarnopolskiego wojew. 4-go września r. b. rozpoczęliśmy nowy rok szkolny uroczystym nabożeństwem w pobliskim miasteczku, odległym o dwa km – Kopanicy. Wprawdzie i gmina i parafia to Kargowa, ale ta ostatnia oddalona jest o dobre 4 km.

Szkolny budynek murowany z czerwonej cegły, niewielki i na razie wygląda jak po wojnie. Ogródek i podwórko zarosłe wysokimi chwastami zarzucone papierami, żelastwem i szmatami, czekają na pracę gromadną małych rąk. W mieszkaniu służbowym ani jednego mebla.

Do szkoły zapisało się na razie 34 dzieci, zdaje się, że wszystkie, ale istnieją możliwości zwiększenia się tej liczby, gdyż jeszcze są gospodarstwa niezajęte. Te dzieci, które zapisały się stanowią element różnych dzielnic: wileńskie, podlaskie, małopolskie, poznańskie i miejscowi. Praca przedstawia się ciekawie. Ile czasu będzie trzeba, aby miejscowe dzieci opanowały polski język, czy zżyją się z innymi z innych dzielnic, czy poczują się Polakami.

Wieś składa się prawie z jednej ulicy, przeciętej gościńcem o gęściejszym skupieniu na jednym końcu rozciąga około 3 km. Gospodarstw zajętych jest 46, kilka wolnych jeszcze, kilkanaście spalonych. Ludności około 300 osób w tym jeszcze kilkanaście bez pretensji do pochodzenia polskiego. Zasób sił żaden, warunki materialne na razie ciężkie, krzepi jedynie przeświadczenie, że pracować się będzie dla swojej, znowu wolnej Ojczyzny.

### **21 grudnia 1949 r.**

W dniu dzisiejszym, w godzinach popołudniowych, w naszej szkole odbyła się uroczystość urodzin Gen. Józefa Stalina. W świąteczne udekorowanej sali, z portretem Stalina na głównej scenie zebrała się hucznie ludność wsi. Słowo wstępne wygłosił miejscowy sołtys, poczem zebrani odśpiewali Międzynarodówkę. Z kolei odczytałam życiorys Wielkiego Wodza Zw. Radz. Teraz zabrały głos dzieci deklamując wiersze o Stalinie, SP młodzież odśpiewała dwie pieśni, dzieci szk. zaś odśpiewały „Kasieńkę” tłumaczoną na polski. Jako część druga nastąpiła uroczystość Mikołajowa. Św. Mikołaj w asyście aniołków i skaczących diabełków wkroczył na salę z podarkami. Przywitawszy zebranych zaczął rozdawać paczki odrabiane deklamacjami, trafiały się paczki dla starszych. Z jedną paczką zdarzył się przykry incydent. SP chłopcy wyrwali ją niosącej z rąk i niby żartem rozerwali. Grad kolorowych jabłek posypał się po podłodze. Zdaje mi się, że większa część ich znikła w kieszeniach zbierających. Szkolne dzieci oddały pozbierane przez siebie. Św. Mikołaj „ździebko” zachmurzony pożegnał zebranych.

### **11 lutego 1950 r.**

Otrzymaliśmy odbiornik radiowy „Aga”. Z tym odbiornikiem była cała historia. Zradiofonizowanie szkoły było w planie pracy kierowniczk. Więc zebranie Komit. Rodzic., ogólne później i propozycja, że cała wieś musi pomóc. Wieś niebogata a ludzie jak na ziemiach lubuskich w ogóle – różni, zdarzają się i tacy, co na obietnicach kończą. Zbiórka przeprowadzona w listopadzie dała 8 tysięcy zł. Przeprowadziłam wywiad z kolegami, z członkami Rady Narodowej Gm. Gmina złożyła w powiat. KRS. na konto naszego radia 10 tysięcy. Sklepik szkolny oddał swoje zyski za 1 r. w sumie 3 tysiące i te wysłano do wojew. KRS z prośbą o subsydium. Druga prośba poszła do powiatu. Ostatecznie po wielu wymianie listów powiat wezwał o zabranie odb. Za przywóz zapłaciliśmy 1 tysiąc zł powiatowi. Subsydium pow. wynosiło 20 tys., reszta na koncie szkoły, dopóki nie będzie odpowiedzi z Poznania. Nie wiem czy dzieci cieszyć się będą tyle co ja. Liczę na ułatwienie w pracy, aktualizacji w wychowaniu, w przestawieniu na nowe tory wszystkiego co żyje. Za wiele byłoby wymieniać. Jedno jest pewne. Zradiofonizowanie szkół zawdzięczamy dzisiejszemu ustrojowi socjalistycznemu.

### **6 października 1960 r.**

Dwie końcowe godz. lekcyjne poświęcone zostały obchodowi Rocznicy Rewolucji Październikowej. Dzieci brały gorliwy udział w dekoracji klasy. Na tle czerwieni umieszczony został portret Lenina. Po przemowie wyjaśniającej czym była rewolucja dla carskiej Rosji i czym dla nas, po przypomnieniu wreszcie czym jest dla Polski przyjaźń ze Zw. Radz., zaczęła się część artystyczna. Deklamacje i piosenki, chórne, solowe. Niechętnie rozchodziły się dzieci do domów.



## 5 czerwca 1965 r.

Z polecenia Władz szk. mamy (naucz. – kier.) opracować XX-lecie szkoły. Ująć obiektywnie obraz XX-lecia jakiejś szkoły na pewno łatwiej byłoby komuś, kto pierwsze lata powojenne spędził w wiosce, wyjechał, a po latach dwudziestu wrócił do niej. A już na pewno łatwiej i krytyczniej pisać o kimś kto pracował szereg lat w tej szkole obserwowany przez widza z boku. Ale nie o sobie, bo mnie właśnie przypadła ta wdzięczna rola życiowa – otwarcia i zamknięcia okresu XX-lecia – na terenie szkoły, jako kierownicze. Cofnijmy się jednak wstecz.

Stary Jaromierz to wieś rozciągnięta prawie wzdłuż jednej ulicy, z południa na północ, linią falistą, z widocznością stałą pewnego tylko odcinka. W jednym tylko miejscu przecięta szosą wschód-zachód. Od krzyżówki na południe ulica biegnie polną drogą do części wsi dodatkowo nazywanej Süßlochem. Na północ ulica brukowana granitową kostką z boczną polną, z zamierzonym chodnikiem. Po kilometry jednak przechodzi znowu w polną. Rozciągłość wsi 3 km 800 m, około 50 gospodarstw, domy przy ulicy, rzadka, ziemi dosyć ale słabej, V-tej i VI-tej klasy. Gleba stanowi przedłużenie granicznych tutaj, poznańskich biellic. Jedno było i jest w tej wsi piękne – to las przybiegający miejscami do ulicy, obrzeżonej drzewami i krzewami bzów. O wyzwoleniu tych ziem opowiadali nam autochtoni. Styczeń 1945 roku, w tej cichej, spokojnej wiosce, zaczął się niespokojny. Zaczęto mówić o ewakuacji. W dniu 10 stycznia, Niemcy (wojskowi oczywiście) przeprowadzali przez wieś dużą grupę dziewcząt („Ost”) mówiących po polsku. Krótki odpoczynek, po 2-3 kartofle z parników i segregacja tych z odmrożonymi stopami. Do szpitala – resztę popędzono przed nocą jeszcze – kierunek Wojnowo. Szpitalny transport natomiast, dwa wozy drabiniaste zawiozły (38 albo 39) do lasu pod Nowy Jaromierz, gdzie pomordowano dziewczęta wystrzałami w tył głowy i pochowano w wykopanym rowie. 12-go stycznia wjechały do wsi radzieckie oddziały zwiadowcze. W nocy przedtem, w przerażeniu i popłochu, opuścili wieś mieszkańcy niemieccy. W chwili wejścia radzieckich oddziałów z jakiegoś budynku padły strzały, co dało powód wojsku do zniszczenia granatami 10 domów. Jedenaste spaliła wraz z sobą, oszalała ze strachu, samotna starsza Niemka. Pierwsze, samorzutnie zorganizowane przez byłych niewolników, władze polskie zmusiły pozostałych autochtonów do opieki nad porzuconym inwentarzem, a wiosną do zasiewu opustoszałych pól.

Napływali osadnicy z poznańskiego, z nad Bugu, zza Bugu. Autochtoni ustosunkowali się do przybyłych z niechęcią źle maskowaną lub całkiem jawną. Działał zastarzały głód ziemi. Samozwańczy sołtys, obywatel J.W. podobno przez 3 dni palił w chlebowym piecu – plany, mapki, akta wiejskie żeby poszerzyć granice posiadłości swojej teściowej – autochtonki. Nie przewidywał tego, że granice zostaną ujawnione i zapłacić przyjdzie za domierzony kawał łąny. Zaczynały się kłopoty obróbką ziemi, brakowało koni u osadników.

Pomoc sąsiedzka? Sołtysiem został mianowany mój mąż M.K.N. Miał pełne ręce roboty. Wyznaczył imiennie kto komu musi pomóc. Jeden z osadników przyszedł z otrzymaną odpowiedzią: – Niech wam moi pomogą! W zastępstwie nieobecnego sołtysa poszłam z nim do autochtonki. — Gdzie ten człowiek zgoniony wojną i biedą ma pójść — pytałam. — Do kogo o pomoc się zwrócić? Kto wam jest swój? Kim wy jesteście? Czemuście nie wybrali się w takim razie ze „swoimi” na zachód? Skończyła się ta rozmowa płaczem i tłumaczeniem autochtonki, ale i cofnięciem odmowy. W ogóle życie było niepewne, ponure, ciężkie wtedy. W dzień wyłożona możliwa praca – w nocy wartowanie. Osadnicy cieszyli się przecież przydzielonym inwentarzem. A tu szerzyły się bezkarnie kradzieże własnie inwentarza, napady rabunkowe. Milicja nie ujęła ani jednego sprawcy. Straty były duże. Powoli jednak uspokajało się wszystko. Ludność podzieliła się stopniowo na trzymające tylko ze sobą grupy: Wileńszczan, Wschodniaków, Warszawiaków, Poznaniaków, Autochtonów. Dzieliła je odrębna mowa, zwyczaje, upodobania. Autochtoni, wyzwoleni, wydobyli z pokładów niemczyzny, własnego folkloru nie mieli, uczyli się być Polakami.

Szkoła? Na maszcie w ogródku powiewała, jakże zmienawidzona podczas wojny, czerwona flaga – w białym kole czarny łamany krzyż. Ktoś z pierwszych osadników ściągnął ją w dół i wdeptał w piasek. Dostyc duży, typowo pruski, z czerwonej cegły budynek, ogródkiem oddzielony od ulicy. Fasada uwieńczona wieżyczką z krzyżem na daszku i sporym dzwonkiem wewnątrz. Czyżby służyła równocześnie za dom modlitwy ewangelickiej „gminie”? Nie spotkałam nigdzie podobnie budowanego domu. Trzeba było przyzwyczaić się do tego widoku, jak do pewnej cechy krajozbrazu, ale długi czas ta wieżyczka była szeregim konfliktów z władzami, odczuwającymi ją jako pewnego rodzaju obelgę w stosunku do siebie. Budynek wewnątrz niefortunnie rozplanowany – dwie ściany z oknami, wadliwe światło, wówczas w połówkach bez szyb, drzwi niektóre wyłamane, zamki uszkodzone. Jedna klasa i mieszkanie dla nauczyciela bez mebli, ściany odrapane, brudne. Klasa 6x9 bielona, ale przydymiona od żelaznego piecyka, z portretu ocalałego na ścianie uśmiechał się Marcin Luter. Szafy pootwierane. Książki biblio. Rozsypane, częściowo podarte. „Mein Kampf” w strzępach. W strzępach również gablotki zielniki, mapy, zeszyty, dziennik. Śmietnik po kolana – w dniu 1 września przywołane zarządzeniem sołtysa 4 autochtonki, dwa dni ciężko pracując doprowadziły klasę do możliwego wyglądu, odzyskane zostały wydarte połówki okien.

4 września rozpoczęłam normalne lekcje. Nominację insp. wolsztyńskiego otrzymałam już wcześniej. Miałam za sobą szesnastoletni staż pracy naucz. w tarnopolskim wojew. i sześć lat bezrobocia wojennego przeplatane cygańską prawie włóczęgą przymusową. Mąż otrzymał gospodarkę poniemiecką. Do szkoły zapisało się 34 dzieci z różnym lub żadnym przygotowaniem. Nie było podręczników, brak było zeszytów, atramentu. Były ławki, tablica i dzieci żadne nauki. Warto było posłuchać przyjacielskich rozmówek z przerw.

— Nas zaś tu nie było wtedy, my byli prek.

— Patrzaj, patrzaj, jaka ta jabka ładna.

— A ty ni gesag!

Dzieci zresztą najprędzej między sobą dochodziły do porozumienia i krzywdy nie miały, jeżeli rodzice przybyli wcześniej. Wykorzystywali zapasy żywności po uciekinierach. Sytuacja nauczycieli w ogóle, a w tym i moja była dużo gorsza. Z pięciu osób w domu, jedna stawiała do pracy niezbyt silna, reszta chora, albo wycieńczona po chorobie. Zasobów nie mieliśmy żadnych, przez 3 mies. Nie płacono nam pensji. Ale tu ludzie pomogli trochę, pożyczyli pieniądze na chleb. Ale praca była (i jest) pełną, przepływową tylko. Co roku piąta klasa odchodzi do szkoły zbiorczej. Zapomniałam nadmienić, że miała budynki dość porządne, obok nich ustępy, za nimi ogródek z jednym wielkim okopem żółtącym się piaskiem. Obręb szkoły otoczonej siatką, a dalej 2 ha ornego gruntu, który też zresztą okazał się przepływowym i do szkoły dawno nie należy. Uczniowie klasy piątej chodzili, w zależności, w której stronie wsi mieszkali do szkoły zbiorczej w Kopaniczy lub Nowego Jaromierza.

Wyniki pracy powinny być zadowalające. Sprawności szkoły nie daje się dociągnąć do 100 % nigdy. Sprawność szkoły zależy nie tylko od metod pracy czy doksztalcania się nauczyciela, ale i od dzieci, jakie przychodzą. Niechęć rodziców do szkoły świeckiej też nie stwarza właściwego klimatu do pracy. Nie wpływa dodatnio lecz hamująco.

Ocena pracy ze strony wsi? Może kiedyś z oddali lat.

Ocena władz? Jeżeli o tym mogą świadczyć premie na „Dzień Nauczyciela” to owszem. W ciągu ostatnich kilku lat- otrzymałam je.

Na terenie szkoły niepełnej utrzymują się od lat organizacje PCK, SFOS oraz SFBS. W jednym roku więcej, w drugim mniej aktywne – zależnie od większej czy mniejszej ilości dobrych uczniów. Wkład pieniężny służy więcej jako atrybut wychowawczy, wyrobienia już od najmłodszych lat poczucia obywatelskiego.

W bibliotece szkolnej powoli nagromadziło się przeszło 500 woluminów. Z czytelnictwem też bywa różnie. Jedni czytają za dużo, drudzy ledwie dociągają normy. Jedno jest pewne. Dziecko, któremu uda się zaszczerpić ciekawość do książki zostaje dobrym uczniem.

Dzisiaj – wieś bez ugrupowań dzielnicowych, żyjąca zgodnie lecz niezbyt bogata. Trzeba dorabiać w okolicznych fabrykach, aby podążać za nowoczesnością. Radia i rowery to rzecz pospolita. Motocykle prawie w każdym gospodarstwie. Wchodzą w modę meble „na wysoki połysk” i telewizory. Na razie jest ich dwa. Przeszkolenia rolnicze jesienne mają frekwencję, ale mankamentem rolnictwa jest ciągle niedobór nawozów sztucznych. We wsi jest Komórka POP. Od dwóch lat jestem zast. sekret.

Młodzież chciałaby mieć świetlicę i klubo-kawiarenkę, za modą.

Szkoła dziś ma nowe, malowane na biało ramy okienne. Firanek tylko dlatego brak, że okna mają wewnętrzne okiennice, bo sala służy często dla kina. Jest również miejscem wiejskich zebrań, szkoleń, szczepień ochronnych itp., podłoga w 75 % wstawiona nowa. Szafy, biurko pomalowane na jednolity jasny kolor, blaty ławek na zielono. Piec nowoczesny kaflowy, zgrany kolorem z meblami. W oknach kwitną kwiaty. Klasa malowana co cztery lata, do połowy olejno – jest jasna, wesoła. Z pomocy naukowych mamy 2 mapy Polski i Europy, radio „Aga”, rzutnik, wagę, ilustracje do geografii, czyściwo, drabinkę gimnastyczną, piłeczki, piłki itd.

Do roku bieżącego „przepłynęło” z klas czwartych 112 dzieci. Nie wszystkie są we wsi, nie wszystkich dobrze losy znane – 6-cioro z nich nie ukończyło kl. 7-ej, 5 dziewcząt ukończyło „handłówki”, 3 ukończyło lub uczęszcza jeszcze (1) do Lic. Ped., 1 ukończyła, 3 uczęszcza do Szk. Średniej Ogólnokszt., 4-rech chłopców ukończyło, 2 uczęszcza do Szk. Zawodowej, 1 uczęszcza do Technikum Rolnicz., do szkoły zb. uczęszcza 17, 15-cioro pozostało do pomocy w gospodarstwach rolnych przy rodzicach. Sławnych ludzi z pomiędzy wychowanków na razie nie było, może jeszcze będą. Szkoła ma cel wychowawczy sprecyzowany. Realizuje i stara się wychować dobrego patriotę, myślącego solidnego pracownika, świadomego swego udziału w budowie socjalizmu. Umiejącego ocenić dobre strony ustroju socjalistycznego, dążącego, własnym wkładem pracy do poprawy istniejących już warunków, wreszcie krytycznie ustosunkowanego do wrogiej nam propagandy.

Kronika była prowadzona od 1945 r. do 1965 r. przez Anielę Niedzielską, od 1965 r. przez Ignacego Romaszko (zachowano oryginalną pisownię i składnię z nieznacznymi poprawkami).

## Partnerstwo gmin

**U**MOWA O PARTNERSTWIE MIĘDZY GMINAMI Schulzendorf i Kargowa została podpisana 23 lipca 2009 r. Celem tej współpracy jest wzajemne poznanie, nawiązanie przyjacielskich stosunków, lepsze zrozumienie, aby w ten sposób budować zjednoczoną Europę i porozumienie między narodami. Gminy zamierzają realizować wzajemną współpracę w następujących obszarach: kształ-

cenie (szkoły i przedszkola), sport, sztuka i kultura, turystyka, współpraca stowarzyszeń, współpraca administracji samorządowej i przedstawicieli partii politycznych, wspieranie gospodarki, przemysłu i rzemiosła.

Już dziś, po niecałych trzech latach od podpisania umowy partnerskiej, można stwierdzić, iż współpraca obu gmin jest bardzo udana. Realizowane są wspólne interesy, zacieśniają się coraz bardziej więzy przyjaźni między mieszkańcami. Sprzyjają temu wspólne imprezy i spotkania. Najciekawszymi imprezami w roku 2011 były: polsko-niemiecka konferencja historyczna, która odbyła się 3 czerwca 2011 r. w Kargowej. Wzięli w niej udział seniorzy z Schulzendorf. Należy oczywiście wymienić polsko-niemieckie Święto Czekolady Kargowa 2011, które odbyło się w dniach 24–26 czerwca 2011 r. W obchodach nie mogło zabraknąć przedstawicieli gminy Schulzendorf i tak też będzie w przyszłości. 28 maja 2011 r. dzieci z Kargowej wraz z opiekunami skorzystały z zaproszenia do Niemiec i uczestniczyły w obchodach Dnia Dziecka w Schulzendorf pod hasłem „Dzieci w przeszłości i dziś”. 5 i 6 maja 2011 r. słuchacze Kargowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku korzystając z zaproszenia burmistrza Markusa Mücke i seniorów z Schulzendorf odwiedzili tę gminę, gdzie zwiedzili nowy ratusz – oddany do użytku w 2010 r. – dom seniora, przedszkole, szkołę podstawową, świetlicę dla dzieci, izbę pamięci oraz centrum kultury. We wrześniu 2011 r. na zaproszenie burmistrza Kargowej Sebastiana Ciemnoczołowskiego i słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku przybyła do Kargowej 25 osobowa grupa seniorów z Schulzendorf. Goście z Niemiec w sali obrad Urzędu Miejskiego obejrzeni film promujący walory turystyczne i gospodarcze Kargowej oraz z jej historię. W sierpniu dzieci z Kargowej uczestniczyły w obozie letnim pod hasłem „Bal narodów”, na który gmina Schulzendorf otrzymała dofinansowanie z programu polsko-niemieckiej współpracy zagranicznej; Kargowa była partnerem tego projektu. W styczniu 2011 r. odbył się turniej halowej piłki nożnej w Schulzendorf, w którym oprócz pięciu drużyn niemieckich wzięła udział drużyna z Kargowej. Ponadto burmistrz i dyrektorzy jednostek organizacyjnych gminy Kargowa prowadzili tego dnia rozmowy związane z ustaleniem rocznego planu współpracy. Należy przypomnieć, że na niektóre imprezy gmina Kargowa złożyła projekty i otrzymała dofinansowanie w ramach współpracy transgranicznej z programu operacyjnego współpracy transgranicznej Polska (województwo lubuskie)–Brandenburgia 2007–2013. Partnerem projektów była gmina Schulzendorf.

Współpraca, organizacja wspólnych uroczystości, imprez kulturalnych i sportowych oraz spotkań pokazuje, jak partnerzy organizują swoje życie, jaki mają udział w życiu swoich miejscowości. Przeprowadzone indywidualne rozmowy, nawiązane kontakty osobiste stanowią wielką wartość wspólnego celu, jakim jest partnerstwo obu gmin.

**Barbara Pajcz**

Władysława Sojka, Kierownik  
Domu społecznego i Teatru Lalek  
Józef



ik Szkoły Tomasz Setny, kierownik  
ek Julian Sojka, kierownik Zespołów  
ef Samol



**Wypowiedzi mieszkańców  
gminy Schulzendorf**





# Filatelistyka buduje mosty

**P**IERWSZY KONTAKT MIĘDZY SCHULZENDORF I KARGOWĄ nawiązali filateliści. Początki tego hobby sięgają lat 70. Mój syn, Hans-Jurgen, chciał zbierać znaczki. Ponieważ nie miałem o tym pojęcia, żona wpadła na pomysł, aby wstąpić do związku filatelistów. Tam otrzymaliśmy wszystkie potrzebne informacje oraz zachętę i wsparcie dla dalszych działań – zbierania znaczków innych krajów. Podobały mi się bardzo znaczki węgierskie i polskie. Zdecydowałem się zbierać polskie znaczki z kraju naszych sąsiadów. Syn w międzyczasie zmienił zainteresowania. Na mój list do Polski otrzymałem odpowiedź z Nowego Dworu, z okolic Gdańska. Dyrektor szkoły, Edmund Karez, był zainteresowany wymianą znaczków. On też miał dzieci. Jego córka, Ewa, urodziła się nawet tego samego dnia co mój Hans-Jürgen. Odwiedziliśmy się rodzinami. Były to ciekawe spotkania, które niestety w latach 80. się skończyły. Partner, Pan Edmund K. nieoczekiwanie zmarł, chorował na raka. Znów moja żona przejęła inicjatywę. Jako członek rady rodziców w szkole dowiedziała się, że potrzebna jest osoba kierująca grupą filatelistów. Namówiła mnie do zbudowania grupy AG „Philatelie”, która do dziś istnieje chociaż już nie przy tej szkole.

Jeszcze za czasów DDR przystąpiłem grupy zbieraczy polskich znaczków, a nieco później do polsko-niemieckiego towarzystwa filatelistycznego. Już wtedy tą grupą kierował Stefan Petriuk. Od chwili powstania grupy mieliśmy dobry kontakt. Namówił mnie, abym z grupą młodych filatelistów z Landu Brandenburg przyjechał 27 sierpnia 2007 r. do Kargowej na wystawę znaczków. Chociaż regulamin wystawy w Polsce jest inny, wielkie znaczenie dla czwórki dzieci miał fakt, że mogły też wystawić swoje eksponaty. Rok później, we wrześniu 2008 r., zaprosiliśmy młodych filatelistów z Kargowej do Keiz nad jezioro Frauensee. W ten sposób młodzi filateliści z Polski i Niemiec mogli się lepiej poznać. W przewyciężaniu trudności związanych z językiem pomogła nam Brygida Wróblewska – była dyrektorka szkoły, która jeszcze dziś nam pomaga przy kolejnych spotkaniach.

Z czasem pan Petriuk powiadomił mnie o pomysłe dotyczącym podpisania umowy partnerskiej między gminą Schulzendorf i gminą Kargowa. Powiadomiłem o tym byłego burmistrza, pana dr Burmeistera. Potem fakty następowały szybko. 11 marca 2009 r. radni z Schulzendorf przyjęli uchwałę zezwalającą na podpisanie umowy, a 23 sierpnia 2009 r. burmistrzowie obu miejscowości podpisali tę umowę. Od tego czasu odwiedzają się różne grupy wiekowe. Na przykład 28 maja 2011 r. z okazji obchodów Dnia Dziecka mieliśmy polskich gości. Również polskie dzieci wystawiły wtedy swoje znaczki. Są zaproszeni na 2 czerwca 2012 r. Mamy nadzieję, że te wzajemne wizyty staną się naszą piękną tradycją.

**Herbert Butow, Schulzendorf**



# Będę się angażowała

**3** CZERWCA 2011 R. MOGŁAM UCZESTNICZYĆ W KONFERENCJI w Kargowej. W jej trakcie Stefan Petriuk przedstawił album ze zdjęciami. Jego przemowa trafiła do mojego serca, powiedział: „Osoby, które pamiętają dawne czasy, opuszczają nas. Musimy zachować przeszłość dla przyszłości, gdyż ten, kto przyznaje się do przeszłości ma przyszłość i będzie się uczył z dawnych błędów. W przeciwnym razie będzie się skłaniał – jak to historia pokazuje – do powtórzenia błędów popełnionych w przeszłości”. My, ludzie starsi – jesteśmy więc odpowiedzialni za młodych. Powinniśmy dać im przykład, nauczyć ich tolerancji, poszanowania i gotowości do pomocy wszystkim, niezależnie od narodowości. Wielka serdeczność i gościnność naszych polskich sąsiadów z Kargowej przekonała nas o tym. Takie wrażenie odniosłam przy okazji naszego pierwszego spotkania.

Do tego doszła radość podczas spontanicznego śpiewu i tańców, które miały miejsce podczas mojego drugiego pobytu w Kargowej 14 września 2011 r. To przypominało mi moje dzieciństwo i młodość, gdyż moja ukochana babcia Polka i mój ojciec pochodzą z Górnego Śląska. Zнали dobrze język polski i niemiecki w mowie i piśmie. Żałuję, że rodzina, po moim pójściu do szkoły, zaniechała dalszego kontaktu z językiem polskim. Niestety, dziś już nic nie pamiętam i obawiam się, że kurs języka polskiego dla seniorów niewiele zmieni. Będę się jednak starała. Tym bardziej podziwiam polskich przyjaciół z Kargowej, np. moją koleżankę, emerytowaną dyrektorkę szkoły, która zna język niemiecki. Wydaje mi się, że my Niemcy jesteśmy pod tym względem zbyt wygodni.

W tym miejscu chciałabym w imieniu uczestników pobytu w Kargowej w dniu 14 września 2011 r., serdecznie podziękować za bogaty i urozmaicony program. Wielkie zainteresowanie wzbudziła wśród nas parowozownia w Wolsztynie. Jest to jedyna taka parowozownia w Europie, w której pracują lokomotywy parowe. Zwiedzaliśmy też Muzeum Roberta Kocho. Ciekawe było też zwiedzanie Kargowej z burmistrzem – panem Ciemnoczołowskim. Wiele ostatnio zrobiono w tym małym mieście. Wszystko było wspaniałe! Podobało mi się!

Zachęcona tymi przeżyciami zdecydowałam się pojechać z przyjaciółmi na Górny Śląsk. Byłam również zachwycona, podziwiałam osiągnięcia Polaków w odbudowie i odnawianiu budowli historycznych i dzieł sztuki. Chętnie się angażuje przy wspólnych projektach seniorów z naszych partnerskich gmin.

**Christel Pawlik**

Tłumaczyła: **Brygida Wróblewska**



# Uczymy się języków

**B**YŁ CZERWIEC, NIEBO BYŁO JESZCZE ZACHMURZONE, gdy wczesnym rankiem spotkaliśmy się z trzema zaprzyjaźnionymi małżeństwami i udaliśmy się w podróż do Kargowej. Mój mały piesek Eddy, jak przy wszystkich naszych przedsięwzięciach, też był z nami. Niektórzy z nas nie pierwszy jechali do partnerskiego miasta w Polsce, więc nie było problemu z drogą. Wreszcie stanęliśmy na Rynku w Kargowej. Rzuciły mi się w oczy zadbane trawniki dookoła ratusza i wspaniałe rabaty kwiatowe, które zdobyły plac. Naszym celem był znajdujący się w pobliżu dom kultury, w którym od 6 do 14 czerwca 2009 r. odbywała się wystawa obrazów artysty Wilhelma Blanke. Nastąpiło bardzo serdeczne powitanie, po którym czułam się jakbym bym była tu nie pierwszy raz, czułam się jak w swoim domu.

Obrazy W. Blanke bardzo mnie interesowały, gdyż jestem malarką hobbystką. Szczególnie fascynowały mnie szerokość ulic i wielkość placów przedstawionych na obrazach artysty. Dowiedzieliśmy się sporo o życiu tego urodzonego w Kargowej malarza, z którego mieszkańcy miasta są dumni. Byłam też zachwycona ich wielką gościnnością. Radosny śpiew pań z Kargowej spowodował, że zaczęłam się znów bardziej zajmować muzyką ludową. Moja radość była bardzo wielka, gdy podczas rewizyty w Schulzendorf ujrzałam znane mi twarze. Osoby te poinformowały nas, że starają się uczyć języka niemieckiego. Również podczas naszych odwiedzin z okazji Święta Czekolady w Kargowej znów spotkałam zaprzyjaźnione panie i zaczęła się rozwijać osobistą znajomość. Abyśmy w przyszłości mogli się łatwiej porozumieć, bez tłumacza, próbujemy, 20 seniorów z Schulzendorf, uczyć się języka polskiego. Dzięki obustronnym staraniom na pewno uda się nam, poprzez wzajemne odwiedziny, pogłębić wzajemne kontakty.

**Cornelia Gronau**, Schulzendorf  
Tłumaczyła: **Barbara Krzeszewska-Zmyślony**



# Podziękowania

**N**INIEJSZE WYDAWNICTWO JEST JEDYNYM w swoim rodzaju, gdyż nie ma pojedynczego autora, a jest efektem pracy kilkunastu osób realizujących to trudne przedsięwzięcie pod okiem Eugeniusza Kurzawy, poety, dziennikarza, prezesa zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, który całość opracował, zredagował i przygotował do druku.

Słowa podziękowania należą się więc wielu osobom. Wymienię choćby kilkoro z nich. Przede wszystkim panią Małgorzatę Kwiecień, dyrektorę Gminnej Biblioteki Publicznej, która koordynowała polsko-niemiecki projekt związany z drukiem tejże książki. Następnie wolontariuszy Kargowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku z panią Brygidą Wróblewska, prezeską KUTW na czele, którzy dzielnie pomagali zbierać materiały, przeprowadzali dziesiątki wywiadów, tak samo jak niektórzy przedstawiciele Młodzieżowej Rady Miasta. Podziękowania należą się panu Aleksandrowi Żukowskiemu, który nagrywał i fotografował autorów opowieści.

W powstaniu książki duże zasługi mają niewątpliwie Danuta i Dariusz Wróblewscy, którzy swą wcześniejszą prekursorską działalnością, organizacją spotkań pt. „Kargowskie wspomnienia” (posłużyły za tytuł niniejszej pracy) niewątpliwie przyczynili się do powstania tego dzieła.

Szczególne podziękowania składam naszemu niemieckiemu partnerowi, czyli gminie Schulzendorf, dzięki współpracy, z którym udało się złożyć wniosek do Unii Europejskiej i uzyskać dofinansowanie do tej interesującej publikacji.

**Sebastian Ciemnoczołowski**  
burmistrz Kargowej

